

Nie ma jednej recepty na szczęśliwe małżeństwo...

„Żadna autorka nie potrafi pisać z takim talentem o uczuciach jak Taylor Jenkins Reid.” Huffington Post

Nawet Emily Giffin...

Rozstaniemy się za rok



Taylor Jenkins Reid



Rozstaniemy się
na rok

Taylor Jenkins Reid

Przekład
IRENA KOŁODZIEJ



*Mindy Jenkins i Jake'owi Jenkinsowi
(oby posłużyło to jako ostateczny argument, że mam
najładniejsze stopy w rodzinie)*

rażące (przym.):

Kiedy stoję obok ciebie w łazience, a ty wychodzisz,
nie zakręcając pasty do zębów.

(Słownik kochanków)

I. Gdzie się podziewa dobro?^[1]

Jesteśmy na parkingu Stadionu Dodgersów, a Ryan jak zwykle zapomniał, gdzie zostawiliśmy samochód. W kółko powtarzam, że w sektorze C, ale on mi nie wierzy.

– Nie – upiera się po raz dziesiąty. – Dokładnie pamiętam, że jak przyjechaliśmy, to skręciłem w prawo, a nie w lewo.

Ciemno choć oko wykol, drózkę przed nami oświetlają tylko latarnie w kształcie wielkich piłek bejsbolowych. Kiedy parkowaliśmy, spojrzałam na oznakowanie.

– To źle pamiętasz – mówię cierpkim, poirytowanym tonem. Zbyt długo już tu jesteśmy, a ja nie znoszę stadionowego chaosu. Choć tyle dobrze, że jest ciepła letnia noc, ale już po dziesiątej i z trybun wylewają się kibice, a my przedzieramy się przez morze błękitno-białych klubowych koszulek. I to już od dwudziestu minut.

– Dobrze pamiętam – odcina się, ruszając przed siebie i nawet nie zadaje sobie trudu, żeby się za mną obejrzeć, gdy mówi. – To ty masz kiepską pamięć, nie ja.

– Ach, rozumiem – cedzę z drwiną. – Tylko dlatego, że zgubiłam dziś rano klucze, od razu jestem idiotką?

Odwraca się i patrzy na mnie, a ja wykorzystuję ten moment, żeby spróbować go dogonić. Parking jest stromy, pagórkowaty. Nie daję rady.

– Jasne, Lauren, dokładnie tak powiedziałem. Że jesteś idiotką.

– Owszem, powiedziałaś. Powiedziałaś, że wiesz, co mówisz, znaczy, że ja nie wiem.

– Lepiej pomóż mi znaleźć ten cholerny samochód, żebyśmy mogli wreszcie pojechać do domu.

Nie odpowiadam. Po prostu idę za nim, gdy oddala się coraz bardziej od sektora C. Dlaczego chce jechać do domu, pozostaje dla mnie zagadką. W domu nie będzie lepiej. Od miesiący nie jest.

Zatacza rozległe koło po wzniesieniach i obniżeniach parkingu Stadionu Dodgersów. Ja za nim. Czekam wraz z nim na przejściach dla pieszych, znowu ruszam w jego tempie. Milczymy. Myślę o tym, że miałabym straszną ochotę na niego nawrzeszczyć. Myślę o tym, że wczoraj wieczorem też miałam ochotę na niego nawrzeszczyć. Myślę o tym, że pewnie i jutro będę miała ochotę na niego nawrzeszczyć. Założę się, że on myśli o tym samym. Mimo to atmosfera między nami jest doskonale nieruchoma, niezakłócona ani jedną z naszych myśli. Jakże często w ostatnich czasach nasze wieczory i weekendy to jedno nieustające napięcie, któremu kres kładzie wyłącznie „pa” albo „dobranoc”.

Pierwsza fala ludzi się przewaliła i teraz znacznie łatwiej się zorientować, gdzie jesteśmy i gdzie zaparkowaliśmy.

– Jest – mówi Ryan, nie fatygując się, by mnie lepiej oświecić i wskazać palcem. Idę za jego wzrokiem. Jest.

Nasza mała czarna honda.

Dokładnie w sektorze C.

Uśmiecham się do niego. Nie jest to miły uśmiech.

On też się do mnie uśmiecha. Jego uśmiech też nie jest miły.

Jedenaście i pół roku temu

Było to w połowie drugiego roku studiów. Na pierwszym roku byłam dość samotna. Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles okazał się nie tak przyjazny, jak sobie wyobrażałam, starając się o przyjęcie. Trudno mi było poznawać nowych ludzi. Często jeździłam na weekend do domu, żeby się zobaczyć z rodziną. Właściwie to głównie żeby się zobaczyć z młodszą siostrą, Rachel. Mama i mały braciszek, Charlie, byli na drugim miejscu. To z Rachel mówiłam o wszystkim. To Rachel mi brakowało, kiedy siedziałam sama przy stołówkowym obiedzie, a siedziałam sama przy stołówkowym obiedzie częściej, niż miałabym ochotę przyznać.

W wieku lat dziewiętnastu byłam o wiele bardziej nieśmiała, niż gdy mając siedemnaście, kończyłam liceum jako jedna z najlepszych w klasie, a ręka bolała mnie od podpisywania niezliczonych ksiąg pamiątkowych. Przez pierwszy rok studiów mama wciąż mnie pytała, czy nie mam ochoty zmienić kierunku. Mówiła, że niezłe byłoby rozejrzeć się za czymś innym, ale ja nie chciałam. Lubiłam moje zajęcia. „Po prostu

jeszcze nie złapałam rytmu” – odpowiadałam za każdym razem. „Ale złapię. Zobaczysz”.

Zaczęłam go łapać, kiedy podjęłam pracę w dziale pocztowym. Wieczorami było nas przeważnie dwoje czy troje i wtedy rozkwitałam. Dobrze sobie radziłam w małych grupach. Kiedy nie musiałam walczyć o to, żeby mnie słyszano, błyszczałam. Po paru miesiącach pracy na zmiany znałam już mnóstwo ludzi. Niektórych naprawdę polubiłam. A niektórzy z nich naprawdę polubili mnie. Kiedy rozjechaliśmy się tego roku na ferie świąteczne, z radością myślałam, że w styczniu znowu się zobaczymy. Brakowało mi moich przyjaciół.

Kiedy wznowiono zajęcia, okazało się, że mam nowy grafik i że odbywają się one w paru budynkach, gdzie nigdy dotąd nie byłam. Ponieważ zaliczyłam już większość przedmiotów ogólnych, zaczęłam chodzić na zajęcia z psychologii. I gdziekolwiek w ramach tego nowego grafiku poszłam, wszędzie wpadałam na tego samego chłopaka. Klub fitness, księgarnia, windy w gmachu Franza Halla.

Był wysoki i barczysty. Miał silne ramiona z wyraźnie zaznaczonymi bicepsami, ledwie mieszczącymi się w rękawach koszuli. Był jasnym szatynem, a policzki i szczękę często pokrywała mu szczecina krótkiego zarostu. Zawsze się uśmiechał i zawsze z kimś rozmawiał. Nawet gdy szedł sam, miał wygląd człowieka, który ma do spełnienia jakąś misję.

Kiedyśmy się wreszcie do siebie odezwali, stałam w

kolejce do stołówki. Miałam na sobie szary T-shirt, który nosiłam poprzedniego dnia, i kiedy spostrzegłam go w kolejce, wydało mi się, że to zauważył.

Przy wejściu podał do sprawdzenia swój identyfikator, po czym zostawił kolegów i wdał się w rozmowę z chłopakiem obsługującym czytnik. Kiedy znalazłam się z przodu kolejki, przerwał rozmowę i spojrzał na mnie.

– Śledzisz mnie czy co? – powiedział, patrząc mi z uśmiechem w oczy.

Z miejsca się spieszyłam i chyba to zauważył.

– Sorry, głupi żart. Po prostu wciąż cię ostatnio spotykam. – Wzięłam z powrotem identyfikator, a on dodał: – Mogę iść z tobą?

– Tak – odparłam. Miałam się spotkać ze znajomymi z działu pocztowego, ale i tak ich jeszcze nie było. A facet był niezły. Wystarczyło, żeby zawrócić mi w głowie. Był niezły.

– Gdzie idziemy? – spytał. – Która kolejka?

– Do grilla. To znaczy, jeśli masz zamiar stanąć w kolejce razem ze mną.

– Super. Mam straszną ochotę na hamburgera z cebulą i serem.

– W takim razie do grilla.

Stanęliśmy w kolejce. Przez chwilę było cicho, ale on bardzo starał się podtrzymać rozmowę.

– Nazywam się Ryan – oznajmił, wyciągając rękę. Ujęłam ją. Uścisk był mocny. Miałam dziwne wrażenie,

że gdyby nie chciał go zakończyć, nic bym na to nie mogła poradzić. Tak silna była jego dłoń.

– Lauren – powiedziałam. Puścił.

Wydął mi się opanowany, rezolutny i czarusiowaty, i taki był, do pewnego stopnia. Ale w miarę jak rozmawialiśmy, zaczął się troszkę jąkać, jakby niepewny, czy mówi to, co trzeba. Ten przystojniak, który wydawał się o wiele bardziej pewny siebie, niż ja kiedykolwiek mogłabym marzyć, okazał się całkiem ludzki. Był po prostu człowiekiem atrakcyjnym, zabawnym i na tyle dobrze się czującym we własnej skórze, że sprawiał wrażenie, jakby rozumiał świat lepiej niż inni. Ale tak nie było. Był dokładnie taki jak ja. I to nagle sprawiło, że ja stałam się taka jak on w znacznie większym stopniu, niż zdawałam sobie sprawę. I się zdenerwowałam. W brzuchu zatrzepotały mi motylki. Spociły mi się dłonie.

– No dobra, możesz się przyznać – zaczęłam, siląc się na dowcip. – Tak naprawdę to ty mnie śledzisz.

– Przyznaję się – odparł, po czym szybko zmienił wersję. – Nie! Oczywiście że nie. Ale zauważyłaś to, prawda? Tak jakby nagle zaczęło cię być wszędzie pełno.

– To ciebie nagle zaczęło być wszędzie pełno – powiedziałam, przesuając się wraz z kolejką do przodu. – Ja po prostu bywam tam, gdzie zawsze.

– Chcesz powiedzieć: tam, gdzie ja bywam zawsze.

– Może po prostu łączy nas kosmiczna więź –

zadrwiłam. – Albo mamy podobny grafik. Pierwszy raz zobaczyłam cię chyba na quadzie. A ja tam wtedy zabijałam czas pomiędzy wprowadzeniem do psychologii a statystyką. Więc chyba musiałeś wybrać zajęcia na Kampusie Południowym mniej więcej w tym samym czasie, zgadza się?

– Niechcący ujawniłaś mi dwie rzeczy, Lauren – zauważył Ryan z uśmiechem.

– Tak?

– A jakże. Mniej ważna to to, że wiem teraz, że twój główny kierunek to psychologia. I znam dwa zajęcia, na które chodzisz. Gdybym cię śledził, byłaby to żyła złota.

– Jasne – skinęłam głową. – Chociaż gdybyś był porządnym prześladowcą, to już byś o tym wiedział.

– Tak czy siak, prześladowca to prześladowca.

Wreszcie przyszła nasza kolej, ale Ryan zdawał się bardziej interesować mną niż tym, że czas coś zamówić. Odwróciłam na moment głowę i błyskawicznie złożyłam zamówienie.

– Poproszę grillowany ser.

– A dla pana? – zwróciła się kucharka do Ryana.

– Hamburger z serem i cebulą, podwójny ser – rzucił, nachylając się, i przy okazji bezwiednie musnął rękawem moje ramię. Poczułam leciutkie uderzenie prądu.

– A ta druga rzecz? – spytałam.

– Hm? – Znowu na mnie spojrział, najwyraźniej już myślami gdzie indziej.

– Powiedziałaś, że ujawniłam dwie rzeczy.

– A! – Uśmiechnął się, przysuwając tacę do mojej na kontuarze. – Mówiłaś, że zauważyłaś mnie na dziedzińcu przed Wydziałem Nauk Przyrodniczych.

– Zgadza się.

– Ale ja cię wtedy nie widziałem.

– No to co? – Nie było dla mnie jasne, o co mu chodzi.

– Czyli że, technicznie rzecz biorąc, ty zauważyłaś mnie pierwsza.

Uśmiechnęłam się.

– Trafiony, zatopiony.

Kucharka podała mi mój grillowany ser, a Ryanowi jego hamburgera. Wzięliśmy tace i ruszyliśmy do automatu z wodą sodową.

– A więc, skoro to ty jesteś prześladowczynią, to chyba będziesz chciała za jakiś czas mnie odpytać.

– Co takiego? – spytałam, na pół w szoku, na pół upokorzona.

– Posłuchaj – powiedział, ignorując mnie. – Mogę być bardzo cierpliwy. Wiem, że musisz zebrać odwagę, musisz wymyślić jakiś sposób, żeby do mnie zagadać, musisz się postarać, żeby to wyglądało na przypadkowe.

– Aha – odparłam. Sięgnęłam po szklankę i wsunęłam ją pod automat do lodu. Automat zawarczał i wypuścił raptem trzy mizerne kostki. Ryan podszedł i walnął go pięścią w bok. Do szklanki sypnęła się lawina lodowych kostek. Podziękowałam mu.

– Nie ma sprawy. To co? – ciągnął. – Może poczekam do jutra, na przykład do szóstej wieczorem? Spotkamy się w holu auli Hendricka. Zabiorę cię na burgera i może na jakieś lody? Pogadamy. A ty będziesz mogła mnie odpytać.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Tylko tak będzie sprawiedliwie – powiedział. – To ty zauważyłaś mnie pierwsza.

Miał masę wdzięku. I wiedział o tym.

– Okej – odparłam. – Ale mam pytanie: w tamtej kolejce... – wskazałam chłopaka obsługującego czytnik – o czym z nim rozmawiałaś? – Byłam pewna, że znam odpowiedź, i chciałam usłyszeć, jak to mówi.

– Z tym facetem od czytnika? – spytał z uśmiechem Ryan, wiedząc, że go przyłapałam.

– No. Po prostu ciekawa jestem, co to było.

Ryan spojrzał mi prosto w oczy.

– Powiedziałem do niego: udawaj, że ze sobą rozmawiamy. Muszę poczekać, dopóki nie podejdziesz tamta dziewczyna w szarym podkoszulku.

Prąd, który przeszedł mnie parę chwil temu, teraz spalił mnie żywym ogniem. Rozświetlił mnie. Spłynął aż do koniuszków palców u rąk i nóg.

– Czyli aula Hendricka, jutro o szóstej – odparłam, potwierdzając, że przyjdę. Myślę jednak, że oboje wiedzieliśmy, że nie mogę się doczekać tej chwili. Życie bym dała, żeby „tam” i „wtedy” zmieniło się w „tu” i „teraz”.

– Nie spóźnij się – rzekł z uśmiechem i odszedł w swoją stronę.

Postawiłam szklanę z wodą na tacy i niedbale ruszyłam do stolika. Usiadłam sama, jeszcze niegotowa na spotkanie ze znajomymi. Mój uśmiech był zbyt szeroki, zbyt wyrazisty, zbyt promienny.

W holu auli Hendricka byłam za pięć szósta.

Kręciłam się przez parę minut tu i tam, usiłując nie pokazywać po sobie, że nie mogę się wprost doczekać czyjegoś przyjścia.

To była randka. Prawdziwa randka. Nie jak wtedy, gdy jakiś chłopak zaprasza cię, żebyś poszła z nim i jego znajomymi na piątkową imprezę, bo słyszał, że ktoś urzęduje. Nie jak wtedy, kiedy w liceum chłopak, który podobał ci się od ósmej klasy, w końcu cię pocałował.

To była randka.

O czym ja z nim będę rozmawiać? Prawie go nie znam! A jak będę miała nieświeży oddech albo powiem coś głupiego? A jak tusz mi się rozmaże i przez cały wieczór, nie wiedząc o tym, będę wyglądała jak szop pracz?

W panice usiłowałam się przejrzeć w szybie, ale zaledwie mi się to udało, do holu wszedł Ryan.

– Ożeż – powiedział na mój widok.

I w tej chwili przestałam się martwić, że może jestem w jakiś sposób niedoskonała. Nie przejmowałam się moimi guzowatymi dłońmi czy zbyt cienkimi wargami.

Zamiast tego pomyślałam o blasku moich ciemnych włosów i o szarawym odcieniu niebieskich oczu. Pomyślałam o moich długich nogach, bo zobaczyłam, że powędrował ku nim wzrok Ryana. Jak to dobrze, że zdecydowałam się je wyeksponować, wkładając krótką czarną dzianinową sukienkę i bluzę na zamek!

– Wyglądasz super – ciągnął. – Chyba ci się naprawdę podobam.

Roześmiałam się, a on się uśmiechnął. Miał na sobie dżinsy i podkoszulek, plus polar z nazwą uniwersytetu: UCLA.

– A ty chyba się naprawdę bardzo starałeś, żeby nie pokazać, że ja ci się podobam – powiedziałam.

Uśmiechnął się do mnie i był to inny uśmiech niż poprzednio. Nie uśmiechał się, żeby mnie oczarować. To on był mną oczarowany.

Dobrze było to poczuć. Naprawdę dobrze.

Przy burgerach opowiadaliśmy sobie o tym, skąd pochodzimy i co chcemy w życiu robić. Rozmawialiśmy o zajęciach. Okazało się, że w zeszłym roku mieliśmy na zajęciach z retoryki tego samego wykładowcę.

– Profesor Hunt! – powiedział Ryan niemal z nostalgią w głosie.

– Nie mów mi o profesorze Huncie! – zawołałam. Nikt nie lubił tego starca. Był równie interesujący jak kartonowe pudło.

– A co jest nie tak z gościem, żeby go nie lubić? Jest sympatyczny. Uprzejmy. To jeden z niewielu

przedmiotów, z którego miałem A w tamtym semestrze!

Co za ironia. Retoryka była jedynym przedmiotem, z którego miałam w tamtym semestrze B. Ale wydawało mi się to zbyt okropne, żeby to ujawnić.

– Dla mnie to jeden z najgorszych przedmiotów – powiedziałam. – Publiczne zabieranie głosu nie jest moją mocną stroną. Lepsza jestem w badaniach terenowych, dokumentacji, testach wielokrotnego wyboru. Nie jestem zbyt dobra w sprawach oralnych.

Spojrzałam na niego i poczułam, że zapłonęły mi policzki. Co za niezręczne zdanie! Na pierwszej randce z chłopakiem, którego prawie nie znałam! Złękłam się, że ze mnie zadrwi. Ale nie zadrwił. Udał, że niczego nie zauważył.

– Wyglądasz na dziewczynę, która ma wyłącznie A – powiedział. Co za ulga... Jakoś potrafił zapanować nad tą chwilą niezręczności i obrócić ją na moją korzyść.

Znowu się zaczerwieniłam. Tym razem z innego powodu.

– No, idzie mi dość możliwie – odparłam. – Ale jestem pod wrażeniem, że ty z retoryki dostałeś A. Naprawdę niełatwo je zdobyć.

Ryan wzruszył ramionami.

– Chyba po prostu należę do tych, którzy potrafią publicznie zabierać głos. W sensie, że nie boję się tłumu. Mogę przemawiać w sali pełnej ludzi i w najmniejszym stopniu mnie to nie peszy. To rozmowa w cztery oczy jest dla mnie trudna.

Zdałam sobie sprawę, że przechyliłam głowę na bok, co było fizycznym wskaźnikiem mojego zaskoczenia.

– Nie wyglądasz na faceta, który denerwowałby się w dowolnej sytuacji. Bez względu na to, ile jest przy tym osób.

Dokończył swojego burgera i się uśmiechnął.

– Nie daj się zwieść pozorom nonszalancji – powiedział. – Wiem, że jestem przystojny jak diabli i w życiu nie znałaś tak uroczego faceta jak ja, ale to właśnie jest powód, dla którego tak długo nie potrafiłem się zdobyć na to, żeby do ciebie zagadać.

Ten facet... Ten facet, który wydawał się takim luzakiem... JA mu się podobałam! JA go peszyłam!

Nie wiem, czy jest uczucie porównywalne z tym, co czujesz, odkrywając, że onieśmielasz kogoś, kto cię onieśmiela.

Człowiek robi się wtedy odważny. Pewny siebie. Wydaje mu się, że nie ma na świecie takiej rzeczy, której by nie potrafił.

Przechyliłam się nad stołem i go pocałowałam. Pocałowałam go przy ludziach, w burgerowni, niechcący zanurzając rękaw bluzy w pojemniku z ketchupem. Nie wycelowałam najlepiej, swoją drogą. Nie trafiłam dokładnie w same usta. Tak jakby troszeczkę z boku. I jasne było, że go zaskoczyłam, bo zamarł i dopiero po chwili rozluźnił się i włączył do pocałunku. Smakował słono.

Kiedy się cofnęłam, dotarło do mnie, co zrobiłam.

Nigdy dotąd nikogo nie pocałowałam! Zawsze chłopak całował mnie pierwszy. I dopiero wtedy włączałam się do pocałunku.

Ryan spojrział na mnie zmieszany.

– Myślałem, że to ja powinienem to zrobić.

Poczułam się potwornie upokorzona. O czymś takim czytywałam jako dziewczątko w rubryce „Kłopotliwe momenty” w „YM Magazine”.

– Wiem... Przepraszam! Sama nie wiem, jak mogłam...

– Co? – Wyraźnie był w szoku. – Ależ nie przepraszaj! To była chyba najwspanialsza chwila w moim życiu.

Z mimowolnym uśmiechem podniosłam na niego wzrok.

– Wszystkie dziewczyny powinny tak całować – powiedział. – Wszystkie dziewczyny powinny być dokładnie takie jak ty.

W drodze powrotnej wciąż na nowo wciągał mnie we framugi drzwi i załomy murów, żeby się całować. Im bliżej byliśmy mojego pokoju, tym dłuższe stawały się pocałunki. Wreszcie, przed samym wejściem do budynku, pocałunek zdawał się trwać wieki. Do tego czasu zdążyło się już ochłodzić, słońce dawno zaszło parę godzin temu. Zimno mi było w gołe nogi. Nie czułam jednak nic, tylko jego ręce na moim ciele, jego usta na moich ustach. Nie byłam w stanie myśleć o niczym, tylko o jego dłoniach na moim karku, o jego

zapachu: świeżo upranej bielizny i piżma.

Kiedy przyszła pora, by zrobić kolejny krok albo się pożegnać, oderwałam się od niego, pozostawiając jednak dłoń w jego dłoni. Widziałam po jego oczach, że czekał, że zaproszę go do mojego pokoju. Ale nie zaprosiłam.

– Zobaczymy się jutro? – spytałam.

– Jasne.

– Wstąpisz po mnie rano i pójdziemy razem na śniadanie?

– Jasne.

– To cześć – powiedziałam i pocałowałam go w policzek.

Wysunęłam dłoń z jego dłoni, odwróciłam się i ruszyłam przed siebie. Miałam straszną ochotę się zatrzymać i powiedzieć, żeby poszedł ze mną. Wciąż chciałam go dotykać, słyszeć jego głos, czekać, co teraz powie. Ale się nie zatrzymałam. Szłam dalej.

Wiedziałam, że wpadłam totalnie, po uszy. Wiedziałam, że oddam mu się cała, że obnażę przed nim duszę, że pozwolę, żeby złamał mi serce, jeśli tak właśnie ułożą się sprawy.

W takim razie nie ma się co śpieszyć, powiedziałam sobie, wchodząc do pustej windy.

W pokoju od razu zadzwoniłam do Rachel. Musiałam jej o wszystkim opowiedzieć. Jaki jest przystojny, jaki jest miły. Co mówił, jak na mnie patrzył. Musiałam powierzyć to komuś, kto zrozumie, jakie to

wszystko było podniecające.

I Rachel rozumiała. Wszystko.

– To kiedy masz zamiar pójść z nim do łóżka? Oto jest pytanie. Bo wygląda na to, że było między wami dosyć gorąco – zauważyła. – Wiesz co, a może powinnaś wyznaczyć sobie jakiś termin? Na przykład, że dopiero po tylu a tylu tygodniach czy dniach, czy miesiącach. – Roześmiała się. – Czy latach, jeśli tak zechcesz to rozegrać.

Powiedziałam, że poczekam, aż to się stanie w sposób naturalny.

– Fatalny pomysł – odparła. – Powinnaś mieć jakiś plan. A jeśli prześpisz się z nim za wcześnie albo za późno?

Ale dla mnie nie istniało żadne za wcześnie czy za późno. Byłam taka pewna Ryana, siebie, że każde posunięcie wydawało się właściwe. Tak jakbym już wtedy potrafiła przewidzieć, że jest nam razem tak dobrze, że nie zdołamy tego zepsuć, choćbyśmy nawet próbowali.

I to zarazem wprawiało mnie w radosne podniecenie i zsyłało głęboki spokój.

Kiedy to się stało, byliśmy u Ryana w pokoju. Jego współlokator wyjechał na weekend. Nie powiedzieliśmy sobie dotąd, że się kochamy, ale było oczywiste, że tak.

Upajało mnie, że tak dobrze rozumie moje ciało. Nie musiałam mu mówić, czego pragnę. Wiedział. Wiedział, jak mnie całować. Wiedział, gdzie kłaść ręce, gdzie

dotykać, jak dotykać.

Nigdy dotąd nie rozumiałam, o co chodzi z tą fizyczną miłością. Wydawało się to głupie i trochę śmieszne. Ale wtedy zrozumiałam. Chodzi nie tylko o poruszanie się. Chodzi o to, że serce nabrzmiewa ci uczuciem. Że oddech staje się gorący jak ogień. Że mózg się wyłącza, a władzę przejmuje serce.

Nie obchodziło mnie nic poza jego ciałem pod moimi dłońmi, jego zapachem, jego smakiem. Chciałam go więcej i więcej.

Później leżeliśmy obok siebie, obnażeni i bezbronni, ale bynajmniej tak się nie czuliśmy. Ryan wziął mnie za rękę.

– Jestem gotów ci coś powiedzieć, ale nie chcę, żebyś pomyślała, że to z powodu tego, co się przed chwilą stało.

Wiedziałam, co ma na myśli. Oboje wiedzieliśmy.

– To powiedz później – odparłam.

Moja odpowiedź chyba go rozczarowała, więc dodałam:

– Jak to powiesz, ja powiem to samo.

Uśmiechnął się i przez dłuższą chwilę milczał. Myślałam, że zasnął. Po chwili jednak się odezwał:

– To było dobre, prawda?

Odwróciłam się do niego.

– O, tak.

– Nie – odparł. – To nie było dobre, to było... fantastyczne. Kiedyś powinniśmy się pobrać.

Pomyślałam o moich dziadkach, jedynej parze małżeńskiej, jaką znałam. Pomyślałam o tym, jak babcia kroїła dziadkowi jedzenie, kiedy był już zbyt słaby, żeby pokroić samemu.

– Jasne – powiedziałam. – Kiedyś.

Mieliśmy po dziewiętnaście lat.

Jedenaście lat temu

Na wakacje Ryan pojechał do domu, do Kansas. Codziennie ze sobą rozmawialiśmy. Wymienialiśmy mejle z szybkością karabinu maszynowego, nie mogąc się doczekać na odpowiedź. Siadywałam na łóżku, czekając, aż wróci z praktyki i zadzwoni. Wkrótce po raz pierwszy go odwiedziłam i poznałam jego rodziców i siostrę. Chyba się polubiliśmy. Przez ten tydzień, który tam spędziłam, spijaliśmy sobie z ust każde słowo, a Ryan co noc zakradał się do pokoju gościnnego, gdzie mnie ulokowano. Kiedy odwiózł mnie na lotnisko i odprowadził aż do bramki ochrony, miałam wrażenie, że ktoś wyrywa mi serce z piersi. Jak ja go zostawię? Jak wsiądę do samolotu, by odlecieć tak daleko od drugiej połówki mojej duszy?

Próbowałam to wytłumaczyć Rachel, która po pierwszym roku na Kalifornijskim Uniwersytecie Stanowym też przyjechała na lato do domu. Opowiadałam jej, jak strasznie za nim tęsknię. Przywoływałam go w rozmowie nawet wtedy, kiedy rozmawialiśmy zupełnie o czym innym. W głowie

miałam tylko jedno. Na te miłosne akty strzeliste Rachel przeważnie odpowiadała: „To cudownie. Cieszę się twoim szczęściem”, po czym udawała, że wymiotuje.

Mój brat Charlie skończył właśnie wtedy czternaście lat i po wakacjach miał iść do szkoły średniej, toteż nie chciał mieć nic wspólnego z Rachel czy ze mną. Nawet nie udawał, że słucha tego, co miałam tego lata do powiedzenia. Ledwie otwierałam usta, wkładał słuchawki albo włączał telewizję.

Po paru tygodniach od mojej wizyty Ryan uparł się, że teraz on mnie odwiedzi. Nie liczyło się, że bilety są drogie ani że sam jeszcze nie zarabia. Powiedział, że to bez znaczenia. Musi mnie zobaczyć i już.

Czekałam na niego na lotnisku LAX. Patrzyłam, jak wraz z resztą pasażerów zjeżdża ruchomymi schodami, jak wpatruje się w tłum, szukając mojej twarzy. Zarejestrowałam moment, gdy na mój widok na jego twarzy pojawiła się ogromna ulga. I dostrzegłam w tej chwili, jak bardzo jestem kochana. Potrafiłam rozpoznać te wszystkie uczucia, bo i ja czułam to samo wobec niego.

Rzucił się ku mnie, upuścił torbę, porwał mnie w objęcia, uniósł i okręcił, tuląc do siebie tak mocno, jak nigdy dotąd. Parę tygodni temu, żegnając się z nim, byłam totalnie zdruzgotana; teraz równie wielka była moja radość.

Postawił mnie na ziemi, chwycił moją twarz w dłonie i zaczął całować. Kiedy w końcu otworzyłam

oczy, zobaczyłam, że obserwuje nas starsza kobieta z dziećmi. Przypadkiem uchwyciłam jej wzrok, a ona uśmiechnęła się do mnie i dyskretnie odwróciła spojrzenie. Wyraz jej twarzy mówił jasno, że była kiedyś mną.

W tym momencie dołączyła do nas moja rodzina, której udało się wreszcie zaparkować. Upierali się, że też przyjadą, chyba trochę dlatego, że jasne było, że tego nie chcę.

Ryan otarł spoconą dłoń o tył dżinsów i wyciągnął rękę do matki.

– Dzień dobry, pani Spencer – powiedział. – Cieszę się, że znowu panią widzę. – Już raz się przelotnie spotkali, kiedy mama przyjechała mi pomóc w wypowiedzce z akademika.

– Mówiłam ci, Ryan, żebyś mówił mi Leslie – zaśmiała się mama.

Ryan skinął głową i zwrócił się do Rachel i Charliego.

– Rachel, Charlie, miło was poznać. Słyszałem o was dużo dobrych rzeczy.

– Właściwie to wolimy, żeby zwracać się do nas per pan i panna Spencer – odparł Charlie.

Ryan postanowił potraktować go serio.

– Proszę mi wybaczyć, panie Spencer. Mój błąd. Panno Spencer – zwrócił się do Rachel, unosząc nieistniejący kapelusz i zginając się w ukłonie, po czym uścisnął dłoń Charliego.

I być może dlatego, że ktoś potraktował go poważnie, Charlie uznał za właściwe się rozjaśnić.

– Dobra, w porządku. Możesz mi mówić Charles.

– Możesz mu mówić Charlie – wtrąciła Rachel.

Ruszyliśmy wszyscy po odbiór bagażu. I choć Charliemu bardzo zależało, żeby nam popsuć zabawę, nie mogłam nie zauważyć, że przez całą drogę do domu szeptał coś Ryanowi na ucho.

Dziewięć i pół roku temu

Na ostatnim roku postanowiliśmy z Ryanem, że podczas przerwy wiosennej zostaniemy oboje w Los Angeles. W ostatniej chwili jednak mamie wpadły w oko loty do Cabo San Lucas i postanowiła się szarpnąć. I tak oto cała nasza piątka, mama, Rachel, Charlie, Ryan i ja znaleźliśmy się w samolocie do Meksyku.

Dziwne, ale to chyba Charlie najbardziej się podniecał tym pomysłem. Kiedy zajęliśmy miejsca, mama, Ryan i ja po jednej stronie przejścia, a Rachel i Charlie z jakimś dziwnym łysym facetem po drugiej, Charlie bez przerwy przypominał mamie, że granica wieku w przypadku picia alkoholu to osiemnaście lat.

– Fajnie, kochanie – odparła. – Co nie zmienia faktu, że na razie masz szesnaście.

– Ale tam to będzie mniej nielegalne – powiedział, zapinając pas. W przejściach pojawiły się stewardesy. – Jak się upiję w Meksyku, to będzie mniej nielegalne niż tutaj.

– No nie wiem, czy nielegalność jest stopniowalna – zauważyła Rachel, kurcząc się w fotelu, by broń Boże nie dotykać łysego. Już spał.

– Wydaje mi się jednak, że prostytutka jest w Meksyku legalna – wtrąciłam. – Tak? Jest?

– Nie dla nieletnich – powiedział Ryan. – Przykro mi, Charlie.

Charlie wzruszył ramionami.

– Wyglądam na więcej niż szesnaście.

– A trawka jest legalna w Meksyku? – spytała Rachel.

– No wybaczcie! – zawołała mama z irytacją. – To są wakacje rodzinne! Nie wiozę was do Meksyku, żebyście ćpali i chodzili na dziwki!

I, rzecz jasna, wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem. Bo to wszystko były żarty. Przynajmniej ja myślałam, że to wszystko żarty.

– Aleś ty łatwowierna, mamo! – powiedziała Rachel.

– Wygłupialiśmy się – dodałam.

– Mów za siebie! – odął się Charlie. – Ja mówiłem serio. Naprawdę mogą mi tu podać alkohol.

Ryan parsknął śmiechem.

Uderzyło mnie wtedy, że Charlie jest zupełnie inny niż Rachel i ja. Nie chodziło tylko o sprawę powierzchowne, jak różnica między bratem a siostrą, uczniem liceum a studentką. On naprawdę bardzo się od nas różnił.

Rachel i mnie dzieliło niewiele ponad rok różnicy wieku. Przeżywałyśmy wszystko wspólnie, patrząc przez

te same okulary. Kiedy tato odszedł, miałam niecałe cztery i pół roku, a Rachel właśnie skończyła trzy. Charlie jeszcze się wtedy nie urodził. My z Rachel, nawet jeśli nie pamiętałyśmy ojca zbyt dobrze, to spędziłyśmy z nim trochę czasu. Znałyśmy jego głos. Charlie przyszedł na świat, mając wyłącznie matkę.

Czasem się zastanawiałam, czy przypadkiem to, że jesteśmy z Rachel tak blisko, że jesteśmy dla siebie takie ważne, nie sprawiło, że nie dopuszczaliśmy do tej komitywy Charliego. Kiedy przyszedł na świat, miałyśmy już swój własny język, swój własny świat. Ale prawda jest taka, że Charlie po prostu się nami nie interesował. Jako maluch robił swoje, bawił się we własne zabawy. Nie chciał zajmować się tym, czym zajmowałyśmy się my z Rachel. Nie chciał rozmawiać o tym, o czym myśmy rozmawiały. Zawsze szedł własną drogą, odrzucając tę, którą myśmy dla niego wytyczyły.

Ale pomimo wszelkich różnic wprost powalające było, jak bardzo wszyscy troje staliśmy się z czasem podobni fizycznie. Nawet jeśli Charlie miał inny temperament i osobowość niż my z Rachel, nie byłby w stanie wyprzeć się nas w sensie genetycznym.

Wszyscy mieliśmy takie same wyraziste kości policzkowe. Wszyscy dostaliśmy w spadku po mamie ciemne włosy i niebieskie oczy. Charlie był wysoki i tyczkowaty, Rachel mała i filigranowa, ja – mocniej zbudowana, z krągłościami. Mimo to byliśmy z jednego pnia, to było jasne.

Samolot wystartował i zaczęliśmy mówić o czym innym. Kiedy zniknął symbol wzywający do zapięcia pasów, mama wstała i poszła do łazienki. I wtedy właśnie zobaczyłam, że Ryan przechyla się ku Charliemu, siedzącemu po drugiej stronie przejścia, i szepcze mu coś na ucho. Charlie z uśmiechem skinął głową.

– Co mu powiedziałaś? – spytałam. Ryan uśmiechnął się szeroko i milczał. – Nie powiesz mi?

– To sprawa pomiędzy Charliem a mną – odparł.

– Właśnie – włączył się Charlie. – To sprawa pomiędzy nami.

– Nie możesz kupić mu tutaj alkoholu – ostrzegłam.

– Czy to o tym rozmawialiście? Jeśli tak, to nie możesz – mówiłam tonem członkini brygady antynarkotykowej.

– Czy ktoś tu mówił o kupowaniu komuś alkoholu? – spytał Ryan, może odrobinę zbyt niewinnie.

– To czemu nie mogę się dowiedzieć, o czym rozmawialiście?

– Pewne sprawy cię nie dotyczą, Lauren – drażnił się ze mną Charlie.

– Ty mówiłeś! – W jakiś sposób udało mi się krzyczeć i szeptać zarazem. – Chcesz upić mojego brata!

W końcu Rachel miała tego dość.

– Ojejku, Lauren, przestań. Ryan nachylił się do Charliego i powiedział: „Zobaczmy, czy uda mi się sprowokować twoją siostrę, tak żeby zaczęła robić z igły widły”.

Spojrzałam na niego pytająco. Roześmiał się. Charlie też.

– Słowo daję – powiedziała Rachel – jesteś tak samo łatwowierna jak mama.

Nieco ponad dziewięć lat temu

Skończyłam studia z wynikiem magna cum laude. Dosłownie ciut-ciut zabrakło mi do summa cum laude, ale Ryan powtarzał, żebym się tym nie przejmowała.

– A ja po prostu skończyłem, bez żadnych łacińskich słówek. I uważam, że wszystko będzie dobrze. Więc z tobą będzie lepiej niż dobrze.

Nie mogłam się spierać co do moich perspektyw. Już miałam pracę. Przyjęłam posadę w Wydziale Absolwentów UCLA. Nie byłam pewna, co chcę robić z moim dyplomem psychologa, ale sądziłam, że to przyjdzie z czasem. Wydział Absolwentów wydawał się dogodnym, pewnym miejscem, żeby wystartować.

W dniu rozdania dyplomów siedzieliśmy z Ryanem na przeciwległych krańcach audytorium, więc rozmawialiśmy ze sobą tylko rano, a podczas ceremonii robiliśmy do siebie miny. Na widowni zauważyłam mamę z jej wielkim aparatem fotograficznym, a obok Rachel i Charliego. Rachel pomachała mi i podniosła kciuk. Parę rzędów dalej zobaczyłam rodziców i siostrę Ryana.

Kiedy siedziałam i czekałam, aż wywołają moje nazwisko, zdałam sobie sprawę, że to koniec mnóstwa

rozmaitych rzeczy, a co więcej – początek dorosłego życia.

Wynajęliśmy z Ryanem kawalerkę w Hollywood. Mieliśmy się przeprowadzić za tydzień, pierwszego następnego miesiąca. Była brzydka, ciemna i ciasna. Ale nasza.

Poprzedniego wieczoru pokłóciliśmy się o to, jakie kupić meble. Ryan uważał, że jedyne, czego potrzebujemy, to materac na podłogę. Ja sądziłam, że skoro jesteśmy dorośli, powinniśmy mieć do niego ramę. Ryan był zdania, że wystarczy nam parę kartonowych pudeł na rzeczy; ja upierałam się, że potrzebne są nam szafy. Wściekłam się. Powiedziałam, że ma tandetny gust i nie rozumie, co to znaczy być dorosłym. On powiedział, że zachowuję się jak rozpuszczony dzieciak, który wyobraża sobie, że pieniądze rosną na drzewach. Zrobiło mi się tak przykro, że się popłakałam; on rozzłościł się tak, że się cały zaczerwienił.

I nagle, nie wiadomo jak i kiedy, już oboje przyznawaliśmy, że nie mamy racji, i z pasją, jakiej nie znaleźmy od czasu ostatniej kłótni, błagaliśmy się nawzajem o wybaczenie. Zawsze tak z nami było. „Kocham cię”, „Wybacz”, „Nigdy więcej tego nie zrobię” i „Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła” zawsze przyćmiewały sprawę, o którą się pokłóciliśmy.

Rano obudziliśmy się uśmiechnięci, objęci ciasnym uściskiem. Razem zjedliśmy śniadanie. Razem się

ubraliśmy. Pomogliśmy sobie nawzajem włożyć togi i birety.

Startowaliśmy w życie. Byliśmy dorośli.

Wstałam wraz z moim rzędem i ruszyłam za innymi na podium.

– Lauren Spencer.

Podeszłam, uścisnęłam dłoń rektora i odebrałam mój dyplom. Kątem oka dostrzegłam Ryana. Trzymał w rękach plakacik tak mały, że tylko ja go widziałam. Było na nim napisane: „Kocham cię”.

I w tej chwili poczułam, że dorosłość będzie czymś wspaniałym.

Siedem i pół roku temu

W czwartą rocznicę poznania wybraliśmy się z Ryanem na wędrowkę po parku narodowym Yosemite.

Od ukończenia przez nas studiów upłynęło półtora roku. W Wydziale Absolwentów zarabiałam całkiem przyzwoite pieniądze. Ryanowi też dobrze szło. Zaczęliśmy właśnie coś niecoś oszczędzać i zdecydowaliśmy, że wyprawa do Yosemite nie nadszarpnie aż tak bardzo naszych rezerw. Sprzęt turystyczny pożyczaliśmy od mamy, a jedzenie przygotowaliśmy sami.

Dotarliśmy na miejsce w piątek przed wieczorem i rozbiliśmy namiot. Kiedy wszystko było gotowe, zachodziło już słońce i zaczynało być zimno, więc poszliśmy spać. Nazajutrz po przebudzeniu

postanowiliśmy, że pójdziemy trasą wzdłuż wodospadu Vernal Fall. W przewodniku napisano, że to trudny szlak, ale widok z góry to coś, czego nie sposób sobie wyobrazić. „Jestem w nastroju, żeby zobaczyć coś, czego nie potrafię sobie wyobrazić” – orzekł Ryan. Włożyliśmy więc turystyczne buty i wsiedliśmy do auta.

Wiedziałam, że na tydzień przed wyprawą dzwonił do mojej matki i prosił ją o błogosławieństwo. Wiedziałam, że jej powiedział, że już wybrał pierścionek. W mojej rodzinie nikt nie potrafi utrzymać sekretu. Staramy się, ale za bardzo jesteśmy podekscytowani, żeby zatrzymać dobrą wiadomość tylko dla siebie. Wytryska to z nas, wypływa jak z pękniętej rury. Tak że w pewnym sensie oczekiwałam, że po dotarciu na szczyt Vernal Fall Ryan padnie na kolana.

Przewodnik nie powiedział jednak prawdy. Szlak wzdłuż Vernal Fall nie był trudny. Był po prostu niemożliwy do pokonania. Wciąż myślałam, że niedługo się skończy, że szczyt już blisko. Ale ścieżka pięła się w górę, pojawiał się kolejny zakręt... i człowiek zdawał sobie sprawę, że przed nim jeszcze całe godziny wspinaczki. Zdarzały się zdradzieckie nierówności, skalne stromizny, nie sposób było spocząć choćby na chwilę. W pewnej chwili głęboko rozciąłam sobie kolano o skalny występ. Krew spływała mi do skarpetki, ale nic nie mogłam zrobić. Musiałam iść nadal.

A jednak przez cały czas przed nami i za nami były

grupki ludzi, którzy zdawali się radzić sobie zupełnie dobrze. Byli nawet tacy, co schodzili w dół z uśmiechem na twarzy, dumni, że dali radę wejść na sam szczyt. Miałam ochotę złapać któreś z nich za koszulkę i zażądać, żeby mi powiedzieli, jak jest tam wyżej. Ale po co? Może jeśli nie będę wiedziała, co mnie czeka, to się nie poddam.

Po dwóch godzinach wspinaczki staliśmy z Ryanem na wbudowanych w zbocze schodach, tak rozklekotanych i stromych, że z trudem dało się postawić na nich stopę. Wodospad był blisko, ale ja, pamiętam, pomyślałam: „Jest piękny, ale w nosie to mam. Jestem skonana”. Wydawało mi się, że nigdy nie wejdziemy na ten szczyt, z którego widoku podobno nie sposób sobie wyobrazić, a zresztą nie miałam już ochoty cegokolwiek sobie wyobrazać. Włosy przylepiły mi się do czoła. Koszulkę można było wyjąć, tak przesiąkła potem. Twarz miałam czerwoną jak pomidor. To nie warunki, żeby się zaręczać... Zresztą nawet nie byłam pewna, czy Ryan ma taki zamiar. Zaczęło mi się wydawać, że może i nie.

Pomyślałam, że spytam Ryana, czy ma ochotę zawrócić. Jeśli powie „tak”, to raczej i tak niczego nie popsuję. A jeśli powie „nie”, to pójdę dalej i ja. Wejdę z nim na ten szczyt i zobaczę, co dalej.

– Chcesz zawrócić? – spytałam. – Bo nie wiem, czy dam radę.

Ryan ledwie łapał dech. Był o parę stopni za mną.

Miał lepszą formę niż ja, ale uparł się, że będzie szedł z tyłu, żeby mnie złapać, gdybym się obsunęła.

– Dobra – powiedział. – Jasne.

W jednej chwili uszło ze mnie powietrze. Nie zdawałam sobie sprawy, jak czekam na jego oświadczenia, dopóki nie powiedział, że możemy zawrócić. To tak jak wtedy, kiedy nie jesteś pewna, co chcesz na obiad, ktoś proponuje ci chińszczyznę i dopiero wtedy do ciebie dociera, że masz megaochotę na burgera.

– Ach tak. No dobrze – powiedziałam, odwracając się powoli i zdejmując nogę ze stopnia. Ta chwila była dla mnie porażką z dwóch powodów. Pomyślałam o wszystkich tych ludziach, których widziałam, jak schodzą. Wyglądali zwyczajnie. I gdy sama zaczęłam schodzić, wiedziałam, że w oczach tych, których mijam, też być może tak wyglądam. Jak podobnie mogą wyglądać sukces i porażka... Czasem tylko my wiemy, jaka jest prawda.

– Ej, poczekaj! – zawołał Ryan. Schylił się, żeby poprawić plecak, a mnie zdjął strach. Był niebezpiecznie blisko krawędzi schodów i wyglądało, jakby lada moment mógł się osunąć do wodospadu.

Ale się nie osunął. Wyciągnął rękę i ostrożnie przyklęknął na chwiejnym schodku na jedno kolano. Spojrzał na mnie.

– Lauren, kocham cię. Nikogo w życiu nie kochałem tak jak ciebie. To ty jesteś racją, dla której pojawiłem się

na tym świecie. Nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy, jak z tobą. Nie potrafię bez ciebie żyć. – Mówił to z uśmiechem, ale nagle kąciki ust mu opadły, a wargi zaczęły drżeć. Głos stracił pewność. Zauważyłam, że kilkoro ludzi przed nami się odwróciło. Grupka dzieciaków za Ryanem zatrzymała się i czekała.

– Lauren – przemówił znowu, z trudem panując nad wzruszeniem. – Wyjdiesz za mnie?

Nagle wodospad stał się najpiękniejszym wodospadem, jaki w życiu widziałam. Zbiegłam parę stopni i szepnęłam Ryanowi na ucho: „Tak”. Nie było choćby chwili wahania. Nie istniało nic poza moim absolutnym i nieodwołalnym „tak”. Tak! Tak! Tak! Zwariowałaś? Tak!!!

Porwał mnie w objęcia, a ja zaszlochałam. I nagle poczułam w sobie energię dziesięciu chłopca. Wiedziałam, że jeśli ruszymy dalej, dam radę. Pokonam te schody. Wejdę na tę przeklętą górę!

Ryan odwrócił się i wrzasnął na całe gardło: „Powiedziała: tak!” Zaczęto klaskać. Słyszałam, jak głos Ryana odbija się echem w kanionie. Jakaś kobieta zawołała: „Wszystkiego najlepszego!” Słowo daję, czułam się tak, jakby uczestniczył w tym cały park Yosemite.

Ruszyliśmy naprzód i w godzinę byliśmy na szczycie. Wodospad Vernal Fall był tak wspaniały, że przekraczało to jakąkolwiek wyobraźnię. Posiedzieliśmy tam z Ryanem, pobrodziliśmy w potoku,

pozwalając, by spływająca woda spłukała z nas pot i znużenie, pogapiliśmy się na wiewiórki łuskające orzechy, na śmigające nam nad głową ptaki. Jedząc kanapki, które zabraliśmy na drogę, rozmawialiśmy o przyszłości. O możliwym terminie ślubu, o tym, czy będziemy mieli dzieci, czy kupimy dom. Ustaliliśmy, że ślub może być mniej więcej za rok. Dzieci mogą poczekać do trzydziestki. A o domu pomyślimy, jak przyjdzie pora. Nie wiem, czy to dlatego, że byłam w obłokach, dosłownie czy w przenośni, ale wydawało mi się, że słońce świeci tego dnia jaśniej, że cały świat mam w zasięgu ręki. Przyszłość wydawała się taka łatwa.

Kiedy w końcu ruszyliśmy z powrotem, zrobiliśmy to z ciężkim sercem. To, co mi się wydawało niemożliwe, to, co było niewarte zachodu, zaczęłam odczuwać jako jedyną ważną rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam.

Nieco ponad sześć lat temu

Na dwa miesiące przed ślubem poszliśmy wybrać nowe łóżko. Zamierzaliśmy kupić podwójne, ale nie z tych największych. Było tańsze, a to się liczyło, biorąc pod uwagę, że należało kupić materac, podkładkę sprężynową, ramę i pościel. I było praktyczne. Kiedy jednak weszliśmy do sklepu z materacami, zaczęło nas kusić, żeby pójść na całość. Patrzyliśmy na dwa umieszczone obok siebie materace, zwykły podwójny i

megaduży. Ryan stał za mną, obejmując mnie ramionami. „Weźmy ten wielki” – szepnął mi na ucho. „Będziemy mieli seks jak w hotelu”. Zarumieniona, z trzepoczącym w piersi sercem powiedziałam sprzedawcy, że bierzemy łóżko-gigant.

Sześć lat temu

Ślub wzięliśmy w lipcu. Wesele odbyło się pod gołym niebem, na rozległym hotelowym trawniku tuż pod Los Angeles. Miałam białą suknię. Rzuciłam bukietem. Tańczyliśmy całą noc. Ryan wirował ze mną, tulił, chełpił się mną. Nazajutrz po zakończeniu uroczystości wsiedliśmy do auta i pojechaliśmy w podróż poślubną. Przymierzaliśmy się do takich miejsc jak Kostaryka czy Paryż, a może rejs wzdłuż włoskiej Riwieri, ale prawdę mówiąc, nie dysponowaliśmy takimi pieniędzmi. Postanowiliśmy się nie przejmować. Pojedziemy na Big Sur^[2] i zamieszkamy w drewnianym domku w lesie, gdzie nikt nas nie odnajdzie przez tydzień. Ogień w kominku i piękny widok – innych luksusów tego świata nie potrzebowaliśmy.

Wyjechaliśmy wczesnym rankiem, w nadziei że uda nam się uniknąć korków i sprawnie dotrzeć na miejsce. Zatrzymaliśmy się po drodze na śniadanie, a potem na lunch. Graliśmy w dwadzieścia pytań, bawiłam się radiem, łapiąc kolejno lokalne stacje. Byliśmy zakochani, świeżo po ślubie, upojeni nowością tej sytuacji. Słowa „mąż” i „żona” zdawały się świecić

własnym blaskiem. Fajniej było je wymawiać niż jakiegokolwiek inne znane nam słowa.

Od Big Sur dzieliły nas dwie godziny drogi, gdy strzeliła nam opona. Głośny huk w jednej chwili wyrwał nas z miłego poślubnego oszołomienia. Ryan szybko zjechał na pobocze. Wyskoczyłam pierwsza, Ryan za mną.

– Szlag!

– Spokojnie – powiedziałam. – To nic takiego. Musimy tylko zadzwonić do AAA^[3]. Przyjadą i załatwią sprawę.

– Nie możemy zadzwonić do AAA.

– Ależ możemy. Mam w portfelu wizytówkę. Czeka, zaraz wyjmę.

– Nie – pokręcił głową i zrezygnowanym gestem założył ręce na karku. – Zapomniałem zapłacić składkę.

– O – powiedziałam. Z wyraźnym rozczarowaniem w głosie.

– Przyszło pismo w zeszłym miesiącu. Było napisane, że mamy zapłacić do piętnastego, ale... no wiesz, wesele i w pracy tyle się działo... – Wzruszył ramionami, a w jego głosie pojawiła się nuta obronna. – Po prostu zapomniałem. Jasne? Przykro mi. Zapomniałem.

Nie byłam na niego wściekła. Zwykły błąd. Ale martwiłam się, co teraz z tym zrobimy. Byłam zła, że znalazłam się w takiej sytuacji. Skoro nie można zadzwonić do AAA, to jak wymienić oponę? Nie

byliśmy z tych, co potrafią zrobić to sami. Byliśmy z tych, którzy potrzebują pomocy AAA. Nie podobało mi się to w tej chwili, o nie. Prawdę mówiąc, przyszło mi do głowy, że jesteśmy parą beznadziejnych idiotów na poboczu drogi.

– Nie potrafisz wymienić opony, prawda? – spytałam. Wiedziałam, że nie. Nie powinnam była pytać.

– Nie – odparł. – Nie potrafię. Dzięki, że to podkreśliłaś.

– Szlag by to. – Otoczka uprzejmości w moim głosie zniknęła, ujawniając ukrytą pod nią irytację. – I co teraz?

– A ja wiem? Wypadek, zdarza się.

– Jasne, ale co teraz zrobimy? Stoimy na poboczu, na jakimś zadupiu. Jak się dostaniemy do domku?

– Nie wiem, jasne? Nie wiem, co zrobimy. Chyba jest jakaś zapasowa guma w bagażniku... – powiedział, idąc na tył auta. – Jest – potwierdził, podniósłszy pokrywę. – Ale nie ma klucza. Więc nie wiem, co zrobimy.

– Musimy coś wymyślić.

– Ty też możesz zacząć myśleć. To nie tylko moja sprawa.

– A czy ja powiedziałam, że tylko twoja? Dżizas.

– Tak? To jaki jest twój genialny pomysł?

– Wiesz co? – zaczęłam. – Myślę, że... Dlaczego my się kłócimy? Przecież to nasz miesiąc miodowy.

– Wiem! – zawołał. – Wiem! Masz pojęcie, jaki jestem wkurzony, że to się nam przytrafia podczas miesiąca miodowego? Masz pojęcie, jaki się czuję

winny, że spieprzyłem sprawę, do której się szykujemy od miesiący?

Nie potrafiłam złościć się na Ryana, kiedy on sam był zły na siebie. Zaledwie pojawiało się podejrzenie, że czuje się winny, miękkłam niczym lód na patyku. Częściowo dlatego trudno było się z nim kłócić. Kłóciłam się, dopóki nie przyznał, że zrobił coś nie tak, po czym do rana usiłowałam wszystko odwołać i przekonać go, że jest bez zarzutu.

– Kotku, nie – zaprotestowałam. – Niczego nie spieprzyłeś. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz... – Objęłam go i położyłam mu głowę na piersi, trzymając go za rękę od strony drogi.

– Przepraszam – powiedział szczerze.

– Nie, nie przepraszaj! Składki to nie tylko twoja sprawa. To się mogło zdarzyć każdemu z nas. Tyle spraw mieliśmy na głowie w związku z weselem... No – uniosłam jego podbródek. – Nie pozwolimy, żeby nam to spało nasz wyjazd.

Ryan zaczął się śmiać.

– Nie pozwolimy?

– No pewnie że nie, jasny gwint! Żartujesz sobie? Ja na przykład świetnie się bawię. Jeśli o mnie chodzi, to miesiąc miodowy już się zaczął.

– Naprawdę?

– Jasne! – potwierdziłam z entuzjazmem. – Wiesz co? Zróbmy sobie z tego zabawę. Spróbuję zatrzymać najbliższy samochód, który będzie przejeżdżał, dobra?

Jeśli stanie i będą mieli klucz, i go nam pożyczą, wygrywam. Następny łapiesz ty. Kto zdobędzie klucz, wygrywa.

Ryan znowu się roześmiał. Jak dobrze było słyszeć jego śmiech.

– Żadne z nas nie potrafi posługiwać się kluczem – zauważył.

– No to się nauczymy! Nie święci garnki lepią. Na pewno potrafimy wyugłować.

– Dobra – zgodził się. – No to zaczynaj, kotku.

Ale był bez szans. Na mój sygnał zatrzymał się pierwszy przejeżdżający samochód. Kierowca pożyczył nam klucz, pokazał, jak go używać, a nawet sam pomógł nam zdjąć oponę i założyć nową.

Nie upłynęło wiele czasu, a znowu jechaliśmy przed siebie, bez śladu złości czy rozczarowania. Położyłam mu głowę na ramieniu. Nie było mi wygodnie z wyciągniętą szyją, ale to się nie liczyło. Chciałam być blisko niego, dotykać go.

Nowa opona dowiozła nas bez problemu do miejsca zakwaterowania w Big Sur. Po prawej mieliśmy las, po lewej – opadający do Pacyfiku gigantyczny klif. Niebo nad nami zaczęło właśnie zmieniać kolor z błękitnego na różowopomarańczowy.

Załatwiliśmy formalności, kolejna para zamierzająca spędzić miesiąc miodowy w domkach Big Sur. Recepcjonistka sprawiała wrażenie, jakby już to wszystko widziała. Nie byliśmy dla niej żadną nowością,

dla nas jednak nowe było wszystko.

Pomieszczenie było niewielkie i przytulne, z gazowym kominkiem w ścianie. Kiedy postawiliśmy bagaże, Ryan zażartował, że w domu mamy większe łóżko niż tutaj. Ale wszystko było takie intymne. Był mój. Ja byłam jego. To, co najtrudniejsze, mieliśmy za sobą: wesele, szczegóły, planowanie, krewni. Teraz byliśmy tylko my dwoje, startujący we wspólne życie.

Zanim jeszcze rozpakowaliśmy torby, już byliśmy w łóżku. Ryan położył się na mnie. Czułam jego ciężar, przygniatający mnie do materaca. Wybrałam sobie męskiego, silnego faceta.

– Tak mi przykro, kotku – szepnął. – Jak tylko wrócimy do domu, odnowię członkostwo w AAA. Zresztą po co czekać! Mogę to zrobić od ręki.

– Nie – odszepnęłam. – Nie teraz. Nie chcę, żebyś to robił od ręki. Nie chcę, żebyś kiedykolwiek zmienił pozycję.

– Nie?

– Nie – pokręciłam głową.

– To co w takim razie robimy? – spytał. Zwykle zadawał to pytanie, kiedy chciał się kochać. W ten sposób prowokował mnie, żebym ja to powiedziała. Uwielbiał mnie prowokować, żebym powiedziała to, co on chciał powiedzieć.

– Nie wiem – drażniłam się z nim. – A co powinniśmy robić?

– Wygląda, jakbyś miała jakiś pomysł.

– Nie mam żadnego pomysłu. Mam pusto w głowie
– odparłam z szerokim uśmiechem. Oboje dobrze wiedzieliśmy, o czym milczymy.

– Nie... Myślisz o tym, żeby się ze mną kochać, ty z boku.

Wybuchnęłam śmiechem. Wypełnił maleńkie pomieszczenie, a Ryan pocałował mnie w obojczyk. Najpierw czule, delikatnie, potem zaczął mi lizać szyję. Kiedy dotarł do ucha, nic już nie wydawało się śmieszne.

Trzy lata temu

Właśnie podjęłam nową pracę, nadal w Wydziale Absolwentów, ale w college'u Occidental.

Poleciła mnie na to stanowisko moja dawna koleżanka z pracy, Mila. Pracowałyśmy razem w Wydziale Absolwentów UCLA, dopóki w zeszłym roku nie odeszła do Occidental. Bardzo się cieszyłam, że znów z nią będę pracować, chętnie zmieniałam też miejsce. Bardzo lubiłam UCLA, ale pracowałam tu przez całe moje dorosłe życie. Chciałam nauczyć się funkcjonować w nowym otoczeniu. Chciałam poznać nowych ludzi. A to, że kampus Occidental zapierał dech w piersiach, bynajmniej mi nie przeszkadzało. Jeśli chcesz zmienić scenerię, wybierz piękną.

A ponieważ lepiej teraz zarabiałam, postanowiliśmy z Ryanem znaleźć nowe mieszkanie. Kiedy zobaczyliśmy w Hancock Park dom do wynajęcia,

zatrzymaliśmy się. Jasne, za duży był jak dla nas. I wyglądał na zbyt drogi jak dla nas. I, technicznie rzecz biorąc, nie potrzebowaliśmy drugiej sypialni ani podwórka. Ale nam się spodobał. Ryan wyjął telefon i wybrał widniejący na ogłoszeniu numer.

– Dzień dobry, właśnie stoję przed państwa domem przy Rimpau. Za ile chcieliby państwo go wynająć? – spytał Ryan i w skupieniu słuchał odpowiedzi.

– Aha – mruknął. Nie słyszałam, co mówi jego rozmówca czy rozmówczyni. Ryan, z telefonem przy uchu, przechadzał się tam i z powrotem. – Czy to obejmuje świadczenia?

Strasznie byłam ciekawa, jaką kwotę wymieniono z drugiej strony.

– Nie, na tyle nas nie stać – powiedział Ryan. Przysiadłam na bagażniku samochodu, rozczarowana. – Zauważyłem jednak, że ogłoszenie wisi już od jakiegoś czasu... – Blefował. Nie mógł nic takiego zauważyć. – Więc ciekawy jestem, ile gotowa byłaby pani ustąpić. – Słuchał, po czym spojrzał na mnie z uśmiechem. – Ach, jest otwarte? Możemy wejść z żoną i obejrzeć?

Przeniósł spojrzenie na rynnę.

– Tak, widzę. To obejrzymy i oddzwonię do pani. – Zakończył rozmowę i rzuciliśmy się w stronę wejścia. Ryan wyjął z rynny klucz i otworzył.

Drogi w Los Angeles są z reguły zatłoczone, a domy stoją gęsto jeden przy drugim, ale Hancock Park to dzielnica willowa, o długich, szerokich ulicach i

zabudowaniach cofniętych od chodnika w głąb posesji. Domy pochodzą w większości z lat dwudziestych, i ten także nie stanowił wyjątku. Choć stary, był wspaniały: otynkowany z zewnątrz, w środku łuki, drewniane podłogi, w kuchni kafelki w szachownicę. Pokoje były nieduże, ale dla nas w sam raz. Już widziałam nasze życie w tym miejscu. Widziałam, gdzie postawimy kanapę. Widziałam, jak myję zęby nad przedwojenną porcelanową umywalką.

– Nie możemy sobie na niego pozwolić, prawda?

– Zrobię tak, że będziemy mogli, jeśli chcesz – odparł, stojąc pośrodku pokoju. Był kompletnie pusty i głos przenosił się bez problemu w najdalsze zakątki. – Skłonię właścicielkę, żeby obniżyła cenę na tyle, że będziemy mogli.

– Jak? – spytałam z niedowierzaniem. Nie wiedziałam, jaka była cena wyjściowa, Ryan mi nie powiedział, więc wydawało mi się, że znacznie większa niż kwota, którą w ogóle moglibyśmy brać pod uwagę.

– Po prostu... To chcesz czy nie?

– Jasne, że chcę. Strasznie!

– No to ci załatwię.

Wyszedł frontowymi drzwiami i wrócił na chodnik. Przeszłam się po kuchni, po czym rozsunałam szklane drzwi, prowadzące na tylne podwórko. Było nieduże, ot, kawałek trawnika i parę krzaków. W kącie rosło jednak stare drzewo cytrynowe. Leżało pod nim mnóstwo owoców, przeważnie nadgniłych w miejscu, gdzie

skórka dotykała ziemi. Wyglądało, jakby nikt o drzewo nie dbał. Nikt go nie podlewał ani nie nawoził. Nikt go nie pielęgnował. Podeszłam i sięgnęłam do gałęzi, gdzie wysoko nad głową wisiała jeszcze dojrzała cytryna. Zerwałam ją i powąchałam. Pachniała świeżo i czysto.

Przeszłam na podwórko od frontu, żeby pokazać ją Ryanowi. Wciąż rozmawiał, spacerując tam i z powrotem wzdłuż chodnika. Utkwiłam spojrzenie w jego twarzy, próbując z niej odczytać przebieg rozmowy. Po dłuższej chwili spojrział w niebo i wyrzucił w górę pięść, po czym spojrział na mnie z taką miną, jakby wygrał główny los na loterii.

– Pierwszego września? W porządku, pasuje.

Kiedy skończył, podbiegłam, rzuciłam mu się w ramiona i podskoczywszy, oplotłam go nogami. Roześmiał się.

– Załatwiłeś! – wykrzyknęłam. – Załatwiłeś mi dom!
– Podałam mu cytrynę. – Mamy na podwórku drzewo cytrynowe! Będziemy mogli sobie robić świeżą lemoniadę i ciasto cytrynowe, i... co tylko zechcemy! Jak ci się to udało? – spytałam. – Jak ci się udało ją przekonać, żeby obniżyła cenę?

Ryan pokręcił tylko głową.

– Magik nie zdradza swoich sztuczek.

– Nie, serio! Jak ci się udało?

Uśmiechnął się i milczał. I w sumie wolałam nie wiedzieć. To, co niemożliwe, uczynił możliwym. Nie

musiałam znać jego sztuczki. Dzięki temu mogłam myśleć, że być może i inne niemożliwe rzeczy staną się możliwe. Że jeśli tylko wystarczająco mocno ich zapragnę, będą moje.

Tego wieczoru już wybierałam kolor ścian i myślałam o pakowaniu rzeczy. Tak się zaangażowałam w nasz nowy dom, że nie mogłam znieść widoku obecnego mieszkania.

Siedziałam przy laptopie, urządzając w wyobraźni kolejne wnętrza i robiąc zakupy online, gdy z tyłu podszedł Ryan i mi go zamknął.

– Hej! – zawołałam. – Co robisz! Przecież go używam!

Uśmiechnął się.

– No cóż, wygląda na to, że nie możesz już dziś używać komputera. Co robimy z czasem?

– Hm?

Wiedziałam, o co mu chodzi.

– No wiesz... późno już, chyba trzeba się kłaść. Co będziemy robić, jak już się położymy?

Chciał się kochać. I chciał, żebym ja to powiedziała.

– Ale ja sprawdzałam zasłony! – szaprotestowałam. Naprawdę nie byłam w nastroju.

– Jesteś pewna, że nie wolałabyś robić czegoś innego? Na pewno nie masz innego pomysłu?

Może gdyby sam powiedział, czego chce, zrobiłabym to dla niego. Ale ja nie chciałam. I nie miałam zamiaru udawać, że chcę.

– Dobrze wiem, co chcę robić. Chcę dalej oglądać zasłony.

Ryan westchnął i znowu otworzył mój laptop.

– Jesteś okropna – powiedział ze śmiechem. Pocałował mnie w policzek i wyszedł z pokoju.

– Ale dalej mnie kochasz, prawda? – zawołałam za nim żartem.

Wsadził głowę w drzwi.

– Zawszę będę cię kochał. Aż do śmierci. – I padł na podłogę, udając umarłego: oczy zamknięte, język wywalony.

– Umarłeś? – zadrwiłam.

Milczał. Potrafił leżeć całkiem bez ruchu, aż dziwne. Nawet pierś mu się nie poruszała przy oddychaniu.

Uklękałam przy nim i żartobliwie szturchnęłam parę razy.

– Wygląda na to, że naprawdę nie żyje – powiedziałam na głos. – No cóż – westchnęłam – przynajmniej będę miała więcej czasu, żeby obejrzeć zasłony.

W tym momencie złapał mnie i zaczął łaskotać pod pachami. Wrzeszczałam i śmiałam się niepowstrzymanie. Wreszcie przestał.

– No to co? Na co masz teraz ochotę?

– Przecież ci mówiłam – odparłam z uśmiechem, podnosząc się z podłogi. – Na oglądanie zasłon.

W dniu, kiedy się wprowadziliśmy, wciąż jeszcze rozpakowywałam pudła i myślałam, czy by nie

pomalować sypialni, gdy wszedł Ryan.

– Co byś powiedziała, gdybym powiedział, że powinniśmy sprawić sobie psa?

Cisnęłam z powrotem do pudła trzymane w ręce rzeczy i ruszyłam do przedpokoju po buty.

– Powiedziałabym, że jest niedziela rano, więc być może adopcję będzie można załatwić od ręki. Łap się za kluczyki.

Mówiłam pół żartem, pół serio, ale Ryan mnie nie wstrzymywał. Wsiadliśmy do auta. Wróciliśmy do domu z Butterem, trzyletnim biszkoptowym labradorem. Siusiał i robił kupę gdzie popadnie, przez niego nie spaliśmy całą noc, bo wciąż drapał się w szyję tylną łapą, ale pokochaliśmy go. Nazajutrz zmieniliśmy mu imię na Thumper.

Po paru tygodniach zainstalowaliśmy w drzwiach kłapkę dla psa. Ledwie skończyliśmy, Thumper jak strzała pomknął na tylne podwórko. Patrzyliśmy, jak biega w kółko, w kółko, jak skacze na płot. Wreszcie legł na ziemi i wygrzewał się w słońcu.

Kiedy wreszcie wrócił do domu, siedziałam na podłodze i ćwiczyłam rozciąganie. Przydreptał prosto do mnie i władował mi się na kolana. Dość miał zabawy na dworze. Chciał być blisko mnie.

Płakałam przez pół godziny. Nie mogłam uwierzyć, że można kochać psa aż tak. Kiedy się w końcu pozbierałam, zauważyłam, że na podołku został mi lepki brud. Łapy też miał powalane. Pachniał świeżo i

słodko.

Okazało się, że Thumper lubi się bawić cytrynami.

Dwa lata temu

Pewnego wieczoru prałam pościel i uznałam, że chyba pora, żeby uprać także matę. Ściągnęłam więc wszystko z łóżka i wrzuciłam do pralki.

Kiedy po jakimś czasie wróciłam z czystą matą, pośrodku materaca widniała rozległa plama. Podłużna, szarawa, wyraźnie odcinała się od śnieżnej bieli pokrycia. Materiał w tym miejscu był nieco wytarty.

Położyłam materac na łóżku i pokazałam plamę Ryanowi.

– Dziwne, nie? Skąd się wzięła?

Ryan się przyglądał, a tymczasem do pokoju wśliznął się Thumper. Wskoczył na łóżko i ulokował swoje biszkoptowe futerko dokładnie w miejscu, gdzie widniała plama. Wtulił czarny nos w pazurzaste łapy i patrzył na nas wielkimi ciemnymi oczami. Zagadka wyjaśniona. Winowajca znaleziony.

Spojrzeliliśmy po sobie i wybuchnęliśmy śmiechem. Lubiałam, kiedy Ryan śmiał się tak na całe gardło.

– Czyli że jest taki brudny – powiedział. – Wszystko brudzi w ten sposób.

Thumper zignorował nas. Nie przejmował się, że się z niego śmiejemy. Był wniebowzięty.

Zrzuciliśmy go na krótko z materaca, żeby założyć pościel. Położyliśmy poduszki i koce. Weszliśmy do

łóżka i zaprosiliśmy Thumpera z powrotem.

Wskoczył i ulokował się na swoim miejscu.

Ryan wyłączył światło.

– Mam takie wrażenie – powiedziałam, wskazując na nas oboje z Thumperem pośrodku – że to wszystko, czego nam trzeba do szczęścia. Ty, ja i ten pies. Czy to nie dosyć? Nie mam uczucia, że muszę do tego dodać jeszcze i dziecko. To źle, prawda?

– No wiesz, zawsze mówiliśmy, że dopiero jak będziemy mieli trzydziestkę – odparł Ryan, tak jakby od trzydziestki dzieliły nas całe dekady.

– Tak, wiem. Ale masz dwadzieścia osiem. Ja też niedługo będę miała dwadzieścia osiem. Do trzydziestki zostało nam dwa lata.

Ryan pomyślał chwilę.

– No tak, dwa lata to nie tak znów wiele – przyznał.

– Myślisz, że za dwa lata będziemy gotowi na dzieci? Że już osiągniemy ten etap?

– Nie – powiedział otwarcie. – Chyba nie.

Przez chwilę było cicho, a że światło już wyłączyliśmy, myślałam, że może rozmowa została już zakończona. Zaczęłam po trochu odpływać w sen, kiedy usłyszałam głos Ryana:

– Wiesz, to było tak w przybliżeniu, kiedy mówiliśmy o trzydziestce. Chyba możemy poczekać do trzydziestu dwóch... albo trzydziestu czterech.

– No – przytaknęłam. – Albo trzydziestu sześciu. Wielu ludzi ma dzieci nawet dopiero po czterdziestce.

– Albo w ogóle nie ma – powiedział. Nie znacząco. Ani uszczypliwie. Po prostu stwierdzał fakt. Niektóre pary w ogóle nie mają dzieci. Nie ma w tym nic nagannego. Nie ma nic nagannego w tym, że nie jest się gotowym, że nie wiesz, czy tego chcesz.

– Racja – powiedziałam. – To znaczy, nie musimy się trzymać jakiegoś harmonogramu. Zobaczymy... Nie musi to być trzydziestka, tylko dlatego że tak kiedyś planowaliśmy.

– Racja – powtórzył. Słowo zawisło w powietrzu.

Mieliśmy przed sobą mnóstwo czasu na decyzję. Wciąż byliśmy młodzi. A mimo to nie mogłam się oprzeć czemuś w rodzaju rozczarowania, którego nigdy dotąd nie czułam: poczuciu, że przyszłość może się okazać nie taka, jak ją sobie wyobrażamy.

– Kocham cię – szepnęłam w ciemności.

– Ja ciebie też – odszepnął Ryan i zasnęliśmy, z Thumperem pomiędzy nami.

Półtora roku temu

Czytałam w łóżku jakiś magazyn. Ryan oglądał telewizję i pieścił Thumpera. Była już prawie północ i czułam się zmęczona, ale coś mi nie dawało spokoju. Odłożyłam magazyn.

– Pamiętasz, kiedy się ostatni raz kochaliśmy? – spytałam.

Nie odwrócił wzroku od telewizora, nie wyłączył go ani nie ściszył.

– Nie – powiedział bez namysłu. – A co?

– No... nie sądzisz, że to... no wiesz... niezbyt dobrze?

– Chyba tak – odparł.

– Możesz na chwilę wyłączyć telewizor? – poprosiłam. Z oporem wyłączył i spojrzał na mnie. – Tak myślę, że może powinniśmy nad tym popracować?

– Popracować? Strasznie to brzmi – roześmiał się Ryan.

Też się roześmiałam.

– Nie, ale wiesz... to ważne. Dawniej wciąż się kochaliśmy.

Ryan znowu się roześmiał, ale tym razem nie wiedziałam dlaczego.

– Kiedy? – zadrwił.

– Jak to kiedy? Przez cały czas! Pamiętasz, zdarzało się, że robiliśmy to cztery razy na dzień...

– Na przykład wtedy w pralni, masz na myśli?

– Tak! – przytaknęłam ochoczo, podnosząc się do siadu. Wreszcie reaguje!

– Albo wtedy, jak kochaliśmy się trzy razy w ciągu czterdziestu pięciu minut?

– Tak!

– Albo jak kochaliśmy się na tylnym siedzeniu samochodu zaparkowanego na jakiejś bocznej uliczce w Westwood?

– No dokładnie o tym mówię!

– Kotku, to wszystko było jeszcze na studiach!

Utkwiłam spojrzenie w jego oczach, usiłując sobie przypomnieć, czy to prawda. Naprawdę to wszystko było na studiach? A tak w ogóle, to ile lat upłynęło od tamtego czasu? Siedem.

– Jestem pewna, że i później zdarzały nam się różne szaleństwa.

Ryan pokręcił głową.

– Nie, później nie.

– Ale tak! – upierałam się. W moim głosie wciąż był optymizm.

– Czy to takie ważne? – Złapał pilota i znowu włączył telewizor. – Jesteśmy razem ponad dziesięć lat. To normalne, że nie kochamy się już non stop.

– To może – ciągnęłam, przekrzykując telewizor – może powinniśmy troszkę podkreślić te sprawy? Dodać pieprzu?

– Jasne – powiedział. – To wymyśl coś.

– A żebyś wiedział, że wymyślę! – odparłam półzartem i pstryknęłam wyłącznik lampki.

Ale... wiadomo, jak to bywa. Nie wymyśliłam.

Rok temu

Było to w piątek przed wieczorem, w środku lata. Trwała seria długich, gorących, słonecznych dni. Wiedziałam, że Ryan spotyka się po pracy z kolegami i przez dłuższy czas go nie będzie, więc zamiast wracać wprost do domu, pojechałam do Burbank, do Ikei. Zamierzałam kupić nowy stolik do kawy. Staremu

Thumper obgryzł nogę.

Zanim wybrałam stolik i zapłaciłam, było później, niż myślałam. Na autostradzie trafiłam w korek, który zdawał się ciągnąć kilometrami. Przerzuciłam stacje radiowe w poszukiwaniu jakichś wiadomości, wreszcie któraś poinformowała, że na drodze nr 5 doszło do wypadku z udziałem trzech aut. I już wiedziałam, że to potrwa.

Stałam chyba ze czterdzieści pięć minut. Kiedy wreszcie się ruszyło, mój nastrój znacząco się poprawił. Mknęliśmy autostradą, gdy wtem auta przede mną zaczęły gwałtownie hamować. Znowu stop.

Zwolniłam w samą porę i ja i niemal w tym samym momencie poczułam uderzenie. Cały samochód rzuciło do przodu.

Wpadłam w panikę. Serce gwałtownie przyspieszyło. Spojrzałam we wsteczne lusterko i w zapadającym zmierzchu zobaczyłam wyjeżdżające z tyłu granatowe auto.

Zaczęłam zjeżdżać na pobocze, ale zanim to zrobiłam, samochód, który mnie uderzył, przemknął obok i popruł przed siebie, ginąc mi z oczu.

Zadzwoiłam do Ryana. Nie odebrał.

Wysiadłam i powoli, manewrując pomiędzy samochodami, przeszłam na tył mojego auta.

Cały tył był sprasowany. Stłuczone światła. Wgnieciony bagażnik.

Znowu zadzwoniłam do Ryana. Brak odpowiedzi.

Zdenerwowana i przygnębiona, wsiadłam z powrotem do auta i pojechałam do domu.

Kiedy weszłam, Ryan siedział na kanapie i oglądał telewizję.

– Byłeś tu cały czas? – spytałam.

Odwrócił się od telewizora i spojrzał na mnie.

– Tak, umówiliśmy się na drinka na kiedy indziej.

– Czemu nie odebrałeś, jak do ciebie dzwoniłam?

Dwa razy?

Zrobił nieokreślony gest w stronę telefonu, leżącego na blacie pod przeciwległą ścianą.

– Sorry, pewnie dźwięk musiał być wyłączony. A co?

W końcu położyłam torbę.

– Miałam wypadek. Ktoś mnie walnął i uciekł – powiedziałam. – Ale nic mi nie jest.

– O Boże! – wykrzyknął Ryan i rzucił się do okna, żeby spojrzeć na auto. Powiedziałam, że nic mi nie jest. A jednak przykro mi było, że nie rzucił się, żeby spojrzeć na mnie.

– Samochód jest w marnym stanie – ciągnęłam. – Ale na pewno pokryją to z ubezpieczenia.

Odwrócił się.

– Masz numer samochodu, który w ciebie walnął, tak?

– Nie. Nie zauważyłam. Za szybko to wszystko poszło.

– No to nie pokryją. Skoro nie będziesz potrafiła wskazać sprawcy.

– No cóż, przykro mi – powiedziałam. – Przykro mi, że ktoś mnie potrącił i nie pofatygował się, żeby mi podać swój numer rejestracyjny.

– Mogłaś zanotować, kiedy uciekał. Tylko tyle chciałem powiedzieć.

– No więc nie zanotowałam, okej?

Patrzył na mnie długą chwilę.

– Nawiasem mówiąc, nic mi się nie stało. Nie martw się o mnie. Miałam wypadek samochodowy, ale nie ma się co przejmować, prawda? O ile tylko potrafię załatwić sprawy z ubezpieczeniem.

– Nie to miałem na myśli i dobrze o tym wiesz. Wiem, że nic ci się nie stało. Powiedziałaś to.

To prawda. Powiedziałam. Ale i tak chciałam, żeby spytał. Chciałam, żeby mnie przytulił i żeby mnie żałował. Chciałam, żeby się mną przejmował. A poza tym gdzieś w głębi byłam naprawdę zła, że siedział tu sobie i oglądał film, kiedy ja stałam na poboczu drogi nr 5, nie wiedząc, co robić.

– No dobrze – powiedziałam po chwili milczenia. – Chyba zadzwonię do ubezpieczenia.

– Chcesz, żebym ja zadzwonił?

– Nie, zadzwonię sama, dzięki.

Kobieta, która przyjmowała zgłoszenie, spytała mnie o przebieg wypadku. Opowiedziałam. „Och, biedactwo” – westchnęła. Jestem pewna, że mówią to każdemu, kto miał wypadek. Jestem pewna, że ich uczą, że mają okazywać klientowi troskę i zrozumienie. Ale i

tak było mi miło. Po omówieniu ze mną wszystkich okoliczności orzekła, że towarzystwo ubezpieczeniowe pokryje koszty i tak. Musimy tylko opłacić koszty manipulacyjne.

Skończywszy rozmowę, przeszłam do salonu, do Ryana.

– Pokryją – powiedziałam. Staralam się mówić uprzejmie, ale w gruncie rzeczy chciałam mu dać do zrozumienia, że nie miał racji.

– Super – odparł.

– Będziemy tylko musieli opłacić koszty manipulacyjne.

– Aha. Wygląda na to, że bardziej by się opłaciło mieć numer. Mam nadzieję, że będziemy o tym pamiętać następnym razem.

Musiałam użyć wszystkich sił, żeby mu nie powiedzieć, że jest dupkiem.

Sześć miesięcy temu

Gdzie idziemy na obiad? – spytałam Ryana. Spóźnił się z pracy dwadzieścia minut. Właściwie spóźnił się niemal zawsze. Czasem zadzwonił i mnie uprzedził, czasem nie. Ale tak czy owak, za każdym razem musiałam głodować, dopóki nie wrócił.

– Wszystko mi jedno – odparł. – A na co masz ochotę? Byle nie kuchnia włoska.

Jęknęłam. Nigdy się nie zdarzyło, żeby po prostu wybrał knajpę i już.

– Wietnamska? – upewniłam się już przy drzwiach i sięgnęłam po płaszcz. Chciałam wyjść od razu, jak tylko uzgodnimy dokąd.

– Yhy – burknął. Nie chciał kuchni wietnamskiej.

– Grecka? Tajska? Indyjska?

– Zamówmy po prostu pizzę – powiedział i zdjął marynarkę. Już zdecydował, że zostajemy w domu. Ale ja miałam ochotę wyjść.

– Przed chwilą powiedziałaś, że nie chcesz kuchni włoskiej.

– Przecież to pizza. – Jego ton był leciutko znaczący.

– Pytałaś, na co mam ochotę. Mam ochotę na pizzę.

– Przepraszam, czy zrobiłam coś nie tak? – spytałam. – Wygląda, jakbyś był na mnie zły.

– To samo mogę powiedzieć o tobie.

– Nie – zaprzeczyłam, próbując się wycofać. Być miła. – Po prostu chcę zjeść kolację.

– Sprawdzę menu pizzerii.

– Chwileczkę – zatrzymałam go. – A może byśmy jednak wyszli? Mam wrażenie, że ostatnio wciąż jem to śmieciowe żarcie. Tak bym chciała gdzieś wyjść!

– Dobrze, to zadzwoń do Rachel. Przykro mi. Mam za sobą cały dzień w pracy. Jestem zmęczony. Czy nie mogę tym razem posiedzieć w domu?

– Okej – powiedziałam. – W porządku. Zadzwonię do Rachel.

Wyjęłam telefon i wyszłam na dwór.

– Poszłabyś ze mną na kolację? – spytałam, zanim

jeszcze usłyszałam „halo”.

– Dzisiaj? – spytała Rachel, zdziwiona.

– No – potwierdziłam. – A dlaczego nie? – Prawda, że wczoraj jadłyśmy razem lunch, a trzy dni temu wychodziłyśmy wieczorem na drinka. I co z tego? – Co to, nie mogę spotkać się z własną siostrą trzy razy w ciągu czterech dni?

Rachel się zaśmiała.

– Nie, dobrze wiesz, że ja mogę się z tobą widzieć siedem razy w ciągu czterech dni. Czy osiem. Czy dziewięć. Czy dziesięć. Po prostu... no wiesz, dzisiaj są walentynki. Myślałam, że macie z Ryanem jakieś plany.

Walentynki... Dziś są walentynki! Nie potrafiłam się przyznać, nawet przed własną siostrą, żeśmy o tym z Ryanem zapomnieli.

– Tak, dokładnie... ale wiesz, Ryan musi dziś popracować do późna – skłamałam. – No i pomyślałam, że może byśmy wyszły we dwie, ty i ja.

– Jasne, dla mnie spoko. Jestem jak zwykle bez pary. No to idziemy!

Cztery miesiące temu

Ryan miał w związku z pracą wyjechać na tydzień do San Francisco. Miało go nie być od poniedziałku wieczorem do soboty rano.

Spytał, czy mam ochotę z nim pojechać.

– Nie – powiedziałam bez wahania. – Lepiej zaoszczędzić urlop na lato.

– Jasne – odparł. – W takim razie powiadamiam firmę, że jadę tylko ja.

– W porządku.

Minął tydzień. Zdałam sobie sprawę, że nie mogę się już doczekać, kiedy zostanę sama. Tak jak w dzieciństwie nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie pojedę do Disneylandu.

Po czym, na tydzień przed planowanym terminem, zadzwonił do mnie z pracy i powiedział, że wyjazd odwołano.

– Odwołano?

– Tak. Tak że przez cały następny tydzień będę w domu.

– To cudownie! – zawołałam, licząc w duchu, że mój głos brzmi przekonująco.

– No – powiedział. Jego nie brzmiał.

Trzy miesiące temu

Zgubiłam portmonetkę. Kiedy byliśmy w sklepie, jeszcze ją miałam. Pamiętam, że wyjmowałam kartę, żeby zapłacić za kupioną sukienkę. Ryan był wtedy w dziale męskim.

Potem przeszliśmy się po sklepie, wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy do domu. I tu zdałam sobie sprawę, że portmonetki nie ma.

Przeszukaliśmy salon, kanapę, samochód, podjazd. Wiedziałam, że muszę wrócić do galerii. Przejść się jeszcze raz trasą od sklepu do samochodu.

– Chyba musimy wrócić do sklepu – powiedziałam ze skruchą w głosie. Czułam się winna. Nie pierwszy raz zdarzyło mi się zgubić portmonetkę. Prawdę mówiąc, gubiłam ją mniej więcej raz na pół roku. Tylko trzy razy nie znalazłam.

– Jedź sama – odezwał się Ryan, ruszając w stronę domu. Właśnie skończyliśmy przeszukiwać samochód. – Ja zostanę.

– Nie chcesz pojechać? Moglibyśmy pójść gdzieś na kolację, skoro już będziemy poza domem...

– Nie, zjem coś w domu.

– Beze mnie? – spytałam.

– Co?

– Zamierzasz zjeść kolację beze mnie?

– Dobrze, to zaczekam – powiedział takim tonem, jakby robił mi łaskę.

– Nie, w porządku. Ale wygląda, jakbyś był na mnie zły. Jesteś zły?

Wzruszył ramionami.

Uśmiechnęłam się do niego, próbując go udobruchać.

– Pamiętasz, jak ci się to kiedyś podobało? Że wciąż gubię portmonetkę? Mówiłeś, że mój brak organizacji jest rozbrajający.

Spojrzał na mnie zniecierpliwiony.

– Wiesz, po jedenastu latach to się może znudzić.

I wszedł do domu.

Kiedy wsiadłam do auta i ruszyłam, spod siedzenia

pasażera wyśliznęła się portmonetka.

Ale nie miało to żadnego znaczenia. I tak się rozplakałam.

Sześć tygodni temu

Były to trzydzieste urodziny Ryana. Spędziliśmy wieczór z jego znajomymi, chodząc od pubu do pubu.

Po powrocie do domu Ryan zaczął mnie rozbierać w sypialni. Rozpiął mi bluzkę, rozwiązał włosy, tak żeby opadły mi na ramiona. W wyobraźni mignęło mi, jak się to wszystko odbędzie. Będzie mnie całował w szyję, po czym pociągnie do łóżka. Będzie robił to samo co zawsze, będzie mówił to samo co zawsze. A ja będę się wpatrywać w sufit, licząc minuty. Nie byłam w nastroju. Chciało mi się spać.

Ściągnęłam poły bluzki.

– Nie mam ochoty. – I odwróciłam się, żeby pójść po piżamę.

Westchnął.

– To moje urodziny – powiedział. Wciąż stał blisko, z ręką na mojej bluzce.

– Po prostu nie dziś, przepraszam... głowa mnie boli i jestem strasznie zmęczona. Cały wieczór byliśmy w tych zadymionych pubach i czuję się... niezbyt seksownie.

– Możemy pójść pod prysznic.

– Może jutro – zaproponowałam i włożyłam spodnie od piżamy, kończąc dyskusję. – Może tak być?

Jutro?

– Lauren, to moje urodziny – powiedział. Jego ton nie był ani figlarny, ani błagalny. Dawał mi do zrozumienia, że oczekuje, iż zmienię decyzję. I nagle mnie to rozwścieczyło.

– I co z tego? Jestem twoją własnością czy co?

W zeszłym tygodniu

Ryan spytał mnie, gdzie jest jego burger, który został z poprzedniego wieczoru.

– Dałam go Thumperowi na obiad – odparłam. – Dodałam do psiej karmy.

– Zamierzałem go zjeść – powiedział, patrząc na mnie z taką miną, jakbym mu coś ukradła.

– Przepraszam – zaśmiałam się, bo tak strasznie serio to potraktował. – Ale był dość paskudny – dodałam. – Nie sądzę, żebyś go chciał.

– Tak jakbyś miała jakieś pojęcie o tym, czego ja chcę.

Złapał butelkę wody i wyszedł.

W tej chwili

Powrót ze Stadionu Dodgersów jest zimny i samotny, choć na dworze jest dwadzieścia sześć stopni, a w aucie siedzi nas dwoje. Przez chwilę delikatnie ignorujemy się nawzajem za pomocą radia, ale w końcu staje się jasne, że nie ma w tym nic delikatnego.

Kiedy zatrzymujemy się na podjeździe, czuję ulgę, że nie będę już musiała siedzieć koło niego. Jeszcze

zanim dojdziemy do drzwi, dobiega z za nich skomlenie Thumpera. Bez problemu siedzi w domu sam, ale wystarczy, że usłyszy samochód – a słowo daję, że słyszy go z odległości paru przecznic – i momentalnie popada we współzależnienie. Gdy wie, że jesteśmy, zapomina, że potrafi bez nas żyć.

Ryan wkłada klucz do zamka. Nie przekręca go jednak. Odwraca się do mnie.

– Przepraszam – mówi.

– Nie ma sprawy, ja też – odpowiadam. Ale tak naprawdę nie wiem, za co przepraszam. Mam wrażenie, że od miesiący czuję się winna bez powodu. Co ja robię nie tak? Co się z nami dzieje? Czytałam książki na ten temat. Czytałam artykuły o małżeńskiej rutynie i o tym, jak ożywić związek, które zamieszczają wszystkie kobiece czasopisma. Nie ma w nich nic konkretnego. Nie dają żadnych odpowiedzi.

Ryan otwiera drzwi i Thumper rzuca się na nas. Jego żywiołowa radość tym bardziej podkreśla naszą niedolę. Dlaczego nie możemy być tacy jak on? Dlaczego i mnie nie można zadowolić równie łatwo? Dlaczego Ryan nie potrafi tak się cieszyć na mój widok?

– Idę pod prysznic – mówi Ryan.

Nie odpowiadam. Wychodzi i idzie do łazienki, a ja siadam na podłodze i głaszczę Thumpera. Jego gładka sierść jest kojąca w dotyku. Liże mnie po twarzy. Wtula mokry nos w moje ucho. Przez chwilę czuję się dobrze.

– Jasny gwint! – dobiega z łazienki krzyk Ryana.

Zamykam na chwilę oczy. Zbieram siły.

– Co się stało? – wołam.

– Nie ma gorącej wody, kurwa mać! Dzwoniłaś do gospodarza?

– Wydawało mi się, że to ty zwykle dzwonisz!

– Dlaczego to zawsze ja muszę robić takie rzeczy? Dlaczego to zawsze jest na mojej głowie? – Otwiera łazienkę i staje w drzwiach, okręcony ręcznikiem.

– Nie wiem – odpowiadam. – Po prostu zawsze to robisz. Więc myślałam, że i tym razem załatwisz to ty. Przykro mi. – Z mojego tonu jasno wynika, że wcale nie jest mi przykro.

– Czemu ty nigdy nie zrobisz tego, co mówisz, cholera jasna? Czy to tak trudno wziąć do ręki telefon i zadzwonić do gospodarza?

– Nie mówiłam, że to zrobię. Jeśli ci na tym zależało, trzeba było mi powiedzieć. Nie czytam w twoich myślach.

– Okej, okej. Jasne. Moja wina. Myślałem, że to oczywiste, że jak nie ma ciepłej wody, to ktoś powinien zadzwonić do gospodarza.

– Tak jest, to oczywiste. I to normalne, że zakładałam, że jak zwykle zrobisz to ty. Bo to ty zawsze załatwiasz takie rzeczy. Tak samo jak ja zawsze piorę wszystko, co jest do uprania w tym domu, cholera jasna.

– Ach, jakież to wzniosłe. Tylko dlatego, że pierzesz, chodzisz z aureolą nad głową?

– Proszę bardzo, skoro to nie ma znaczenia, kto

pierze, to pierz sobie sam. Wiesz chociaż, jak działa pralka?

Ryan parska śmiechem. Nie, parska szyderstwem.

– Wiesz? – nalegam. – Nie żartuję. Założę się o sto baksów, że nie wiesz, jak działa pralka.

– Na pewno bym sobie poradził. Nie jestem takim kompletnym debilem, jakiego ze mnie robisz.

– Nie robię z ciebie żadnego debila.

– Ależ tak, Lauren. Robisz. Zachowujesz się, jakbyś była ideałem, a przyszło ci żyć z głupkiem, który nic nie potrafi i o wszystko musi dzwonić do gospodarza. Wiesz co? Naprawię tę wodę. Skoro ty robisz tak skomplikowane, dostępne tylko geniuszom rzeczy jak pranie.

I ze złością zaczyna wrzucać na siebie ubranie.

– Gdzie ty idziesz? – pytam.

– Sprawdzić, czy potrafię naprawić to gównu! – I z taką samą złością i pośpiechem wkłada buty.

– Teraz? Już prawie północ. Powinieneś tu zostać i ze mną pogadać.

– Zostawmy to, Lauren – mówi i idzie do drzwi. Kładzie rękę na klamce, gotów do wyjścia. Thumper leży na moich stopach, kompletnie nieświadomy, co tu się dzieje.

– Nie możemy tego zostawić, Ryan. Nie zamierzam tego tak zostawić. Zostawiamy to już od miesięcy.

To właśnie jest najbardziej niepokojące w tym wszystkim. My się nie kłócimy o wodę ani o stadionowy

parking. Nie kłócimy się o pieniądze ani o zazdrość, ani o sposób porozumiewania się. Kłócimy się, bo nie umiemy być szczęśliwi. Kłócimy się, bo nie jesteśmy szczęśliwi. Kłócimy się, bo już nie umiemy się nawzajem uszczęśliwiać. I myślę, że właśnie to nas tak wkurza, w każdym razie mogę to powiedzieć o sobie.

– Musimy się z tym uporać, Ryan. Już trzy tygodnie na siebie warczymy. Przez cały miesiąc może jeden wieczór spędziliśmy w dobrym nastroju. Reszta była taka jak dziś.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – odpowiada Ryan, gestykułując gwałtownie. Kiedy jest zły, znika jego zwykle opanowanie i pewność siebie, staje się popędliwy i porywczy. – Myślisz, że nie wiem, że jestem do niczego?

– Do niczego? – powtarzam. – Do niczego? – Nie mogę się spierać z tym, co mówi. Chodzi o to, jak to mówi. Mówi to tak, jakby to była moja wina, że jest do niczego. Jakby to wszystko było przeze mnie.

– Nie mówię nic, czego byś sama nie powiedziała. Uspokój się.

– Uspokój się?

– Przestań po mnie powtarzać!

– To postaraj się wyrażać jaśniej!

Wzdycha i przykłada dłoń do czoła, jakby to był daszek bejsbolówki. Pociera skronie. Nie wiem, kiedy on się zrobił taki dramatyczny. Jakoś niepostrzeżenie ze spokojnego, pozbieranego człowieka zrobił się ten tu

facet, który głośno wzdycha i pociera skronie, jakby był Jezusem na krzyżu. Tak jakby świat wokół był czymś, co mu się przydarza, a nie był przez niego współtworzony. Jestem pewna, że chce coś powiedzieć, ale nie mówi. Zaczyna i daje spokój.

Nie wiem, co jest we mnie takiego, że naciskam, żeby powiedział każdą, najmniejszą nawet rzecz, którą ma w głowie. Ale kiedy się tak kłócimy, to nie mogę patrzeć, jak gryzie się w język. Wiecie dlaczego? Ja wiem. Dlatego, że kiedy naprawdę nie chcesz czegoś powiedzieć, to w ogóle nie zaczynasz. Ale on inaczej. On się kryguje, udając, że nie powie, ale jest jasne, że koniec końców powie.

– Wyduś to z siebie – mówię.

– Nie... Nie warto.

– Najwyraźniej warto, bo ledwie już możesz wytrzymać. Dawaj. Nie będę czekać, cholera, całą noc.

– Może byś tak troszkę zmniejszyła nagłośnienie, co?

Kręcę głową.

– Ale z ciebie czasem fiut.

– A z ciebie suka.

– Słucham?

– Oczywiście, Jej Królewska Mość obrażona.

– Mam się nie czuć obrażona, skoro nazwałeś mnie suką?

– A ty mnie fiutem!

– To nie to samo. To wielka różnica.

– Lauren, dajmy sobie z tym spokój, okej? Przepraszam, że nazwałem cię suką. Wyobraź sobie, że to było inne słowo, takie, które by ci się podobało, obojętne jakie. Nie o to chodzi. Chodzi o to, że mam tego potąd. Mam potąd tego, że najmniejszy drobiazg urasta do rozmiarów katastrofy. Nawet na mecz Dodgersów nie mogę, cholera jasna, pójść normalnie, jak człowiek, bo od początku do końca siedzisz z taką miną, jakbym ci zabił matkę.

Thumper podnosi się z moich stóp i drepcze w stronę Ryana. Staram się nie myśleć, że wybiera pomiędzy stronami.

– Jeśli nie chcesz, żebym była zła, to przestań mi robić na złość!

– Ale ja ci wcale nie robię na złość! W tym cała rzecz.

– Jasne. Kupujesz bilety na mecz Dodgersów, chociaż ci mówiłam, że nie mam ochoty iść. Nie dlatego, żeby mi zrobić na złość, tylko... właściwie dlaczego? – Ruszam do stołu, żeby móc patrzeć wprost na niego, ale nie kontroluję siły i szybkości moich ruchów i walę biodrem w brzeg stołu tak mocno, że o mało nie przewracam stojącego pośrodku wazonu. Chwieje się lekko. Przytrzymuję go.

– Bo chcę obejrzeć mecz i mało mnie, cholera jasna, obchodzi, czy pójdziesz, czy nie! Kupiłem dodatkowy bilet wyłącznie z uprzejmości.

Zakładam ręce na piersiach. Czuję, jak je zakładam.

Wiem, że to fatalny język ciała. Wiem, że to pogarsza sprawę. A jednak to w tej chwili jedyna właściwa poza.

– Z uprzejmości? Czyli chciałeś pójść sam w piątek wieczorem na mecz? Nie chciałeś, żebym z tobą poszła?

– Tak, Lauren. – Głos Ryana jest teraz idealnie spokojny. – Nie chciałem, żebyś ze mną poszła. Już od miesięcy nie chcę, żebyś ze mną gdziekolwiek chodziła.

Mówi prawdę. Nie mówi tego, żeby mnie zranić. Widzę to w jego oczach, w jego twarzy, w złagodzonej linii ust, gdy to powiedział. Nie przejmuję się, czy mnie zranił. Mówi, bo taka jest prawda.

Czasem zachowujemy się tak czy inaczej, bo jesteśmy wściekli albo przygnębieni, albo chcemy się zemścić. I może to być raniące. Ale najbardziej raniące jest, kiedy ktoś coś robi z obojętności. Nie przejmuję się tobą, tak jak kiedyś na studiach. Nie przejmuję się tobą, tak jak obiecał, kiedy się pobieraliście. W ogóle się tobą nie przejmuję.

A ponieważ w jakimś najdalszym zakątku serca jeszcze się odrobinę przejmuję i ponieważ jego nieprzejmowanie się wprawia we wściekłość tę małą cząstkę mnie, która się jeszcze przejmuję, robię coś, czego nigdy dotąd nie zrobiłam. Nie sądziłam, że kiedykolwiek jestem w stanie to zrobić. I nawet gdy to robię, nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

Podnoszę wazon. Ciężki, szklany wazon. I ciskam nim w drzwi za Ryanem. Razem z kwiatami i wszystkim.

Patrzę, jak Ryan się uchyla i przykuca, osłaniając

głową rękami. Patrzę, jak Thumper zrywa się, zaalarmowany. Patrzę, jak woda chlusta w górę, łodygi i płatki rozlatują się po pokoju, a szkło rozpryskuje się na tysiąc kawałeczków, tak że nawet nie wiem, czy pamiętam dotychczasowy kształt.

A kiedy wszystko leży już na podłodze, kiedy Ryan patrzy na mnie ze zdumieniem, kiedy Thumper ucieka do drugiego pokoju, ta maleńka cząstka mnie, która się przejmowała, znika. Teraz i ja się nie przejmuję. Wredne uczucie. Ale w konfrontacji z nim jakiegokolwiek przejmowanie się nie ma szans.

Przez chwilę Ryan wpatruje się we mnie bez słowa. Po chwili łapie klucze ze stołu i przewracając po drodze szklanę z wodą, już w butach, wybiega z domu.

Nie wiem, co sobie myśli. Nie wiem, dokąd idzie. Nie wiem, na jak długo. Jedyne, co wiem, to że być może jest to koniec mojego małżeństwa. Być może jest to koniec czegoś, co zdawało się nie mieć końca.

Po wyjściu Ryana wpatruję się przez jakiś czas w drzwi. Nie mogę uwierzyć, że cisnęłam w nie wazonem. Nie mogę uwierzyć, że ta kupa odłamków szkła na podłodze to moja robota. Nie zamierzałam zrobić mu krzywdy. Nie cisnęłam wazonem w niego. A mimo to zdumiewa mnie gwałtowność tego czynu. Nie wiedziałam, że jestem do tego zdolna.

W końcu wstaję i idę do kuchni po szufelkę i szczotkę. Wkładam buty i zaczynam zamiatać. W tym czasie wbiega do pokoju Thumper i muszę mu

powiedzieć, żeby został tam, gdzie jest. Posłusznie siada i mnie obserwuje. Brzęk odłamków szkła wpadających do kosza jest niemal kojący. Szust. Szust. Brzdęk.

Biorę kilka papierowych ręczników i ścieram nimi podłogę, żeby usunąć wodę i drobiny szkła, po czym włączam odkurzacz. Nie mam ochoty kończyć odkurzania, bo nie wiem, co robić, jak skończyć. Nie wiem, co robić ze sobą.

Odkładam wszystko na miejsce i kładę się na łóżku. Przypomina mi się, jak je kupowaliśmy i dlaczegośmy je kupili.

Co się z nami stało?

W mojej głowie odzywa się jakiś głos, powtarzający jasno i niedwuznacznie: „Już go nie kocham”. Tak, właśnie tak: „Już go nie kocham”. A kto wie, czy nie gorsze jest to, że w głębi duszy wiem, że on też mnie już nie kocha.

Jesteśmy dwojgiem ludzi, którzy się kiedyś kochali.

Jakie to było piękne.

Jakie to jest bolesne.

Ryan musiał wrócić późno w nocy albo wcześniej rano. Nie wiem. Nie obudziłam się, kiedy przyszedł.

Kiedy się budzę, leży po drugiej stronie łóżka, a Thumper pomiędzy nami. Ryan leży plecami do mnie i chrapie. Przeraża mnie, że w tej sytuacji jesteśmy w stanie spać. Wspominam, jak to bywało dawniej, kiedy po kłótni nie spaliśmy do rana. Wzburzenie i gniew nie

dawały nam zasnąć, nie potrafiliśmy nad nimi zapanować. A teraz jesteśmy na krawędzi katastrofy, a on... chrapie.

Czekam cierpliwie, aż się obudzi. Kiedy w końcu otwiera oczy, nie odzywa się do mnie ani słowem. Wstaje i idzie do łazienki. Przechodzi do kuchni, zaparza sobie kawę i wraca z kubkiem do łóżka. Jest tuż koło mnie, ale nie ze mną. Jesteśmy oboje w łóżku, ale nie jest to łóżko wspólne.

– Już się nie kochamy – mówię. Sam dźwięk tych słów sprawia, że cierpnę i czuję uderzenie adrenaliny. Zaczynam się trząść.

Ryan wpatruje się we mnie, wyraźnie w szoku, po czym chowa twarz w dłoniach, zanurzając palce we włosach. Jest przystojnym mężczyzną. Kiedy ja przestałam to widzieć?

Kiedy się pobieraliśmy, w dniu ślubu był niemal ładniejszy ode mnie. Nasze ślubne zdjęcia, na których ma promienne spojrzenie, zmarszczki w kącikach oczu i chłopięcy uśmiech, są piękne w dużym stopniu dlatego, że on był piękny. Ale już mi się nie wydaje wyjątkowy.

– Wolałbym, żebyś tego nie powiedziała – odzywa się Ryan, nie podnosząc głowy. Wspiera ją na dłoniach i wpatruje się nieruchomo w koc.

– Dlaczego? – pytam.

Nagle strasznie mi zależy, żeby się dowiedzieć, o czym myśli. Może pamięta coś, czego ja nie pamiętam? Może uważa, że nie mam racji? Bo być może potrafi

mnie przekonać? Może ja naprawdę nie mam racji? Chciałabym nie mieć racji. Cudownie byłoby nie mieć racji. Tarzałabym się w moim braku racji, pławiłabym się w nim. Wdychałabym go, wypełniła nim płuca, pozwoliła, żeby objął całe moje ciało, i wykrzyczałabym go, wypłakała łzami ciężkimi od ulgi, które obmyłyby mnie jak chrzest.

– Bo teraz nie wiem, co dalej. Nie wiem, co teraz zrobić.

W końcu podnosi głowę i patrzy na mnie. Oczy ma przekrwione. Włosy, kiedy wyjął z nich palce, opadają mu bezładnie, jeden kosmyk w tę stronę, drugi w tę. Już-już mam powiedzieć: „Co masz na myśli?”, ale mówię co innego:

– Od jak dawna wiesz?

Jego twarz jakby opada. To wyraz nie tyle cierpienia, ile raczej martwoty.

– Czy to ważne? – pyta. Szczerze mówiąc, sama nie wiem, mimo to naciskam.

– Ja zdałam sobie sprawę dopiero co. Ciekawa jestem, od jak dawna ty wiesz, że mnie nie kochasz.

– Nie wiem. Może parę tygodni – mówi, znowu wpatrując się w koc. Jak to dobrze, że jest kolorowy, w pasy. Przyciąga jego uwagę. Może nie spojrzy na mnie.

– Na przykład miesiąc?

– No – wzrusza ramionami. – Jakoś tak.

– Ale od kiedy? – nalegam. Nie wiem dlaczego, ale wstaję. Muszę stać. Moje ciało musi stać.

– Przecież powiedziałem. – Nie rusza się z łóżka.

– Nie – mówię. Opieram się teraz o ścianę. – Mam na myśli... co to takiego było, co sprawiło, że zdałeś sobie sprawę?

– A co to takiego było, co sprawiło, że ty zdałeś sobie sprawę? – odpowiada pytaniem. Z kocem nie wyszło: podnosi na mnie wzrok. Wzdrygam się.

– Nie wiem. Tak mi jakoś przyszło do głowy. W jednej chwili nie wiedziałam, o co tu chodzi, i nagle w następnej... wiedziałam.

– Ze mną było tak samo.

– Ale na przykład jaki to był dzień? Co wtedy robiliśmy? – Nie wiem, dlaczego tak drążę. Po prostu mam takie wrażenie, jakbym o czymś nie wiedziała... o tym, jak to wygląda z jego strony. – Chcę po prostu złapać jakiś kontekst.

– Zostawmy to, dobrze? – Znowu wpatruje się w pasy.

– Nie możesz powiedzieć szczerze? Próbujemy oczyścić atmosferę. Wyrzuć to z siebie. Przecież to w końcu i tak wyjdzie na jaw, nawet najgorsze. Wyrzuć to z siebie!

– Nie jestem zakochany w innej, jeśli o to ci chodzi. Nie, nie o to mi chodzi.

– Ale po prostu – ciągnie – zauważyłem, że patrzę na nie inaczej niż dotąd.

– Na kobiety?

– Tak.

Pozwalam, by te słowa zapadły mi w świadomość. Thumper podnosi się z łóżka i podchodzi do mnie. Czy wyczuwa, co tu się dzieje? Siada przy drzwiach koło moich nóg i patrzy na Ryana. Serce ściska mi nagły ból. Wszystko to może skończyć się tak, że stracę Thumpera.

– A co to znaczy? – pytam cicho, łagodnie. Mówiąc głośno, zmieniłam nasz los. Nadałam bieg sprawie. Raz na zawsze wyrwałam nas z bezpiecznego więzienia. Rozwiązę ten problem. Mam mnóstwo innych problemów i wiem, że to przysporzy kolejnych, ale nie będzie wśród nich problemu życia na co dzień z kimś, kogo nie lubię. Nigdy więcej.

Ryan podchodzi i mnie obejmuje. Chciałabym, żeby to było przyjemniejsze, niż jest. Głos ma równie spokojny i cichy jak ja.

– To nie może być koniec, Lauren. To tylko trudny okres czy coś.

Podnoszę na niego wzrok. Wreszcie jestem gotowa powiedzieć wszystko, co noszę w sobie od tak dawna. Do końca.

– Ale ja nie mogę cię znieść.

Co za ulga móc to z siebie wyrzucić. W całym ciele, w trzewiach. A jednak zaledwie te słowa wyszły z moich ust, już wolałabym, żebym ich nigdy nie wypowiedziała. O, gdybym była człowiekiem, który nie musi wypowiedzieć tego, co go boli. Gdybym była człowiekiem, który potrafi zatrzymać to dla siebie i oszczędzić uczucia innych ludzi. Ale nie jestem takim

człowiekiem. Mój gniew musi się ujawnić. Musi ująć na zewnątrz i odbić się od ścian, i zawibrować w uszach osoby, którą zrani najbardziej.

Osuwamy się z Ryanem na podłogę. Wspieramy się plecami o ścianę, zginamy kolana i oplatamy je rękami. Nasza pozycja jest identyczna. Dość czasu spędziliśmy razem, żeby działać synchronicznie, nawet jeśli tego nie chcemy. Thumper kładzie się koło mnie i grzeje mnie brzuchem w stopy. Chciałabym kochać Ryana tak, jak kocham Thumpera. Chciałabym go kochać i chronić, i wierzyć w niego, i być gotowa rzucić się za nim pod autobus, tak samo jak rzuciłabym się za moim psem. Ale to dwa zupełnie różne rodzaje miłości, prawda? Nawet nie powinny się tak samo nazywać. Ten, który łączył nas z Ryanem, się wyczerpał.

W końcu odzywa się Ryan.

– Nie mam pojęcia, co dalej.

Nadal siedzi obok mnie, teraz zgarbiony. Jego sylwetka wyraża klęskę, oczy utkwił nieruchomo w jakimś niesfornym gwoździu wystającym z podłogi.

– Ja też – mówię. Patrzę na niego i przypomina mi się, jak zawsze miękłam, czując jego zapach. Siedzi tak blisko, że i teraz mogę spróbować go powąchać. Może uda mi się znowu poczuć tę błogość? Może jeśli zrobię wdech odpowiednio głęboki, to jego woń wpłynie przez nozdrza do serca? Może znowu mnie zainfekuje jak dawniej? Może znowu będę szczęśliwa? Wciągam powietrze... Nie. Nie działa. Nie czuję nic.

Ryan zaczyna się śmiać. Potrafi się śmiać, naprawdę.

– Nie wiem, dlaczego się śmieję – mówi, odzyskując wreszcie panowanie nad sobą. – To najsmutniejsza chwila mojego życia.

Głos mu się załamuje, w oczach pojawiają się łzy i być może po raz pierwszy od roku patrzy na mnie naprawdę. Powtarza, powoli i z naciskiem:

– To najsmutniejsza chwila mojego życia.

Przez moment myślę, że może razem zapłaczemy. Że to może być początek naszego zdrowienia. Ale gdy już już mam mu położyć głowę na ramieniu, on wstaje.

– Zadzwońię do gospodarza – mówi. – Potrzebujemy ciepłej wody.

Napisałam: „poradnictwo małżeńskie”, „zamieszkanie osobno” i „małżeństwo otwarte” – mówię.

Siedzimy przy stole w jadalni. Przedemną leży kartka papieru. I przed Ryanem leży kartka papieru. Nie jestem otwarta na pomysł małżeństwa otwartego. Napisałam to, żeby coś napisać. Wiem jednak na pewno, że małżeństwo otwarte nie jest rozwiązaniem.

– Małżeństwo otwarte? – pyta Ryan, zaintrygowany.

– Zignoruj to ostatnie. Po prostu... po prostu nie miałam innych pomysłów.

– Pomysł nie jest zły – mówi Ryan, a ja w tej chwili czuję, że go nienawidzę. Jasne. Z góry było wiadomo, że dla niego nie będzie zły. Z góry było wiadomo, że się na

niego rzuci. Nie zawiodłam się: nie zwrócił uwagi na „poradnictwo małżeńskie”, tylko od razu rzucił się na szansę, że może przelecieć inną.

– Lepiej powiedz, co ty napisałeś – rzucam zirytowana.

– Dobra. – Patrzy na swoją kartkę. – Napisałem: „znowu umawiać się na randki” i „próbna separacja”.

– Nie wiem, co to znaczy.

– No więc pierwsze to coś w rodzaju twojego „zamieszkania osobno”. Po prostu spróbowalibyśmy, czy jakbyśmy mieszkali w osobnych mieszkaniach i umówili się parę razy na randkę z kimś innym, i rzadziej się widywali... no wiesz, może by to zadziałało. Może by znikło napięcie. Może wtedy milej byśmy na siebie patrzyli.

– No dobrze, a to drugie?

– Na jakiś czas się rozstajemy.

– Znaczy że co, kończymy ze sobą?

– No wiesz, wyobrażam to sobie tak – zaczyna. – Jedno z nas się wyprowadza, ja albo ty, i zobaczylibyśmy, jak sobie radzimy w pojedynkę.

– A potem?

– Nie wiem. Może jakbyśmy pomieszkali przez jakiś czas osobno, to bylibyśmy... no wiesz, bardziej chętni, żeby spróbować jeszcze raz.

– A jak długo by to miało trwać? Parę miesięcy?

– Myślałem, że może dłużej.

– Na przykład?

– Jezu, nie wiem, Lauren! – Ryan traci cierpliwość. Upłynęło parę tygodni, odkąd powiedzieliśmy sobie, że już się nie kochamy. Przez cały czas chodzimy wokół siebie na paluszkach. Teraz próbujemy odkleić plaster z rany. Bardzo szeroki i lepki plaster.

– Pytam, bo chcę zrozumieć twoją propozycję – mówię. – Nie musisz się zachowywać, jakby to była hiszpańska inkwizycja.

– Na przykład rok. Pomieszkalibyśmy osobno przez rok.

– I w tym czasie sypialibyśmy z innymi?

– No tak. – Ryan patrzy na mnie jak na idiotkę. – Myślę, że o to chodzi.

Już wcześniej dał mi niedwuznacznie do zrozumienia, że nie myśli już o mnie tak, jak o innych kobietach. To boli. Ale gdy próbuję dociec, dlaczego boli, nie znajduję odpowiedzi. W gruncie rzeczy ja też już o nim nie myślę w ten sposób.

– Porozmawiajmy o tym później – mówię i wstaję od stołu.

– Jestem gotów rozmawiać o tym teraz. Nie odchodź.

– Uprzejmie cię proszę – mówię powoli i znacząco – porozmawiajmy o tym później, jeżeli można.

– W porządku. – Ryan wstaje i ciska swój papier gdzieś w powietrze. – Wychodzę.

Nie pytam, dokąd idzie. Wychodzi teraz dostatecznie często, żebym wiedziała, że odpowiedź będzie niewinna. Nienawidzę go za to, że jest taki przewidywalny. Idzie do

baru na drinka. Idzie do kina. Zadzwońi do kolegów i zagrają w kosza. Wszystko mi jedno. Wróci, kiedy uzna za stosowne, a jak wróci, powietrze w domu tak się zagęści, że trudno będzie oddychać.

Parę godzin leżę na kanapie, rozmyślając, jak by to było – rok bez męża. Jest to i wyzwalające, i przerażające zarazem. Wyobrażam sobie, że śpi z inną kobietą, ale ten obraz szybko wypiera inny: obraz mnie, śpiącej z innym mężczyzną. Nie wiem, kim jest, ale czuję na sobie jego ręce. Czuję na ustach jego usta. Wyobrażam sobie, jak na mnie patrzy: jakbym była jedyna na świecie. Wyobrażam sobie jego szczupłe ciało i ciemne włosy. Wyobrażam sobie jego niski głos. Wyobrażam sobie, że jestem zdenerwowana, zdenerwowana w taki sposób, w jaki nie byłam od lat.

Kiedy Ryan w końcu wraca, mówię mu, że chyba ma rację.

Powinniśmy się rozstać na rok.

Ryan głośno wzdycha i opadają mu ramiona. Usiłuje coś powiedzieć, ale głos go zawodzi. Podchodzę do niego i go obejmuję. Zaczynam płakać. W końcu, raz jeszcze, jesteśmy w jednej drużynie. Przez chwilę pławimy się w tym. Pozwalamy sobie odczuć ulgę, jaką sobie nawzajem dajemy. Bo koniec końców jest to właśnie to uczucie: ogromnej ulgi. Jak zimna woda w czasie upału.

Kiedy rozluźniamy uścisk, Ryan proponuje, że się wyprowadzi. Mogę zatrzymać dom na ten rok. Godzę się

bez dyskusji. Daje mi prezent. Ja go przyjmuję. W milczeniu siedzimy obok siebie na sofie, trzymając się za ręce. Nie patrzymy na siebie. Mam wrażenie, że trwa to całe godziny. Jak dobrze jest zaprzestać walki.

Po czym dociera do nas, że każde z nas sądzi, że to ono weźmie Thumpera.

Kłócimy się o psa do piątej rano.

Większość rzeczy Ryana jest spakowanych. W salonie i w sypialni wszędzie stoją pudła z napisami typu: „Książki” czy „Przybory łazienkowe”, nabazgranymi czarnym mazakiem. Wóz do przeprowadzek jest już w drodze. Ryan w sypialni pakuje buty. Słyszę, jak z łomotem trafiają do pudła kolejne pary.

Łapię parę moich rzeczy i szykuję się do wyjścia. Nie mogę tu zostać. Nie mogę patrzeć, jak to się odbywa. Jestem zadowolona, że się wyprowadza. Naprawdę. Wciąż to sobie powtarzam. Wciąż myślę o czekającej mnie wolności. Zdaję sobie jednak sprawę, że właściwie nie wiem, co to znaczy: wolność. Nic nie wiem o praktycznych implikacjach tego, co robimy. Omówiliśmy tylko rzeczy podstawowe, dotyczące przygotowań. Nie rozmawialiśmy o tym, jak będziemy to odczuwać, jak będzie wyglądać nasze nowe życie. Trzymaliśmy się liczb i cyfr. Mówiliśmy o tym, jak podzielić konto bankowe. Jak to zrobić, żeby było nas stać na dwa czynsze. Jak to zrobić, żeby Ryan nadal był

na moim ubezpieczeniu. Czy powinniśmy załatwić sprawę od strony prawnej. „Nie będziemy się tym martwić na zapas” – powiedział Ryan, a ja się z nim zgodziłam. I dla mnie tak jest OK. Nie są mi potrzebne żadne papiery.

Wczoraj wieczorem powiedziałam Ryanowi, że nie chcę być w domu, jak będzie się wyprawdzał. Nie chcę na to patrzeć. Zgodził się, że może i lepiej będzie, jeśli na weekend wyjdę i pozostawię mu swobodę, tak żeby załatwił to po swojemu. „Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to żebyś mnie krytykowała, że pakuję szczoteczkę do zębów nie tak jak trzeba” – powiedział. Jego ton był jowialny, ale to, co mówił, było szczerze. Czułam nurtujące pod słowami napięcie i niechęć. Jego uśmiech był uśmiechem sprzedawcy, który udaje, że wszyscy mają z tego frajdę, gdy w rzeczywistości jest to walka.

Biorę mój dezodorant i tonik do twarzy. Do makijażu tylko to, co najpotrzebniejsze. Biorę szczoteczkę do zębów, wkładam na włosie plastikowy kapturek, żeby się nie pobrudziła, i wrzucam do kosmetyczki. Ryan zazwyczaj wkłada swoją do plastikowej torebki. Ma rację, że tłumaczy się ze swojego sposobu pakowania szczotki do zębów. Robi to nieprawidłowo. Wrzucam wszystko do torby i zaciągam zamek. Tak czy siak, jestem gotowa do wyjścia.

Plan mam taki, żeby pojechać do Rachel. Rachel wie, że sprawy między mną a Ryanem nie układają się

dobrze. Zauważyła, że jestem w napięciu. Zauważyła, że często go krytykuję, że rzadko mam coś miłego do powiedzenia. Upierałam się jednak, że wszystko w porządku. Nie wiem, dlaczego tak trudno mi się przed nią przyznać. Może w jakimś sensie mi się wydaje, że gdy powiem Rachel, wszystko stanie się realne. Mili już powiedziałam. O napięciu, o kłótniach, o tym, że miłość wyparowała, o planach separacji. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że Mila może wiedzieć i nie jest to równoznaczne z wykuciem tego w marmurze. Ale z Rachel wszystko stanie się oficjalne. Nie będę mogła więcej udawać, że nic się nie stało. Może na tym właśnie polega różnica między przyjaciółką a siostrą: przyjaciółka może po prostu wysłuchać twoich problemów tu i teraz, ale siostra pamięta i przypomina ci o wszystkim, co było kiedyś. A może to nie jest różnica między przyjaciółką a siostrą. Może to różnica między Milą a Rachel.

Ale to naprawdę jest realne. Wóz do przeprowadzek jest już w drodze. I jeśli mam sobie z tym poradzić, potrzebna mi jest Rachel. Rachel, która weźmie mnie za rękę i powie, że wszystko będzie dobrze. Rachel, która będzie we mnie wierzyć. Muszę się jej przyznać, że moje małżeństwo bankrutuje. Że ja bankrutuję. Że nie jestem tą pozbieraną, dobrze zorganizowaną starszą siostrą, której wszystko się pomyślnie układa, choć staram się na taką wyglądać. Że nie ogarniam już swojego życia.

Zastaję Ryana w sypialni. Bierze się do wynoszenia

pudeł z rzeczami. Podzieliliśmy już między siebie meble. Każde z nas będzie teraz musiało coś na własną rękę dokupić. Ja potrzebuję nowego telewizora. Ryanowi będą potrzebne nowe garnki i rondle. To, co wydawało się całością, rozpadło się na dwie połowy.

– Dobra – mówię. – To idę i zostawiam cię z tym. – Mają przyjść jego znajomi i mu pomóc. Ja nie jestem mu potrzebna.

Ja nie jestem mu potrzebna.

– W porządku – odpowiada, wpatrując się w szafę. Naszą szafę. Moją szafę. W końcu podnosi na mnie oczy i widzę, że płacze. Oddycha głęboko, starając się nad sobą zapanować. Nagle serce wzbiera mi tkliwością. Nie mogę go tak zostawić. Nie mogę! Nie mogę go zostawić, gdy cierpi.

Jestem mu potrzebna.

Podbiegam do niego. Otaczam go ramionami. Pozwalam, żeby się we mnie wtulił. Żeby się wypłakał.

– Wiesz co? To głupi pomysł – mówię nieoczekiwanie. – Zostaję. – Wszystko to jakiś absurd. Potrzebowaliśmy jakiegoś wstrząsu, żeby nas obudził. I to jest ten wstrząs! Tego właśnie nam było trzeba, żeby zobaczyć, jacy jesteśmy głupi. Oczywiście, że się kochamy! Zawsze się kochaliśmy! Po prostu na chwilę o tym zapomnieliśmy, ale teraz wszystko będzie dobrze. Wyciągniemy wnioski z tej nauki. Nie musimy tego ciągnąć. Koniec! Możemy zakończyć ten dziwny eksperyment i wrócić do punktu wyjścia. Małżeństwo to

nie bajka, i dobrze o tym wiemy. To była czysta głupota.
– Zapomnij o tym – ciągnę. – Nigdzie się nie wyprowadzasz, kochany. Nie musisz się wyprowadzać.

Jeszcze przez chwilę milczy, po czym kręci głową.

– Nie – mówi. – Muszę się wyprowadzić. Potrzebuję tego. – Wpatruję się w niego jak skamieniała, wciąż jeszcze go obejmując. – Powinnaś iść – dodaje, ocierając łzy. Już się uspokoił. Wraca do załatwiania sprawy.

I wtedy się rozpadam. Nie rozpuszczam się jak masło, nie uchodzi ze mnie powietrze jak z opony. Rozpadam się na tysiąc kawałków, jak stłuczone szkło.

Serce mam dosłownie rozdarte. I wiem, że nawet jeśli rana się zagoi, będzie inaczej bić, inaczej wyglądać, inaczej będę je odczuwać.

Chwytam torbę. Thumper idzie za mną do drzwi. Patrzę na niego z ręką na klamce, gotowa ją nacisnąć. Podnosi na mnie wzrok, naiwny i zdziwiony. Przecież z tego co wie, pora na spacer! Nie wiem, kogo mi bardziej żal: Thumpera, Ryana czy siebie. Nie wytrzymam ani chwili dłużej. Nie jestem w stanie go pogłaskać na pożegnanie. Naciskam klamkę, wychodzę i zatrzasnę za sobą drzwi. Nie przystaję, żeby zaczerpnąć tchu czy się pozbierać. Idę do samochodu, ocieram oczy i jadę do Rachel. Jestem dość silna, żeby stanąć na własnych nogach.

Potrzebna mi jest siostra.

II. Listopadowy deszcz

Chcę tylko, żebyś mnie wysłuchała i nie próbowała mnie przekonywać. Nie osądzaj mnie. I nie mów, że popełniam błąd, nawet jeśli myślisz, że popełniam. Błąd, znaczy się. Chcę tylko, żebyś mnie wysłuchała i powiedziała, że wszystko będzie dobrze. Tego mi w zasadzie potrzeba. Żebyś mi powiedziała, że wszystko będzie dobrze, nawet jeśli najprawdopodobniej nie będzie.

– W porządku – godzi się z miejsca Rachel. Właściwie nie ma wyboru, prawda? W sobotę o dziewiątej rano stanęłam bez uprzedzenia na jej progu, skamłając: „Nie osądzaj mnie!” Co jej pozostaje? Musi to wziąć na klatę.

– Chcesz wejść? – pyta. – Czy...

Nie pozwalam jej dokończyć.

– Rozstajemy się z Ryanem.

– O Boże – mówi zdumiona. Przez chwilę wpatruje się we mnie jak skamieniała, wreszcie przytomnieje i otwiera szerzej drzwi, żeby mnie wpuścić. Wchodzę. Jest jeszcze w piżamie, co dość zrozumiało. Pewnie dopiero co się zbudziła. Kto wie, czy mój dzwonek nie wyrwał jej z jakiegoś miłego snu.

Przechodzę obok niej i dopiero teraz Rachel widzi moją torbę z rzeczami. Wszystko to spada na nią naraz.

Zdejmuje mi torbę z ramienia i stawia na kanapie.

– Co... to znaczy jak... jak wy to... – Urywa. – Jak

się czujesz? To najważniejsze. Jak się z tym czujesz?

Wzruszam ramionami. Często teraz wzruszam ramionami, bo jest mi wszystko jedno. Ale choć w tej chwili ten gest oznacza milion rzeczy na raz, nie oznacza jednej: obojętności.

– Chcesz pogadać o tym, dlaczego się rozstajecie? – pyta Rachel spokojnie. – A może powinnam ci zrobić... no nie wiem. Co się je, kiedy się człowiek rozwodzi?

– Ja się nie rozwodzę – mówię, siadając na kanapie.

– Ach tak... – Siada koło mnie. – Powiedziałaś, że się rozstajecie, więc myślałam...

Podciąga nogi i siada po turecku, twarzą do mnie. Spodnie ma w biało-niebiesko-łososiowe paski. Góra jest w kolorze łososia, takim samym jak paski na spodniach. Musiała to kupić jako komplet. Moja siostra jest osobą, która zawsze nosi rzeczy w komplecie. Ja jestem osobą, która nigdy nie może znaleźć niczego od pary.

– Rozstajemy się – mówię. – W sensie że nie będziemy się widywać przez jakiś czas, ale potem, no wiesz... damy sobie jeszcze jedną szansę.

– Czyli separacja? Na próbę?

– Nie.

– No więc... Lauren, czy ja o czymś nie wiem?

– Miałaś mnie nie osądzać.

Bierze mnie za rękę.

– Ja cię nie osądzam. Próbuję zrozumieć.

– Robimy sobie przerwę. Nie możemy dłużej razem

mieszkać. Nie znosimy się nawzajem.

Wyraz twarzy Rachel zdradza, że wiedziała o tym od jakiegoś czasu, ale ignoruję to.

– Ale nie rozwodźcie się, bo... – zaczyna. Głos ma łagodny. Być może tego mi w tej chwili najbardziej potrzeba. Funkcjonuję pod tym względem podobnie jak pies, naprawdę: słowa są bez znaczenia. Słucham tylko brzmienia jej wysokiego głosu, miłych, kojących dźwięków. – To znaczy, skoro od jakiegoś czasu macie problemy, skoro jest tak źle, że nie chcecie razem mieszkać... co was powstrzymuje, żeby zakończyć to wszystko na dobre?

Przez chwilę zastanawiam się, co odpowiedzieć. Nigdy nie padło między nami słowo „rozwód”.

Oczywiście, miałam je w głowie. Myślałam o tym, żeby je wypowiedzieć. Ale na tamtej kartce z możliwymi rozwiązaniami go nie napisałam. I choć nie mogę sobie wyobrazić, żeby i Ryan o nim nie myślał, żeby się nad nim nie zastanawiał, żeby nie miał go na końcu języka, to i jego coś powstrzymało.

To chyba ważne. Żadne z nas tego nie zasugerowało. Żadne z nas nie powiedziało, że to, co było między nami, co zniszczyliśmy i przestało działać, żadne z nas nie powiedziało, że powinniśmy to skasować.

– Nie wiem dlaczego – mówię w końcu. – Może dlatego, że obiecałam. Albo, ja wiem... może mam nadzieję, że jest jakieś trzecie rozwiązanie oprócz nieszczęśliwego pożycia albo totalnego poddania się.

Rachel się zastanawia.

– To jak długo ma trwać ta przerwa? – Słowo „przerwa” wypowiada tak, jakby to było jakieś nowe pojęcie, wymyślone przeze mnie. „To jak długo ma trwać ten encepencak?” – tak to wymawia.

Robię wdech. Robię wydech.

– Rok.

Moje zdecydowanie zaczyna słabnąć. Moje opanowanie zaczyna pękać. Powoli zaczyna się wsączać ból, tak jak przedzierające się słońce powoli rozjaśnia pochmurny dzień.

Rachel widzi, że płaczę, zanim jeszcze pojawią się w moich oczach łzy, i mięknie tym bardziej, zmieniając się w tę Rachel, jakiej potrzebuję. Nie chce znać szczegółów. Chce tylko mnie trzymać w objęciach i mówić, że wszystko będzie dobrze, nawet jeśli nie będzie. I to właśnie robi, obejmuje mnie, gładzi po głowie i mówi to, co chcę usłyszeć. Na co czekam przez cały ranek.

– Naprawdę wszystko będzie dobrze – mówi kojąco, jak do dzidziusia. – Wiem, że mi kazałaś to powiedzieć. Ale to prawda. Wszystko będzie dobrze.

– Skąd wiesz?

Nie powinnam jej zadawać takich pytań. Powiedziałam jej, co chcę usłyszeć. I powiedziała to. Nie mogę na nią naciskać. Nie mogę usiłować jej skłonić, żeby mówiła coś innego niż tekst, który dla niej wymyśliłam. Ale wygląda na tak pewną tego, co mówi,

tak przekonaną, że wszystko będzie dobrze, że chcę wiedzieć więcej o tej wersji mnie, którą widzi. Jak do tego dojdzie, że z Lauren, którą ma w głowie, wszystko będzie dobrze? I jak mogę stać się bardziej podobna do tej Lauren?

– Wiem, że wszystko będzie dobrze, bo w końcu zawsze wszystko jest dobrze. A jak nie jest dobrze, to znaczy, że to jeszcze nie koniec.

Wycofuję się z uścisku i na nią patrzę.

– Czy to z któregoś z twoich kubków?

Rachel wzrusza ramionami.

– To, że coś jest napisane na kubku, nie znaczy, że to nieprawda.

– Chyba masz rację – zgadzam się, kładąc głowę na jej kolanach. – Nie znaczy.

– I wiesz, co jeszcze wiem? – ciągnie.

– No?

– Że masz przed sobą fantastyczny rok.

– Trudno mi w to uwierzyć. Dobiegam trzydziestki i jestem o włos od rozwodu.

– Ale przecież mówisz, że się nie rozwodzicie?

Przewracam oczami.

– To hiperbola, Rachel. Świadoma przesada. Taka figura retoryczna. – Ale jestem protekcyjna wobec mojej ostatniej ucieczki... Sęk w tym, że nie wiem, na ile to rzeczywiście jest hiperbola. Będę iść w zaparte wobec wszystkich, włącznie z siostrą, że do tego nie dojdzie. No a jak dojdzie? Co wtedy?

– Nie, serio – mówi Rachel. – W tej chwili jest ciężko. Ale znam cię i wiem, że nie robisz nic, czego by zrobić nie należało. Nie traktujesz tej sprawy lekko. I Ryan też nie. To porządny człowiek. I ty też jesteś porządnym człowiekiem. Jeśli oboje uznaliście, że to dobry pomysł, to znaczy, że to dobry pomysł. A dobry pomysł nie może być zły.

Przez chwilę trwa cisza, po czym obie wybuchamy śmiechem.

– Dobra, końcówka nie ma za wiele sensu, ale wiesz, o co mi chodzi.

Spotykamy się wzrokiem. Zawsze wiem, o co jej chodzi. Zawsze się nawzajem rozumiałyśmy. I co być może ważniejsze, zawsze w siebie nawzajem wierzyłyśmy. W tej chwili potrzebuję, żeby ktoś we mnie wierzył.

– Cieszę się, że tu jesteś – mówi Rachel. – Nie, że w tych okolicznościach, rzecz jasna. Ale cieszę się, że tu jesteś.

– Tak?

– Tak. Miło znowu widzieć tylko siebie.

– Bez Ryana?

– Bez Ryana. Kocham go, ale ciebie kocham bardziej. Miło będzie mieć przez rok tylko siebie.

Nawet nie wie, jak właściwe rzeczy mi mówi. Gdyż po raz pierwszy dostrzegam w nadchodzącym roku coś fajnego. Miło będzie mieć przez rok tylko mnie.

– No więc... to będzie chyba delikatne pytanie –

ostrzega Rachel.

Siedzimy przy kuchennym stole. Przyrządziła grzanki francuskie z chrupkimi płatkami cynamonowymi i bitą śmietaną. Miałabym ochotę strzelić fotkę, tak to fantastycznie i dekadentcko wygląda. Nadal mówiąc, stawia przede mną talerz, a ja natychmiast przestaję jej słuchać. Wiem, że to będzie smakować jeszcze lepiej, niż wygląda. Co wiele mówi. Ale to numer popisowy Rachel. Robi torcik Oreo z kakaowych mininaleśników z kremem kokosowym. Robi czerwone naleśniki z nadzieniem z serka mascarpone. Za Boga nie zrobi żadnej zapiekanki czy dania z jajek, ale wszystko, co słodkie i z kremem – o, tu można na nią liczyć.

– Wygląda to niesamowicie – mówię i biorę widelec. Oddzielam kawałek grzanki... Smakuje dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam. Smakuje tak, jakby wszystko było dobrze.

– O Jezu – wzdygam.

– Wiem.

Rachel nie ma problemu z przyznaniem, że to, co zrobiła, jest fantastyczne. Mówi to tak, jakby nie miała z tym nic wspólnego. Powiedz jej, że w życiu nie jadłaś czegoś tak cudownego jak jej dyniowe ciasto z imbirem i orzechami, to ci odpowie coś w stylu: „Mnie to mówisz? Po prostu niebo w gębie”. Tak jakby chwaliła przepis, a nie siebie samą.

– Tak czy owak – mówię po przełknięciu kęsa – co

to za delikatne pytanie?

– No więc... – Oblizuje krem z widelca. – Kto weźmie... – zaczyna znowu i urywa. Nie wie, jak to powiedzieć.

– Thumpera? – kończę za nią. – Kto weźmie Thumpera?

– Właśnie. Kto weźmie Thumpera?

Biorę głęboki oddech.

– Na pierwsze dwa miesiące zostaje ze mną, tak żeby nic się dla niego nie zmieniło. – Głupio mi to mówić. Zachowujemy się z Ryanem tak, jakby Thumper był dzieckiem, i wychodzi to w najdrobniejszych sprawach. Ale Rachel nawet nie mrugnie okiem.

– A potem weźmie go Ryan?

– Tak, na kolejne dwa miesiące. A potem pogadamy, co dalej.

– Rozumiem.

– Głupio to brzmi, no nie? – zauważam. Prawdę mówiąc, zgodziłam się z entuzjazmem, kiedy Ryan zaproponował ten układ. Oznacza on, że za dwa miesiące się zobaczymy, a to mi daje poczucie bezpieczeństwa. Tak jak boczne kółka przy nauce jazdy na rowerze.

– Nie – zaprzecza Rachel, nawet na mnie nie patrząc. Dalej je. – Skąd. Każdy postępuje tak, jak mu pasuje.

– To o co chodzi? – pytam. Rachel wygląda... no nie wiem. Coś się dzieje na jej twarzy. Tak jakby coś ukrywała.

– Co masz na myśli?

– Co to jest, czego nie chcesz powiedzieć?

– No ale przecież miałam cię wyłącznie wspierać! – woła Rachel na wpół ze śmiechem, na wpół obronnie. – Nie mogę ci powiedzieć każdej najdrobniejszej myśli, jaka pojawi się w mojej głowie, a zarazem mówić tylko to, co chcesz usłyszeć.

Śmieję się.

– Tak, to prawda.

Przez dłuższą chwilę milczymy. Pochłonęłam już moją porcję. Nie pozostaje mi nic innego niż wpatrywać się w biel talerza. Próbuję przegarniać widelcem okruchy.

– Ale co to jest? – pytam w końcu. Chcę wiedzieć. Nie wiem dlaczego. Może bardziej zależy mi na prawdzie niż na tym, żeby usłyszeć to, co chcę usłyszeć. Może nigdy nie jest tak, żeby człowiek nie potrzebował prawdy. A może po prostu najbardziej potrzebujemy prawdy wtedy, kiedy nam się wydaje, że nie chcemy jej usłyszeć. – Powiedz. Przeżyję to.

Rachel wzdycha.

– Po prostu... – zaczyna. Podnosi na mnie wzrok. – Współczuję Ryanowi.

Nie jestem pewna, czego się spodziewałam, ale nie tego. Myślałam, że powie coś w stylu, że traktuję Thumpera zbyt serio. Albo że powinniśmy spróbować z Ryanem jeszcze raz. Albo że powie to, co, obawiam się, jest prawdą: że jestem durną płakawą panienką, bo

małżeństwo to nie bajka, że powinnam wziąć się w garść i iść do domu, i dać sobie spokój z tymi głupotami, bo to, że nie jest się szczęśliwym, to nie jest taki znów ważny problem. Ale nie mówi tego. W oczach stają jej łzy i mówi:

– Po prostu... za jednym zamachem stracił żonę, dom i psa.

Nie odpowiadam. Po prostu na nią patrzę. Pozwalam, żeby to we mnie zapadło.

Ma rację. Kiedyś tak tego człowieka kochałam. Kiedyś troszczyłam się, żeby miał wszystko, czego pragnie. Jak to możliwe, że stałam się kimś, kto mu to wszystko odebrał?

Kładę głowę na stole i zaczynam płakać. Rachel podbiega do mnie.

– Przepraszam! Przepraszam... No widzisz? Nie jestem w tym dobra. Jestem do kitu! A ty jesteś w porządku i robisz, co należy.

– Thumper to tylko na dwa miesiące – mówię. – A cała sprawa tylko na rok...

– Wiem! – Rachel obejmuje mnie i przytula. – A z Ryanem wszystko jest okej. Wiem, że z nim wszystko okej. On jest z tych, co to wiesz, zawsze mają się okej.

– Myślisz, że wszystko z nim okej? – pytam, podnosząc głowę. Nie wiem dlaczego, ale jest coś strasznego w myśli, że wszystko z nim okej. Niemal tak samo strasznego, jak w myśli, że cierpi. Nie mogę znieść ani tego, że miałyby czuć się dobrze, ani tego, że

miałby cierpieć.

– Nie – mówi Rachel. Wyczuwam u niej desperackie usiłowanie, żeby wybrnąć z tej rozmowy. Prawidłowej odpowiedzi nie ma, wie o tym, i być może jest troszkę zirytowana, że postawiłam ją w tej sytuacji. – Wszystko z nim okej, w sensie że wszystko z nim będzie okej, a nie że w ogóle jest okej.

– Masz rację – przyznaję, odzyskując panowanie nad sobą. – Wszystko z nami będzie okej.

– Jasne. – Rachel z ulgą chwyta się nutki spokoju w moim głosie. – Wszystko będzie okej.

A więc do tego dążyłam. Że będzie okej.

Wszystko ze mną okej.

Wszystko z Ryanem okej.

Wszystko z nami będzie okej.

Pewnego dnia cała ta sytuacja będzie okej.

Jest istotna różnica pomiędzy tym, że coś jest okej, a tym, że coś będzie okej, ale na razie postanawiam udawać, że jest to jedno i to samo.

– Wiesz, że niedługo musisz powiedzieć o tym mamie, prawda? – pyta Rachel.

– Wiem.

– I Charliemu – dodaje. – Chociaż kto tam wie Charliego... Z nim można i tak, i tak.

Kiwam głową, już pogrążona we własnych myślach. Myślę o tym, jak im to powiem. O tym, jak Charlie rzuci jakimś dowcipem. O tym, czy mama będzie mną bardzo rozczarowana. Czy będzie to odbierała tak samo jak ja:

że zawiodłam. Po chwili zdaję sobie sprawę, że ta linia rozumowania prowadzi donikąd.

– Wiesz co? – mówię.

– Co?

– Wszystko z nimi będzie okej.

Rachel się uśmiecha.

– Tak, masz rację. Wszystko z nimi będzie okej.

Wracam do domu w niedzielę wieczorem, o siódmej. Tak się umówiliśmy z Ryanem. Wiem, że już go nie będzie. O to chodziło. Ale kiedy otwieram drzwi pustego domu, dosłownie uderza we mnie jego nieobecność. Jestem sama.

Dom wygląda, jakby go okradziono. Ryan nie zabrał nic, o czym nie mówilibyśmy już dawno, a mimo to mam takie uczucie, jakby zabrał wszystko. Owszem, podstawowe meble są na miejscu, ale gdzie się podziało DVD? Gdzie jest regał z książkami? Gdzie mapa Los Angeles, którą oprawiliśmy i powiesiliśmy na ścianie? Wszystko zniknęło.

Thumper wybiega mi na spotkanie, powiewając beżowymi uszami, i rzuca się na mnie z takim entuzjazmem, że zwała mnie z nóg. Padam z łomotem na podłogę, ale prawie tego nie czuję. Jedyne, co czuję, to że ten pies mnie kocha, liże mnie po twarzy, skacze po mnie. Trąca mnie w uszy wilgotnym nosem. Jak on się cieszy na mój widok! Jestem w domu. Wygląda inaczej niż zwykle, ale to nadal mój dom.

Idę na tył domu, żeby nakarmić Thumpera. Przez chwilę stoi i na mnie patrzy, po czym pożera wszystko jednym kłapnięciem.

Włączam światło w jadalni i widzę na stole liścik od Ryana. Nie spodziewałam się, że zostawi jakąś wiadomość. Widząc jednak list, z miejsca chcę rzucić się biegiem i otworzyć. Coś jeszcze zostało do powiedzenia? Chcę wiedzieć, co jeszcze zostało do powiedzenia! Ręce rozrywają kopertę, zanim jeszcze mózg dał im sygnał, żeby to zrobiły.

Jakie on ma dziecięce pismo. Charakter pisma męczyzny rzadko ma w sobie coś, co można by określić jako męskie. Jedyne, co ma, to brak wyrafinowania. Pewnie już w szóstej klasie podejmują decyzję, że trzeba się przejmować czymś innym.

Droga Lauren!

Nie popełnij błędu: kocham cię. Tylko dlatego, że nie czuję tej miłości, nie oznacza, iż nie wiem, że nadal jest w moim sercu. Wiem, że jest. Odchodzę, bo chcę ją odnaleźć. Obiecuję ci to.

Proszę, nie dzwoń ani nie esemesuj. Potrzebuję samotności. Ty też. Traktuję serio tę rozłąkę. Nawet jeśli jest trudna, jest konieczna. To jedyny sposób, żebyśmy się spotkali na nowo. Jeśli będziesz dzwonić, nie odbiorę. Nie chcę się cofać. Nie chcę wracać do tego, co było.

W tym duchu chcę ci życzyć wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, nawet jeśli pozostało do nich jeszcze parę tygodni. Wiem, że ten trzydziesty rok życia będzie

dla ciebie trudny, ale to będzie dobry rok. A że nie będziemy się ze sobą kontaktować w dniu twoich urodzin, chcę, żebyś wiedziała, że będę o tobie myślał.

Dbaj o moje psisko. Za dwa miesiące zadzwonię, żeby obgadać jego przekazanie. Może będziemy mogli się spotkać na jakimś parkingu na poboczu drogi niczym rozwiedzeni rodzice – nawet jeśli nimi nie jesteśmy.

Pozdrawiam cię serdecznie

Ryan

P.S. Zanim wyszedłem, dałem draniowi jeść.

Spoglądam na Thumpera, który stoi tuż obok i na mnie patrzy.

– Ty oszuście – mówię. – Przecież już jadłeś.

Czytam list jeszcze raz. I jeszcze. Dzielę go na poszczególne słowa. Ranią mnie i napełniają nadzieją. Każą płakać i złościć. W końcu składam list z powrotem i wyrzucam do kosza na śmieci. Patrzę, jak leży na wierzchu górkę odpadów. Mam uczucie, że to źle. Tak jakby należało go przechować. Tak jakbym powinna go trzymać w księdze pamiątkowej naszego związku.

Idę do sypialni i patrzę na pudełko po butach na górnej półce szafy. Nie dosięgnę go z podłogi. Idę do szafki w holu i przynoszę małą, dwustopniową składaną drabinkę. Wspinam się na palce i próbuję dosięgnąć brzegu pudełka. Spada, a zawartość rozsypuje się po podłodze i dywanie. Papiery. Stare bilety. Karteczki samoprzylepne z informacjami. Zblakłe zdjęcia. I

wreszcie widzę to, czego szukałam.

Pierwszy list, jaki napisał do mnie Ryan. Było to parę tygodni po tym, jak spotkaliśmy się w stołówce. Napisał go na kartce wyrwanej z notatnika. Jest złożony tyle razy, że trudno go rozprostować na płasko, żeby móc przeczytać.

CO W TOBIE LUBIĘ

1) *Że kiedy powiem coś śmiesznego, śmiejesz się tak głośno, że zaczynasz się krztusić.*

2) *Że któregoś dnia autentycznie powiedziałaś: „niech mnie kule biją”.*

3) *Twoją pupkę. (Przepraszam, ale takie są fakty.)*

4) *Że myślałaś, że chili con carne^[4] to chili z kukurydzą.*

5) *Że jesteś mądrzejsza, zabawniejsza, ładniejsza i w ogóle cudowniejsza niż każda inna dziewczyna, którą znam.*

Parę tygodni później zauważył, że zachowałam liścik. Zobaczył go na biurku u mnie w akademiku. I kiedy nie patrzyłam, przekreślił „lubię” i napisał „kocham”. „Co w tobie kocham”.

A innym kolorem długopisu dopisał pod spodem szósty powód.

6) *Że we mnie wierzysz. Że tak przyjemnie cię dotykać. I że postrzegasz świat jako piękny.*

To był powód, dla którego zapoczątkowałam to pudełko. Ale... listu, który zostawił mi dziś wieczorem, nie mogę tu włożyć. Po prostu nie mogę. Musi pozostać

w koszu.

Wkładam wszystko z powrotem do środka. Odkładam pudełko na półkę. Myję zęby. Wkładam pizamę. Idę do łóżka.

Wołam Thumpera. Przybiega i kładzie się koło mnie. Gaszę światło i leżę z szeroko otwartymi oczami. Jestem przytomna tak długo, że oczy przyzwyczajają się do ciemności. Noc zdaje się blednąć; co było nieprzeniknioną czernią, zmienia się w przejrzystą szarość i dostrzegam, że choć mam obok siebie ciepłe ciało, jestem w domu sama.

Nie jest mi smutno. Nie czuję nawet melancholii. Boję się. Po raz pierwszy w życiu jestem sama. W środku nocy w całym domu jestem sama. Gdyby ktoś próbował się włamać, jest tylko ten łagodny labrador i ja. Jeśli usłyszę jakiś dźwięk, sama będę musiała sprawdzić. Czuję się jak dziecko, które przy obozowym ognisku słucha opowieści o duchach.

Wiem, że wszystko w porządku. Ale bynajmniej tego nie czuję.

W poniedziałek idę do pracy i jestem zaskoczona, że w ogóle nie muszę o tym wszystkim mówić. Ludzie wiedzą, że jestem mężatką, ale to rzadko wychodzi w rozmowie. Na pytania typu „Jak tam weekend?” czy „Wychodziłaś gdzieś?” łatwo odpowiedzieć szczerze, zatrzymując zarazem ważne fakty dla siebie. Zdanka typu „Fajnie. A jak tam u ciebie?” i „Wiesz,

przesiedziałam niedzielę u siostry. A ty?” ewidentnie załatwiają sprawę. W południe potrafię już niemal całkowicie uniknąć pytań na temat mojego życia osobistego: wystarczy, że to ja jestem stroną, która pyta.

Ale Mila mnie zna. Naprawdę mnie zna. Od tyłu miesiący jest moją powierniczką. Wie o wszystkim. Toteż kiedy wsiadamy do samochodu, żeby pojechać na lunch, zniża głos i robi się prawdziwa.

– No więc – mówi, włączając silnik – co tam u ciebie?

– U mnie? Yyy... dobrze – odpowiadam. – Naprawdę. Weekend był do kitu. Cały wieczór z soboty na niedzielę przepłakałam w łóżku mojej siostry, a ona tymczasem oglądała jakiś film o zombi. Ale wczoraj wieczorem wróciłam do domu i... jest okej.

– Aha – mówi Mila. – Rozwaliłaś się w łóżku? Nalałaś sobie kieliszek wina i wlałaś z nim do wanny, i nikt ci nie zawracał głowy i nie jęczał?

Mila i jej partnerka, Christina, są razem od pięciu lat. Mają trzyletnie bliźniaki, chłopców. Coś mi mówi, że są to jej fantazje.

– Niezupełnie. Po prostu... wróciłam do domu i poszłam spać, to chyba wszystko.

Mila parkuje tuż obok wejścia i wchodzimy.

– Gdybym była na twoim miejscu – podejmuje – delectowałabym się tą sytuacją. Rok to wydaje się długo, ale ten cholerny czas szybko leci. Jesteś teraz wolna! Możesz żyć, jak chcesz. Możesz robić wszystko, na co

masz ochotę. Możesz sobie kupić pościel w kwiaty.

– Christina ci nie pozwala na pościel w kwiaty?

– Nie cierpi niczego w kwiaty! Kwiaty kocha, ale wzoru w kwiaty nienawidzi.

Głupie to, ale nagle mi się wydaje, że pościel w kwiaty to coś, co muszę mieć. Nigdy w dorosłym życiu nie mieszkałam sama. Zawsze dzieliłam sypialnię z tym mężczyzną. Teraz jednak mogę sobie kupić koc w wielki kwiatowy wzór. Albo kokardę. Albo, czy ja wiem... coś takiego, czego nie cierpią faceci, bo jest babskie. Cokolwiek to jest, chcę tego! Chcę się pławić w mojej babskości. Chcę sobie kupić coś blad różowego, bo mogę. A co? Nie muszę się przed nikim tłumaczyć z wydatków. Nie muszę się spowiadać, dlaczego potrzebuję nowej kołdry. Mogę po prostu iść i ją kupić.

– Co ja do diabła robię? – mówię do Mili, kiedy stoimy w kolejce. – Dlaczego nie urządziłam wszystkiego od nowa, ledwie zamknąłem za sobą drzwi?

– Wiem! – wykrzykuje. – Zaraz po pracy masz iść na zakupy. Kup sobie to wszystko, na co zawsze miałaś ochotę, a on uważał, że to głupie.

– I tak zrobię!

Mila przybija mi piątkę. Jemy kanapki i nawet nam się udaje rozmawiać o czymś innym. Nie wspominaamy Ryana aż do chwili, gdy Mila z powrotem parkuje na kampusie.

– Ale ci zazdroszczę – mówi. – Gdyby Christina się wyprowadziła, to w każdym pokoju paliłabym

waniliową świecę. Wchodziłabym kolejno do każdego i wachałabym. – Wciąga powietrze nosem. – Aaaach – wzdycha z rozkoszą na wydechu. Po czym nagle, jakby jej się coś przypomniało: – Nie musisz już nosić niewygodnych seksownych gatek! Tylko wielkie, luźne, wygodne majty.

Śmieję się.

– A ty takich nienosisz?

– Każdego dnia mam na sobie koronkowe majtki i stanik – wyznaje Mila. – Chcę, żeby moja dziewczyna była szczęśliwa. – Po czym się wycofuje. – Nie chciałam przez to powiedzieć, że ty nie chciałaś... Sorry, to był żart.

Znowu się śmieję.

– Nie ma sprawy. Ale jestem wstrząśnięta, że na okrągłonosisz seksowną bieliznę.

Mila wzrusza ramionami.

– Ona to lubi. A ja lubię to, że ona to lubi. Ale kurczę, zazdroścę ci, że możesz teraz nosić babcine barchany.

– Nawet nie wiem, czy mam w domu jakieś babcine barchany. W zasadzie każdego dnia mam na sobie zwyczajną bieliznę... Ej, stop! – wołam, bo coś mi się przypomniało. – Mam, mam jedno! Nigdy ich nie włożyłam, bo Ryan się z nich wyśmiewał. Mówił, że to spadochrony.

– Megawielkie? XXL? Można podciągnąć pod brodę?

– Uwielbiam je!

– No to leć do domu i wkładaj, dziewczyno!
Korzystaj z tego, że jesteś wolna!

Jestem wolna. Taak, jestem wolna.

Po pracy idę na zakupy i kupuję wielką, puchatą białą poduszkę, dwie narzuty w pasy i różową kapę z nadrukiem w kształcie gigantycznego maku. Patrząc na łóżko i myślę, że wygląda jak na zdjęciu w jakimś magazynie. Śliczne!

Pod prysznicem, podczas którego zużywam całą gorącą wodę, wyśpiewuję na całe gardło. Przecież nikt nie słyszy. Wycieram się i idę do sypialni. Przekopuję górną szufladę, grzebię wśród mikroskopijnych majteczek i z rzadka używanych stringów... Wreszcie są. Moje spadochrony.

Wkładam je i staję pośrodku sypialni. Nie są tak magiczne, jak mi się kiedyś wydawało. Sprawiają wrażenie zwyczajnych majtek. Potem kątem oka łapię swoje odbicie w lustrze. I już wiem, o czym mówił Ryan. Obwisają na tyłku i w kroku. A guma jest tuż pod pępkiem. Mogłabym sobie włożyć pieluchę.

Patrząc na łóżko świeżym okiem. Właściwie nie lubię wzorów w kwiaty. Co ja wyprawiam? Lubię niebieski. Lubię żółty. Lubię zielony. Nie lubię różowego. Nigdy w życiu nie lubiłam różowego. Nagle ta „wolność” zaczyna mi się wydawać mało ważna. Czym ja się podniecam? Że mogę sobie kupić narzutę w kwiaty? Że mogę nosić obwisłe majtki?

Mila nie pali świec, bo Christina ich nie lubi, a to, żeby Christina była szczęśliwa, jest dla niej ważniejsze niż jakieś cholerne świece. Taka jest prawda. Nie jest do niej przykuta. Chce z nią być. Woli z nią być, niż palić świece. Gdyby im nie wyszło, świece byłyby dla niej zaledwie pociechą. Świątecznym w tunelu. To wszystko. I to też jest zaledwie pociecha.

Nieistotny miły drobiazg w sytuacji, która generalnie jest do dupy.

Któregoś wieczoru dzwoni Charlie. Jest na tyle późno, że nie spodziewałam się już telefonu. Podrywam się na równe nogi i z bijącym sercem łapię za komórkę. Jestem przekonana, że to Ryan. Jestem tylko w bieliźnie i podkoszulku. Na podkoszulku mam plamę po kawie. Od wielu dni. Kiedy nie ma nikogo, kto byłby świadkiem naszego niechlujstwa, przekonujemy się, do jakiej granicy niechlujstwa jesteście gotowi się posunąć.

Kiedy patrzę na ekranik i widzę, że to Charlie, a nie Ryan, zaskakuje mnie, że tak mnie to zasmuca. Naprawdę mnie to zasmuca. I zaraz potem czuję niepokój. Bo Charlie nigdy nie dzwoni. Nie jest nawet w naszej strefie czasowej.

Charlie wyjechał z Los Angeles, zaledwie pojawiła się szansa. Pojechał na studia do Waszyngtonu. Potem, w zeszłym roku, nie wiadomo jak znalazł się w Chicago. Jestem pewna, że niedługo nam powie, że przeprowadza się do najodleglejszego zakątka Maine.

– Charlie?

– Cześć – mówi. Głos ma gruby i ochryply. Jako nastolatek podkradał nam papierosy. Kiedy obie z Rachel zdałyśmy sobie z tego sprawę, w czasie gdy miał mniej więcej siedemnaście, nie mogłyśmy w to uwierzyć. Nie tylko w to, że pali, ale że nam nie powiedział. Zrozumiałe, że nie mówił mamie, ale nam? Dlaczego nie powiedział nam? Rzucił palenie parę lat temu. – Obudziłem cię?

– Nie, jeszcze się nie położyłam. A co tam u ciebie? Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiada. – A u ciebie?

– Och... – Biorę głęboki oddech, zastanawiając się, co powiedzieć i jak to powiedzieć. – W porządku – mówię. Chyba nie chcę mu o tym wszystkim opowiadać.

– W porządku?

– Tak, w porządku.

– Hm. A ja słyszałem coś innego. Słyszałem, że się ROZ-WO-DZISZ.

Cholerna Rachel.

– Rachel ci powiedziała?

– Nie... – zaczyna Charlie, szykując się do wyjaśniania, ale mu przerywam.

– A kto, jak nie ona? Nikt nie wie oprócz niej!

– Spoko, Lo. Ryan mi powiedział.

– Rozmawiałeś z Ryanem?

– Jest moim szwagrem. Myślałem, że to w porządku, że z nim rozmawiam.

– Nie, tylko po prostu...

– Zadzwońełm do niego, a on mi powiedział, że się ROZ-WO-DZI-CIE.

– Czemu tak skandujesz? A poza tym wcale się nie rozwodzimy. Ryan tak powiedział? Powiedział, że się rozwodzimy? – Słyszę w moim głosie panikę i popłoch.

– Powiedział, że się rozstajecie na jakiś czas. A jak spytałem, czy to próbna separacja, odpowiedział: „Tak”.

– No, to sam widzisz, że to troszkę bardziej zniuansowane. Znaczy, to nie jest formalna separacja.

– Lauren... Znasz chociaż jedną parę, która była w separacji, a potem zeszła się z powrotem?

– O co ci chodzi, Charlie? Dzwonisz tylko po to, żebym miała ochotę strzelić sobie w łeb?

– Hm... Chodzi mi o dwie sprawy. Po pierwsze chciałem się dowiedzieć, jak się czujesz. Czy mogę coś dla ciebie zrobić.

– Mam się dobrze. Dzięki. A ta druga sprawa?

– No... tu sprawy trochę się komplikują.

– Brzmi obiecująco – mówię. Jestem na powrót w łóżku.

– Zadzwońełm do Ryana częściowo dlatego, że mama postanowiła zorganizować ci przyjęcie-niespodziankę.

Jaja sobie robi. Ale jakieś dziwne.

– Cha cha cha. Dobry dowcip – mówię.

– Nie, stara. Serio.

– Dlaczego miałyby to zrobić? – Znowu wstaję z

łóżka. Kiedy jestem zdenerwowana, chodzę tam i z powrotem.

– Chyba jej się wydaje, że za mało u nas tradycji. No i ma ochotę zorganizować imprezę.

– U siebie?

– U siebie.

– A skąd ty o tym wszystkim wiesz?

– No bo wiesz, stawia mi lot.

– Przylecisz z Chicago tylko po to, żeby być na mojej urodzinowej imprezie?

– Wierz mi, że jakby nie zapłaciła za bilet, tobym nie przyleciał.

– Słodki jesteś.

– Nie, chodzi mi o to, że nie cierpisz urodzin. Wiem o tym. Próbowałem przypomnieć o tym mamie. Nie chciała słuchać. Masz szczęście, że ją dorwałem, zanim sama zadzwoniła do Ryana. Powiedziała, że ma zamiar zadzwonić do niego jutro, no więc jej obiecałem, że sam mu powiem, bo i tak miałem do niego dzwonić. Czyli, jak widać, dobrze się ułożyło, tyle tylko, że z pewnością nie chcesz, żeby mama dowiedziała się o wszystkim w taki sposób jak ja przed chwilą.

– A Rachel już wie?

– O przyjęciu?

– No.

– Wątpię. Mama powiedziała mi o wszystkim raptem parę godzin temu. Mówiła, że wszystko zależy od tego, czy będę mógł przylecieć i czy Ryan da radę

przyprowadzić cię do niej tak, żebyś nie wiedziała, o co chodzi, i właśnie dlatego go o to zapytałem.

– To musiała być dość niezręczna rozmowa – zauważam. W końcu coś się we mnie uspokaja. – Z Ryanem, znaczy.

– No, nie z tych najzręczniejszych. Ale pytał o ciebie.

– Tak?

– No. Pytał, jak ci leci. A ja na to coś w stylu: „Stary, nawet nie wiedziałem, żeście ze sobą zerwali. To skąd mam wiedzieć?”

Przez chwilę się śmiejemy, po czym czuję potrzebę wyjaśnienia:

– Myśmy ze sobą nie zerwali.

– Dobra, jasne – ustępuje Charlie. – Słuchaj, musisz powiedzieć mamie przed imprezą. Bo będzie się dziwić, gdzie jest Ryan, i wszystko będzie dosyć dziwne, i w każdym razie chciałem cię ostrzec. Jeszcze trzy tygodnie. Tak że masz trochę czasu.

– Okej – mówię. – Ale wiesz co? To fajnie, że przyjedziesz do domu.

– No. Fajnie będzie się z wami zobaczyć. – Po chwili milczenia dodaje: – I, Lauren... wiem, że masz Rachel i w ogóle, ale... masz także i mnie. Na mnie też możesz liczyć. Też cię kocham, wiesz.

To, że mój brat potrafi być takim fiutem, jest po części przyczyną, że zarazem potrafi tak skutecznie poprawić ci nastrój. Jeśli mówi, że cię kocha, to nie mówi na wiatr. Kiedy mówi, że można na niego liczyć,

to znaczy, że naprawdę można.

– Dzięki – mówię. – Dzięki. Wszystko będzie okej.

– Mylisz się. Nie będzie okej. Będzie świetnie – odpowiada, i brzmi to lepiej niż kiedykolwiek dotąd.

Rozłączamy się i wracam do łóżka. Gaszę światło i obejmuję Thumpera. Już zaczynam odpływać w sen, gdy znowu dzwoni telefon. Wiem, kto dzwoni, zanim jeszcze spojrzę na ekranik.

– Cześć, Rach.

– Mama wydaje przyjęcie na twoją cześć – mówi Rachel. Jej głos nie jest podszyty *Schadenfreude*, on w całości składa się z *Schadenfreude*. Oprócz *Schadenfreude* nie ma w nim nic.

– Wiem. Przed chwilą rozmawiałam z Charliem.

– Stawia Charliemu lot, żeby mógł być obecny.

– Wiem – mówię. – Przed chwilą z nim rozmawiałam.

– I opłaca też lot babci Lois. I wujkowi Fletcherowi.

– No, a tego nie wiedziałam.

– Podobno chce, żebyśmy wszyscy poznali jej nowego chłopaka.

– Mama ma nowego chłopaka?

– A ty w ogóle dzwonisz jeszcze do mamy?

Nie da się ukryć, że nie rozmawiałam z mamą od paru tygodni. Mieszka o pół godziny drogi ode mnie, ale nietrudno uniknąć rozmawiania z kimś, jeśli nie odbierasz telefonów.

– Nazywa się Bill. Podobno jest mechanikiem

samochodowym.

– Jej mechanikiem?

– Nie wiem – odpowiada Rachel. – Czy to ważne?

– Nie wiem. Po prostu trudno mi sobie wyobrazić, że mama wrywa swojego mechanika.

– Mówi, że jest seksowny.

– Seksowny?

– No. Tak mówi.

– Bardzo to wszystko dziwne.

– No. Dziwne jak cholera. I cudne.

– Idę spać – mówię. – Niech moja podświadomość jakoś to wszystko uporządkuje.

– Okej... Ale musisz powiedzieć mamie, że jesteście w separacji, tak? Inaczej to będzie katastrofa.

– Kiedy ostatnio mama urządzała przyjęcie? – pytam.

– A bo ja wiem. Ale jakoś tak na początku lat dziewięćdziesiątych.

– Dokładnie. Czyli tak czy tak, to będzie katastrofa.

– Myślisz, że zrobi wazę ponczu?

– Co?

– Nie uważasz, że to do niej podobne – waza ponczu?

I nie wiadomo dlaczego, jest to najśmieszniejsza rzecz, jaką usłyszałam przez cały dzień. Moja matka zdecydowanie wygląda na wazę ponczu.

– Dobra, naprawdę idę spać.

– I serpentyny. Założę się, że będą serpentyny.

– Idę spać.
– Obstawiasz za czy przeciw serpentynom?
– Nie wygłupiaj się. Musiałabyś przypisać jakieś liczby, żeby całe to „za czy przeciw” miało sens.
– Dobra, w porządku. Pięć baksów, jeśli będą serpentyny.
– Idę spać – przypominam jej po raz ostatni.
– Dobra, spoko. Mówię tylko, że... pięć baksów, jeśli będą serpentyny. Wchodzisz czy nie?
– Dobrze się czujesz?
– Wchodzisz czy nie?
– Wchodzę – mówię. – Dobranoc.
– Dobranoc! – Rachel w końcu się rozłącza. Opuszczam głowę na poduszkę i wącham Thumpera. Okropnie śmierdzi. Psy strasznie śmierdzą, a mimo to cudownie jest powąchać Thumpera. Dla mnie jego zapach jest boski. Zamykam oczy i odpływam w sen, w którym mój mózg próbuje przetworzyć te wszystkie wiadomości i wycisnąć z nich jakiś sens. Śni mi się, że przychodzę na moje urodzinowe przyjęcie i wszyscy wrzeszczą: „Niespodzianka!” Widzę mamę, jak obściskuje się z jakimś facetem ubranym jak kierowca rajdowy. Są też Rachel i Charlie. A kiedy wrzask cichnie, dostrzegam w tłumie Ryana. Przeciska się do mnie. Całuje mnie. I mówi: „Nie mogłem nie przyjść na twoje urodziny”.

Po przebudzeniu wiem, że to tylko sen. Nie mogę jednak oprzeć się nadziei, że to, być może,

przepowiednia.

Jak tam, kochanie, planujesz coś na urodziny? Wielka trzydziestka za pasem! – mówi radośnie mama, kiedy w końcu odbieram. Moja matka zawsze jest radosna. Moja matka jest z tych, co rzadko się przyznają, że są nieszczęśliwi, i myślą, że za pomocą uśmiechu oszukają cały świat.

– Yyy – stękam. Czy mam jakąś szansę, żeby uniknąć tej plagi? Mogłabym powiedzieć, że planuję, a wtedy może dałaby temu wszystkiemu spokój. Ale już kupiła bilet Charliemu. Przylatuje wuj Fletcher. – Nie, nic. Jestem wolna – przyznaję z niejaką rezygnacją.

– Cudownie! To może przyszlibyście z Ryanem do mnie na kolację?

Mówi to tak, jakby rozwiązywało to wszystkie problemy tego świata. Kiedy byliśmy dziećmi, mama właściwie nie gotowała. Zwyczajnie nie miała kiedy. Z jednej strony pracowała na pełny etat w agencji nieruchomości, z drugiej – stawała na rzęsach, żeby nadażyć z zawiezieniem i przywiezieniem ze szkół całej naszej trójki, a potem dopilnowaniem, żebyśmy odrobili lekcje, tak że na ogół zamawialiśmy pizzę. Często zajmowała się nami baby-sitterka. Często oglądaliśmy telewizję. Nie dlatego, że nas nie kochała. Dlatego, że nie można być w dwóch miejscach na raz. Gdyby było możliwe przezwycięzenie tej fizycznej niemożliwości, matka na sto procent by to zrobiła. Ale się nie dało.

Więc choć wiem, że tak naprawdę nie zrobi żadnej kolacji, że to wszystko pic na wodę, sama myśl o domowym posiłku jest w zasadzie przyjemna. Nie w sensie nostalgii, ale w sensie nowości. Tak jakby zobaczyć, powiedzmy, kaczkę w spodniach.

– Czemu nie. Brzmi nieźle – mówię.

Wiem, że teraz moja kolej. Powinnam jej powiedzieć, że będę tylko ja. To okazja, żeby poruszyć temat.

– Ale ale, właśnie miałam cię zapytać – śpieszy mama. – Nie przeszkadzałoby ci, gdybym zaprosiła mojego chłopaka, Billa?

Nieżyły szok, słyszeć „mój chłopak” z ust mojej pięćdziesięciodziewięcioletniej matki. Dla ludzi starszych umawiających się na randki potrzebne jest jakieś inne słowo. Czy nasz słownik nie powinien się rozwijać z biegiem czasu? Kto za to odpowiada?

– Hm... nie, no skąd. W porządku. A właśnie... chciałam powiedzieć, że Ryan nie przyjdzie.

– Co? – Głos matki, dotąd beztronski, momentalnie się zaostrza.

– No bo wiesz, Ryan...

– Wiesz co? – przerywa mi mama. – Jak wam tak pasuje, to pasuje i mnie. Wiem, że czasami jestem zbyt zaborcza, wciąż chciałabym widywać was oboje.

– Okej – mówię. – I wiem, że Ryan...

– Strasznie bym chciała, żeby i on poznał Billa, naprawdę – ciągnie mama. – Jak tylko będzie mógł.

Wiem, że oboje jesteście zajęci, ale jeden z synów Billa ożenił się z prawdziwą jędzą, i opowiadałam mu, jaki wygrałam z Ryanem los na loterii. Zięc a synowa to pewnie co innego, ale tak czy owak Ryan to fantastyczny dodatek do rodziny. Ale i tak się martwię, kogo wybierze Rachel. Albo jeszcze gorzej – Charlie! Pewnie ma z dziesięcioro dzieci w różnych stanach, a my nawet nigdy się o tym nie dowiemy... Ale ty, dziecinko, wybrałaś znakomicie.

Bardzo często słyszę to od matki. To jej sposób, żeby skomplementować za jednym zamachem i Ryana, i mnie. Kiedy się z Ryanem pobraliśmy, lubił się ze mną w ten sposób drażnić. „Znakomicie wybrałaś!” – mówił, kiedy wracaliśmy od niej. „Znakomicie, Lauren!”

– No – mówię. – Rzeczywiście.

I za pomocą tych dwóch akceptujących słów kopię sobie jeszcze głębszy dół. Nie mogę jej teraz powiedzieć. W ogóle nie mogę jej powiedzieć.

– A co Ryan ma takiego do roboty, że to ważniejsze niż urodziny własnej żony? – pyta mama, której w końcu świta, że sytuacja, którą jej przedstawiłam, jest nieco dziwna.

– Że co? – pytam, próbując zyskać trochę czasu.

– Jak może nie przyjść na twoje urodziny?

– No wiesz, praca. Jakiś duży projekt. Superważny.

– Znaczy, że będziecie świętować we dwoje kiedy indziej?

– Tak... Jasne.

– O, no to świetnie! – mówi zachwycona. – To wtedy zaproszę was oboje. I wtedy i on pozna Billa!

– Super, fajnie. Nie wiedziałam, że się z kimś spotykasz.

– Tylko poczekaj... Padniesz! Jest uroczy.

Niemal słyszę w jej głosie, że się rumieni. Śmieję się.

– To świetnie.

– W takim razie my dwie i Bill, tak? – upewnia się.

– No a Rachel? – pytam. Nie wiem, dlaczego gram w tę grę... Przecież wiem, że zwali się dziki tłum.

– Dobra – mówi mama. – I Rachel. Czyli moje dziewczyny i mój facet.

Ożeż. Moja mama nie ma pojęcia, jak to brzmi, kiedy mówi takie rzeczy. To znaczy, może i wie, jak to brzmi, ale nie wie, jak to brzmi w moich uszach. Okrrrrroonie.

– Może przystopujmy trochę z tym „moim facetem” – mówię ze śmiechem.

Też się śmieje.

– Ojejku, Lauren. Wyluzuj trochę.

– Jestem wyluzowana, mamó.

– To wyluzuj jeszcze bardziej – mówi. – I pozwól mi być śmieszna. Jestem zakochana.

– To cudownie, mamó. Naprawdę bardzo się cieszę, że jesteś szczęśliwa.

– Powiedz Ryanowi, że niedługo musi poznać Billa!

– Powiem, mamó. Kocham cię.

Odkładam telefon i łapię się za głowę.
Jestem kłamczuch, kłamczuch, kłamczuch.
Kłamczuszysko, zmyśla wszystko.

Mija parę trudnych tygodni. Nigdzie nie wychodzę. Głównie leżę w łóżku. Dużo spaceruję z Thumperem. Codziennie koło szóstej dzwoni Rachel i pyta, czy pójdziemy gdzieś na kolację. Czasem mówię tak. Czasem mówię nie. Nie robię żadnych planów, nie umawiam się ze znajomymi.

Dużo gapię się w telewizor, zwłaszcza wieczorem. Odkrywam, że włączony odbiornik, gdy kładę się spać, pomaga zapomnieć, że jestem w domu sama. Pomaga odpłynąć w sen. A rano, kiedy się budzę, towarzyszą mi dźwięki porannego programu telewizyjnego, a nie głucha, martwa cisza.

Nieustannie myślę, co robi Ryan. Czy myśli o mnie? Czy za mną tęskni? Jak spędza czas? Ciekawa jestem, gdzie mieszka... Ileż to razy brałam do ręki telefon, żeby napisać mu SMS-a. Mówiłam sobie, że nic się nie stanie, jeśli po prostu się dowie, że o nim myślę. Ale nigdy nie wysłałam tego, co napisałam. Prosił, żeby tego nie robić. Nie jestem pewna, czy to, że nigdy nie kliknęłam „wyślij”, było wyrazem nadziei czy cynizmu. Nie wiem, czy powstrzymuję się od kontaktu dlatego, że wierzę w wartość tej separacji, czy po prostu uważam, że zwykły SMS i tak jest bez znaczenia. Nie wiem.

Sądziłam, że po paru tygodniach, gdy odnajdziemy z

Thumperem rytm naszego nowego życia, dojdę do jakichś – jakichkolwiek! – wniosków czy obserwacji, że sobie coś uświadomię. Ale nie mam poczucia, że wiem choć odrobinę więcej, niż wiedziałam, zanim Ryan się wyprowadził.

Jeśli mam być szczerą, to chyba miałam nadzieję, że jak tylko Ryan się wyprowadzi, natychmiast zdam sobie sprawę, że nie mogę bez niego żyć, a on zda sobie sprawę, że nie może żyć beze mnie, i oboje rzucimy się biegiem z powrotem i padniemy sobie w ramiona, nie marząc o niczym innym, tylko żeby znowu być razem. W najśmielszych marzeniach wyobrażałam nas sobie, jak całujemy się w ulewnym deszczu. Wyobrażałam sobie, że czujemy się tak, jak czuliśmy się jako dziewiętnastolatki.

Ale widzę, że to nie będzie takie łatwe. Zmiana, przynajmniej w moim życiu, to raczej powoli, uporczywie sączący się strumień, a nie lawina. Jeśli już, to raczej jest to efekt śnieżnej kuli. Choć pewnie nie powinnam się wymądrzać na temat własnego życia, używając zimowych metafor. Prawdziwy śnieg widziałam raptem trzy razy w życiu.

Wszystko to ma chyba wyrazić, że powinnam być cierpliwa. I potrafię być cierpliwa. Potrafię to przeczekać. Cztery i pół tygodnia z głowy. Czterdzieści siedem i pół przede mną. A potem może dotrę do mojej chwili w deszczu. Może mój mąż rzuci się biegiem z powrotem i będzie mnie kochał tak, jak wtedy, gdy

mieliśmy po dziewiętnaście lat.

W dniu moich urodzin Rachel dzwoni do drzwi o osiemnastej trzydzieści.

– No więc tak – mówi, wchodząc. – Wuj Fletcher mieszka u mamy i śpi na kanapie. Babcia Lois podobno nie chciała zwałać się mamie na głowę i postanowiła zatrzymać się w Standardzie.

– W Standardzie? Tym w Zachodnim Hollywood?

Rachel kiwa głową. Standard to szalenie wyrafinowany, hipsterski hotel przy Sunset Strip. W pokojach zamiast krzeseł są zwisające z sufitu plastikowe strąki. Basen przez okrągły rok zapychają dwudziestolatki w drogich kostiumach kąpielowych i jeszcze droższych słonecznych okularach. W recepcji za kontuarem wbudowana jest w ścianę szklana gablota, w której leżą opłacane modelki, żeby ludzie się na nie gapili. Serio.

– Co babcia robi w Standardzie? – pytam.

Rachel śmieje się jak głupia.

– Możesz się pośpieszyć?

– Dobra – mówię i idę poszukać pantofli. – Ale serio, jak ona tam trafiła?! – drę się z sypialni.

– No wiesz, podobno koleżanka jej powiedziała o Priceline – dobiega mnie głos Rachel.

– Aha! – wrzeszczę, zaglądając pod łóżko w poszukiwaniu brakującego sandałka.

– No i babcia weszła na stronę, otworzyła mapę i

kliknęła na ten kawałek, który wyglądał mniej więcej w połowie drogi pomiędzy tobą i mną a mamą.

Rachel mieszka niedaleko ode mnie, w Miracle Mile, a mama, odkąd wyprowadziliśmy się z domu i nie potrzebowała już dużego mieszkania, znalazła sobie lokum na wzgórzach. Babcia spokojnie mogła mieszkać u każdej z nas. Wszystkie nas dzieli raptem dwadzieścia pięć minut, jeśli jechać bocznymi drogami. A zawsze jeździmy bocznymi drogami. Powiem więcej: znalezienie możliwie najbardziej wyszukanych sposobów dojazdu od jednej do drugiej to w naszej rodzinie najchętniej uprawiana dyscyplina sportu. W stylu: „Ojejku, jechałaś cały czas Laurel Canyon? Szybciej byś się przebiła Mount Olympus!”

– Aha – mówię. Znalazłam sandał! Wracam do salonu.

– A potem powiedziała, ile jest gotowa wydać.

– Jasne.

– I zgodziła się zatrzymać w dowolnym hotelu, który będzie odpowiednio tani.

– No dobra, ale Standard jest raczej niezbyt tani!

– To znaczy, że musiała być gotowa zapłacić kupę kasy. Bo właśnie tam ją umieścili.

– Spodziewała się, że to coś w rodzaju, ja wiem, Hiltona albo co?

– Też tak myślę.

Wybucham śmiechem. Moja babcia jest całkiem do rzeczy. Dobrze wie, co i jak. Ale tak rozkosznie zrzędzi,

jeśli chodzi o sprawy, które określa jako „niedorzeczność”. Kiedy się z nią ostatnio widziałam, opowiadałam jej, jak zamawiamy z Ryanem pizzę, używając aplikacji w telefonie, a ona na to: „Złotko, to niedorzeczność. Czy nie możecie, psiakość, wziąć telefonu do ręki?”

– Pewnie się nie spodziewa czegoś takiego jak modelka w szklanej gablocie.

– Oj, nie – śmieje się Rachel.

– Dobra, to jestem gotowa. Załatwmy to i miejmy to z głowy. – Otwieram przed Rachel frontowe drzwi, po czym macham Thumperowi i też wychodzę.

– A tak w ogóle to wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – mówi Rachel, kiedy idziemy do jej samochodu.

– Dziękuję.

– Dostałaś moją wiadomość głosową? – pyta.

– A jakże. Wiadomość głosową, SMS-a, mejla i post na Facebooku.

– Nie da się ukryć, że jestem wszechstronna.

– Dzięki – odpowiadam, gdy wsiadamy. Miło było być przez cały dzień bombardowaną jej życzliwymi myślami. Dostałam też życzenia mejlowe od znajomych. Mila zabrała mnie na tajskie żarcie. Dzwoniła mama. Dzwonił Charlie. To był dobry dzień. Ale mój mózg skoncentrowany był wyłącznie na tym, że nie zadzwonił Ryan. Nie powinno to być dla mnie niespodzianką. Przecież powiedział, że nie będzie dzwonić. Ale tylko o

tym potrafiłam myśleć. Ilekroć słyszałam „biiip” telefonu albo dostawałam nowego mejla, miałam nadzieję. Może się nie oprze. Może będzie musiał zadzwonić. Może zapragnie usłyszeć mój głos.

Bez niego to jakby nie urodziny. Powinien był, jak co roku, obudzić mnie, mówiąc: „Wszystkiego najlepszego, solenizantko!” Powinien był zaprosić mnie gdzieś na śniadanie. Powinien był posłać kwiaty do pracy. Powinien był przyjść po mnie do pracy w południe i zabrać mnie na lunch. Zawsze wkładał tyle wysiłku w moje urodziny. Głównie dlatego, że wiedział, że nie cierpię urodzin. Nie lubię cieszyć się na komendę. Nie lubię być coraz starsza. A on cały dzień odwracał moją uwagę za pomocą specjalnych prezentów i wyrafinowanych pomysłów. Któregoś roku wysłał mnie do pracy z ośmioma kartkami urodzinowymi, tak żebym co godzinę mogła przeczytać jedną z nich.

W tej chwili powinien przyrządzać dla mnie kolację. Byłby to, jak zawsze, Magiczny Makaron z Krewetkami à la Ryan. Z tego co się orientuję, jest to zwykłe shrimp scampi, ale zawsze smakuje wyśmienicie. I jadamy to wyłącznie w moje urodziny. I zawsze potrafił to tak zaaranżować, że nie mogłam się doczekać moich urodzin. Bo na kolację miał być Magiczny Makaron z Krewetkami à la Ryan. Potrafił uwolnić mnie od własnych myśli. Potrafił sprawić, że byłam szczęśliwsza, zmienić mnie w szczęśliwszego człowieka. A gdzie jest teraz?

Na moment przychodzi mi do głowy, że być może jest tam. Na przyjęciu. Może wszyscy wiedzą, tylko ja nie. Może na mnie czeka.

Rachel włącza radio, wymiatając mi z głowy własne myśli. Jestem jej wdzięczna. Kiedy zjeżdżamy z autostrady, ścisza muzykę.

– Nie będzie tak źle – mówi, kiedy zbliżamy się do okolicy, gdzie mieszka matka.

– Wiem – odpowiadam. – Będzie jak na improwizowanej komedii. Ciężko ją wytrzymać, ale nie zagraża życiu ani zdrowiu.

– No. I jeśli cię to może jakoś pocieszyć, wszyscy przyszli, bo cię kochają.

– No.

Rachel podjeżdża pod dom matki. Skręca koła i zaciąga hamulec bezpieczeństwa. Ulice są tu strome i pełne wybojów. Trzeba uważać, gdzie się parkuje i gdzie się stąpa. Wyglądam przez okno na dom mamy. Ona i przyjęcie? W życiu. Za firankami salonu dostrzegam łysą czaszkę wuja Fletchera.

– Dobra – mówię. – Uwaga, zaczynamy!

Podchodzimy do drzwi wejściowych i dzwonimy. Chyba taka jest zasada. Wszyscy w domu cichną. Nie wiem, ile osób jest w środku, ale wystarczająco, żeby robiło to zasadniczą różnicę, kiedy ucichną.

Słyszę kroki mamy. Podchodzi do drzwi i z uśmiechem otwiera. Nie wiem, czemu w samochodzie byłam taka sentymentalna. Przez dwa ostatnie lata Ryan

wcale mi nie przyrządził Magicznego Makaronu z Krewetkami à la Ryan. Pokłóciliśmy się, czy krewetki są dostatecznie ugotowane, i od tamtej pory dał sobie spokój.

Rachel i mama patrzą na mnie wyczekująco. I wtedy się rozlega, głośniejsze i agresywniejsze, niż mogłabym sobie wyobrazić:

– NIESPODZIANKA!

Spodziewałam się tego, a jednak jestem w szoku. Ile tu ludzi! To przytłaczające. Tyle oczu na mnie patrzy, tyle osób świdruje mnie wzrokiem. I żadna z nich, żadna z nich nie jest Ryanem.

Zbiera mi się na płacz. Ale może dlatego, że wiem, że nie wolno mi płakać, bo wszystko zepsuję, jeśli będę płakać, podnoszę głowę, uśmiecham się i łzy się cofają. I mówię:

– O Boże! To nie do wiary! Jestem najszczęśliwszą dziewczyną na świecie!

Kiedy cichną fanfary, robi się łatwiej. Ludzie przestają na mnie patrzeć. Zwracają się do siebie i zaczynają rozmawiać. Idę do kuchni, żeby zrobić sobie drinka. Spodziewam się jakiegoś wina i piwa, tymczasem tuż przede mną na kuchennym blacie stoi waza ponczu.

– Podrasowałem go – słyszę z tyłu głos Charliego.

Odwracam się. Wygląda niemal tak samo, jak kiedy go widziałam parę miesięcy temu. Zmężniał od czasu, gdy był nastolatkiem, rozrósł się wszerek, a nie wzdłuż.

Wygląda, że stał się luzakiem, jeśli chodzi o golenie, a tłuście włosy sugerują, że mógł stać się luzakiem także w kwestii używania szamponu, ale niebieskie oczy są świetliste jak dawniej. Jak to miło zobaczyć przed sobą twarz brata! Ściskam go.

– Cieszę się, że cię widzę – mówię. – Skoro już ta dziwna impreza musiała się wydarzyć, to choć tyle dobrze, że dzięki temu przyjechałeś w końcu do domu.

– No – odpowiada Charlie. – Jak tam u ciebie?

– W porządku – kiwam głową. Wciąż czuję się niezręcznie w roli tej, co przechodzi kryzys. To Charlie jest zwykle w jakichś dramatycznych kłopotach. To ja powinnam wysłuchiwać jego problemów. A nie na odwrót.

– To fajnie. – Wygląda, że chętnie na tym poprzestanie. Być może równie niezręcznie czuje się w roli wspierającego, jak ja w roli potrzebującej wsparcia.

– Jak tam lot? – pytam.

Charlie otwiera lodówkę i bierze sobie kolejne piwo.

– Dobrze – mówi, nie patrząc na mnie. Zdejmuje kapsel i celuje nim prościutko do kosza. Czasem mnie martwi, że zbyt dobrze mu idzie trafianie kapslem do celu. To coś, co wymaga wprawy, i niepokoję się, że być może wprawia się zbyt często.

– Coś przede mną ukrywasz – mówię. Nalewam sobie chochlą do plastikowego kubka trochę ponczu. Jestem pewna, że zakupy na to przyjęcie mama robiła w Party City.

– Nie, skąd. Lot był w porządku. Widziałaś serpentyny w jadalni?

– Jaja sobie robisz? No to jestem winna Rachel pięć baksów – mówię w poczuciu klęski. Pociągam łyk ponczu... Mocny! I okropny. – Jezu, naprawdę go podrasowałeś.

– Jasne że podrasowałem. Przecież mówiłem. – Charlie z piwem w ręce wychodzi z kuchni i wraca do salonu. Pociągam następny łyk ponczu. Pali przełyk. Ale ten drink to moja linia obrony przed litaniami pytań, jakie mnie czekają. Z kubkiem w ręce wychodzę z kuchni i ja.

Do dzieła.

– A gdzie jest Ryan? – pyta najlepsza przyjaciółka matki, Tina. Wymyślam coś na temat pracy.

Następnie włącza się mój kuzyn w drugiej linii, Martin.

– Co tam słyszeć u ciebie i Ryana? – Mówię, że wszystko w porządku.

Nie wygląda, żeby było tu zbyt wielu moich znajomych. Nikt nie zaprosił na przykład Mili. Są tylko znajomi mamy i niemal cała rodzina. Pół godziny mija mi na odpieraniu życzeń urodzinowych i pytań o Ryana, tak jakby to były kule. Ale wiem, że dopiero babci Lois powinnam się tak naprawdę bać. To ona trzyma w zanadrzu najbardziej przerażające pytania. Wszyscy ci winszujący to złośliwe grzyby i żółwie, które muszą przeskoczyć lub rozdeptać; babcia to król Koopa, czekający na mnie na końcu drogi. Co mnie pociesza w

tej analogii, to że Rachel i Charlie są moimi Luigimi. Oni też będą musieli przez to wszystko przejść kiedyś w przyszłości. Może zrobią to inaczej niż ja, ale najprawdopodobniej końcówka będzie taka sama.

Tak czy owak, chyba lepiej będzie, jak już to wszystko będę miała z głowy, ruszam więc na poszukiwanie babci. Znajduję ją samą na sofie. Pociągam ekstra duży łyk ponczu, po czym siadam koło niej. Piekący płyn spływa mi do żołądka.

– Cześć, babciu – mówię i obejmuję ją. Ledwie jest w stanie unieść się z kanapy, więc robię to za nią głównie ja. Wydaje mi się, że kiedy się starzejemy, ciało przybiera jedną z dwóch postaci: staje się albo eterycznie chude, albo przyjemnie pulchne. Moja babcia poszła drogą przyjemnej pulchności. Twarz ma okrągłą i miłą. W oczach nadal ma blask. Brzmi to trochę tak, jakbym opisywała Świętego Mikołaja, a to dlatego, że faktycznie jest trochę podobieństwa. Śnieżnobiałe włosy babci są dziko rozwichrzane. Ale kiedy się śmieje, brzuch się jej nie trzęsie jak galareta. Myślę, że to istotna różnica.

Siadam odrobinę za blisko niej i kanapa zaczyna się zapadać. Obie zjeżdżamy w tę stronę. Ale odsunąć się byłoby nieuprzejmie.

– Odsuń się, kochanie – prosi babcia. – Bo zjeżdżam z kanapy.

– Oj, przepraszam, babciu. – Odsuwam się ku środkowi. – Jak się masz?

– No cóż, rak wraca, ale poza tym wszystko dobrze.

Babcia zawsze ma raka. Tak naprawdę nie wiem, co to znaczy. Właściwie nigdy tego nie wyjaśniła. Mówi tylko, że ma raka, ale kiedy zadajesz pytania, nie mówi konkretnie, co to za rodzaj raka ani czy została zdiagnozowana przez lekarza. Zaczęło się to sześć lat temu po śmierci dziadka. Najpierw się sprzeciwialiśmy, kiedy to mówiła, ale teraz sobie odpuszczamy. To takie rodzinne dziwactwo, którego nawet nie zauważam, dopóki świadkiem nie jest ktoś z zewnątrz. Parę lat temu zaprosiliśmy na Święto Dziękczynienia przyjaciela Ryana, Shawna, i kiedy wracaliśmy, Shawn spytał: „Wasza babcia ma raka?” Wtedy zdałam sobie sprawę, że pewnie wydało mu się to niezrozumiałe: babcia ogłasza, że ma raka, a nikt nawet nie mrugnie! Mam wrażenie, że ona liczy na tego raka, tak żeby mogła pójść tam, gdzie dziadek.

– W domu wszystko dobrze? Z wujkiem Fletcherem?
– pytam.

– Doskonale. Jestem nudna, Lauren, przestańmy mówić o mnie. To, co mnie interesuje, to... – A więc nadchodzi. Chwila, której się bałam. – Kiedy z tym twoim przystojnym mężem zamierzacie dać mi prawnuka?

– No wiesz, babciu, jak to jest – mówię, pociągając poncz, żeby zyskać trochę czasu.

– Nie, złotko, nie wiem, jak to jest. Masz trzydzieści lat. Nie zostało ci tak znów wiele czasu.

– Wiem...

– Nie chcę być przykra czy się wtrącać. Tylko wiesz, ja nie będę z wami wiecznie, a chciałabym jeszcze mieć trochę radości, zanim odejdę.

Czy babcia ma raka, czy nie, ma osiemdziesiąt siedem lat. Być może niewiele jej zostało. Nagle zdaję sobie sprawę, że jestem jej jedyną szansą na to, by doczekała się prawnuka. Wuj Fletcher nie ma dzieci. Rachel raczej nie będzie miała dziecka w najbliższym czasie. Charlie? Dajcie spokój... A ponieważ moje małżeństwo okazało się megakatastrofą, ponieważ tak dalece nie mam kontaktu z mężem, że nawet nie wiem, gdzie mieszka, to może się nie doczekać. Ja. To ja jestem przyczyną, że nie zdąży poznać następnej generacji. A mogłabym jej to umożliwić, gdyby tylko udało mi się małżeństwo, gdybym go nie spała.

– Dobrze – zgadzam się, sącząc ostatni łyk. – Porozmawiam z Ryanem.

– Wiesz, dziadek mówił, że nie jest gotów na dzieci.

– Tak? – podchwytyję z ulgą, że mówi o czymś innym niż ja. – No i jak się udało?

– Co mógł na to poradzić? Była pora, żeby mieć dzieci.

– Tak po prostu?

– Tak. – Babcia klepie mnie w kolano. – Wszystko jest dużo prostsze, niż się wam, dzieciakom, wydaje. Sami wszystko komplikujecie. Nawet czasem twoja matka, słowo daję.

– Wygląda, że mama dobrze sobie radzi – mówię. Widzę ją w drugim końcu pokoju, jak rozmawia ze starszym dżentelmenem. Jest wysoki i przystojny, w stylu srebrnego lisa. Patrzy na nią, jakby miała jakiś sekret, a on chciałby się dowiedzieć, co to takiego. – To Bill, tak?

Babcia mruży oczy.

– Nie mam okularów. Czy to przystojny mężczyzna?

– O, tak – przyznaję. – Jak na starszego pana...

– Jak na młodszego pana, chciałaś powiedzieć – żartuje.

– Tak, to właśnie chciałam powiedzieć.

– Jeśli patrzy na nią, jakby była hamburgerem, a on był na diecie, to tak. To Bill. Poznałam go dziś trochę wcześniej i cały czas patrzył na twoją matkę tak, jakby byli nastolatkami.

– O – mówię. – To cudownie!

Babcia macha ręką.

– Twoja matka ma prawie sześćdziesiąt lat. Nie jest nastolatką.

– A wierzysz w miłość, babciu? – Po co ja to mówię? Trochę mi się kręci w głowie, jeśli mam być szczerą, i pewnie przez to.

– No oczywiście! Za kogo ty mnie masz? Za jakiegoś potwora bez serca?

– Nie, tylko po prostu... – Znowu patrzę na matkę. Wygląda na autentycznie szczęśliwą. – Czy to nie wspaniałe? Że tak się kochają?

– To niedorzeczność – mówi babcia. – Przecież ona się niemal kwalifikuje do zasiłku socjalnego z racji wieku.

– A ty kochałaś dziadka przez cały czas? – Może nie cały. Może jestem taka jak ona. Może ona jest taka jak ja. Skończyć tak jak babcia – to nie byłoby takie złe.

– Przez cały czas – mówi. – Każdego dnia.

Dobra, więc może i nie.

– Jak to możliwe?

– Jak to jak? Nie miałam wyboru. I tyle.

Patrzę na moją mamę, kobietę, którą szanuję i podziwiam. Kobietę z trojgiem dzieci, bez męża, za to w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat z nowym chłopakiem. Tej nocy będzie się z nim kochać. Będą mieć taki seks, który sprawia, że człowiek czuje się tak, jakby sam wymyślił seks. A moja babcia położy się spać w hotelowym pokoju, przekonana, że ma raka i że niedługo znów będzie z mężczyzną, którego kochała, bo nie miała wyboru, który troszczył się o nią i był z nią aż do śmierci, który dał jej dzieci i codziennie, wracając do domu, całował ją w policzek.

Nie wiem, do której wersji pasuję. Nie wiem, którą z tych kobiet jestem. Może żadną. Ale miło byłoby czuć się jedną z nich. Miałabym wtedy mapę drogową. Wiedziałabym, co dalej. Mogłabym spytać kogoś, co robić, i dostałabym odpowiedź, na pewno dostałabym odpowiedź.

A jeśli nie jestem żadną z nich, jeśli jestem sobą,

moją własną wersją kobiety, w moim własnym małżeństwie, wówczas muszę ją wymyślić sama.

Na co naprawdę nie mam ochoty.

Właśnie wychodzę z łazienki, gdy w końcu natykam się na Rachel.

– Jesteś mi winna pięć dolców za serpentyny.

– Dobra, oddam – mówię.

– Jak sobie radzisz?

– Masz na myśli tę moją gierkę?

– No. I całą resztę.

Biorę głęboki oddech.

– Dobrze – mówię. Nie wiem, jaka jest prawdziwa odpowiedź. Ale raczej nie taka.

– Poznałaś już Billa?

Kręcę głową.

– Nie. Ale na odległość wygląda przyjemnie.

– O, on w ogóle jest przyjemny. I traktuje mamę jak księżniczkę. Troszkę to dziwne... to znaczy, to wspaniałe. Ale też troszkę tak, że masz ochotę powiedzieć: „Ekhm, mamó”. A ona to łyka. Oj, no wiesz, jaka ona jest... Po prostu uwielbia być ośrodkiem uwagi.

– No cóż, znasz mamę – odpowiadam. – Idę po następnego drinka.

Rachel zawraca i idziemy do kuchni. Otwieramy drzwi, a tu mama całuje się z Billem. Bill puszcza ją i cofa się gwałtownie, mama się rumieni. Głowę dam, że trzymał rękę pod jej bluzką. Przez chwilę stoimy tak z

Rachel, a tymczasem wbiega Charlie i wpada na nas od tyłu. Mama zaczyna poprawiać włosy. Bill stara się zachowywać normalnie. Charliemu nietrudno się domyślić, co go ominęło. Niby dozwolone od lat trzynastu. Ale to matka i jej kochaś złapani na gorącym uczynku przez troje dorosłych dzieci, więc troszkę to niezręczne.

– Cześć, dzieciaki – mówi mama, tak jakby szykowała obiad. Bill wyciąga do mnie rękę, żeby się przedstawić.

– Bill – mówi, ściskając mi mocno dłoń. Oczy ma zielone. Włosy – sól z pieprzem, ale więcej soli niż pieprzu. Uśmiech jeden z tych megawatowych.

– Lauren – odpowiadam, nawiązując z nim kontakt wzrokowy i uśmiechając się, tak jak mnie uczono.

– Wiem! Dużo o pani słyszałem.

– Ja o panu też.

– Rachel, może byś mi pomogła zanieść do salonu ten półmisek serów? – rzuca mama.

– Jasne – zgadza się Rachel z uśmiechem. Wyraźnie ma wielką uciechę z oglądania całej tej niezręczności, tylko popcornu jeszcze jej brakuje. Bierze tacę i wychodzi za matką.

– Przyszedłem tylko po piwo – mruczy Charlie, łapie z lodówki kolejną butelkę i znika. Nawet nie traci czasu na celowanie kapslem do kosza. Dwie sekundy i już go nie ma. Teraz jest tylko Bill i ja.

– Wszystkiego najlepszego – mówi Bill.

– O, bardzo dziękuję – odpowiadam. Czemu to jest takie niezręczne? Chyba dlatego, że zazwyczaj nie miałam do czynienia z chłopakami mamy. To znaczy wiedziałam, że jakiegoś ma, ale zwykle nie trwało to na tyle długo, żeby ich zapraszać na urodzinową imprezę. – To jest pan mechanikiem samochodowym? – pytam. Nie wiem, o co innego mogłabym zapytać.

– Och, nie – mówi. – Poznaliśmy się u mechanika. To chyba tam zaiskrzyło... Nie, jestem doradcą finansowym.

– Ach tak... Przepraszam, nie wiedziałam. Zabawne, jak mogłam pomyśleć, że jest pan mechanikiem.

– Nie ma sprawy. Miło byłoby myśleć o sobie jako o mechaniku. Niczego nie potrafię naprawić.

– Czyli nie jest pan typem faceta, który naprawi cieknący kran?

– Mogę pani pomóc w sprawie podatków – odpowiada. – Takim typem faceta jestem.

Stojąc tyłem do blatu, wspiera się o niego rękami, a potem tułowiem. Ta rozluźniona pozycja sprawia, że i ja się rozluźniam, ale zarazem uświadamiam sobie, że chce ze mną trochę pogadać. Zaczyna się czuć swobodnie. Chyba... Chyba chce mnie lepiej poznać.

– A pani pracuje w Wydziale Absolwentów, zgadza się? Tak mówiła pani mama.

– Tak – odpowiadam. – Bardzo to lubię.

– A co w tym jest takiego, co pani lubi?

– Ach, no więc... lubię kontakty z dawnymi

studentami. Poznaje się mnóstwo ludzi, którzy niedawno skończyli studia i chcieliby, żeby pokierował nimi ktoś ze starszych absolwentów, a z drugiej strony – są ludzie, którzy skończyli uczelnię dawno temu i chcieliby służyć komuś radą i pomocą. To jest fajne.

– Inspiruje mnie pani, żebym i ja zadzwonił do mojej alma mater – mówi ze śmiechem. – Wygląda na to, że robi pani dobrą robotę.

Zaryzykuję stwierdzenie, że Bill był przez wiele lat żonaty, a mama jest jego pierwszą albo jedną z pierwszych przyjaciółek. Wszystko to jest dla niego zupełnie nowe.

– Pan też ma dzieci? – pytam.

Kiwa głową, a twarz mu się rozjaśnia.

– Czterech chłopaków. To raczej już faceci... Thatcher, Sterling, Campbell i Baker.

Jezu Chryste. Najokropniejsze imiona, jakie kiedykolwiek w życiu słyszałam.

– O, wspaniałe imiona – mówię.

– Nie – zaprzecza. – Imiona są do kitu. Ale to rodzinna tradycja. Ze strony żony. Mojej zmarłej żony, oczywiście. Ale tak czy owak, to fajne dzieciaki. Najmłodszy właśnie skończył Berkeley.

– O, to świetnie.

Rozmawiamy o Rachel i Charliem, po czym, jak można było przewidzieć, pojawia się temat matki.

– To niezwykła kobieta – mówi Bill.

– O, niewątpliwie.

– Nie, mówię serio. Nie jestem... nie jestem zbyt doświadczony, jeśli chodzi o randki, ale pani mama autentycznie daje mi nadzieję. Sprawia, że znowu czuję bluesa. Nie razi pani, że to mówię?

– Nie, skąd. Miło to słyszeć. Mama zasługuje na kogoś, kto będzie dla niej czuł coś takiego.

– Pani też to zna, prawda? Z tego, co mówiła mama, jesteście z Ryanem bardzo dobraną parą.

Za dużo tego wszystkiego. Zakochana matka. Ten tu facet, który nie wiadomo dlaczego obnaża przede mną duszę. Ryan, którego nie ma. Za dużo tego wszystkiego. Podchodzę do wazy z ponczem i nalewam sobie kubek. Waza jest pełna. Mama musi ją uzupełniać na bieżąco. Opanuj się, mamo. Nikt nie lubi ponczu. Upijam łyk i momentalnie przypominam sobie, jaki jest mocny i jaki ohydny. Wydudlam na siłę cały kubek i odstawiam pusty na blat.

Bill patrzy na mnie.

– Dobrze się pani czuje?

– Doskonale. – Niech mi przestaną, cholera, w kółko zadawać to pytanie! Moja odpowiedź i tak się nie zmieni.

Do czasu gdy pojawia się tort, zaliczam jeszcze dwa kolejne kubki. Mam uczucie, że zionę ogniem. Gdy mama i reszta rodziny gromadzą się wokół tortu, pełnego migocących świec, rozglądam się wokół i nagle doznaję uczucia, że widzę wyraźnie jak na dłoni, jak gównianym spektaklem stało się moje życie.

Kończę trzydzieści lat. Mam trzydziestkę. I obchodzę

ją nie z mężczyzną, którego kochałam od dziewiętnastego roku życia, lecz z wujem Fletcherem, który przygląda mi się z przeciwnej strony stołu. Po prostu ma ochotę na tort. Nie tak powinna wyglądać trzydziestka. Nie tak powinnam się czuć, obchodząc trzydziestkę. Do trzydziestki człowiek powinien już wiedzieć, co i jak, no nie? A nie kwestionować wszystko, na czym zbudował swoje życie.

Zdmuchuję świece i świat zaczyna mi się troszkę rozmywać. Mama zaczyna kroić i podawać tort. Wuj Fletcher bierze największy kawałek. Ja niechcący upuszczam mój na podłogę, a że nikt nie patrzy, po prostu go tam zostawiam. To okropne, ale mam uczucie, że jak się schylę, w głowie zakręci mi się do reszty.

W końcu znajduje mnie Rachel.

– Niespecjalnie wyglądasz – mówi.

– Niespecjalnie miło słyszeć coś takiego.

– Nie, serio. Jesteś jakaś blada.

– Jestem pijana, kobieto. Tak właśnie wygląda człowiek pijany.

– A co piłaś?

– Poncz! Ten cudownie ohydny poncz.

– Piłaś to?

– No przecież wszyscy pili!

– Nie – mówi Rachel. – Ja nie zdołałam przełknąć nawet łyka. Był niedobry. Nie sądzę, żeby ktoś to pił.

Rozglądam się po pokoju i po raz pierwszy zauważam, że nikt nie trzyma w ręce nic oprócz szklanki

z wodą albo butelki piwa.

– To rzeczywiście dziwne, że waza była zawsze pełna – zauważam.

Rachel woła Charliego. Nadchodzi spacerkiem, tak jakby robił łaskę.

– Coś ty dolał do tego ponczu?

– A bo co?

– Bo Lauren pije to przez cały wieczór.

– Ohoho – mówi filuternie Charlie.

– Charlie, coś ty tam dolał? – Głos Rachel jest teraz poważny. Sprawa bynajmniej nie wydaje się jej zabawna.

– Na swoją obronę mogę powiedzieć, że po prostu chciałem ożywić to, co, jak wszyscy wiedzieliśmy, zapowiadało się na obciachową imprezę.

– Charlie! – mówi srogo Rachel.

– Everclear^[5].

Słowo zawisa na chwilę w powietrzu, po czym Charlie mnie pyta:

– Ile wypiałś?

– Cztery szkła-szklankiiii... – Ciężko byłoby to powiedzieć, gdybym była w pełni władz umysłowych. A tak to tylko potykam się na początku, a na końcu pojawia się więcej „i”, niż zamierzałam.

– Szlag – mówią jednocześnie Charlie i Rachel zgodnym, choć przypadkowym chórem.

– Serio myślałem, że ktoś wypije szklaneczkę, no, góra dwie – ciągnie Charlie.

– Ludzie, ale cóż to takiego Everclear? Mielkie

wecyje. – Nie jestem pewna, czy powiedziałam to prawidłowo, ale zaczynam też mieć poczucie, że naprawdę udało mi się narobić bigosu. To zabawne, trzeba to ciągnąć dalej!

– Nawet nie we wszystkich stanach jest legalny – mówi do mnie Rachel. – Taki jest mocny. – I, zwracając się do Charliego, dodaje: – Może powinniśmy ją zawieźć do domu.

Choć raz Charlie się nie sprzeciwia.

– Dobra – zgadza się. – Lauren, kiedy ostatni raz puszczałaś pawia po przepiciu?

– Po czym?

– Po przepiciu.

– Nie mam pojęcia.

– Idę powiedzieć mamie, że źle się poczułaś – mówi Rachel. – Charlie, wsadzisz ją do samochodu?

– Ludzie, ale z was czubki! Czubki-dupki. – O, jaki ładny rym mi się trafił! No to jeszcze raz. – Czubki-dupki!

Rachel odchodzi, a Charlie bierze mnie pod rękę i prowadzi do drzwi.

– Naprawdę mi przykro. Słowo daję, myślałem, że ludzie się zorientują, że to mocne, i nie będą pić za dużo. Myślałem, że może wuj Fletcher wypije szklaneczkę czy dwie i zacznie tańczyć na stole albo coś. Że będzie zabawnie.

– Ludzie, ale to było zabawne jak cholera!

– Dlaczego ty wciąż mówisz do mnie „ludzie”? –

pyta Charlie.

Patrzę na niego i uczciwie się zastanawiam. Po czym wzruszam ramionami. Kiedy docieramy do drzwi, zachodzą nam drogę matka i Rachel.

– Odwieziemy ją, mamó – mówi Rachel. Ale matka już przykłada mi rękę do czoła.

– Źle wyglądasz, kochanie. Powinnaś odpocząć. – Po czym przygląda mi się troszkę dłużej. – Czy ty jesteś pijana?

– No! – mówię wesoło. Bo to wesołe, nie? Kończę trzydziestkę, mogę się upić!

– Wzmocniłem poncz – przyznaje się Charlie. Po głosie słysząc, że mu przykro.

– Czym? – pyta mama.

– Był mocny, i w tym cała rzecz – wcina się Rachel. – A Lauren o tym nie wiedziała. No i wypłała troszkę za dużo. Uważam, że powinniśmy ją odwieźć do domu.

– Charlie, o co tu, do cholery, chodzi? – Kiedy mama przeklina, wiadomo, że sprawa jest poważna. To tak, gdy inna matka zwraca się do ciebie pełnym imieniem, a nie zdrobnieniem.

– Myślałem, że będzie zabawnie – tłumaczy się Charlie. – Ale nikt go nie pił.

– Ktoś jednak najwyraźniej pił!

– Widzę, mamó. Powiedziałem, że mi przykro. Możemy dać temu spokój?

– Odwieźcie ją do domu – mówi mama. Mama w zasadzie nie krzyczy. Po prostu jest tobą gruntownie

– Głównie dlatego, że miłość wyparowała – mówię ze śmiechem. Rozglądam się w oczekiwaniu, że i wszyscy inni będą się śmiać, ale nikt się nie śmieje.

– Lauren, błagam... Powiedz, że żartujesz.

– W życiu.

– Od jak dawna to trwa?

– A, jakieś parę tygodni. Nie wiem dokładnie. A chcesz się dowiedzieć, jak to się stało, że dostałam Thumpera?

– Myślę, że powinniśmy odwiedzić Lauren do domu – mówi Rachel. Mama wygląda, jakby chciała się z nią spierać, ale ostatecznie się nie spiera. Całuje mnie w policzek.

– Któreś z was z nią zostanie?

Zgłaszają się oboje, i Charlie, i Rachel. Jak to cudnie. Cudny braciszek, cudna siostrzyczka.

– W porządku – uspokaja się mama. – To dobranoc.

Oboje odpowiadają jej „dobranoc”, a kiedy jesteśmy już za drzwiami, wołam za mamą:

– Niechący upuściłam na podłogę kawałek tortu, gdzieś w kącie! – Ale nie wiem, czy mnie słyszy.

Charlie i Rachel wpychają mnie na tylne siedzenie i dopiero wtedy czuję, jaka byłam przez cały ten czas zmęczona. Stajemy na czerwonym świetle i słyszę, jak Charlie mówi Rachel, żeby pojechała Highland do Beverly Boulevard, a potem odwraca się do mnie i proponuje, żebym się zdrzemnęła. Kiwam głową, zamykam na chwilę oczy, po czym...

Budzi mnie dźwięk dzwonka przy drzwiach. Świat wydaje mi się przymglony, ciężki, tak jakbym czuła otaczające mnie powietrze i jakby ciągnęło mnie ono w dół. Próbuję wstać i uprzytamniam sobie, że obok mnie leży w łóżku Rachel. Thumper zwinął się w kłębek w kącie.

Znowu rozlega się dzwonek i słyszę, że ktoś idzie otworzyć. Głowa ciężka jak ołów, mam uczucie, że ledwie się trzyma karku i za chwilę mi się urwie. Brnę ociężale ku drzwiom i zastaję w nich matkę i brata, stojących po przeciwnych stronach. Charlie musiał spać w salonie na kanapie.

– Cześć – mówię. Czuję, jak głos wibruje mi w głowie, pulsuje w oczach i szczęce. Mama i Charlie patrzą na mnie. Mama trzyma kartonową tackę, na której stoją cztery kawy. Za moimi plecami pojawia się Rachel.

– O, to dobrze – zauważa mama, wchodząc. Thumper słyszy jej głos i też przybiega. – Wszyscy już wstaliście.

Podaje Charliemu jeden z kubków.

– Americano – mówi. Charlie bierze z uśmiechem.

– Dzięki, mammo.

Następny kubek wyciąga ku Rachel.

– Odtłuszczone latte.

Na tacy pozostały dwa kubki. Mama bierze swój i odstawia na stolik przy drzwiach, po czym podaje mi ostatni.

– Podwójne espresso. Uznałam, że przyda ci się na rozbudzenie.

Ostrożnie biorę kubek z jej rąk.

– Dzięki, mamó.

Zamyka za sobą drzwi i robi się troszkę cieplej. Wiem, że po południu będzie upał i że będziemy się pocić, ale wrześnie poranki z reguły bywają pochmurne i chłodne. Mam zimne ręce i przyjemnie trzymać w nich gorący kubek.

– A dla Thumpera nie ma kawy? – żartuję. Tymczasem matka – co za matka! – wkłada rękę do torby i wyjmuje z niej plastikową torebkę z bekonem.

– Zostało ze śniadania – mówi. Thumper podbiega, a mama przykuca i go karmi. Głaszcze po łbie, pozwala się lizać po twarzy. W tej chwili czuję, że strasznie ją kocham. Zawsze wie, jak się zachować. Kiedy człowiek się tego uczy? Kiedy się uczy, jak w życiu postępować?

Mama wstaje i patrzy na Rachel i Charliego.

– Może poszlibyście na spacer? – proponuje.

Charlie zaczyna protestować, ale Rachel mu przerywa.

– Jasne – zgadza się. – Zabierzemy Thumpera. – Sięga po smycz, a Thumper jest tak podniecony, że odmówić mu teraz spaceru byłoby okrucieństwem. Charlie przewraca oczami i się poddaje.

– Dobra, niech będzie.

W parę minut są już za drzwiami, których otwarcie i zamknięcie posyła nową falę chłodu w głąb domu.

Mama patrzy na mnie tak, jak patrzyłoby się na umierającego królika.

– Chyba musimy porozmawiać – mówi.

– W porządku – odpowiadam i wracam do sypialni, do łóżka. Pod kołdrą jest ciepło. Patrzę, jak mama rozgląda się po mieszkaniu i odnotowuje brak rozmaitych rzeczy. Ale nic o tym nie wspomina.

– No więc – podejmuje, siadając koło mnie – opowiedz mi, co się stało. – Zdejmuje wieczko ze swojego kubka kawy i dmucha na unoszące się kłęby pary.

Z początku próbuję jej przekazać fakty. Kiedy się wyprowadził. Jak to się zaczęło. Opowiadam jej o kłótni na Stadionie Dodgersów. Opowiadam o uczuciu, że już go nie kocham. Opowiadam, jak rozmawialiśmy o tym, co robić. Opowiadam tyle, ile pamiętam, ile jestem w stanie w tej chwili znieść.

Ale ona chce więcej. Chce poznać nie tylko „kiedy” i „gdzie”, ale także „jak” i „dlaczego”. A ja od tak dawna nie myślę o tych sprawach, że trudno mi zacząć myśleć o nich znowu.

– Czemu mi nie powiedziałaś? – pyta.

– Nie wiem – mówię, kierując spojrzenie na nocną lampkę obok łóżka.

– Ależ tak, wiesz. Wiesz dlaczego.

– Dlaczego? – pytam. Mówi tak, jakby znała odpowiedź.

– Nie, ja nie wiem. – Kładzie nacisk na „ja”. – Ale

wiem, że ty wiesz.

– Chyba to po prostu nie wyszło samo, w sposób naturalny.

– Takie rzeczy nigdy nie wychodzą w sposób naturalny. Czekalaś, aż zapytam, czy nadal jesteście z Ryanem? I wtedy byś odpowiedziała: „Właściwie to, mammo...”?

– Nie chciałam cię rozczarować. Nie chciałam, żebyś pomyślała, że wszystko spaprałam. Potrafię to naprawić. To jeszcze nie koniec. Wciąż jeszcze mogę...

– Co?

– Pozostać mężatką.

– A kto mówi, że nie jesteś?

– No, w tej chwili raczej nie jestem. Ale mogę być.

– Wiem, że możesz, kochanie – mówi mama. – Jeśli ktoś, to z pewnością ty jesteś w stanie osiągnąć wszystko, na cokolwiek się nastawisz.

– Nie, ale wiesz... nie chcę, żebyś myślała, że zawiodłam. Jeszcze nie.

– Jeśli twoje małżeństwo przestało funkcjonować – podejmuje i daje mi znak, że bym nie przerywała, zanim jeszcze zapragnę przerwać – ale zacznie znowu, wiem, że zacznie... no więc jeśli na razie przestało, to nie znaczy, że zawiodłaś.

– Mammo – głos zaczyna mi się łamać – kiedy dokładnie tak jest. Nie wyszło mi. Zawiodłam. Przegrałam.

– Nie ma czegoś takiego jak przegrana czy wygrana.

Takie jest życie, Lauren. Taka jest miłość i małżeństwo. Jeśli jesteś z kimś przez wiele lat i jesteście ze sobą szczęśliwi, a potem postanawiacie się rozstać i być szczęśliwi z kimś innym czy jakoś tak, to nie jest porażka. Po prostu życie. Tak to bywa z miłością. Gdzie tu jest porażka?

– Bo małżeństwo to zobowiązanie do czegoś więcej. To zobowiązanie, że się pozostanie razem. Jeśli nie potrafisz z kimś pozostać, znaczy, że poniosłaś porażkę.

– Boże święty, mówisz jak babcia.

– No, ale czy to nie jest prawda?

– Nie wiem – odpowiada mama. – Ja przecież nic nie wiem o małżeństwie. Byłam zamężna raptem kilka lat, i gdzie on teraz jest?

Gdzie jest teraz mój ojciec? Szczerze mówiąc, rzadko się nad tym zastanawiam. Może ma rodzinę w Dakocie Północnej, a może mieszka na plaży w Ameryce Środkowej. A może jest w książce telefonicznej. Nie mam pojęcia. Nigdy nie sprawdzałam. Nigdy go nie szukałam, bo nigdy nie miałam wrażenia, że mi czegoś brakuje. Odpowiedzi poszukujemy wtedy, gdy mamy pytania. Moja rodzina zawsze wydawała się kompletna. Matka była wszystkim, czego potrzebowałam. Czasem o tym zapominam. To, że jako jedyna faktyczna przywódczyni umiała być dla mnie przewodniczką, umiała być przewodniczką dla całej naszej rodziny, traktuję jako oczywistość.

– Ale tak jak ja to rozumiem – ciągnie – twoje

miłosne życie powinno przynieść ci miłość. Jeśli tak nie jest, chociaż starasz się ze wszystkich sił, jeśli postępujesz uczciwie i słusznie, i uznajesz, że to się skończyło i musisz poszukać miłości gdzie indziej, to... czego więcej świat może od ciebie wymagać?

Myślę o tym, co powiedziała. Chyba tak naprawdę nie wiem, co myślę.

– Po prostu nie chcę, żebyś znieubiła Ryana – mówię.

– Kotku, kocham tego chłopaka jak własne dziecko. Mówię serio. Kocham go. Wierzę w niego. Chcę, żeby był szczęśliwy, tak samo jak chcę, żebyś ty była szczęśliwa. I nigdy nie zganię nikogo za to, że robi coś w imię własnej prawdy. – Czasem mama mówi tak, jakby była gościem Oprah. Może to dlatego, że spędziła dwadzieścia lat na oglądaniu gości Oprah. – Kiedy zaczęłaś się spotykać z Ryanem, polubiłam go, bo widać było, że to dobry człowiek. Nauczyłam się go kochać, bo zawsze stawiał cię na pierwszym miejscu, bo dobrze cię traktował i ufałam mu, że będzie postępował wobec ciebie, jak należy. Nadal jestem przekonana, że robi to, co według niego jest dobre dla was obojga. I to się nie zmieni tylko dlatego, że oboje uznaliście, że już się nie kochacie. Ryan pozostaje dla mnie tym, kim był.

– Znaczy, że to nie jest tak, że jak się z powrotem zejdziemy, to go już nie będziesz lubiła?

Mama śmieje się i wzdycha równocześnie.

– Nie, to nie jest tak. Jedyne, na czym mi zależy, to

żebyście oboje byli szczęśliwi. Gdyby tylko jedno z was mogło być szczęśliwe, wówczas pójde za głosem krwi i wybiorę ciebie. Ale chcę, żebyście byli szczęśliwi oboje. I wierzę, że robicie, co należy, żebyście byli szczęśliwi. Nie ma znaczenia, czy to rozumiem albo czy zrobiłabym to samo na waszym miejscu. Wierzę w was.

Jakie to dziwne, że właściwe słowa we właściwym czasie potrafią tak dodać ducha. Potrafią zmienić stan umysłu. Rozweselić. Jak to dobrze, że Charlie podrasował ten poncz. Jak to dobrze, że powiedziałam mamie.

Słyszę przy drzwiach wejściowych głosy Charliego i Rachel i myślę, że to koniec rozmowy, ale mama woła:

– Dajcie nam jeszcze minutkę, dobrze?

Słyszę, jak Rachel woła z salonu: „Aha!”, po czym zaczyna rozmawiać z Charliem. Głos Charliego jest donośniejszy niż którejkolwiek z nas. Nasze odbijają się od ścian, ale jego przez nie przenika. Słuchając, co jeszcze ma mi do powiedzenia mama, słyszę w tle jego stłumiony śmiech.

– Chcę ci coś jeszcze powiedzieć, Lauren. Nie zdołasz tego ukryć, jasne? Masz być silna, masz być sobą, nie przejmować się, co pomyślą ludzie, i mówić, do cholery, prawdę. Bądź pewna siebie i dumna z tego, co z Ryanem staracie się zrobić.

– A co my staramy się zrobić? – pytam. – Nie rozumiem, co w tym takiego, żebym miała być dumna.

– Staracie się utrzymać małżeństwo. A przy tym

nadal być szczęśliwi. Mnie się to nigdy nie udało. Więc dla mnie to dzielność. Dla mnie jesteście dzielni.

Dziwne to słyszeć, bo od samego początku wciąż się spodziewam, że ktoś powie o mnie: tchórz.

– W porządku! – woła mama. – Możecie przyjść!

Rachel staje w drzwiach. Za nią Charlie, a u stóp ma Thumpera. Patrząc na nich w moim domu i uświadamiam sobie, że już strasznie dawno nie byliśmy razem jako rodzina, tylko my i nikt więcej. Ryan tak dalece stał się częścią mnie, że stał się też częścią naszej wspólnoty. Ale może to dobrze, że w tej chwili nie jest jej częścią. Miło jest popatrzeć na te twarze i pomyśleć: moja rodzina.

Mama zachęca ich gestem ręki, żeby weszli. Siadają na łóżku, a Thumper pakuje się do środka, żeby skupiać na sobie naszą uwagę.

– Wszystko w porządku? – pyta Rachel.

– Wszystko w porządku – potwierdzam. Wygląda, że to wystarczy, aby gładko przejść od moich małżeńskich kłopotów do innych spraw, na przykład co Charlie zamierza zrobić ze swoim życiem (nie ma pojęcia), czy Rachel z kimś się spotyka (a z kim miałyby się spotykać?) i czy Thumperowi nie jest potrzebne kolejne odpchnienie (tak). Charlie odlatuje dziś wieczorem i chyba przez to mama robi się sentymentalna.

– Może spotkamy się dziś u mnie na kolacji? – pyta.

– W rodzinnym gronie?

– Mam samolot o dziesiątej – mówi Charlie.

– Możemy cię zawieźć – proponuję, mając na myśli siebie i Rachel. – Po prostu wyjdziemy od mamy o ósmej.

– To ja podam kolację o szóstej – decyduje mama.

– Podasz kolację? – powątpiewa Rachel. – Znaczy, że masz zamiar sama ją przyrządzić?

Mama marszczy z przyganą brwi.

– Dlaczego wy wciąż zachowujecie się tak, jakbym nigdy w życiu nic nie ugotowała?

Spoglądamy po sobie i wybuchamy śmiechem. Choć jesteśmy rodziną, jesteśmy także trojgiem rodzeństwa i matką. Czasem oznacza to: troje przeciw jednemu.

– Nieraz przecież sama robiłam kolację – ciągnie mama, ignorując nasz śmiech. – Zobaczycie, zrobię coś pysznego.

Wygląda na to, że to ja jestem ta najbardziej miłosierna.

– Jasne, mammo. Załatwione, będziemy o szóstej, gotowi do spożycia pysznej, własnoręcznie przez ciebie przyrządzonej kolacji.

– Ojej, jaka jestem szczęśliwa! Nawet nie umiem wam powiedzieć. Cała trójka dzieciaków u mnie na niedzielnej kolacji! – Wstaje z łóżka. – Babcia i Fletcher odlatują za parę godzin, więc powinnam pójść z nimi na lunch. A potem zrobię zakupy w spożywczym. Jeszcze nie wiem, co podam – ciągnie. – Ale na pewno coś wyśmienitego. – Kiwa głową, przytakując sobie samej. – Po prostu wyśmienitego!

Zbiera swoje rzeczy i żegna się z nami. Odprowadzam ją do auta, żeby jej podziękować za rozmowę.

– Nie potrzebujesz mi dziękować, kochanie – mówi, siadając za kierownicą swojej terenówki. – Mam troje dorosłych dzieci. Mówiąc szczerze, to ulga czuć się potrzebną.

Ściskam ją ze śmiechem przez samochodowe okienko. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że jej potrzebuję, dopóki tego wszystkiego nie powiedziała. Czy to nie głupie?

– Do zobaczenia wieczorem, mamo.

– O szóstej! – woła, ruszając z podjazdu.

Kiwam głową i macham jej na pożegnanie. Patrzę, jak odjeżdża. Auto, takie duże i szybkie, jest w końcu tak daleko, że staje się małe i wolne.

Kolacja jest spaprana, ale nie sędzę, żeby mama to zauważyła. Pomimo przypalonego kurczaka i grudowatych kartofli wszystko inne wydaje się grać. Nikt nie wspomina o Ryanie. Robimy sobie żarty z Rachel. Pytamy o Billa. Charlie wygląda na zadowolonego, że jest tu z nami. Nikt nie wspomina choćby słowem, że kolacja jest okropna. Prawdę mówiąc, chyba nikt specjalnie o to nie dba.

Mama zrobiła za dużo jedzenia. A może po prostu nie jesteśmy w stanie zjeść go zbyt wiele. Tak czy owak, sporo zostało. Zaledwie zebraliśmy ze stołu naczynia i

pochowaliśmy pozostałości do pojemników, przychodzi pora jechać.

– No to kto bierze kurczaka? Charlie? Będiesz jadł w samolocie?

– Chcesz, żebym zabierał na pokład te ptasie zwłoki? Mama ściąga brwi i podaje kurczaka Rachel.

– Ty zjesz, prawda?

– Jasne – mówi Rachel. – Dzięki, mamó. – Spogląda na Charliego i kręci głową. Mama powierza mi fasolkę szparagową i marchewki, a Charliemu wciska pojemnik słodkich ziemniaków.

– Przynajmniej ziemniaki możesz wziąć – mówi, ale Charlie nie ustępuje. I nie bierze. To jedna z tych rzeczy, których nigdy u niego nie rozumiałyśmy albo których on nie rozumie. Czasem należy po prostu wziąć kartofle, podziękować, a potem wyrzucić, kiedy mama nie patrzy.

Żegnamy się i jedziemy. Rachel zgodziła się prowadzić, bo ja wciąż mam kaca po wczorajszym wieczorze. Mam takie uczucie, że wiele dni musi minąć, zanim poczuję się na tyle dobrze, że będę w stanie kierować ciężką maszyną. Charlie ładuje się na przednie siedzenie, więc siadam z tyłu.

Nienawidzę wypraw na lotnisko. LAX to koszmar, ale chodzi o coś więcej. Po drodze ogląda się Los Angeles od najmniej atrakcyjnej strony. Żadnych plaż i zachodów słońca, żadnych palm ani iluminacji. Widzisz tylko centra handlowe i kluby ze striptizem. Piętrowe parkingi i sieciówki 7-Eleven. Jazda na lotnisko oznacza

oglądanie Los Angeles takiego, jakim widzą je wrogowie: nijakie, pozbawione kultury, nudne i sztuczne.

Nie zwracam sobie więc głowy wyglądaniem przez okno. Zamykam oczy i słucham, jak Charlie i Rachel debatują, czy jechać autostradą, czy bulwarem La Cienega. Zwycięża Rachel, ponieważ to ona prowadzi i ponieważ ma rację. O tej porze autostrada będzie przejezdna.

Kiedy docieramy do terminalu, Rachel skręca w lewo, żeby zaparkować.

– Po co masz parkować? Po prostu wyrzuć mnie tutaj – mówi Charlie. Ale choć nie ma to zbyt wiele sensu, w naszej rodzinie nie wyrzuca się ludzi z auta. Płacimy kasę i parkujemy. Przechodzimy przez zatłoczone jezdnie. Odprowadzamy tego, kto leci, aż do bramki bezpieczeństwa. Nie wiem dlaczego.

– Przestań, Charlie – strofuje go Rachel. – Idziemy z tobą do hali.

Charlie przewraca oczami i już-już ma się wkurzyć, ale daje spokój.

– Dobra – ustępuje. – Niech będzie. – A więc może i się nauczył wziąć czasem kartofle.

Parkujemy i wysiadamy. Prawdę mówiąc, nie mamy ze sobą zbyt wiele do gadania. Ale kiedy Charlie przechodzi odprawę i zmierza do bramki, kiedy przychodzi pora się pożegnać, nagle robi mi się smutno, że mój braciszek odlatuje. Jest zawzięty i pajacowaty.

Nie potrafi się do człowieka odezwać jak należy. Podrasowuje poncz Everclearem. Ale to dobry chłopak, o dobrym sercu. I jest moim małym braciszkiem.

– Będzie mi cię brakowało – mówię, ściskając go.

– Mnie ciebie też – odpowiada. – I wiesz, jestem z ciebie dumny... czy coś. O ile ma to jakieś znaczenie.

Nie przyciskam go, tak jakbym chciała. Nie sadzam go na krzesło i nie pytam: „Dlaczego to mówisz? Co tak naprawdę sądzisz o tym, co robię? Uważasz, że dam radę to naprawić? Myślisz, że Ryan do mnie wróci? Czy moje życie jest skończone?” Mówię tylko: „Dzięki”.

Rachel też go obejmuje i Charlie odchodzi. W górę ruchomymi schodami, a potem z powrotem do Chicago, gdzie są pory roku i bywa zimno. Nigdy tego nie rozumiałam. Z całego kraju zjeżdżają ludzie, żeby zaznać naszej słonecznej zimy i łagodnego lata. A Charlie, jak tylko mógł, wyrwał stąd, szukając śniegu i deszczu.

Kiedy wracamy z Rachel do samochodu, gubimy się i lądujemy piętro niżej, w hali przylotów. Wydaje mi się, że hala przylotów jest sympatyczniejsza niż odlotów. Odloty to „żegnaj”. Przyloty to „witaj”.

Mój wzrok pada na obrotowe drzwi, przez które wychodzą pasażerowie. Widzę tatusiów, powracających do domu, do rodziny. Widzę mężczyzn i kobiety w strojach biznesowych, na których czekają kierowcy. Widzę, jak młoda kobieta, prawdopodobnie studentka, rzuca się ku czekającemu na nią młodemu mężczyźnie.

Widzę, jak oplata go ramionami. Widzę, jak całuje go w usta. Widzę na ich twarzach tak dobrze mi kiedyś znane uczucie. Widzę ulgę. Widzę radość. Widzę ten wyraz, który mają na twarzach ludzie, kiedy to, o czym marzyli, w końcu mają przed sobą, dostępne ramionom i koniuszkom palców. Chyba przyglądam się o sekundę za długo, bo dziewczyna się odwraca i na mnie patrzy. Uśmiecham się wstydliwie i odwracam wzrok. Myślę o czasach, kiedy to ja czekałam w hali przylotów na tego jedyne go człowieka, za którym tęskniłam. Teraz to ja jestem panią, która patrzy.

Przez moment myślę, że gdybym zobaczyła w tej chwili Ryana, gdyby się tu teraz pojawił, miałabym na twarzy taki sam wyraz jak ta para. Tak strasznie pragnę wziąć go w ramiona. Ale jak długo by to trwało? Jak długo, zanim powiedziałby coś, co by mnie wkurzyło?

Kiedy w końcu odnajdujemy z Rachel właściwy kierunek, wychodzimy na poziom ulicy i brniemy przez tłumek ludzi, wzywających taksówkę czy wskakujących do aut przyjaciół. Stoimy właśnie na przejściu dla pieszych i czekamy, gdy spostrzegam dwoje ludzi, czekających na wahadłowiec. I w jednej chwili, równie szybko, jak rozpoznałabym w lustrze własną twarz, wiem, na kogo patrzę. W moim umyśle nie ma cienia wątpliwości, że widzę tył głowy Ryana.

W pierwszej chwili nawet nie wydaje się to dziwne, po prostu mózg rejestruje to jako normalne zjawisko codzienności. O, to ten człowiek, co zawsze jest w

poblizu. Jest tutaj. Tyle że tym razem trzyma za rękę szczupłą, wysoką brunetkę. A teraz pochyla się, żeby ją pocałować.

Serce we mnie zamiera. Opada mi szczęka. Rachel rusza przez jezdnię, ale ja stoję nadal jak skamieniała. Rachel ogląda się i napotyka mój wzrok. Idzie za moim spojrzeniem i też to widzi. Ryan. Ryan przed halą przylotów. Ryan. Przed halą przylotów. Całujący Jakąś Kobietę. Serce zaczyna mi bić tak szybko, że niemal je słyszę. Czy można słyszeć własną krew, pulsującą w żyłach? Czy brzmi to jak cichy, gorączkowy gong?

Rachel łapie mnie za rękę i milczy. Jest zdecydowana wyciągnąć mnie z tej sytuacji. Chce, żebyśmy przeszły przez jezdnię. Chce, żebyśmy wsiadły do samochodu. Ale przegapiłyśmy światło i nie możemy się teraz rzucić w ten strumień aut, choć wydaje się to jedynie możliwą do zrobienia rzeczą.

Dobrze, że mnie trzyma za rękę. Obawiam się, że nie starczyłoby mi samokontroli, żeby nie podejść do niego i nie obalić go na ziemię. Skopałabym go i spytałam, czemu mi to robi. Spytałabym, jak może patrzeć na siebie w lustrze. Przysięgam Bogu, to całkiem jak fizyczny ból. To jest fizyczny ból. Przebija mnie na wylot. Po czym światło się zmienia, pojawia się sygnał „idź” i stawiam jedną stopę przed drugą, i posuwam się naprzód, i myślę wyłącznie o tym, jak to boli i którą stopę gdzie postawić. Kiedy docieramy do przeciwnej strony ulicy, kiedy zielony ludzik zmienia się w

czerwoną rączkę „stop”, oglądam się i na niego patrzę. Rozdziela nas teraz morze pędzących aut.

Kiedy na nowo odnajduję go wzrokiem, kiedy oczy skupiają się na jego twarzy, widzę wyraźnie, że się pomyliłam. To nie on. To nie Ryan.

Bez trudu dostrzegam Ryana w tłumie. Potrafię z drugiego pokoju rozpoznać jego zapach. Zaledwie parę miesięcy temu zgubiliśmy się w sklepie spożywczym i choć dzieliło nas parę alejek, zidentyfikowałam go po odgłosie kichania. Ale tym razem, na lotnisku, pomyliłam się. To nie Ryan. Cały ten strach i zazdrość, i zranienie, i ból, tak ostry, że myślałam, że mnie przebiję na wylot – nie były prawdziwe. Wszystko to była tylko wyobraźnia. To niesamowite, naprawdę, co potrafimy wyrządzić sami sobie, bazując na zwykłym nieporozumieniu.

– To nie on – mówię do Rachel.

Zwalnia i patrzy.

– Chwileczkę, serio? – Mruży oczy. – O Boże, faktycznie.

– To nie on – mówię, zdumiona. Puls mi zwalnia, serce się uspokaja. Ale wciąż jestem zdenerwowana i nadmiernie pobudzona. Oddycham głęboko.

Rachel kładzie rękę na piersi.

– Och, dzięki Bogu. Nie chciałabym być skazana na pocieszanie cię w tej sytuacji.

Docieramy do samochodu. Zapinam pas. Opuszczam szybę. Wszystko jest dobrze, mówię sobie. To się nie

wydarzyło.

Ale kiedyś się wydarzy.

Będzie całował inną kobietę, nawet jeśli jeszcze tego nie zrobił. Będzie ją dotykał. Będzie jej pragnął tak, jak mnie już nie pragnie. Będzie jej mówił rzeczy, jakich mnie nigdy nie powiedział. Będzie leżał obok niej, nasycony i szczęśliwy. Ona mu przypomni, jak dobrze jest być z kobietą. I podczas tego wszystkiego w ogóle nie będzie o mnie myślał. A ja, cholera, nic nie mogę zrobić, żeby temu zapobiec.

Przez następne parę dni nie potrafię myśleć o niczym innym. Aż się we mnie gotuje z zazdrości o coś, na czego istnienie nie mam dowodów. Zżera mnie to do tego stopnia, że nie śpię po nocach. W piątek nie potrafię już zatrzymać w sobie tej udreki. Proszę o radę Milę.

– Jak myślisz, czy on już spał z inną? – pytam, gdy robimy sobie herbatę w firmowej kuchni.

– Skąd mam wiedzieć?

– Ale jak myślisz, spał czy nie?

– Może pogadamy o tym przy lunchu? – proponuje Miła, rozglądając się po kuchni w nadziei, że nikt nie słyszy.

– Okej, dobra – mówię.

Idziemy na chińszczyznę i Miła wraca do tematu. Zajęło jej to około czterech minut. Co oznacza cztery minuty dłużej, niż miałabym ochotę czekać, ale nie chcę wyjść na wariatkę.

– Chcesz prawdy? – pyta.

Nie jestem pewna, co odpowiedzieć. Całkiem niewykluczone, że wolę być okłamywana.

– Tak – mówi. – Myślę, że prawdopodobnie spał.

To dla mnie nóż w serce. Nigdy nie byłam o Ryana zazdrosna. Zawsze było zupełnie jasne, że nie pragnie nikogo poza mną. Przez cały czas trwania naszej relacji było oczywiste, że mnie kocha i pożąda. Nigdy nie czułam się zagrożona przez inną kobietę. Był mój. A teraz dałam mu wolność.

– Dlaczego? – chcę wiedzieć. – Dlaczego tak myślisz?

– Po pierwsze dlatego, że jest facetem. To najważniejszy powód. Po drugie, sama powiedziałaś, że nie za często się ostatnio kochaliście. Więc na pewno miał w sobie stłumioną potrzebę seksu. Prawdopodobnie przespał się z pierwszą kobietą, która na niego odpowiednio spojrzała.

Pociągam duży łyk wody. Po czym paroma haustami wychylam cały kubek. Odstawiam go.

– Myślisz, że z ładniejszą ode mnie?

– Skąd, na Boga, mam wiedzieć? Musisz przestać się torturować. Przyjmij do wiadomości, że prawdopodobnie się to zdarzyło. Nieustanne zastanawianie się, czy się zdarzyło, czy nie, to za duży stres. Musisz po prostu założyć, że się zdarzyło, i zacząć sobie z tym radzić. On z kimś sypia. Co zamierzasz z tym zrobić?

– Głównie umrzeć – mówię. Dlaczego to się wydaje o tyle straszniejsze niż odejście? Ciężko było podjąć decyzję o rozstaniu. Ciężko było się rozstać. Ale to? To coś zupełnie innego. To jest druzgocące. To jest... Nie wiem. Mam takie uczucie, jakbym już nigdy w życiu nie miała poczuć się lepiej.

Mila łapie mnie za rękę.

– Nie umrzesz! Będziesz żyć. I o to chodzi. No, dalej! Nie byłaś z nim szczęśliwa. Nie lukrujmy przeszłości. Byłaś głęboko nieszczęśliwa. Sama powiedziałaś, że już go nie kochasz. Idziecie odrębnymi drogami. Jeśli coś, to właśnie to powinno ci pokazać, że czas, żebyś znalazła własną drogę.

– Ale co to znaczy? – pytam. Czy to nie to, co robię?

Mila odkłada widelec. Przechodzi do rzeczy.

– Co robisz w ten weekend? – pyta z naciskiem. – Masz jakieś plany na dziś wieczór?

– No... wypożyczyłam z biblioteki nową książkę – mówię. Mila wykrzywia się, ale mi nie przerywa. – A poza tym słyszałam, że do LACMA^[6] można jutro wejść za friko, więc być może się przespaceruję. Już dość dawno nie byłam.

To ostatnie wymyśliłam. W ogóle nie zamierzałam iść do LACMA. Nie byłam tam od czasu studiów. I raczej nie mam zamiaru zaczynać teraz. Po prostu nie chcę się przyznać, że nie mam w ogóle żadnych planów.

– Aha. – Mila nie jest zanadto oszołomiona.

– Co aha?

– To prawie tak jak u mnie, tyle że zamiast do muzeum sztuki, zamierzam pójść z Brendanem i Jacksonem podciąć włosy.

– No i?

– Ja jestem w związku i wychowujemy bliźniaki, a ty jesteś singielką.

Singielką? Nie. Nie jestem singielką.

– Nie jestem singielką – mówię. – Jestem... zamężna, tylko...

– W separacji?

– Och, co za straszne słowo. – Nie wiem, dlaczego to słowo jest straszne. Po prostu ta zbitka spółgłosek i samogłosek mi nie pasuje.

– Jesteś singielką, Lauren. Mieszkasz sama. Nie masz nikogo, kto oczekuje, że będziesz gdzieś w określonym czasie.

– No, czasem Rachel... – Nawet nie kończę zdania. – Dobra, jestem singielką – zgadzam się. – I co z tego?

– Wyjdź z domu! Idź się upij i przeleć jakiegoś faceta.

– O Boże!

Nie wiem, czemu to dla mnie takie szokujące. Chyba dlatego, że ona mówi o mnie. O mnie. To znaczy wiem, że tak się robi. Idzie się do baru, spotyka jakiegoś nieznanego i w ogóle bez randek, czy po tylu randkach, ile człowiek potrzebuje, żeby się usprawiedliwić przed samym sobą, ma się z nim niezobowiązujący seks. Jasne, wiem. Ale sama nigdy

tego nie zrobiłam. Nigdy właściwie nie miałam okazji. A teraz niby mam okazję, ale mam takie uczucie, jakbym przegapiła linię startu do tego typu rzeczy i wyścig odbywa się beze mnie. Zbieram się do kupy i patrzę na Milę, ale jej twarz się nie zmienia.

– Mówię serio – ciągnie. – Musisz ruszyć się z martwego punktu. Potrzebny ci jest romans czy coś w tym stylu. Powinien cię ktoś przelecieć. Ktoś inny niż Ryan. Powinnaś zobaczyć, jak to jest z kimś innym. Spałaś w ogóle w życiu z kimś oprócz Ryana?

– Tak – mówię cokolwiek obronnie. – Miałam chłopaka w liceum.

– I to wszystko?

– Tak! – mówię, teraz zdecydowanie obronnie. – A o co chodzi?

– To po prostu za mało.

– Wystarczy!

Mila kręci głową i odkłada widelec. Próbuje innego podejścia.

– Pamiętasz, jak to było za pierwszym razem, kiedy całowałaś się z Ryanem?

– No – mówię i w jednej chwili mam wrażenie, że cofnęłam się do tej chwili. Przechyliłam się nad stolikiem, nad talerzem z burgerem i frytkami. I go całuję... I wspominam, jak to było, kiedy on mnie pocałował. Kiedy całował mnie w drodze do domu. Kiedy całował mnie na pożegnanie. Nawet później, gdy całowanie stało się dla nas jak oddychanie, co robiło się

bez refleksji, niedbale, miałam w pamięci tamte pierwsze pocałunki. Delektowałam się wspomnieniem chwili, gdy nasze wargi się zetknęły, a ja zapomniałam o całym świecie.

– Pamiętasz, jak to fantastycznie smakuje – pierwszy pocałunek? Jaki jest elektryzujący? Jakbyś mogła czubkami palców zasilić w energię cały dom?

– Widać, że sporo o tym myślałaś.

– Po prostu uwielbiam początek relacji – mówi tęsknie Mila. – Kiedy Christina pierwszy raz mnie pocałowała... To się nie da opowiedzieć. Teraz ją całuję i to jest coś w stylu: „Hej, jak się masz? Co tu tak śmierdzi? Śmieci?”

Obie wybuchamy śmiechem.

– Tak czy owak, jaram się myślą, że ty masz szansę znowu poczuć coś takiego. Możesz kogoś poznać i znowu poczuć te motylki w brzuchu. Jeśli tylko zechcesz.

– Nie, nie mogę – odpowiadam. – Mam męża, do którego powinnam wrócić.

– Taaa, za dziesięć i pół miesiąca. Niektóre małżeństwa nawet nie trwają dziesięć i pół miesiąca! Możesz mieć romans, Lauren. Romans, który sprawi, że poczujesz się, jakbyś znowu miała dziewiętnaście lat. Na twoim miejscu to właśnie bym zrobiła.

Przez chwilę milczę, pozwalając, by te słowa wybrzmiały. Zastanawiam się. Brzmi to w pewnym sensie przyjemnie, ale zarazem przerażająco i jakoś

tak... bałaganiarsko. Jak ja mogę mieć romans, skoro jestem mężatką? Jak zdołam lawirować pomiędzy dwiema ważnymi relacjami? Aktywnym romanssem i nieaktywnym małżeństwem?

– Myślisz, że Ryan ma romans? – pytam.

Mila traci cierpliwość.

– To wszystko, co z tego zrozumiałaś?

– Nie – mówię. – Łapię, o co ci chodzi. Naprawdę. Po prostu jestem... no wiesz, jeśli on ma... to co by to oznaczało?

– To nic by nie oznaczało. Kompletnie.

– Nic?

– Nic. Kochałaś swojego chłopaka w liceum?

Wzruszam ramionami.

– No pewnie.

– Obchodzi cię w tej chwili choć tyle, co za paznokciem?

– Nie – mówię, kręcąc głową.

– No właśnie. I na tym polega miłosna przygoda.

Pomimo rady Mili nadal mam obsesję. Myślę o tym, gdy wracam do domu. Myślę o tym, gdy karmię Thumpera. Myślę o tym, gdy oglądam telewizję, czytam książkę, szoruję zęby. Doprowadza mnie to do szaleństwa. Mój mózg w kółko odtwarza te same wyimaginowane obrazy. Wpadł w króliczą norkę rozmaitych „a jeśli”. Chcę po prostu wiedzieć, co się z Ryanem dzieje. Chcę po prostu usłyszeć jego głos. Chcę po prostu wiedzieć, że u niego wszystko dobrze i że

nadal jest mój. To niemożliwe, że go utraciłam. To niemożliwe, że jest już kimś innym. Nie mogę żyć tak jak teraz. Nie mogę żyć bez niego. Nie mogę. Muszę wiedzieć, co myśli. Muszę wiedzieć, co u niego słyhać.

Chcę do niego zadzwonić. Muszę do niego zadzwonić. Muszę. Biorę telefon. Naciskam ikonkę obok jego imienia i momentalnie się rozłączam. Z pewnością nawet nie było dzwonka. Nie mogę do niego zadzwonić. On nie chce, żebym do niego dzwoniła. Powiedział, żebym do niego nie dzwoniła. Nie mogę do niego zadzwonić.

Mam przed sobą laptop. Tylko wyciągnąć rękę. Kiedy go otwieram, nie jestem pewna, czego chcę. Nie jestem pewna, co robię. Po czym, gdy otwieram przeglądarkę, dokładnie już wiem, co robię. Dokładnie wiem, czego chcę. Nie próbuję tego przed sobą ukrywać. Oszalałam. Straciłam nad sobą kontrolę.

Loguję się do poczty Ryana.

Skrzynka odbiorcza jest pusta. Stop. To, co robię, jest złe. Jest bardzo, okropnie, skrajnie, totalnie złe. Przesuwam kursor i najeżdżam nim na „Wyloguj się”. To właśnie powinnam kliknąć. To właśnie powinnam zrobić. Mogę zawrócić. Mogę udać, że tego nie zrobiłam. Nie muszę być człowiekiem, który robi takie rzeczy. Przez moment wydaje się to takie proste. Takie jasne. Po prostu się wyloguj, Lauren. Po prostu się wyloguj.

Zanim jednak zdążę kliknąć, rejestruję wzrokiem, że

przy „Kopiach roboczych” widniej cyfra 7. Ma siedem niewysłanych mejli. Nawet nie myślę, to impuls. Zjeżdżam kursorem w dół i otwieram folder. I widzę w nim siedem roboczych kopii mejli. Wszystkie są zaadresowane do mnie. Wszystkie mają w temacie „Droga Lauren”.

Są zaadresowane do mnie. Są przeznaczone dla mnie. Więc mogę je otworzyć. Prawda?

31 sierpnia

Droga Lauren!

Dzisiejsza wyprowadzka była do dupy. Nie wiem, czemu to zrobiliśmy. Kiedy pisałem do ciebie tamten list, dużo mnie kosztowało, żeby go nie podrzeć, nie usiąść i nie poczekać, aż wrócisz do domu, tak żebyśmy mogli to wszystko wyprostować.

Potem jednak pomyślałem, kiedy ostatni raz ucieszyłaś się na mój widok, i nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy to było. I myśl o tym tak mnie wkurzyła, że zabrałem moje ostatnie rzeczy i wyszedłem.

Nie pożegnałem się z Thumperem. Nie mogłem tego zrobić. Chory jestem na myśl, że mam dziś spać w tym głupim mieszkaniu. Nawet nie mam jeszcze łóżka. Nie mam za wiele niczego, oprócz telewizora. Znajomi pomogli mi poustawiać wszystko mniej więcej na miejscu i mniej więcej godzinę temu poszli.

Fatalnie się czuję. Fatalnie się, psiakrew, w związku z tym wszystkim czuję. Ucieszyłem się, kiedy koledzy poszli, bo nie musiałem więcej udawać, że mam się okej.

Nie mam się okej. Czuję się chory. Straciłem żonę i psa. Straciłem dom.

Nie wiem. Nie wiem, czemu to piszę. Nie wiem nawet, czy zamierzam wysłać tego mejla. Jakaś cząstka mnie myśli, że ostatnio byliśmy wobec siebie tacy nieuczciwi, że odrobina uczciwości, odrobina rozmowy może polepszyć sprawę. Tyle czasu mówiłem: „Jasne, pojedę z tobą do galerii, żebyś mogła wybrać sobie nową szminkę”, gdy tak naprawdę wcale nie chciałem. Tyle czasu mówiłem: „O tak, grecka knajpa brzmi super”, kiedy tak naprawdę wcale, kurwa, nie brzmiała, i nienawidzę cię teraz za to. Nie cierpię greckiego żarcia, jasne? Nie cierpię i już. Czemu nigdy, cholera, nie mogliśmy pójść na hamburgera? Czemu każdy obiad to musiała być wyprawa dookoła świata? A skoro już, to czemu nie mogliśmy po prostu pozostać przy normalnym żarciu, jak włoskie czy chińskie? Czemu perskie? Czemu etiopskie? Nienawidzę tego. Nienawidzę tego, że ty to uwielbiasz. To takie, kurwa, pretensjonalne. Czemu nie jadasz zwykłego jedzenia, Lauren?

O, widzisz? To dlatego wiem, że dobrze się stało, że się wyprowadziłem. Nienawidzę cię za to, że lubisz falafela. Nie sądzę, żeby to było zdrowe.

Ale nie wiem też, czy aż tak niezdrowe, żebym musiał dzisiaj spać sam na tym cholernym dywanie.

Potem jednak myślę o powrocie do domu. O tym, jak wchodzię, a ty nawet nie podnosisz się z kanapy. O tym, jak patrzysz na mnie i pytasz „Zupa pho na obiad?”, a ja

mam ochotę walnąć pięścią w ścianę.

No więc dobrze. Jestem tutaj. Jestem sam. Jestem nieszczęśliwy. I wiem, że szuja ze mnie, ale mam nadzieję, że i ty jesteś nieszczęśliwa. Taka jest prawda. Tak właśnie się teraz czuję. Szczerze, naprawdę mam nadzieję, że ty też jesteś nieszczęśliwa.

Pozdrawiam cię

Ryan

5 września

Droga Lauren!

Wiem, powiedziałem, żebyś do mnie nie dzwoniła, ale czasem nie mogę wprost uwierzyć, że nie dzwonisz. Nie mogę uwierzyć, że potrafisz tak po prostu żyć dalej, jakby mnie nigdy w twoim życiu nie było. Jak możesz? Czasem, jak o tym pomyślę, szlag mnie trafia. Pewnie jak zwykle chodzisz do pracy i zachowujesz się, jakby nic się nie stało.

Powiedziałem dziś o nas rodzicom. Nie było to łatwe. Nie byli zachwyceni. Żli byli na ciebie, choć to dziwne moim zdaniem. Próbowałem im wytłumaczyć, że tu nie chodzi o któreś z nas, ciebie czy mnie. Próbowałem im wytłumaczyć, że to nasza wspólna decyzja. Ale nie słuchali. Chyba wiesz, jacy oni są, ich wyobrażenie o małżeństwie jest takie ciasne. I byli mną rozczarowani. Powiedzieli to wprost. W kółko powtarzali: „Nie tak powinieneś rozwiązywać swoje problemy, Ryan”. I w kółko mówili, że mają ci za złe, że zagarnęłaś mój dom i psa. Myślę, że nie potrafisz na to spojrzeć, jak należy.

Uważają, że powinniśmy się podzielić, tak żeby jedno z nas wzięło dom, a drugie psa. Żadne nie powinno zabrać tego i tego. Nie wiem... Nie zgadzam się z nimi. Nie widzę tego w ten sposób. Nie wydaje mi się właściwe, że miałbym ci zabrać dom, i nie wydaje mi się właściwe, żebym miał tak nagle wyrwać Thumpera z jego domu.

Wiem, że mówiłem, że chcę się spotykać z innymi kobietami, ale teraz, w realnym świecie, dziwnie jest o tym pomyśleć. To jakieś nienaturalne. Jakby to się w ogóle miało odbywać? To nie ma sensu. Całować kogoś innego niż ty? Czuję się niemal tak, jakbym zapomniał, jak to się robi. W pracy mamy nową dziewczynę, która próbuje ze mną flirtować, i czasem myślę, że powinienem skorzystać z okazji czy coś. Nie wiem. Nawet nie mam ochoty o tym mówić.

Wciąż nie jestem pewien, czy ci to wyślę. Czasem myślę, że tak. Jakaś część mnie zdaje sobie sprawę, że już ładnych parę lat temu przestałem się z tobą spierać. Po prostu łatwiej mi było się z tobą zgodzić albo cię zignorować. Wolałem powiedzieć to, co chciałaś usłyszeć. I przestałem być uczciwy. Przestałem ci mówić, co tak naprawdę myślę. Czego tak naprawdę chcę. Więc jeśli powiem ci to teraz, to może zdołamy oczyścić atmosferę, może uda nam się zacząć od nowa. Ale inna moja część mówi mi, że jeśli powiemy sobie naprawdę wszystko, jeśli wyślę ci to, co napisałem, to możemy tego nie przetrwać. Więc nie wiem, co zrobię.

Zresztą wszystko mi jedno. To znaczy, czasem mi się

wydaje, że ty i tak mnie już nie dostrzegasz. Tak, wiem, że na mnie patrzysz. Chodzi mi o to, że czasem nie sądzę, żebyś słuchała, kiedy coś mówię. Czasem mi się wydaje, że po prostu z góry zakładasz, że wiesz, co powiem, wiesz, co zrobię, wiesz, jak się będę czuł, i oczy robią ci się szkliste, tak jakbym był największym nudziarzem, jakiego w życiu spotkałaś.

Ale nie zawsze tak było. Pamiętam, że jak byliśmy na studiach, to było mi z tobą tak dobrze między innymi dlatego, że czułem się przy tobie tak, jakby na całym świecie nie było nikogo ciekawszego ode mnie. Przy tobie miałem uczucie, że opowiadam najlepsze kawały i najciekawsze historie. I nie wiem, ale nie sądzę, żeby to było fałszywe. Myślę, że naprawdę tak uważałaś.

A teraz nie sądzę, żebyś tak uważała. Myślę, że jestem dla ciebie czymś w rodzaju opakowania płatków śniadaniowych. Jestem czymś, na co patrzysz, bo po prostu to się przed tobą znajduje.

To się robi smutne. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko dobrze. Czasem myślę, że powinienem ci to wysłać, bo wtedy może odpiszesz i dowiem się, co u ciebie. Cały czas się na tym zastanawiam.

Pozdrawiam cię

Ryan

9 września

Droga Lauren!

Pamiętasz, jak po raz pierwszy zamieszkaliśmy razem? Tuż po dyplomie? Tego dnia było strasznie

gorąco, wprowadziliśmy się do tej dziury w Hollywood, była o wiele za mała, a w kuchni śmierdziało jakimś chemikaliami, pamiętasz? A ty się rozplakałaś, bo nie chciałaś mieszkać w takim gównianym/nędznym mieszkaniu? Ale tylko na takie mogliśmy sobie pozwolić. Ja żyłem z resztek kasy, którą dostałem od rodziców z okazji dyplomu, a ty dopiero zaczynałaś pracę w Wydziale Absolwentów. I pamiętam, że jak położyliśmy się wieczorem do tego ciasnego łóżka, to powiedziałem sobie, że o ciebie zadbam. Będę ciężko pracował i zarobię na lepsze mieszkanie. Będę mężczyzną, który zapewni ci życie, jakiego pragniesz. I... to znaczy, życie układa się trochę inaczej, niż człowiek sobie wyobraża. To ty zaczęłaś zarabiać wystarczająco, żebyśmy mogli sobie pozwolić na przeprowadzkę z tamtego mieszkania do domu w Hancock Park. Ale to ja negocjowałem z gospodynią. Stanąłem na rżęsach, żeby ją przekonać, bo chciałem, żebyś miała wszystko, czego zapagniesz. Szczerze uważam, że dobrze się spisałem, dobrze o ciebie zadbałem. Zawsze chciałem, żebyś czuła się przy mnie bezpieczna, żebyś czuła moją miłość i wsparcie.

Nauczyłem się nie wyskakiwać przed orkiestrę i nie starać się rozwiązywać za ciebie twoich problemów, tylko poczekać, aż sama je z siebie wyrzucisz. Nauczyłem się, że rano potrzebujesz paru minut, zanim będziesz w stanie się do kogokolwiek odezwać. Nauczyłem się, że nigdy nie zostawisz sobie dość czasu, kiedy się gdzieś wybierasz, a potem histeryzujesz, że się spóźnisz. I bardzo to w tobie

lubilem.

Dlaczego to nie wystarczyło?

Czy nie wygląda, jakby powinno było wystarczyć?

Wtedy, jak się wprowadzaliśmy, jak leżeliśmy w tym ciasnym łóżku... wydawało mi się, że moje zadanie jest oczywiste.. Miałem cię tylko wspierać i kochać, i słuchać, co do mnie mówisz, i opiekować się tobą. I wszystko to wydawało się wtedy takie łatwe.

A teraz wydaje się najtrudniejsze na świecie.

Po co ja to wszystko piszę? Tylko tracę czas.

Ryan

28 września

Droga Lauren!

Ostatni raz kochaliśmy się w kwietniu. To tak na wszelki wypadek, w razie jakbyś była ciekawa. Ale nie jesteś. Nigdy ci na tym specjalnie nie zależało, a mnie tak. Więc jeśli kiedykolwiek ci to wyślę, myślę, że powinnaś wiedzieć, że ostatni raz kochaliśmy się prawie pięć miesięcy przed moją wyprowadzką. Czyli cztery miesiące przed tym, jak mi powiedziałaś, że już mnie nie kochasz. Cztery miesiące żyliśmy pod jednym dachem, udawaliśmy, że wszystko dobrze, że jesteśmy szczęśliwi, a zarazem przez te cztery miesiące nawet się nie dotknęliśmy. Chyba czekałem, aż to zauważysz. Ale chyba nie zauważyłaś. Tak że... no wiesz... to na wypadek, gdybyś jednak zauważyła i chciała wiedzieć. To było w kwietniu. I było kiepsko.

29 września

Droga Lauren!

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! Wiem, że jesteś na przyjęciu-niespodziance. Charlie dzwonił do mnie przed paroma tygodniami, zanim się jeszcze dowiedział, że jesteśmy... jakkolwiek się to nazywa. Tak czy owak, wiem, że jesteś z rodziną. Wiem, że prawdopodobnie świetnie się bawisz. W tej chwili jest dziewiąta wieczorem, więc na pewno szalejesz, gdy to piszę. A ja łażę po mieszkaniu. Tylko tyle człowiek może zrobić, żeby odwrócić myśli od faktu, że nie ma go przy żonie w jej trzydzieste urodziny. Wiesz?

Jakieś pół godziny temu dałem sobie spokój z pisaniem, a teraz sączę piwo i myślę o tobie.

O mało nie wstałem z kanapy i nie pojechałem do twojej mamy, do ciebie.

Ale pomyślałem, że to zły pomysł.

Bo co by było? Zobaczylibyśmy się, przyznali, że to strasznie trudne, zakończylibyśmy ten szaleńczy eksperyment i co? Za dwa miesiące bylibyśmy znowu w punkcie wyjścia. Nie zmieniliśmy się. Więc nic się nie zmieni. Wiesz?

Wobec tego siedzę tu i nic nie robię.

Chcę tylko, żebyś wiedziała, że o tym myślałem. Myślałem o tym, żeby pokazać się w domu z dwiema torbami zakupów i przyrzędzić ci Magiczny Makaron z Krewetkami à la Ryan.

Nie zrobiłem tego, ale... no, chyba po prostu chcę, żebyś wiedziała, że o tym myślałem.

Wszystkiego najlepszego

Ryan

1 października

Czy Thumper ma się dobrze? Dobija mnie to, że jestem z dala od niego. To głupie, ale któregoś dnia byłem w sklepie spożywczym i robiłem zakupy na obiad, i przypomniałem sobie, że potrzebny mi jest proszek do prania, więc poszedłem do odpowiedniej alejki, a tam była też karma dla zwierząt, i pomyślałem: „Zaraz, a dla Thumpera potrzebujemy czegoś?” Wiesz, to był taki błysk w głowie, na ułamek sekundy przedtem, zanim sobie przypomniałem, że już z nim nie mieszkam.

Pozdrawiam cię

Ryan

9 października

Droga Lauren!

Nie zabiorę Thumpera. To takie bolesne, żyć bez was obojga... to jest zbyt trudne. Zbyt smutne. Zbyt samotne. Nie mogę ci tego zrobić.

Pozdrawiam cię

Ryan

Łzy przesłaniają mi wzrok i przestaję cokolwiek widzieć. Czytanie tego to jak stanie pod zbyt gorącym prysznicem i sprawdzanie, jak długo potrafię wytrzymać. Od dawna przestałam się przejmować, czy to właściwe, czy nie. Wiem, że niewłaściwe. Wiem, że on nie jest pewien, czy chce, żebym te listy czytała. Ale wiem też, że muszę je przeczytać. Zanadto są ważne.

Zanadto są dla mnie ważne. W ogóle są zanadto.

Te listy to dowód, jakie okropne stało się nasze małżeństwo, a zarazem jak bardzo mimo to jesteśmy do siebie przywiązani. Na jednym oddechu potrafimy kochać i nienawidzić, tęsknić i czuć odrazę. Nie chcemy się nawzajem oglądać, a zarazem nie potrafimy się od siebie oderwać.

Ryan nienawidzi mnie równie mocno, jak mnie kocha. Ja nienawidzę tych listów równie mocno, jak je uwielbiam. Ból i radość przeplatają się nawzajem, zrosnięte ze sobą na mur. Czytam te listy wciąż na nowo, w nadziei że uda mi się oddzielić jedno od drugiego, wykryć punkt, w którym miłość lub nienawiść koniec końców biorą górę. Ale to tak jak próbować uwolnić palec z chińskiej pułapki. Im bardziej się starasz, tym mocniej się na nim zaciska.

Kiedy w końcu odzyskuję panowanie nad sobą, z suchymi oczami, mokrym nosem i kołującą głową, idę do kuchni i biorę z lodówki kawałek bekonu. Kładę go na patelni. Czekam, dopóki nie zacznie skwierczeć i strzelać. Wtedy wrzucam go Thumperowi do miski. Na dźwięk uderzającego o stal plastra mięsa przybiega w podskokach i pożera go jednym kłapnięciem. Wyjmuję kolejny kawałek i kładę na patelnię. Thumper czeka. I wtedy do mnie dociera. Jeśli Ryan wyśle mi tego mejla na temat zatrzymania przeze mnie Thumpera, to znaczy, że wcale go niedługo nie zobaczę. Przez całą możliwą do przewidzenia przyszłość będę sama.

Na skali od jednego do dziesięciu, na ile złe jest zalogowanie się do cudzej poczty bez wiedzy właściciela? – pytam Rachel przez telefon.

Siedzę przy biurku w pracy. Przeczytałam mejle Ryana dziesiątki razy. Niektóre fragmenty znam na pamięć.

– Chyba potrzebuję znać kontekst – odpowiada.

– Kontekst jest taki, że zalogowałam się do poczty Ryana i przeczytałam niektóre jego mejle.

– Dziesięć. Dziesięć na dziesięć możliwych. Nie powinnaś była tego robić.

– Na swoją obronę mam to, że były zaadresowane do mnie.

– Wysłał ci je?

– Były zapisane w kopiach roboczych.

– I tak dziesięć. To naprawdę nie w porządku.

– Ojejku, nie próbujesz nawet spojrzeć na sprawę z mojego punktu widzenia?

– Lauren, to naprawdę nie w porządku. To nieuczciwe. Nieładne. Niedopuszczalne. To brak szacunku. To całkowicie podkopuje...

– Dobra, dobra – mówię. – Wiem, o co chodzi.

Wiem, że to, co zrobiłam, jest złe. Chyba nawet się nie zastanawiam, czy to złe. Wiem, że złe. Czego oczekuję od Rachel, to że powie coś w stylu: „No tak, to nieuczciwe, ale na twoim miejscu zrobiłabym to samo. Powinnaś robić to dalej”.

– Czyli nie powinnam robić tego dalej? – pytam. Może jak spytam wprost, dostanę odpowiedź, na którą czekam.

– Nie, absolutnie nie powinnaś.

– Och, do kurwy nędzy! – wołam. Nie powinnam była tego robić. Ale co ja poradzę? Już to zrobiłam. Jakie to ma znaczenie, czy będę to dalej robić, czy nie? Już to zrobiłam! Jeśli spyta: „Czy logowałaś się do mojej poczty i czytałaś moje osobiste mejle, zaadresowane do ciebie?”, to będę musiała odpowiedzieć „tak” bez względu na to, czy zrobiłam to raz, czy sto razy.

– Ale powiedzmy, że będzie kolejny zaadresowany do mnie – mówię. – Wolno mi rzucić na niego okiem.

– Przede wszystkim nie wolno ci sprawdzać – odpowiada Rachel. – Muszę wracać do pracy – dodaje. – Ale ty weź się lepiej w garść.

– Oj dobra. – Przez chwilę panuje cisza, po czym zadaję pytanie końcowe: – Nie osądzasz mnie, prawda? Nadal uważasz, że jestem dobrym człowiekiem?

– Jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego znam – odpowiada. – Ale nie zamierzam ci mówić, że to, co robisz, nie jest niewłaściwe. To nie mój styl.

– Jasne, okej – mówię i się rozłączam. Po czym podchodzę do biurka Mili.

– W skali od jednego do dziesięciu: na ile złe jest załogowanie się do cudzej poczty bez wiedzy tej osoby?

Podnosi głowę znad klawiatury i marszczy brwi.

Bierze do ręki kubek z kawą i zakłada ręce na piersiach.

– Mam rozumieć, że mowa o tobie? A ta druga osoba to Ryan?

– Założmy – odpowiadam.

Zastanawia się.

– Domyślam się, że liczysz, że pomogę ci to usprawiedliwić... i słusznie, bo na twoim miejscu pewnie bym przeczytała – mówi, okręcając się na obrotowym krześle. Zwycięstwo! – Co nie znaczy, że to jest w porządku. – Krótkotrwałe.

– On pisze do mnie, Mila. Do mnie.

– A wysłał?

– DLACZEGO TO WSZYSTKICH TAK INTERESUJE???

Wszyscy się na mnie oglądają. Przełączam się na szept.

– Listy są do mnie, Mila. – Jestem teraz za blisko i szepcząc, dyszę jej w twarz. Z pewnością już wie, że na śniadanie jadłam bajgla z cebulą.

Mila uprzejmie odsuwa się odrobinę.

– Nie musisz szeptać. Po prostu nie krzycz. Mów normalnym tonem i będzie okej – mówi przykładowym normalnym tonem.

– Dobrze – mówię zbyt głośno. Wreszcie odnajduję na nowo właściwe natężenie głosu. – Dobrze. Pytam cię tylko o to: gdybyś była na moim miejscu i wiedziała, że on do ciebie pisze, że obnaża przed tobą duszę, mówi rzeczy, jakich w czasie trwania małżeństwa nigdy ci nie

powiedział, rzeczy, które cię ranią, pobudzają do płaczu i sprawiają, że czujesz się kochana za jednym zamachem... powiesz mi, że byś ich nie przeczytała?

Mila się zastanawia. Na jej twarzy wyraz stoicyzmu ustępuje miejsca niechętnemu zrozumieniu.

– Kusiłoby mnie – przyznaje. Od razu czuję się lepiej. – Trudno by było nie przeczytać.

Wyrzucam w górę pięść.

– Zwycięstwo!

– Ale to, że coś da się zrozumieć, nie oznacza, że jest właściwe.

– Tęsknię za nim – wyrywa mi się.

Zdecydowanie Mili słabnie.

– Gdybyś to ty pisała listy, chciałabyś, żeby je przeczytał, gdybyś ich nie wysłała?

Moje trzewia mówią „tak”. Ale wstrzymuję się chwilkę z odpowiedzią i poddaję sprawę rzetelnemu namysłowi. Stoję, patrzę na Milę i się zastanawiam. Stawiam się w położeniu Ryana. I wciąż uzyskuję odpowiedź „tak”.

– Tak – mówię. – Wiem, że to wygląda na odpowiedź wygodną, ale naprawdę tak uważam. Píše w tych listach, że ma poczucie, że często nie mówił mi, co naprawdę czuje. Że dużo rzeczy trzymał w sobie, bo tak było łatwiej, a potem zaczął mnie nienawidzić. I ja robiłam to samo! Czasem, jak coś powiedział albo czegoś chciał, nie sprzeciwiałam się, żeby nie wywoływać kłótni. I w jakimś momencie poczułam, że nie potrafię być

uczciwa. Czy to ma sens? Napięcie rosło i zaczęłam go tak nienawidzić, że o wszystko byłam wściekła i nie wiedziałam, od czego zacząć. Myślę, że on się czuł tak samo. To może być dla nas okazja. To może być to, czego potrzebujemy. Gdybym to ja do niego pisała, obnażając własną duszę, starając się pokazać, jaka jestem naprawdę, to bym chciała, żeby przeczytał. – Wzruszam ramionami. – Chciałabym, żeby zobaczył, jaka jestem naprawdę.

Mila słucha, a kiedy kończę, uśmiecha się do mnie.

– Cóż, w takim razie może w waszym przypadku to jest właściwe. Ale podejmujesz wielkie ryzyko. Powinnaś o tym wiedzieć. To rzeczywiście może być to, czego on chce. Może by się cieszył, wiedząc, że masz teraz szansę lepiej go rozumieć, że znasz najgłębsze zakamarki jego duszy i że go z tym akceptujesz. Może na to liczy. – Z tonu Mili wnioskuję, że jeszcze nie skończyła, choć wolałabym, żeby na tym stanęło. – Ale może się też się wkurzyć. – No właśnie. – Może być wściekły, że zawiodłaś jego zaufanie. Może ci już nie ufać. To byłby fatalny punkt startowy do nowego rozdziału waszego wspólnego życia. Kiedy minie rok i on wróci, jak mu powiesz o wszystkim, czego się dowiedziałaś? Zamierzasz się przyznać, co zrobiłaś? I czy tak naprawdę, z ręką na sercu, wydaje ci się, że powie: „W porządku, nie ma sprawy”?

– Nie – mówię. – Ale naprawdę myślę, że więcej z tego przyjdzie dobrego niż złego.

Mila nie wygląda na przekonaną.

– Czuję, że mam okazję się dowiedzieć, kim jest mój mąż, w zupełnie nowy sposób. Mam okazję go poznać bez żadnego filtra. Mogę się dowiedzieć, co robiłam źle. Mogę zacząć rozumieć, czego ode mnie oczekuje. Co następnym razem mogę robić lepiej niż dotąd. Zamierzam się nauczyć, jak go kochać. Zamierzam się nauczyć, jak być dla niego lepszą żoną, jak dać mu to, czego potrzebuje, jak mówić mu o tym, czego potrzebuję ja. To jest dobre. Mam dobre intencje.

Byłam zdecydowana przekonać Milę. Po prostu potrzebowałam, żeby ktoś mi powiedział, że w porządku jest to, o czym wiem, że jest nie w porządku. Ale przekonując ją, przekonałam jakoś sama siebie.

– Okej, w takim razie umyвам ręce – mówi Mila. – Wygląda na to, że wiesz, co robisz.

Kiwam głową i wracam do mojego pokoju. Nie mam pojęcia, co robię. Kiedy jestem już niemal poza zasięgiem słuchu, Mila woła:

– Meksykańska?

Spoglądam na zegar. Dwunasta czterdzieści siedem.

– Daj mi pięć minut.

Po wejściu do windy pytam Milę, czy lubi kuchnię perską.

– A co to jest kuchnia perska? Wątpię, żebym kiedykolwiek jadła coś perskiego.

– Dużo ryżu i szafranu. Dużo duszonego mięsa.

– Duszonego mięsa? – Mila się krzywi. – Nie,

niespecjalnie lubię duszone mięso.

– A grecką?

Wzrusza ramionami.

– Może być.

– A wietnamską?

– Nie sądzę, żebym kiedykolwiek jadła. To coś jak tajska?

– Tak jakby. Głównie makaron ryżowy, mięso, rosół. Czasem to się podaje z sosem rybnym.

– Z sosem rybnym? To znaczy zrobionym z ryby czy z sosem do ryby?

– Nie, zrobionym. Ze sfermentowanej ryby. Jest wyśmienity.

– Może pozostaniemy przy knajpie meksykańskiej – mówi, gdy wychodzimy z windy.

Kiwam głową. Jakie to proste. Dlaczego Ryan nigdy nie powiedział: „Może pozostaniemy przy knajpie meksykańskiej”? Po co było łączyć na te wszystkie dania, zwiedzać te wszystkie kuchnie, które mu nie pasowały? Przecież zamiast tego mogłam z nim pójść na burrito. Nawet by mi to nie przeszkadzało. Dlaczego on o tym nie wiedział?

– Wiesz – mówi Mila, idąc trochę z przodu i grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kluczyków – jeśli uważasz, że Ryan będzie zadowolony, że czytałaś jego mejle i poznałaś jego najwrażliwsze punkty, to jedynie słuszną rzeczą będzie, jeśli i siebie poddasz takiemu doświadczeniu.

- To znaczy?
- Czego się obawiasz? Czego byś chciała?
- Nie wiem. Chyba...
- Nie mów tego mnie! Napisz w mejlu.

Nego wieczoru przed pójściem do łóżka sprawdzam jeszcze raz jego kopie.

15 października

Droga Lauren!

Chodzi o seks. Szczerze. To chyba jedyna rzecz, której spaprania nie potrafię ścierpieć, a która została tak kompletnie, kurwa, spaprana. O to chodzi dla mnie w tym wszystkim. Myślę, że miałbym dla ciebie więcej cierpliwości w innych dziedzinach, gdybyś tylko była odrobinę bardziej zainteresowana seksem. Myślę, że umiałbym być wobec ciebie bardziej uważny. Myślę, że milej by mi było spędzać z tobą czas. Myślę, że lepiej umiałbym cię słuchać. Gdybym nie był na ciebie, cholera, taki zły, że nigdy, nigdy, NIGDY nie chciałaś się kochać.

O co, do diabła, chodzi? To przecież nie jest nawet takie trudne. Nie prosiłem cię, żebyś została jakąś królową seksu czy coś. Po prostu byłoby miło kochać się ze dwa razy na tydzień. Dwa razy na miesiąc! I miło byłoby, żebyś chociaż raz na rok zainicjowała to ty.

Zawsze czułem się tak, jakbyś mi, kurwa, robiła łaskę. Tak jakbym cię prosił, żebyś pozmywała.

I nie wiem, dlaczego nigdy się na ciebie o to nie wydarłem. Bo wydzierałem się na ciebie we własnej

głowie. Czasem, kiedy po raz dwudziesty z rzędu powiedziałaś: „Dziś nie”, byłem taki wściekły, że szedłem pod zimny prysznic i darłem się na siebie w wyobraźni. W mojej głowie odbywała się normalna pełnowymiarowa kłótnia, wyobrażałem sobie, co powiesz, i wrzeszczałem sam do siebie w odpowiedzi. A potem się wycierałem i kładłem obok ciebie, i nigdy nie wypowiedziałem z tego na głos ani słowa. Mogłaś sobie siedzieć z tą cholerną książką w ręce i udawać, że wszystko jest super.

Czemu ja ci po prostu nie powiedziałem, że nic nie jest super?

Nie mogę być dla ciebie mężem, jeśli traktujesz mnie jak przyjaciela.

JA POTRZEBUJĘ SEKSU, LAUREN. POTRZEBUJĘ OD CZASU DO CZASU SEKSU Z MOJĄ ŻONĄ. POTRZEBUJĘ CZUĆ, ŻE MOJA ŻONA LUBI SEKS ZE MNĄ.

Nie mogę całymi miesiącami masturbować się po cichu w łazience, bo ty „nie masz dziś ochoty”.

Ryan

Mam ochotę na niego wrzasnąć. Mam ochotę mu powiedzieć, że jeśli mu zależało, żebym lubiła się z nim kochać, powinien był się troszkę bardziej postarać, żebym polubiła. Mam ochotę mu powiedzieć, że to działa w obie strony. Że nie tylko on kładł się spać niezaspokojony. Mam ochotę mu powiedzieć, że jedyna różnica między nami polega na tym, że ja przynajmniej

raz na parę miesięcy dawałam mu orgazm. Ale jest i inna częśćka mnie, wielka, obolała część, która chce zawołać: „Wróć, wróć! Teraz, kiedy już to wiem, wszystko uda się nam naprawić!”

Co to jest, że im bardziej go kocham, tym bardziej mnie rani? A może to jest tak, że im bardziej mnie rani, tym bardziej sobie uświadamiam, jak go kocham?

Kładę się do łóżka i próbuję załapać trochę snu. Przewracam się z boku na bok, wpatruję w sufit. W jakiejś chwili jednak mój mózg w końcu zwalnia i zasypiam.

Kiedy się budzę, nie mogę się wprost doczekać, kiedy mu powiem to, co mam do przekazania.

16 października

Drogi RYanie!

Oto parę rzeczy, o których, jak sędzę, powinieneś wiedzieć:

Kanapa nie ma już tego lekkiego odoru potu, bo nie ma nikogo, kto by szedł pobiegać, a potem kładł się na niej, zanim weźmie prysznic.

Z prawdziwą radością wyrzucam wszystkie paragony. Nie muszę się już rozliczać z każdego grosza, który wpływa i wypływa z bankowego konta. Czasem idę do sklepu, uprzytamniam sobie, że zapomniałam zniżkowego kuponu, po czym i tak kupuję, co miałam kupić. Dlaczego? Bo cię chrzanię. Dlatego.

Za każdym razem daję dwadzieścia procent napiwku. Za Każdym Razem. Nie muszę się już przejmować, że ty

uważasz, że przyjęte jest osiemnaście.

Z prawdziwą niecierpliwością wyglądam sezonu, podczas którego nie będę musiała ani razu oglądać tego masakrycznego burdelu, jakim jest Stadion Dodgersów.

Czy rozumiesz, na czym polega działanie miotły?

Zawsze nienawidziłam jądania w tej głupiej chińskiej knajpie na Beverly Boulevard, którą tak uwielbiasz. Wcale nie jest taka dobra. A skoro już przy tym jesteśmy: tak, uważam, że włos, który znalazłam w mojej porcji chow mein, był obrzydliwy i owszem, nie potrafiłam po prostu przestać się tym przejmować.

Ten twój dowcip o zakonnicach, które myją ręce przed bramą do nieba, jest wulgarny, w ogóle nie śmieszny i żenujący jak cholera.

Mężczyźni, którzy noszą brody, powinni je strzyc. Nie możesz tak po prostu pozwolić jej rosnąć i uważać, że fajnie wygląda. Wymaga pielęgnacji, inaczej wyglądasz jak bezdomny.

A skoro mowa o włosach, to powinieneś się nauczyć przycinać swoje owłosienie łonowe. Nie wiem, czy mogę to wyrazić jaśniej. Najwyraźniej sprawienie ci maszynki do strzyżenia brody i wręczenie z tekstem: „Cha cha cha, to chyba działa też w przypadku owłosienia łonowego”, nie było dostatecznie jasne.

Jeśli szukasz przyczyn, dla których nasze życie intymne było kompletną porażką, to może powinieneś zwrócić uwagę na fakt, że nie włożyłeś w nie żdźbła własnego wysiłku od czasu, bo ja wiem, ostatniego roku

studiów. Wiesz chociaż, skąd kobieta czerpie przyjemność? Bo nie z uporczywej, pozbawionej rytmu młocki.

Przerywam stukanie w klawiaturę i patrzę na to, co napisałam. Tak bym chciała usunąć te ostatnie partie. Jakie to żenujące i niezręczne! A jeśli on naprawdę to przeczyta? Jeśli naprawdę to zobaczy?

Usuwać to. Muszę to usunąć. Nie mogę mówić takich rzeczy.

Potem jednak przypominam sobie, co powiedziałam Mili: że chcę być szczerą. Powiedziałam, że moim zdaniem mam prawo czytać listy Ryana, bo chcę się dowiedzieć, jaki jest naprawdę. Chcę poznać jego nieprzefiltrowaną wersję. Jak mogę usprawiedliwić to, że dobieram się do jego prawdziwych myśli, jeśli kasuję moje własne?

Wciskam więc control+z. Tekst znowu pojawia się na ekranie.

Musi tu pozostać. Muszę to zrobić jak należy. On zresztą prawdopodobnie nigdy tego nie przeczyta. Więc tak naprawdę klikam dla siebie samej. Może o to chodzi, może denerwuję się, bo trudno mi się przyznać do niektórych rzeczy nawet przed sobą.

I dlatego muszę to zrobić.

Klikam „zapisz” i przekierowuję tekst do folderu „Odebrane”. Gdzie, jak widzę, mam teraz nowego mejla.

Od Ryana.

16 października

Droga Lauren!

Nie zabiorę Thumpera. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zostanie, gdzie jest.

Dbaj o niego

Ryan

Zanim zdążę pomyśleć, klikam „odpowiedz” i piszę „Świetnie”. Po czym zmieniam zdanie, kasuję to i piszę: „Okej”. I klikam „wyślij”.

A więc stało się. Boczne, ubezpieczające kółka od roweru zostały zdjęte. Nie wiem, kiedy zobaczę mojego męża. Raczej nie prędzej niż za blisko rok.

Wstaję. Idę pod prysznic. Ubieram się. Karmię Thumpera. Idę do pracy. Wykonuję zwykłe codzienne czynności. Kiedy wracam do domu, zanim dam Thumperowi jeść czy zdejmę buty, zaglądam jeszcze raz do skrzynki Ryana.

Jest w niej nowy mejl, którego dotąd nie czytałam.

16 października

Droga Lauren!

Spotkałem się z inną.

Ryan

Dźwięk, który wychodzi z moich ust, to nie płacz ani łkanie.

To również nie krzyk.

To skomlenie.

Drukuję tekst. Idę do holu i wydaję z szafy drabinkę. Idę do sypialni. Zdejmuję pudełko po butach. Otwieram je i wkładam do niego wydrukowany list.

Niech tam leży, w pudle ze wspomnieniami. Na starym bilecie kolejowym do San Diego, gdzie spędziliśmy weekend na plaży. Na naszym zdjęciu w knajpie Crab Shack w Long Beach, gdzie poszliśmy z moją rodziną w jego dwudzieste trzecie urodziny. Na pierwszej obroży Thumpera, jaskraworóżowej, którą kupiliśmy mu po drodze do domu, bo Ryan powiedział, że w nosie ma genderowe normy dla psów, a ta jest przeceniona. Na suchych płatkach kwiatów z mojego ślubnego bukietu.

Leży na tym wszystkim, na samym wierzchu. Bo nie mogę już dłużej udawać, że to wszystko się nie wydarza. Nie mogę udawać, że nie jest to część naszej wspólnej historii.

Zdejmuję moją ślubną obrączkę i wkładam do pudełka. Na razie lepiej jej będzie z innymi pamiątkami.

Potem Ryan w ogóle przestaje do mnie pisać.

Przez jakiś tydzień czy dwa codziennie sprawdzam jego kopie robocze, w nadziei że coś znajdę. Ale nie pisze.

Nadchodzi Halloween. Kupuję torbę rozmaitych cukierków na okoliczność akcji „cukierek albo psikus”, ale kiedy wracam do domu, w głowie mam tylko jedno: czy Ryan i ta tajemnicza dziewczyna przebierają się wspólnie w kostium dla pary. Próbuję odwrócić uwagę, zapalając światło na zewnątrz i zjadając osobiście wszystkie cukierki. Te bez czekolady daję Thumperowi.

Po paru tygodniach chandry postanawiam sprawdzać pocztę Ryana tylko raz na jakiś czas. Dla rozrywki i odwrócenia uwagi podejmuję różne hobby. Zaczynam chodzić z Thumperem na wyprawy do Kanionu Runyon. Wspinamy się pod górę tak długo, że wydaje nam się, że nie zrobimy więcej ani kroku, po czym idziemy dalej. Nigdy nie pozwalamy, żeby góra zwyciężyła.

Po jakimś czasie dołącza do nas Rachel. Zachęca mnie także do biegania. Więc zaczynam biegać. Biegam co drugi dzień. W miarę jak upływają tygodnie, w Los Angeles robi się coraz chłodniej, więc kupuję obcisły polar. Bolą mnie łydki, więc kupuję odpowiednie obuwie. Wydłużam dystans. Biegam dłużej. Biegam szybciej. Biegam, aż któregoś dnia mam szcuplejszą twarz i twarde mięśnie brzucha. A wtedy biegam dalej. Ucisza to głosy w mojej głowie. Uspokaja nerwy. Zmusza, żebym nie myślała o nikim ani o niczym, wyłącznie o odgłosie własnego oddechu, o uderzeniach serca w klatce piersiowej i o tym, że muszę nadal biec.

W końcu przestaję w ogóle sprawdzać pocztę Ryana.

III. Taka jest miłość

Jest niedzielny poranek, końcówka listopada. Choć wczoraj było raptem piętnaście stopni, dziś jest dwadzieścia dziewięć.

– Ta pogoda jest bez sensu – zauważa Mila. – Nie żebym się skarżyła. Mówię tylko, że dla mnie jest bez sensu.

Dziećmi zajmuje się dziś Christina. Jedynym życzeniem Mili na ten ranek było: „Wszystko mi jedno, dokąd pójdziemy, byle daleko od dzieci i mamus”. Pomyślałam więc, że pchli targ Rose Bowl może być w sam raz. Kiedy ją zabierałam, wydawała się w fatalnym humorze, ale po drodze wyraźnie się ożywiła. Teraz, na miejscu, przypomina mniej więcej siebie samą. Jedyny problem to ten, że żadnej z nas nie interesuje nic konkretnego, więc po prostu tak sobie łazimy od straganu do straganu.

Uwagę Mili przyciąga stoisko z łapaczami snów^[7] i zaczyna je oglądać.

– Do czego służy łapacz snów? – pyta.

– Zamierzam uniknąć oczywistej odpowiedzi typu „do łapania snów” – odpowiadam.

– Nie, ale co on tak naprawdę robi? Łapie sny?

– Nie mam pojęcia – mówię.

Nie chcę rozmawiać zbyt głośno, żeby nie usłyszał właściciel stoiska i nie próbował zrobić nam dziesięciminutowego wykładu. Popełniłam raz ten błąd

z facetem, który sprzedawał antyczne nocniki. Widząc, że właściciel się zbliża, próbuję zmienić temat, mówiąc: „Zmieńmy temat”.

Mila zostawia łapacze snów i rusza w głąb alejki.

– Dobra – mówi. – To może pogadajmy o tym, że zorganizuję ci randkę w ciemno? Co ty na to? – Ogląda się na mnie z miną przesadnie entuzjastyczną, tak jakby rozmiary jej entuzjazmu mogły mieć jakieś znaczenie, jeśli chodzi o przekonanie mnie do tego pomysłu.

– Odpowiedź brzmi: nie. A tak naprawdę: w żadnym wypadku.

– Och, przestań. Powinnaś się z kimś spotykać. Rozerwać się.

Czy ja myślę, że byłoby miło z kimś się spotkać? Jasne, tak. Czasem tak myślę. Ale randka w ciemno? Nie.

– To nie w moim stylu – mówię.

– A co jest w twoim stylu? Poznawanie facetów w pokoju cichej nauki?

Otwieram szeroko usta, żeby pokazać, że zostałam znieważona.

– To było w stołówce, tak dla twojej informacji.

– Słuchaj, już całe wieki nie zajmujesz się randkami. Myślę, że powinnaś zrozumieć, że ludzie nie poznają się dziś w aptecznej kolejce albo sięgając w kiosku po tę samą gazetę.

– A jak się dziś poznają? – pytam.

– Na randkach w ciemno! No i w sieci, ale to za dużo jak dla ciebie.

Bzdura. Oczywiście, że ludzie poznają się w inny sposób. Choć prawdę mówiąc, tak naprawdę nie wiem, w jaki sposób ludzie się poznają poza uczelnią. I nie wiem, czy chcę się o tym właśnie teraz przekonać.

– Po prostu nie wiem, czy jestem gotowa – mówię. Podchodzę do stoiska ze srebrną biżuterią i zaczynam przymierzać pierścionki.

– Rób, jak uważasz. Ale Christina mówi, że jest niezły.

– Masz już na myśli kogoś konkretnego? A co to, siedzicie sobie przytulone w tych swoich identycznych piżamach i gadacie o moim żalonym życiu?

Mila podchodzi za mną do stoiska z pierścionkami.

– Po pierwsze, nigdy nie nosiłyśmy identycznych piżam. Jesteśmy lesbijkami, a nie bliźniaczkami. A po drugie, nie, nie siedzimy przytulone, gadając o twoim żalonym życiu. Czasem jednak nam się nudzi i próbujemy wtykać nos w nie swoje sprawy. Traktuję to jak służbę publiczną.

– Służbę publiczną?

– Myślisz, że jesteś pierwszą osobą, którą umawiam na randkę w ciemno? Moja siostra i jej mąż: ja. Szefowa Christiny i jej chłopak: ja.

– Ale Samuel z działu rekrutacji i Samantha z biura do spraw mieszkaniowych to też twoja robota, prawda?

Mila macha ręką.

– Ta jedna sprawa to była pomyłka. Pomyślałam, że uroczo byłoby skojarzyć Sama z Sam, i to mi zamąciło

ostrość widzenia. Ale Christina mówi, że ten gość jest naprawdę niezły. Niedawno się rozwiódł. Trzydzieści parę lat. Nauczyciel wiedzy o społeczeństwie w ósmej klasie. Więc wiesz, na pewno słodziak.

– Nie wiem – wykręcam się. – Trochę to skomplikowane. Nie szukam nic poważnego. Nie wiem... Po prostu nie wydaje mi się.

– Okej – mówi z fałszywą rezygnacją Mila. – Przekażę Christinie, żeby mu powiedziała, że odmówiłaś.

Odkładam pierścionek i patrzę na nią.

– Już z nim rozmawiała?

– No. – Mila wzrusza ramionami. – Szkoda swoją drogą, bo jemu się pomysł bardzo spodobał. Pokazała mu twoje zdjęcie i powiedział, że jesteś bardzo ładna.

Patrzę na nią sceptycznie.

– Nie zmyślasz?

Podnosi rękę jak do przysięgi.

– Jak Boga kocham.

Uśmiecham się do niej mimo woli.

Mila oddaje mi uśmiech. Osiągnęła więcej, niż się spodziewała.

Mijam ją i przechodzę do sąsiedniego stoiska. Jakiś facet sprzedaje na nim kapelusze i czapki. Połowa z nich to firmowe czapeczki Dodgersów. Wystarczy, żebym zaczęła się zastanawiać, co robi w tej chwili mój mąż. Już dawno przestał do mnie pisać. Nie mam pojęcia, jak wygląda teraz jego życie.

– Wszystko dobrze? – pyta Mila, gdy w końcu wracam do siebie. – Wyglądasz na roztargnioną.

– Tak – odpowiadam. Nie jest to, ściśle biorąc, pełna prawda. Ale mniej w tym kłamstwa niż zazwyczaj.

W poniedziałek po pracy robię zakupy na bazarze w Grove, gdy wtem dzwoni mój telefon. Odstawiam wykwinny domowy dzem, który oglądałam, i grzebię w torbie w poszukiwaniu telefonu.

Charlie.

– Cześć – mówię.

– Cześć, masz chwilę czasu?

Odchodzę od stoiska i znajduję miejsce do siedzenia.

– Mam wyłącznie czas – odpowiadam. Mówię to z grzeczności, ale też i naprawdę mam wyłącznie czas. Bycie singlem oznacza mnóstwo zaoszczędzonego czasu. – Co słyhać?

– Przyjeżdżam na święta do domu – mówi.

– To super! Idziemy wszyscy do mamy i, zdaje się, jest też mowa o tym, że może dołączy do nas Bill. I przyjedzie babcia. Nie jestem pewna co do wuja Fletchera, ale raczej bym zakładała, że też. Tak że będzie miło, jeśli...

– Słuchaj – przerywa mi Charlie – potrzebuję twojej pomocy w pewnej sprawie.

– Jasne...

– Mam pewne nowiny, które chcę wszystkim przekazać, i nie za bardzo wiem, jak to zrobić. Dlatego

chciałbym poznać przede wszystkim twoją opinię.

– Dobra – mówię. O, to coś nowego. Charlie przejmuję się moją opinią! Ale czuję też niepokój. Skoro Charlie potrzebuje mojej rady, skoro uważa, że nie poradzi sobie z tym sam, to raczej nie jest to błahostka, prawda? To musi być zła wiadomość.

– Siedzisz? To znaczy, masz czas, żeby pogadać?

– Jezus, Charlie, o co chodzi?

Robi głęboki wdech. I wreszcie to wyrzuca:

– Zostanę ojcem.

– Zostaniesz z ojcem? – A skąd on w ogóle wie, gdzie ojciec jest? Dzwonił do niego czy jak?

– Nie, Lauren. Będę miał dziecko. Zostanę ojcem.

Przechodzą koło mnie ludzie, kupujący targują się o ceny pomidorów czy awokado, dzieci nawołują matki. W oddali przemykają z szumem samochody. Sprzedawcy na stoisku mięsnym rąbią stosowne kawałki na życzenie powracających z pracy kobiet. Ja jednak nic z tego nie słyszę. Słyszę tylko mój własny oddech. I moje własne ogłuszające milczenie. Co tu powiedzieć?

Wreszcie się decyduję.

– No dobrze, a jak się z tym czujesz?

Głos Charliego się rozjaśnia.

– Dla mnie to super, naprawdę. To chyba najlepsza wiadomość, jaką dostałem w całym moim życiu.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Mam dwadzieścia pięć lat. Mam pracę, na której mi nie zależy. Mieszkam na przeciwnym

krańcu kontynentu, z dala od rodziny. Znajomi... no, nieważne, gdzieś tam są. Ale co ja takiego znów wielkiego dotąd zrobiłem? Wciąż przeprowadzam się z miejsca na miejsce, traktując to jak przygodę, i nic specjalnego z tego nie wynika. A potem przypadkiem spotykam Natalie i dwa miesiące później dostaję telefon z wiadomością, że... To dobra wiadomość. Naprawdę uważam, że dobra. Mogę być dla kogoś ojcem!

To jakiś surrealizm.

– No, a jak będzie z tą Natalie? – Chwytam się pytań logistycznych, bo emocjonalnie jestem poza moją ligą.

– No cóż, to jest to, co troszkę komplikuje sprawę, ale być może okaże się fortunne.

– Aha – mówię.

– Natalie mieszka w LA, a więc... wracam do domu.

Ożeż. Mama dostanie wnuka, z którym będzie mogła się bawić. Babcia dostanie prawnuka. Charlie rozwiązał problem. Zdjął ze mnie ciężar obowiązku. To już nie zależy wyłącznie ode mnie. To dobrze, tak czy nie?

– Ojejku, dużo tego na raz!

– Wiem. Ale najważniejsze, że to fantastyczna kobieta. I naprawdę myślę, że mógłbym z nią spróbować na stałe. Jest bystra, z poczuciem humoru. Bardzo nam razem dobrze.

– A gdzie się poznaliście?

– W samolocie – mówi Charlie. – No i wiesz... bzyknęliśmy się. I nie przywiązywałem do tego żadnej wagi. Tak że wiesz, ten kawałek ciężko będzie sprzedać.

– W samolocie? – pytam, ale mój umysł już składa poszczególne części układanki, szybciej, niż nadążam mówić. Mój brat przespał się z kobietą, kiedy przyleciał do domu na moje urodziny! To o tym mowa. – Ej, Charlie! – mówię ze śmiechem. – To znaczy, że to się stało podczas lotu?

– W ramach obrony godności własnej i matki mojego dziecka, odmawiam odpowiedzi na to pytanie.

Czyli tak. Podczas lotu.

– Ja pierniczę – mówię. Jakie to wszystko nieoczekiwane i szalone... – Czyli zamieszkasz razem z kobietą imieniem Natalie. I będziecie mieli dziecko.

– No. Codziennie po pracy ze sobą rozmawiamy, dzwoniemy do siebie, mejlujemy. Naprawdę mi się podoba. Dogadujemy się ze sobą bardzo dobrze. Jak dotąd mamy takie same pomysły co do tego, jak sobie z tym poradzimy.

– To super – mówię. – A kiedy poród?

– Koniec lipca.

– No cóż, Charlie... To gratulacje! – Choć zarazem jakaś częśćka mnie ma wrażenie, że mnie prześcignięto, że zostałam z tyłu, stałam się mało ważna.

– Dzięki. – W głosie Charliego jest wyraźna ulga. – Boję się jak cholera powiedzieć o tym mamie.

– Ale nie! – mówię i czuję, że kręcę głową. – Nie masz się co bać. Słyszę, że jesteś szczęśliwy. A Natalie, z tego co mówisz, jest fajna. A dla mamy to najlepsze wiadomości, o jakich mogłaby marzyć! Wracasz do

domu i będzie miała wnuka czy wnuczkę! Mówię ci, będzie zachwycona.

– Tak myślisz? Obawiam się, że większość matek raczej nie marzy o tym, żeby usłyszeć, jak syn mówi: „No więc zapyliłem dziewczynę”.

– Pewnie, to będzie szok, jasne. Ale to przecież nie jest tak, jak mówisz. Masz jakiś plan. Dobrze się z tym czujesz. A jeżeli ty dobrze się z tym czujesz, to i ona będzie się z tym dobrze czuła. Mówiłeś już Rachel?

– Nie – mówi. – Chciałem po prostu poznać twoją opinię, czy powinienem zadzwonić już teraz, czy poczekać i powiedzieć o tym osobiście podczas świąt. Wydaje mi się, że Rachel może być troszkę za bardzo krytyczna w tych sprawach. Nikogo nie ma i chyba to dla niej trochę drażliwy temat. Już tak dawno nie spotykała się z żadnym chłopakiem... Chciałbym w miarę możliwości oszczędzić jej uczucia.

– Więc pomyślałeś, że zadzwonisz do siostry, która jest niemal rozwiedziona – drażnię się z nim.

Śmieje się.

– Daj spokój, z tobą i Ryanem wszystko będzie dobrze. Sama tak powiedziałaś. O ciebie się nie martwię... Jeśli już, to zadzwoniłem do ciebie właśnie dlatego, że zawsze wiesz, co robić.

W chwili gdy mam uczucie, że całe moje życie legło w gruzach, gdy wydaje mi się, że ostatnia rzecz, którą bym wiedziała, to co robić, mój mały braciszek mnie podziwia... Rozczuła mnie to. Ale jeśli mu o tym

powiem, jeśli ujawnię, jak wiele jego podziw dla mnie znaczy, stracę go od ręki, tu, na tym bazarze. Więc nie uchylam maski.

– Myślę, że instynkt podpowiada ci prawidłowo, że lepiej zrobić to osobiście – mówię. – Skoro przyjeżdżasz na święta, to może po prostu uprzedź mamę, że zamierzasz się pokazać z przyjaciółką czy coś? Bo zakładałam, że zatrzymasz się u Natalie?

– Tak – odpowiada. – W takim razie może powiadomię mamę, że nie będę mieszkał w domu, tylko zatrzymam się u kogoś. To nasunie jej przypuszczenia, że być może coś jest na rzeczy, ale nic więcej nie będę mówił, dopóki jej nie zobaczę. Lepiej powiedzieć osobiście, masz rację.

– Tak, dokładnie. I nie martw się. Na pewno się ucieszy!

– Dzięki – mówi Charlie i po raz pierwszy mam wrażenie, że z jego głosu zniknęło napięcie, zawsze tam obecne.

– Ale bardzo mnie ciekawi jedna rzecz. Poznałeś ją i... no wiesz... gdzieś tam, gdziekolwiek... no wiesz. Ale jak ona cię wyśledziła? Kiedy się zorientowała, że jest w ciąży, i wiedziała, że to twoja sprawka, jak cię odnalazła tak daleko, w Chicago?

– Dałem jej mój numer – mówi Charlie, tak jakby odpowiedź była absolutnie oczywista.

– Dałeś swój numer kobiecie, której prawie nie znałeś i którą raz przeleciałeś w samolocie?

– Zawsze daję mój numer przelotnym partnerkom. Kondomy są skuteczne tylko w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach.

To właśnie jest mój mały braciszek. Jakimś cudem potrafi być zarazem cyniczny i rozważny. A teraz zostanie ojcem.

A ja zostanę ciotką.

– Wiesz co, Charlie? – mówię.

– Co?

– Będziesz fantastycznym ojcem.

Charlie się śmieje.

– Myślisz?

Tak naprawdę to nie wiem. Nie mam żadnych dowodów ani na tak, ani na nie. Po prostu postanowiłam w niego uwierzyć. A po drugie, rozumiem, dlaczego wszyscy uważają, że moje małżeństwo się utrzyma. Nie mają żadnych dowodów. Po prostu postanowili we mnie uwierzyć.

Nazajutrz Mila przychodzi do pracy z przekrwionymi oczami i głębokim marsem na czole.

– Ożeż – mówię. – Co z tobą?

– Nic, wszystko dobrze – mówi, kładąc na biurku kluczyki. Zdejmuje z ramienia torbę i z hałasem upuszcza na blat.

– Jesteś pewna, że wszystko dobrze?

Podnosi na mnie wzrok.

– Może pójdziemy na jakąś kawę? – proponuje. W

naszym biurze nie ma tak, żeby natychmiast po przyjeździe do pracy wychodzić na kawę, ale wątpię, żeby ktoś zauważył.

– Jasne – mówię. – Poczekaj, niech wezmę portmonetkę.

Mila znowu zarzuca torbę na ramię, podbiega do mojego biurka i łapie moją. W drodze do wind milczymy. Wciskam guzik „w dół”, słysząc „dzyń”. Na szczęście kabina jest pusta.

– Nie spałam tej nocy – oznajmia, kiedy drzwi się zamykają.

– W ogóle?

– W ogóle. A poprzedniej nocy może ze cztery godziny, a jeszcze poprzedniej ze dwie. – Ma postawę kobiety pokonanej. Ręce oparła na biodrach, tak jakby miało to jej pomóc.

– Dlaczego?

Nieoczekiwanie stajemy na czwartym piętrze. Wchodzi kobieta w czarnym kostiumie i wciska guzik drugiego. Jest jasne, że rozmawiałyśmy. Jest również jasne, że przy niej nie będziemy rozmawiać. Mija piętnaście sekund, niezręcznych dla wszystkich obecnych. Winda się zatrzymuje, kobieta wychodzi, drzwi powoli się zamykają i w idealnie zsynchronizowanym rytmie zostaje wznowiona rozmowa.

– Bo ostatnio całymi nocami kłócimy się z Christiną – mówi Mila.

– O co?

Dzisiaj.

Jesteśmy na pierwszym piętrze. Przemierzamy hol, kierując się w stronę stoiska z kawą. Nigdy tu z Milą nie przychodzimy, bo nie lubimy słabej kawy i nieświeżych bajgli. Czasami jednak człowiek potrzebuje pójść po kawę bardziej niż samej kawy. I to jest jeden z tych przypadków.

– O wszystko! Do wyboru do koloru. O dzieci, o to, kto da jeść psu, o to, czy mamy szukać większego mieszkania, kiedy jest właściwa pora, żeby kupić dom, czy będziemy się kochać, czy nie.

– A często się kochacie? – pytam. Chyba w jakimś sensie szukam empirycznych dowodów, że jestem normalna. Że każda para ma problemy z seksem. Może i one nie kochają się tak często? – Macie z tym jakiś problem?

– Nie, skąd. Kochamy się bardzo często – odpowiada. – To rzadko jest przedmiotem sporu. Jeśli już, to raczej na przykład czy powinniśmy się kochać, kiedy dzieci nie śpią. – A więc to tak. Ser zostaje w kole.

Mila podchodzi do stoiska.

– Orzechowe latte – mówi do faceta, który je prowadzi.

– Przykro mi, proszę pani, ale mleko się skończyło – odpowiada. Wprawdzie powiedział, że mu przykro, ale w ogóle tego po nim nie widać.

– Skończyło się panu mleko?

- Tak, proszę pani.
- Czyli że macie tylko czarną kawę?
- I cukier – uzupełnia.

Oto do czego dochodzi, kiedy ludzie kupują twoją kawę, nie zważając na jakość. Jeśli masz odpowiednią lokalizację, to nawet nie musisz mieć nic do sprzedania.

– Dobrze, niech będzie czarna – mówi Mila z rezygnacją. – A ty coś chcesz? – zwraca się do mnie.

Macham przecząco ręką. Facet podaje Mili kubek i inkasuje dwa бакsy.

– Czyli że kłócicie się o mnóstwo rzeczy? – pytam, wracając do tematu. Mila siada w holu na ławce, a ja koło niej.

– No... A jak już skończymy się kłócić, to budzi się któryś z bliźniaków i nie można spać i tak.

– Jezu – mówię. – O co w tym wszystkim chodzi?

– Z tymi kłótniami?

– No.

Mila wygląda na zniechęconą.

– Nie wiem. Szczerze. Nie wiem. Dawniej nie kłóciłyśmy się tyle. Jakaś sprzeczka od czasu do czasu, owszem... Ale nie wrzaski po nocy aż do białego dnia.

– Zdarzyło się coś, co może być przyczyną, że obie jesteście nerwowe?

Wzrusza ramionami i ostrożnie upija łyk kawy.

– Wychowywanie dzieci to nie bajka. Troszczenie się o rodzinę to nie bajka. I chyba czasem to do którejś z nas dociera. A w tej chwili dociera to do nas obu

równocześnie. Niedobrze.

Z jej torby dochodzi „biip” i zaczyna grzebać w poszukiwaniu telefonu. Przypuszczam, że to SMS od Christiny, bo na jej twarzy pojawia się furia.

– Przysięgam Bogu, że ją zabiję – syczy, kręcąc głową. – Zabiję! Zabiję!

– Co zrobiła?

Pokazuje mi tekst: „Nie mogę odebrać Brendana i Jacksona ze żłobka. Odbierzesz?” Wygląda dość niewinnie, ale wiem, że to kontekst sprawia, że Mila odczytuje to jak zdradę i dostaje szału. Bezsenne noce, raniące słowa, przeszłość, resentymenty – wszystko to może zmienić ten prosty tekst w ciężar zdolny złamać grzbiet wielbłąda.

– I co zamierzasz zrobić? – pytam.

Mila oddycha głęboko, pociąga łyk kawy i wstaje.

– Zamierzam sobie z tym poradzić – mówi. – To właśnie zamierzam. Zamierzam wypić około pięciu takich kaw – wskazuje gestem kubek – tak żeby przetrwać do piątej, potem zamierzam odebrać dzieci, a potem zamierzam postarać się być miła dla mojej partnerki, a potem zamierzam pójść do łóżka. To właśnie zamierzam.

Kiwam głową.

– Jest to jakiś plan.

Wracamy do windy. Po drodze zastanawiam się, dlaczego ja tak nie umiem. Dlaczego nie potrafię znaleźć odpowiedzi w pięciu kubkach kawy i być miła

po powrocie do domu? Nie wiem... I nie wiem, czy kiedykolwiek będę wiedzieć. Może częściowo dlatego, że nie jestem Milą. A może częściowo dlatego, że Ryan nie jest Christiną. Może częściowo dlatego, że nie mamy dzieci. Może gdybyśmy mieli dzieci, przebrnęlibyśmy przez to całkiem inaczej. Nie wiem, dlaczego Ryan i ja jesteśmy inni. Wiem tylko, że to dobrze, że jesteśmy.

Bo ja nie mam ochoty wracać dziś do domu i stawać na uszach, żeby być dla kogoś miłą. Po prostu nie mam na to w tej chwili ochoty. Mam ochotę wrócić do domu i robić, co zechcę. Mam ochotę oglądać w telewizji, co tylko zechcę. Mam ochotę wziąć długie prysznic. Mam ochotę zamówić sobie wenezuelskie żarcie. Mam ochotę położyć się z Thumperem do łóżka około północy i zasnąć głębokim snem, mając do dyspozycji luksusową ilość miejsca.

I myślę, że jeśli podobają się nam nasze plany na wieczór, to nie wolno nam żałować tego, co do nich doprowadziło. Myślę, że powinno to być zasadą.

Kiedy wsiadamy do windy, Mila dziękuje mi, że jej wysłuchałam.

– Czuję się lepiej. O wiele lepiej. Chyba po prostu musiałam to z siebie wyrzucić. A co u ciebie? Pogadajmy o tobie.

Śmieję się.

– Nie mam nic specjalnego do powiedzenia. Wszystko dobrze.

– To dobrze – mówi.

Przez chwilę milczymy. Postanawiam wypełnić tę ciszę.

– Możesz to zrobić... Możesz mnie umówić na tę randkę.

Nie wiem, dlaczego to mówię. Chyba dlatego, że staram się poprawić jej samopoczucie.

Mila wciska guzik „stop” i winda gwałtownie staje. Z trudem łapię równowagę, wspierając się o ścianę.

– Czy robisz to po to, żeby mi poprawić samopoczucie? – pyta.

– Nie – zaprzeczam. – Po prostu... chyba pora załapać trochę rozrywki. – To chyba prawda. Naprawdę wydaje mi się, że to może być zabawne. W pewnym sensie.

Mila uśmiecha się szeroko.

– Ojej, no to świetnie!

Znowu wciska guzik i winda rusza do góry.

– Jestem z ciebie dumna – mówi.

– Naprawdę? – pytam, gdy drzwi się otwierają i wychodzimy.

– Jasne. To dla ciebie wielki krok naprzód.

Czyżby? No, może i tak. Chyba będę musiała więcej o tym pomyśleć.

Parę godzin później przychodzi do mojego pokoju z kolejną kawą w ręce i uśmiechem na ustach.

– Dasz radę w sobotę wieczorem?

– W tę sobotę? – Myślałam, że to jakiś odległy pomysł! Nie sądziłam, że mówimy o najbliższej

sobocie!

– No!

– Hm... – zastanawiam się. – Dobra, niech będzie. Chyba dam radę w sobotę.

– Dam mu twój numer! – wykrzykuje Mila. Po czym nachyla się nad moim biurkiem i przejmuje komputer. – Chcesz zobaczyć jego zdjęcie?

– No pewnie, jeszcze jak – mówię, pamiętając, że powinnam czuć pociąg do tego człowieka.

Mila otwiera fotkę.

Jest przystojny. Niezbyt ciemny szatyn, kwadratowa szczęka, okulary. Wygląda, jakby sadził drzewo z jakimiś dzieciakami. Ma na sobie podkoszulek i dżinsy, rękawice ogrodnicze, a w ręce ogromny szpadel.

Patrzę na zdjęcie. Przyglądam się uważnie. Chyba mogłabym go pocałować. Może. Może on jest człowiekiem, którego mogłabym pocałować.

Sobotni ranek spędzam w łóżku z Thumperem. Oglądamy rozmaite reality show w telewizji, a potem aż do południa czytam kolorowe czasopisma.

Postanawiam zadzwonić do Rachel i powiedzieć jej, że zgodziłam się na randkę w ciemno. Wybieram jej numer i w tym momencie telefon zaczyna dzwonić. Z zaskoczenia zapętlam się pomiędzy różnymi funkcjami, ale jakoś udaje mi się wyłączyć rozmowy przychodzące, dopóki nie pozostawię Rachel wiadomości głosowej: „Yh... co to? A, poczekaj!”

Właśnie mam sprawdzić, kto dzwonił, gdy dzwonek rozlega się ponownie. Odbieram.

– Halo?

– Lauren?

– Tak.

– Cześć, tu David.

Jestem zdenerwowana. W dobrym sensie. Pamiętam ten rodzaj zdenerwowania. To nie są właściwie motylki w brzuchu, raczej kolibry w klatce piersiowej. Tak czy siak, budzi lęk.

– O, cześć, David – mówię. – Jak się masz? – Głos ma przyjazny, uspokajający. Przyjemny głos.

– W porządku, a ty?

– Też w porządku.

Zapada cisza. Mój umysł w szaleńczym tempie szuka, co by tu powiedzieć, sprawdzając różne opcje. Pustka... Niech ktoś coś powie!

– No więc pomyślałem sobie, że może o siódmej? Jest taka grecka knajpka na Larchmont... jeśli oczywiście lubisz grecką kuchnię – zaczyna dukać. Sprawia wrażenie zdenerwowanego. – To znaczy... bo niektórzy nie lubią. I bardzo dobrze.

To może być łatwiejsze, niż myślałam.

– Grecka? Cudownie. Masz na myśli Le Petit Greek?

– Jeśli chodzi o kuchnię grecką, dobrze wiem, gdzie, co i jak.

– Tak! – mówi z entuzjazmem. – Byłaś tam?

Zazwyczaj skłaniałam Ryana, żebyśmy tam poszli,

kiedy miałam ochotę na musakę. Powinnam była zauważyć, że za każdym razem zamawia tam stek. A nawet nie za bardzo lubi steki.

– Tak, byłam. Uwielbiam ją! Świetny wybór.

– Okej, to w takim razie o siódmej – mówi David. – Poznasz mnie po tym, że będę miał czerwoną różę w klapie.

– To miło. – Nie jestem pewna, czy żartuje, więc na wszelki wypadek wolę się nie śmiać.

– To żart – wyjaśnia. W jego głosie słychać usilne pragnienie, by doprecyzować sprawę. – Ale może jednak powinienem zrobić coś w tym stylu? Będę miał na sobie czarną koszulę. Albo... okej, czarną koszulę.

Może się denerwować jeszcze bardziej niż ja.

– Super – odpowiadam. – No to randka umówiona. – I momentalnie czuję zażenowanie. Czy nie za daleko się posunęłam? Bo to przecież żenujące – nazywać randkę randką, no nie?

– Okej – mówi David. – To się cieszę. Do zobaczenia!

Odkładam telefon na stół. Patrzę na Thumpera, który siedzi teraz pod stolikiem, u moich stóp. Muszę się nachylić, żeby móc spojrzeć mu w oczy.

– To nie jest dziwne, że mi nie zaproponował, że mnie podwiezie, prawda? – pytam go. Thumper przekrzywia głowę. – Po prostu tak się to robi, no nie?

Thumper ziewa rozdzierająco. Biorę to za odpowiedź „tak”.

Znowu dzwoni telefon. Rachel.

– Coś ty mi, do licha, zostawiła za wiadomość w poczcie głosowej? – mówi ze śmiechem.

– Pomieszało mi się.

– Najwyraźniej.

– Idę dziś wieczorem na randkę – oznajmiam.

– Na randkę? – powtarza Rachel. – W sensie że z facetem?

– Nie, z misiem pandą. Ale jestem podekscytowana!

– Myślisz, że jesteś na to gotowa? Na randkę z facetem, mam na myśli? Bo rozumiem, że tak naprawdę nie umówiłaś się z misiem pandą.

Wzdycham.

– Nie wiem... Ale Ryan się z jakąś spotyka.

– A jak Ryan rzuci się z klifu do morza, to ty też?

Niedobrze, że był w moim życiu czas, kiedy mogłam brać pod uwagę odpowiedź „tak”. Mam skłonność do uważania, że to piękne – tak w kogoś wierzyć, tak kompletnie, bez reszty, bez zastrzeżeń.

David ma pietruszkę na zębach, a ja nie wiem, jak mu to powiedzieć.

– No więc wziąłem tę pracę i zacząłem uczyć w ósmej klasie wiedzy o społeczeństwie. Myślałem, że to na rok czy dwa, ale naprawdę polubiłem to zajęcie – mówi. Troszkę się śmieje z samego siebie i jest to naprawdę urocze. Ale ma pietruszkę na przednich zębach. I to spory kawałeczek. Nie żeby był to dla mnie

wielki problem. Pietruszka nie jest miarą człowieka. Chodzi po prostu o to, że wiem, że w jakiejś chwili pójdzie do toalety, spojrzy w lustro, a potem powie: „Czemu mi nie powiedziałaś, że miałem taki wielki kawałek pietruszki na zębach?” A ja będę siedziała jak idiotka i jak idiotka wzruszę ramionami.

– Masz na... – zacznym, ale równocześnie on podejmuje:

– To znaczy, na studiach byłem przekonany, że skończę nauki polityczne i następnym przystankiem będzie Senat. Ale wiesz, życie napisało inny scenariusz. A jak było z tobą?

– W pewnym sensie tak samo – mówię. – Pracuję w Wydziale Absolwentów w Occidental.

– Wygląda, że może to być fajne.

– No – odpowiadam. – To dobra praca. Podobnie jak u ciebie... To nie jest to, co zamierzałam robić. Mój główny przedmiot to była psychologia. Zakładałam, że zostanę psycholożką, ale trafiło mi się to zajęcie i... no nie wiem, ale autentycznie je lubię. To naprawdę ekscytujące, kojarzenie na podstawie listów różnych ludzi, planowanie spotkań, zlotów absolwentów... tego typu rzeczy.

David pociąga z kieliszka łyk białego wina i jakoś przy okazji pietruszka zostaje spłukana.

– Prawda, że to fajne – mówi – jeśli człowiek wyrasta z własnych wyobrażeń o tym, jakie powinno być życie, i potrafi po prostu cieszyć się tym, jakie jest?

Ze wszystkich rzeczy, jakie mi mówiono na temat mojego małżeństwa, żadna nie zabrzmiała tak przekonująco. A on nawet nie mówi o moim małżeństwie.

Podnoszę kieliszek.

– Wypijmy za to – mówię.

Dawid z uśmiechem stuka kieliszkiem o mój kieliszek. I wiecie co? Bez pietruszki, która odwraca uwagę, jest to całkiem fajny uśmiech: przyjazny, lśniący bielą zębów. Dawid jest przystojny w konwencjonalnym sensie, wszystkie te kości policzkowe, kąty i płaszczyzny twarzy. Nie jest tak atrakcyjny, żeby człowiek miał zablokować ruch uliczny, byle na niego spojrzeć. Ale ja też taka nie jestem. Po prostu skromnie przystojny gość. Gdyby był nowym lekarzem w małym miasteczku na Środkowym Zachodzie, to wszystkie kobiety by się do niego zapisywały na wizytę. To ten rodzaj atrakcyjności. Okulary tkwią mu na nosie ze swobodą, tak jakby zasłużyły sobie na prawo, żeby tam być.

– A jakie są twoje ulubione zajęcia? – pyta David. – To znaczy, co robisz, kiedy nie jesteś w pracy?

– Hm... – mówię, niepewna, co odpowiedzieć. Czytam książki. Oglądam telewizję. Bawię się z psem. Czy o to mu chodzi? Nie wypada to zbyt interesująco. – Wiesz, ostatnio zaczęłam chodzić na piesze wycieczki i biegać. Lubię zabierać mojego psa, żeby się przewietrzył. Dobrze mi robi, jak się zmęczy szybciej niż ja. Ale to rzadko się zdarza. A poza tym... spotykam

się z rodziną, dużo czytam – dodaję.

– A co czytasz?

– Głównie powieści. Ostatnio polubiłam thrillery. Kryminały – mówię. Prawda jest taka, że przestałam czytać wszystko, co zawiera wątek miłosny. Dużo mniej dołączające jest czytać o morderstwach. – A ty?

– Och, żadnej fikcji. Głównie literaturę faktu.

Na chwilę zapada cisza. Trzeba przyznać, że niełatwo jest prowadzić rozmowę z obcym człowiekiem i udawać, że nie jest tak obcy, jak jest. Usiłuję wymyślić coś do powiedzenia. O pracy już rozmawialiśmy. O co by go tu spytać?

– Przepraszam – mówi. – To moja pierwsza randka od bardzo dawna. Przepraszam, jeśli wypada niezręcznie.

– O! – podchwytyję. – Moja też. Dawno nie byłam na randce. Nie mam pojęcia, jak to się właściwie robi.

– Nie spotykałam się z nikim od czasów Ashley – ciągnie, po czym potwierdza to, czego się już domyśliłam: – Moja była żona. Christina wciąż próbuje mnie z kimś umówić. Ale dotąd nigdy... to pierwszy raz, kiedy się zgodziłam.

Śmieję się.

– Mila też nieźle naciskała.

– Czyli, jak rozumiem, ty też jesteś ofiarą sądu? – pyta z uśmiechem. – Rozwiedziona?

– Hm... nie. Jesteśmy w separacji. Mój mąż i ja.

– Cóż, przykro mi to słyszeć.

– Mnie też – mówię. – O tobie.

– No wiesz... – David śmieje się sam do siebie. – Myśmy nigdy nie byli w separacji. Nakryłem ją w łóżku z kolegą z pracy. Natychmiast wystąpiłem o rozwód.

– To straszne – mówię, przyciskając rękę do piersi. Znam Davida mniej więcej od godziny, ale nie mogę uwierzyć, że można było mu zrobić coś takiego.

– Nie znasz nawet połowy tego wszystkiego – odpowiada. – Ale nie chcę w to wchodzić. Powiedziałem sobie: nie rozmawiaj przy kolacji o Ashley!

Śmieję się ze zrozumieniem.

– Och, uwierz mi, ja mam tak samo. Odkąd Ryan odszedł, na nowo uczę się rozmawiać z ludźmi. Prawdę mówiąc, to moja pierwsza randka od czasu, gdy miałam dziewiętnaście lat. Sporządziłam sobie całą listę spraw, których nie wolno poruszać.

– Niech zgadnę: nie mów o swoich eks. Nie mów o tym, jaka się czujesz zagubiona w pojedynkę. Nie mów o tym, jakie to dziwne i niezręczne, siedzieć przy stole z kimś innym niż on.

Dodaję to i owo od siebie.

– Nie podjadaj mu z talerza tylko dlatego, że przywykłaś to robić. Nie przyznawaj się, że od jedenastu lat nie byłaś na randce.

David się śmieje.

– Z niektórymi tematami idzie nam lepiej niż z innymi. – Unosi w moją stronę kieliszek, ja unoszę swój. Brzdęk. Pijemy.

Kolacja mija nam śpiewająco. Zamawiamy więcej wina, niż powinniśmy. Kiedy przyjemny rauszyk zmienia się w nawalenie, znika filtr oddzielający to, co można powiedzieć, od tego, czego nie należy. Mówimy sobie nawzajem rzeczy, których nie mówimy nikomu innemu.

On mi mówi, że czasem budzi się z myślą, że powinien ją przyjąć z powrotem. Ja mu mówię, że Ryan spotyka się z inną i że kiedy o tym myślę, mam wrażenie, że serce eksploduje mi do wewnątrz. Mówię mu, że nie jestem pewna, czy w ogóle będę miała bez Ryana jakieś życie. On kiwa ze zrozumieniem głową i mówi, że w najgorszych chwilach żałuje, że ją przyłapał. Że wolałby po prostu nie wiedzieć. Że mógłby przeżyć całe życie jako facet, który nie wie, że żona go zdradza. Mówi, że wtedy życie byłoby fajniejsze. Ja mu mówię, że zaczynam się zastanawiać, kim w ogóle jestem bez Ryana. Że nie jestem pewna, czy w ogóle kiedykolwiek to wiedziałam.

To pierwszy raz, kiedy ujawniłam przed kimś najgorsze prawdy o tym, jak to boli. To kojące, kiedy dzielisz z kimś swój ból, a on mówi: „Nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jakie to musi być trudne”. Ale jeszcze lepiej brzmi: „W pełni cię rozumiem”.

Kiedy kończymy, odprowadza mnie do samochodu. Idziemy bulwarem Larchmont, mijając zamknięte sklepy i kawiarnie, udekorowane światłami i wieńcami z jedliny w oczekiwaniu na Boże Narodzenie, które

przypada już w przyszłym tygodniu. Moment byłby romantyczny, gdybyśmy nie wylali przed sobą wszystkich żalów, nie ujawnili ran i nie zlikwidowali w ten sposób wszelkiej tajemnicy. Kiedy docieramy do mojego auta, David z uśmiechem całuje mnie w policzek.

– Coś mi się zdaje, że pozostaniemy w strefie przyjaźni.

Śmieję się.

– Też tak myślę. Ale fajnie jest mieć przyjaciela.

– Szkoda, że najwyraźniej oboje nie jesteśmy gotowi – mówi ze śmiechem David. – Jesteś piękną kobietą.

Czerwienię się, a mimo to czuję ulgę. Nie jestem gotowa na namiętny finał. Po prostu nie jestem gotowa. Biorę Davida za rękę.

– Dziękuję – mówię, otwierając drzwiczki. – Zachowaj mój numer, dobrze? I dzwoń, jak nie będziesz miał z kim pogadać.

Uśmiecha się tym swoim miłym uśmiechem.

– Ty też.

Charlie dzwoni do mnie wieczorem w przeddzień spodziewanego przylotu.

– No to wszystko załatwione. Mama wie, że będę mieszkał u kogoś innego. Fatalnie to przyjęła.

– Będzie dobrze, zobaczysz.

– Taak... Natalie się trochę denerwuje.

– No pewnie. Też bym się denerwowała na jej

miejscu. To niełatwe. – A ja, czy się denerwuję? Że ją poznam? Chyba trochę tak.

– Ale jej mówię, że wszyscy uwielbiają kobiety w ciąży. Zwłaszcza taką, która nosi moje dziecko.

„Moje dziecko”. Mój mały braciszek powiedział „moje dziecko”... Wciąż nie do końca ma to dla mnie sens. Ale to się dzieje naprawdę. Muszę o tym pamiętać. To, że był to sekret i nikomu o tym nie mówiłam, nie oznacza, że nie jest realne. Jest realne i wkrótce stanie się jeszcze realniejsze.

– Okej, to w takim razie widzimy się jutro u mamy?

– Taak – mówi. – O której będzie kolacja?

– Kolacja o piątej, ale myślę, że prezenty rozpakujemy koło pierwszej–drugiej.

– Czyli o drugiej.

– Co?

– Mama ci powiedziała, że koło pierwszej–drugiej, żebyś przyszła o pierwszej i żeby mogła spędzić z tobą więcej czasu, ale tak naprawdę planuje o drugiej.

– Dlaczego mówisz to tak, jakby to był jakiś diaboliczny plan?

– Skąd.

– To przecież nic złego, jeśli rodzina chce spędzić z tobą więcej czasu.

– Wiem – mówi Charlie. – Ale my przyjdziemy o drugiej, nie o pierwszej. Tylko tyle chcę powiedzieć.

Jest taki precyzyjny w sprawie pory przyjscia, bo ma kogoś, z kim chce spędzić czas. Chce być sam z Natalie.

Nie chce przesiedzieć całego dnia z rodziną. A ja? Z radością przesiedzę cały dzień z rodziną. Co innego miałabym robić?

– W porządku, powiem mamie, że będziesz o drugiej.

– Super.

– I, Charlie...

– Tak?

– Masz prezent dla mamy, prawda?

– Wciąż jeszcze to robimy?

Dostaję sygnał, że dzwoni Rachel.

– Tak, Charlie, nadal to robimy. Muszę kończyć. Rachel dzwoni.

– Dobra, to cześć. Ale nic jej na razie nie mów!

– Nie powiem, jasne. – Wciskam klawisz, żeby się przełączyć na inną rozmowę, i gubię Rachel. Co do diabła? Czy to aż takie trudne, operować równocześnie dwiema rozmowami w tym samym telefonie, cholera jasna? Oddzwaniem.

– Naucz się korzystać z telefonu – rzuca.

– Aha, dzięki.

– Mamy problem.

– My?

– Dobra, ja mam. Ale zamierzam cię skłonić, żebyś mi pomogła, więc w pewnym sensie jest to także twój problem.

– Okej – mówię. – Dawaj.

– Babcia przeczytała artykuł o tym, że biały cukier

ma wpływ na raka.

– Okej. Domyślałam się, że mama nalega, żeby wszystkie ciasta, które pieczesz, były bez cukru.

– Słyszałaś o czymś takim? Śmieszne – zżyma się Rachel. Ale to ona jest śmieszna. Mieszkamy w Los Angeles. W pięć minut można znaleźć ciasto wegańskie, bez glutenu, bez cukru, bez mleka i jaj, co tylko zechcesz.

– Dasz radę. Dla ciebie upiec ciasto to tyle co kiwnąć palcem.

– Ale ona przecież nie ma raka – mówi Rachel. – Wiesz o tym, prawda? To znaczy, nigdy się o tym nie mówi, ale moim zdaniem to oczywiste, że nie ma żadnego raka.

Śmieję się.

– Zapomniałaś, zdaje się, że to dobra wiadomość.

Rachel też się śmieje.

– Nie! Super, że nie ma raka, zastanawiam się tylko, dlaczego w związku z tym mam piec ciasto z dyni bez cukru.

– No dobra, a jakbyśmy zrobiły tak: sprawdzasz przepisy i znajdujesz taki, który będzie się nadawał twoim zdaniem. Wysyłasz mi listę składników, których nie masz w domu. Ja jutro idę do sklepu i kupuję co trzeba. A potem przyjeżdżam do ciebie i pomagam ci wszystko przygotować.

– Naprawdę byś to zrobiła?

– Chyba żartujesz. No pewnie! Mama nie prosiła

mnie w tym roku, żebym coś przyniosła. Mam tylko przytargać siebie samą.

– Coś takiego – mówi Rachel nieco jaśniejszym głosem. – Dobra, to dzięki. – Po czym dodaje: – Obawiam się, że będziesz musiała pójść do sklepu przed piątą czy szóstą, niestety. W Wigilię sklepy wcześniej zamykają. Po prostu ci mówię, żebyś wiedziała.

– Jasne. Obiecuję.

– To kup też trochę tego całego sztucznego śniegu, dobra?

– Czego?

– Mają go czasem w spożywcach, w alejce z artykułami świątecznymi. Takie coś, co rozpyłasz na szybie i wygląda jak śnieg.

Wiem, o czym mówi. Mama zwykle spryskiwała tym szyby, jak byliśmy mali. Zapalała świece o zapachu drzewa w kominku i śpiewała *Pada śnieg*. Zawsze jej bardzo zależało, żeby nam pokazać, jak wyglądają prawdziwe święta. Któregoś roku Charlie zaczął płakać, bo nigdy nie widział śniegu, więc mama wrzuciła lód do blendera, zmełała, a potem go tym posypała. Ciekawe, czy Charlie to pamięta... Ciekawe, czy i on będzie wrzucał lód do blendera, żeby pokazać śnieg swojemu pozbawionemu śniegu dziecku.

– Dobra. To zrób listę i wszystko ci kupię – mówię.

Kończę rozmowę i odkładam telefon.

Rozglądam się po domu. Nie mam nic do roboty.

Postanawiam wysłać Davidowi SMS-a. Nie wiem

dlaczego. Może dlatego, że to coś do roboty. Ktoś, z kim można pogadać.

Przyszło ci kiedyś do głowy, że prawdziwy problem z życiem w pojedynkę to ten, że czasem się nudzisz?

Zakładam, że może nie odpowiedzieć. Albo zobaczyć wiadomość później. Ale odpisuje natychmiast.

Jeszcze jak! Nie zdawałem sobie sprawy, jak czasochłonne jest małżeństwo.

Odpowiadam.

To okropne, że nic teraz nie absorbuje mojej uwagi. A kiedyś okropne było, że on tak absorbował moją uwagę.

A najgorzej w pracy! Dawniej, jak dzieciaki pisały test albo oglądały film, rozmawiałem z nią przez komunikator. Teraz czytam wiadomości CNN.

Flaki z olejem.

Cha cha cha. Dokładnie.

I to wszystko. Tyleśmy sobie powiedzieli. Ale... Nie wiem. Czuję się lepiej.

Możesz mi podać? – woła Rachel.

Ma na sobie fartuch w groszki, a włosy zwinęła w koczek na czubku głowy. Twarz ma umączoną. Ciasto dyniowe jest już w piecyku, a teraz Rachel bierze się za bezcukrowe ciasteczka. Trochę wcześniej zażartowałam: „To chyba będą ciasteczka tylko z nazwy, no nie?” Rachel się roześmiała, ale raczej bez przekonania. Tkwimy w kuchni od pół do dziewiątej, kiedy przyjechałam do niej z zakupami. Sądziłam, że lista

będzie zawierała jakieś dziwne substancje, ale był tylko miód i stewia.

– Co ci mam podać?

– No ten... – Rachel nawet na mnie nie patrzy. Nawet nie wskazuje. – No wiesz... – Robi gest ręką. – Ten...

Z tego gestu i z wielkiej kluchy ciasta, jaką ma przed sobą na stolnicy, udaje mi się jakoś domyślić, o co jej chodzi.

– Wałek?

Sięgam i jej podaję. Wałek jest ciężki i ląduje w jej dłoni z głuchym tąpnięciem.

Rachel przerywa na chwilę krzątanie.

– Dzięki – mówi. – Sorry, po prostu robię za dużo rzeczy na raz.

Obsypuje wałek mąką i zaczyna wałkować.

– A słyszałaś o tym, że Charlie przyprawia na święta jakąś dziewczynę?

– Hm? – udaję zdziwienie. O Boże, nie umiem kłamać przed siostrą... Nie mieszkamy przed sobą sekretów. W tej rodzinie się ich nie miesza. Więc naprawdę nie wiem, jak z tego wybrnąć. Co mam powiedzieć? Coś niezobowiązującego? Tak żeby w gruncie rzeczy nic nie powiedzieć? Podać jakiś wiarygodny wykręt? A może po prostu skłamać w żywe oczy, powiedzieć coś jawnie nieprawdziwego z takim przekonaniem, że niemal sama w to uwierzę? Ojejku, nie jestem w tym mocna.

– Charlie przyprawia na święta jakąś laskę –

powtarza. Ciasto jest już rozwałkowane, a Rachel szuka czegoś po kuchni. Nie, chyba nie tu... Ani tu... Jest, ma.

– Wypróbuj je! – mówi z dumą i wyjmuje foremki do ciastek w kształcie misternie wykrojonych płatków śniegu.

– Ale cudne! – wołam. – Ale wyglądają na strasznie trudne w użyciu.

Rachel wzrusza ramionami.

– Ćwiczyłam przez cały tydzień. Damy radę.

Sięgam do lodówki po butelkę wody gazowanej. Zakrętka ani drgnie, nie mogę odkręcić, więc podaję Rachel. Bez słowa zdiera plastikowe zabezpieczenie i zwraca mi butelkę.

– Powinnaś rzucić pracę – mówię.

– Co? – Wyraźnie słucha jednym uchem. Zaczęła wykrawać ciasteczka.

– Poważnie. Jesteś taka dobra w te klocki... Robisz absolutnie dekadentkie desery i zarąbiste wypieki. Powinnaś otworzyć ciastkarnię.

Rachel podnosi wzrok.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Skąd wezmę kasę?

– Nie wiem. – Wzruszam ramionami. – A jak ludzie zakładają firmy? Biorą pożyczkę biznesową, tak?

Rachel uważnie stawia foremkę.

– To nierealne.

– Czyli że myślałaś o tym?

– Pewnie. Każdy myśli, żeby wyciągnąć kasę z tego, co lubi robić.

– Tak, ale nie każdy ma taką pasję i talent do czegoś, z czego naprawdę można wyciągnąć kasę – mówię.

Rachel pracuje w dziale HR, co zawsze wydawało mi się dziwnym wyborem. Należy do osób o lepiej rozwiniętej prawej półkuli mózgu. Zawsze ją sobie wyobrażałam jako zajmującą się czymś twórczym w bardziej tradycyjny sposób.

– Jest dużo ciastkarzy bardziej utalentowanych niż ja.

– Bo ja wiem – mówię serio. – Jesteś w tym naprawdę dobra. I tylko popatrz... W wolnych chwilach ćwiczysz używanie foremek do ciastek w kształcie płatków śniegu. Ilu ludzi może to o sobie powiedzieć?

– Ja nie twierdzę, że tego nie lubię.

– Pomyśl o tym – mówię. – Po prostu o tym pomyśl.

– To jest po prostu nierealne.

Podnoszę rękę.

– Mówię tylko, żebyś o tym pomyślała!

Po paru godzinach pakujemy z Rachel ciasteczka i ciasto z dynią. Ostrożnie przenosimy do mojego auta piernikowy domek, który Rachel sporządziła wczoraj wieczorem. Chwytam dwie puszki śniegu i wrzucam do torby. Kiedy wychodzę przed dom, Rachel siedzi za kierownicą z kluczem w stacyjce, ale patrzy pod nogi, jakby w oszołomieniu. Spodziewam się, że ruszy, ale nie. Stoi.

– Heeej! – wołam i macham jej przed nosem ręką.

Podnosi wzrok.

– Przepraszam – mówi. Przekręca kluczyk w stacyjce i patrzy na mnie. – Naprawdę uważasz, że byłabym w tym dobra? Wiesz, z tą ciastkarnią?

Kiwam głową.

– Więcej niż dobra. Mówię ci.

Nie odpowiada, ale widzę, że bierze to sobie do serca.

– A tak w ogóle to wesołych świąt! – rzuca, kiedy wjeżdżamy na autostradę. – Nie do wiary, że zapomniałam to powiedzieć rano.

– Wesołych świąt! – odpowiadam. – Coś mi się zdaje, że to będą dobre święta.

– Mnie też – mówi. Wzrok ma utkwiony w jezdnię, ale jej umysł jest gdzie indziej.

Słyszę brzęczenie mojej komórki. Przez ułamek sekundy myślę, że może to Ryan. Może z okazji świąt możemy zawiesić zasady?

Ale to nie Ryan. Skądże by?

To David.

Wesołych świąt, nowa przyjaciółko!

Tobie także wesołych świąt! – odpisuję.

To nie Ryan, ale uśmiecham się i tak.

Wesołych świąt! – woła do nas matka, zanim jeszcze otwieramy drzwi. W jej głosie słyhać radosne podniecenie.

To jej najszczęśliwszy dzień w roku. Dzieci są w

domu. Ma dla nas prezenty. Wszyscy zachowujemy się wzorowo. Ogólnie biorąc, może nas traktować, jakbyśmy nadal byli dziećmi.

Otwiera szeroko drzwi i obie z Rachel mówimy unisono: „Wesołych świąt!” Kiedy wchodzimy, babcia Lois siedzi na kanapie. Zbiera się, żeby wstać, ale mówię jej, że nie musi.

– Bzdura – odpowiada. – Nie jestem inwalidką.

Spogląda na wyłożone na stole wypieki.

– Ojej, Rachel, jak wspaniale wyglądają! Jakież te ciasteczka wymyślne! Przykro mi, że nie będę mogła nawet spróbować. Ostatnio czytałam, że z badań wynika, że biały cukier przyczynia się do raka.

– Nie, mamó! – prostuje matka. – Rachel upiekła je bez cukru! Prawda? – zwraca się do Rachel o potwierdzenie.

– Tak – mówi Rachel, nagle z siebie dumna. – Nawet ciasteczka z cukrem!

– W takim razie są to chyba po prostu ciasteczka? – żartuje mama. A mama nie należy do żartownisiów. Widać, że powstrzymuje uśmiech, czekając, aż inni zaczną się śmiać.

– Dobrze, mamó! – mówię i przybijam jej piątkę. – Ja też to już dziś powiedziałam.

Wszyscy zaczynają rozmawiać o rzeczach, o jakich rozmawia się w święta. Co będzie na kolację, kiedy będzie gotowa, jak fajnie wszystko pachnie. Zwykle to babcia przejmuje w święta kuchnię mamy i robi

wszystko od A do Z, tym razem jednak, jak nas mama informuje, sama się przyłożyła do roboty.

– Zrobiłam słodkie ziemniaki i fasolkę szparagową!
– mówi z dumą. I ta jej dziecinna duma przypomina mi o sztucznym śniegu.

– Och, mamo, patrz! – Wyjmuję pojemniki. – Kupiłyśmy z Rachel śniegowy sprej! Super, no nie?

Chwyta pojemniki i od razu nimi potrząsa.

– Cudownie! Chcecie same popryskać czy ja mam to zrobić?

– Zostaw to im, Leslie – mówi babcia. Sposób, w jaki to mówi, fakt, że jest to sugestia, którą należy respektować, że jest podszyta miłością i drwiną równocześnie, wszystko to każe mi sobie uprzytomnić, że babcia to dość despotyczna matka. Zawsze myślałam o babci jako o mojej babci. Nigdy nie myślałam o tym, że jest także matką mojej matki. Moja mama nie jest wierzchołkiem słupa totemicznego, jak mi się dotąd wydawało. Jest raczej jednym z elementów długiej linii kobiet. Kobiet, które najpierw są córkami, potem zostają matkami, babciami, prababciami... i w końcu przodkiniami. Ja jestem na razie w fazie pierwszej.

Babcia odłamuje ukradkiem kawałeczek ciasteczka z cukrem i zjada. Nie jest to jednak ruch dostatecznie ukradkowy, bo wszyscy widzimy.

– Ojej! – mówi. – Toż to wyśmienite! Na pewno nie użyłaś cukru?

Rachel kręci głową.

– Nie, skąd.

– Spróbuj, Leslie – zwraca się babcia do mamy.

Matka odgryza kawałek.

– Ożeż, Rachel!

– Czekajcie, naprawdę takie dobre? – pytam. Byłam z Rachel cały ranek, można by pomyśleć, że już próbowałam. Odgryzam...

– Jezu, Rachel. – I w tej samej chwili babcia daje mi klapsa po ręce.

– Lauren! Nie używaj imienia boskiego nadaremno!

– Przepraszam, babciu.

– A gdzie jest wujek Fletcher? – pyta Rachel, a mama za plecami babci kręci głową i macha ręką. Klasyczny sygnał „Nie pytaj!”, zasygnalizowany w sposób klasyczny zbyt późno.

– Ach – wzdycha babcia – wuj Fletcher postanowił w ogóle nie jechać. Może po prostu potrzebuje побыć trochę sam ze sobą...

– No, to brzmi całkiem rozsądnie – mówię, starając się pociągnąć rozmowę. Bo wydaje mi się, że babcia trochę posmutniała.

– Nie – babcia kręci głową. – Chyba zaczynam zdawać sobie sprawę, że wasz wuj jest trochę... – zniża głos do szeptu – ...dziwny.

„Dziwny” wymawia tak, jakby to było coś, o czym się nie rozmawia. Wuj Fletcher nigdy nie był w związku z kobietą. Mieszka z matką. Zarabia na życie, sprzedając rzeczy na eBay, a od czasu do czasu podejmuje jakąś

dorywczą pracę. Jestem pewna, że jeśli pojawi się jakaś dostatecznie dobra gra komputerowa, umrze, grając w nią w samych tylko gatkach.

– Dopiero teraz zdajesz sobie z tego sprawę, babciu?
– pyta Rachel. Dziwię się, że jest na tyle odważna. Nikt z nas nie mówi na głos o dziwactwach wuja Fletchera. Wygląda jednak na to, że babcię to rozśmiesza.

– Złotko, ja kiedyś uwierzyłam dziadkowi, że nie można zająć w ciążę od pierwszego razu. I stąd zresztą wziął się wuj Fletcher. Tak że wiesz, nigdy nie byłam zbyt lotna.

O ile nigdy nie rozmawiamy o dziwactwach wujka Fletchera, to już z pewnością nie rozmawiamy o dziadkach uprawiających seks! Dlatego przez chwilę ten komentarz wisi w powietrzu, czekając, aż do nas dotrze, że te słowa padły naprawdę, i dopiero wtedy skorupa pęka. Mama, Rachel i ja wybuchamy homeryckim śmiechem. Babcia idzie w nasze ślady.

– Babciu! – udaje mi się wykrztusić.

Babcia wzrusza ramionami.

– No co, taka jest prawda! Czego ode mnie chcecie?

Wreszcie dochodzimy do siebie i rozmowa toczy się dalej.

– A gdzie jest Ryan? W święta przecież nie pracuje.

Myślałam, że mama robi za mnie brudną robotę i powie babci, jak jest. Prawdę mówiąc, myślałam, że zrobiła to już dawno temu. Trochę mnie dziwiło, że babcia nigdy do mnie nie zadzwoniła, żeby o tym

pogadać. A jak ja zadzwoniłam do niej w Święto Dziękczynienia, byłam mile zaskoczona, że o niczym nie wspomniała. Teraz jednak widać jasno, że o niczym nie miała pojęcia... Ech, ta naiwność myślenia życzeniowego.

Patrzę na Rachel, ona jednak w sposób przesadny koncentruje się na ciasteczkach i unika czyjegokolwiek wzroku, a zwłaszcza mojego. Mam ochotę coś wymyślić, żeby uniknąć tej rozmowy i przełożyć ją na inny dzień, ale mama rzuca mi spojrzenie, które mówi jasno, że oczekuje ujawnienia się dzielniejszej wersji swojej starszej córki. No więc próbuję być tą córką.

– No więc... – zaczynam. – Rozstaliśmy się. Na jakiś czas. Jesteśmy w separacji. To chyba jest właściwe słowo.

Babcia patrzy na mnie, przechylając lekko głowę, jakby nie mogła do końca uwierzyć w to, co słyszy. Patrzy na mamę z wyrazem twarzy, który mówi: „Masz coś do powiedzenia na ten temat?”, a mama robi gest w moją stronę, mówiący: „Jeśli masz jakiś problem, powiedz o nim sama”. Babcia z powrotem zwraca spojrzenie na mnie. Nabiera powietrza.

– No dobrze, a co to znaczy?

– To znaczy, że osiągnęliśmy punkt, kiedy nie jesteśmy już ze sobą szczęśliwi, i uznaliśmy, że zamiast tak żyć, wolimy dać sobie trochę swobody. I rozstaliśmy się. I mam nadzieję, że jak spędzimy trochę czasu osobno, to uda nam się znaleźć sposób, żeby... żeby to

znowu zaczęło działać.

– I myślisz, że rozstanie wam w tym pomoże?

– Tak – mówię. – Myślę, że w pewnym sensie doszliśmy do ściany i oboje potrzebujemy trochę powietrza.

– Czy on cię zdradzał? O to chodzi?

– Nie – zaprzeczam. – Jestem pewna, że nie.

– Bił cię?

– Babciu! No skąd!

Babcia unosi ręce gwałtownym gestem, po czym znowu kładzie je na blacie.

– No to nie wiem, o co tu chodzi.

Kiwam głową.

– Tak myślałam, że możesz tego nie rozumieć. I dlatego ci o tym nie wspominałam.

Rachel tak jawnie unika udziału w tej rozmowie, że równie dobrze mogłaby sobie pogwizdywać na stronie.

– Więc po prostu uznaliście, że nie jesteście szczęśliwi? – Babcia robi w powietrzu cudzysłów przy słowie „szczęśliwi”, tak jakbym to ja je wymyśliła, jakby nie pasowało do tej rozmowy.

– Nie sądzisz, że to ważne, żeby być szczęśliwym?

– W długotrwałym małżeństwie?

– Tak.

– Nie tylko że nie jest najważniejsze, ale wręcz uważam, że nie jest możliwe.

– Szczęście w ogóle?

– Bycie szczęśliwym przez cały czas.

Można dostać pomieszania z poplątaniem. Dlaczego każe nam się wierzyć w miłość do grobowej deski, a potem beszta się nas za to, że w nią uwierzyliśmy?

– A nie sądzisz, że to coś, do czego warto dążyć? Do tego, żeby być szczęśliwym przez cały czas? Żeby kwitnąć w małżeństwie, a nie robić dobrą minę i udawać, że wszystko w porządku?

– Uważasz, że do tego właśnie dążycie?

– Tak. Myślę, że to najlepszy sposób, żeby się nauczyć kochać mojego męża tak, jak bym chciała.

– I co, działa?

Czy to działa? Czy to działa? Nie mam zielonego pojęcia, czy to działa. I w tym cały problem.

– Tak – mówię. Mówię to świadomie i z całym przekonaniem. Mówię to tak, jakby była to jedyna możliwa odpowiedź. Może mówię „tak”, bo pragnę jej aprobaty, bo chcę, żeby się wycofała, bo chcę jej pokazać, gdzie jest jej miejsce. Ale wydaje mi się, że mówię „tak”, bo gdzieś tam wierzę, że myśl staje się słowem, a słowo staje się rzeczywistością. Bo jeśli będę mówić, że to działa, to może za parę dni albo parę miesięcy obejrzę się za siebie i pomyślę: „Ależ tak, to działa. Bez dwóch zdań”. Może to przekonanie powinno się rozpocząć właśnie tu, za pomocą niewinnego kłamstwa. – Tak, wierzę, że to działa.

– Jak?

– Jak?

– Tak, jak?

Mama i Rachel nie udają już, że robią coś innego. Słuchają uważnie, z nastawionymi uszami i utkwionymi we mnie oczami.

– No cóż, tęsknię za nim o wiele bardziej, niż kiedykolwiek przypuszczałam, że będę. Kiedy się wyprowadził, sądziłam, że już go nie Kocham, ale nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo go wciąż Kocham. Naprawdę, wciąż go Kocham. Z chwilą kiedy się wyprowadził, poczułam w moim życiu pustkę, którą on wypełniał. Nie doszłoby do tego, gdybym za nim nie tęskniła, gdybym go nie straciła.

– Można by się spierać, że taką perspektywę może dać człowiekowi spędzenie osobno długiego weekendu. Coś jeszcze?

Chcę jej udowodnić, że wiem, co robię.

– To znaczy... nie wiem, czy to się nadaje do tego, żeby o tym rozmawiać.

– Och, proszę, Lauren. Powiedz.

Jestem zdesperowana.

– Okej, w porządku. No więc teraz, kiedy odszedł i poważnie się obawiam, że może mieć inną, to znaczy, myślę, że ma... Wiem, że ma. No więc jestem zazdrosna. Mało się nie zagotowałam z zazdrości, jak się dowiedziałam. Zdałam sobie sprawę, że przestałam na niego patrzeć jak na kogoś, kto... no wiesz, może się podobać. Uważałam go za pewniaka pod tym względem. A teraz, kiedy wiem, że spotyka się z inną, zobaczyłam jasno, co miałam, kiedy to miałam.

– Czyli mówisz, że zapomniałaś, że twój mąż może budzić pożądanie, a teraz, kiedy widzisz, że inna kobieta go pragnie, przypomniałaś sobie?

– Tak – mówię. – Można to tak określić.

– Czy urządzenie przyjęcia?

– Babciu, o czym ty mówisz? – włącza się koniec końców Rachel.

Wiem, że babcia mnie kocha. Wiem, że chce dla mnie wszystkiego co najlepsze. Wiem, że ma bardzo specyficzne wyobrażenia o tym, co to jest. Więc choć mam wrażenie, że się bronię, nie czuję się atakowana.

– Zadaję jej całkiem poważne pytanie. Urządzenie przyjęcia, Lauren?

– Nie.

– Cóż, gdybyście urządzali, gdybyś zapraszała jakieś młode kobiety i puściła na chwilę ramię męża, przekonałabyś się, że bardzo prędko otoczyłby go wianuszek pięknych młodych dam, zachwyconych, że wypuściłaś go na chwilę z pazurków. I po powrocie do domu mielibyście taki seks, jak jeszcze nigdy w życiu. – Podnosi rękę, żeby powstrzymać nasze protesty, zanim jeszcze zaczęłyśmy. – Wybaczcie, że jestem taka dosłowna. Wszystkie jesteśmy kobietami.

– To działało w twoim wypadku, babciu – mówię, odsuwając obraz mojego nieboszczyka dziadka, flirtującego z młodymi kobietami, a potem uprawiającego szaleńczy seks z moją babcią. – Nie sądzisz, że w moim może zadziałać coś innego?

Babcia się zastanawia. Mama patrzy na mnie, wyraźnie pod wrażeniem. Rachel wpatruje się w nas, nie mogąc się doczekać, co dalej. Babcia bierze mnie za rękę.

– Szanuję cię, możesz być pewna. Ale to głupie. Małżeństwo to zobowiązanie. W małżeństwie chodzi o lojalność, a nie o szczęście. Szczęście jest drugorzędne. No i koniec końców, w małżeństwie chodzi o dzieci. – Patrzy na mnie znacząco. – Jak będziecie mieli dziecko, to choćbyście nie wiem jak byli nieszczęśliwi, zostanieie razem. Dzieci was zwiążą. Połączą. O to chodzi w małżeństwie.

Wszystkie po prostu na nią patrzymy. Żadna nic nie mówi. Babcia widzi, że żadna nie zamierza się z nią zgodzić. Chrupie więc ciasteczko i palcami strąca z biustu okruszki.

– No, ale wy, dzieci tych czasów... Róbcie, jak uważacie. Nie przeżyję za was waszego życia. Mogę was tylko kochać.

Takie tylko zwycięstwo można odnieść nad Lois Spencer, nie większe. Dobre i to.

– Jesteś pewna, babciu, że mnie nadal kochasz? – drażnię się z nią. Zawsze, zawsze, zawsze znałam odpowiedź na to pytanie.

Uśmiecha się i cmoka mnie w policzek.

– Oczywiście, że tak. I podziwiam twoją odwagę. Zawsze podziwiałam.

Czerwienię się. Bardzo kocham moją babcie. Jest

marudna i taka strasznie wszystkowiedząca, ale mnie kocha. Miłość może być gwałtowna i nieznosząca sprzeciwu. Ale tak czy owak, to miłość.

– Jeszcze tylko jedno – ciągnie. – Tak naprawdę do was wszystkich.

– Słuchamy cię uważnie, mamó – mówi moja matka.

– Jestem stara. I może jestem tradycjonalistką. Ale to nie znaczy, że nie mam o niczym pojęcia.

– Wiemy, babciu – zgadza się Rachel.

– Chcę przez to powiedzieć, że staram się respektować wasze sposoby działania, ale nie zapominajcie, że te stare sposoby też są skuteczne.

– Co masz na myśli? – pytam.

– Mam na myśli, że gdybyście od czasu do czasu urządzili przyjęcie i zostawiłabyś go samemu sobie, i flirtowałaś z innymi, a on by to zobaczył, albo on by flirtował z innymi kobietami i ty byś to zobaczyła, gdybyście od czasu do czasu spędzili weekend osobno, gdybyście dali sobie czasem trochę swobody, to może nie byłby wam teraz potrzebny cały rok rozłąki. To wszystko.

Rozlega się dzwonek i to kładzie kres rozmowie. Za chwilę wejdzie Charlie z tajemniczą Natalie. Ale długo jeszcze dźwięczą mi w uszach słowa babci. Kto wie, czy nie ma racji.

Natalie jest wspaniała. Nie w sensie, że seksowna i ponętna. Ani że ma urodę modelki. Jest wspaniała w tym sensie, że wygląda na zdrową i szczęśliwą, ma piękny

uśmiech i twarzą sukienkę. Wygląda, jakby się dobrze odżywiła, regularnie ćwiczyła i wiedziała, co dobrze na niej leży. Śmieje się głośno i radośnie. Słucha, kiedy się do niej mówi, i patrzy mówiącemu w oczy. Jest też, sądząc po poinsecji, którą wręcza mamie, życzliwa i dobrze wychowana. Wiem, że miała z moim małym braciszkiem numerek w samolotowej łazience, ale trudno to pogodzić z osobą, która przede mną stoi. Osoba, która przede mną stoi, przyniosła na święta czekoladowy blok z piankami i orzechami.

– Zrobiłam go dziś rano – mówi.

– Czy to bez cukru, kochanie? – pyta babcia, co wprawia Natalie w zrozumiałe zmieszanie.

– Och, nie, przepraszam... Nie wiedziałam, że to...

– Ależ nie ma problemu – interweniuje mama. – Moja matka mówi od rzeczy.

– Bronić się przed rakiem nie jest od rzeczy – sprzeciwia się babcia. – Ale bardzo dziękujemy, złotko, że się postarałaś. Możemy dać to psu.

Wszyscy patrzymy po sobie w osłupieniu, nawet Charlie stracił mowę. Mama zresztą nie ma psa.

– Żartowałam! – mówi babcia. – Ale z was tumany, wprost niedorzeczność. Natalie, dziękuję. I przepraszam, że ta rodzina nie zna się na żartach.

Kiedy babcia odwraca głowę, Charlie kątem ust szepcze do Natalie „przepraszam”. Jakie to słodkie. Chyba stara się zrobić na niej wrażenie. Nigdy dotąd nie widziałam, żeby Charlie starał się zrobić na kimś

wrażenie.

– Miło mi was wszystkich poznać – podejmuje Natalie.

– Chodźcie, położymy prezenty pod choinkę – zagania nas mama. – Czego się napijecie? Charlie, dla ciebie pewnie piwo. Natalie, mamy grzane wino, dać?

– Ach, wystarczy woda – mówi lekko Natalie.

W końcu wszyscy siedzimy przy choince.

– No to, Natalie, opowiedz nam coś o sobie – proponuje Rachel. I Natalie, miła, uprzejma, naiwna Natalie otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale wkracza Charlie.

– Jakie to irytujące pytanie, Rachel. Co to właściwie znaczy?

– Przepraszam – Rachel wzrusza obronnie ramionami. – Na drugi raz postaram się być bardziej konkretna.

Rozlega się dzwonek i mama wstaje, żeby otworzyć. Wraca z Billem u boku.

– Wesołych świąt! – woła Bill. W rękach trzyma prezenty i składa je pod choinką. Wszyscy ściskają się na powitanie. Mama przynosi Billowi piwo.

Zaczynają się typowe pogaduszki o wszystkim i niczym. Zadajemy sobie nawzajem pytania. Wszystkie są nieciekawe. Dowiaduję się, że Natalie pracuje przy telewizyjnym castingu. Pochodzi z Idaho. W wolnych chwilach lubi robić marynaty. Kiedy mnie pyta, czy jestem zamężna, włącza się Charlie.

– Delikatny temat – mówi i pociąga łyk piwa z butelki.

Cała rodzina to słyszy i wszyscy jak jeden mąż wybuchają śmiechem. Wszyscy! Co za bydlaki. Po czym zaczynam się śmiać i ja. Bo to śmieszne, no nie? A jak coś jest śmieszne, to znaczy, że nie jest już wyłącznie smutne.

No to wesołych świąt!

Zjadłam o wiele za dużo. Za dużo szynki. Za dużo chleba. Za dużo słodkich ziemniaków. Kiedy przychodzi kolej na bezcukrowe ciasteczka z cukrem, wciskam parę w odległe zakamarki żołądka i mam uczucie, że za chwilę zejdem.

Mama wypila sporo grzanego wina, które zabarwiło jej zęby lekką purpurą. Zaczyna się z lekka czulić do Billa. Babcia wykańcza drugi kawałek ciasta, a kiedy jej się wydaje, że nie patrzymy, sięga ukradkiem łyżeczką do salaterki przeładowanej cukrem bitej śmietany. Charlie tymczasem sprawia wrażenie trzeźwego i po stoicku spokojnego. Natalie się uśmiecha. Rachel z fałszywą skromnością, której nie powstydziliby się świnka Piggy, przyjmuje kolejne komplementy za ciasteczka. Wtem Charlie wstaje.

A więc stało się. O Boże, o Boże, o Boże.

– A więc... – zaczyna. – Mamy z Natalie do przekazania pewne nowiny.

Tylko tego było trzeba mojej mamie. No właśnie... Już płacze. Pewnie nawet nie wie dlaczego, nie domyśla

się, co Charlie zamierza powiedzieć, nie wie, czy płacze ze szczęścia, czy ze smutku.

Rachel patrzy na Charliego, jakby był pacjentem psychiatryka i nie wiedziała, jaki numer dziś wytnie. Natalie wciąż się uśmiecha, ale zaczyna skubać róg serwetki.

– Będziemy mieć dziecko.

Wodospady. Oczy matki są jak dwa wodospady. I to nie takie, gdzie ciurka po kamieniach skąpy strumyczek. Takie, na których widok, będąc na spływie kajakowym górską rzeką, powiedziałabym: „O szlag”.

Rachel siedzi z otwartymi ustami. Bill nie jest pewien, dokąd to wszystko zmierza. I wtedy babcia zaczyna klaskać w dłonie.

Zaczyna klaskać! Po czym wstaje, podchodzi do Charliego i Natalie, wyciska im na policzkach mocne, wilgotne pocałunki, co dla Natalie musi być dosyć dziwne, i mówi:

– Nareszcie! Nareszcie ktoś podaruje mi prawnuka!

Charlie dziękuje jej, że jest taka cudowna, ale cała uwaga skupiona jest na mamie.

– Macie jakiś plan? – pyta.

– Tak – kiwa głową Charlie. – Przeprowadzam się z powrotem do Los Angeles, do Natalie. Będziemy razem wychowywać dziecko. Czuję się najszcześliwszym facetem na świecie, mamó. Naprawdę.

– A co z pracą?

– Jestem umówiony w przyszłym miesiącu na parę

rozmów.

Chyba nie potrzebuje wiedzieć więcej. Bo łyzy, które jeszcze parę sekund temu mogły być albo z radości, albo ze smutku, teraz, spływając ku podbródkowi, natrafiają po drodze na przeszkodę w postaci szerokiego uśmiechu. Rzuca się ku Charliemu, chwytając go w objęcia i ściska z całej siły. Jej ruchy są bezładne, żywiołowe, nie dba o efekt. Teraz tuli w ramionach Natalie. Natalie, wyraźnie wzruszona, ale starając się nad sobą panować, wstaje i ściska mamę z całej siły.

– Tak się cieszę, że jest pani szczęśliwa!

– Żartujesz? Przecież zostanę babcią!

– Przyjemnie być w tym klubie – mówi babcia i puszcza do mnie oko. Jakie to miłe! Zapomniałam już, jak fajnie się człowiek czuje, kiedy ktoś puszcza do ciebie oko.

Kiedy zamęt przycicha, uwaga kieruje się na Rachel.

– To ja będę, kurna, ciotką! – wrzeszczy, rzuca się ku Charliemu i Natalie i ściska ich tak mocno, że aż się kołyszą, objęci, z boku na bok.

– Rachel! – upomina ją babcia.

– Sorry, babciu. Przepraszam. – Ujmuje Natalie za ramiona. – Natalie, witaj w rodzinie! Strasznie, strasznie się cieszymy, że będziesz z nami!

Kiedy wszystkie spojrzenia zwracają się na mnie, dociera do mnie, że i ja powinnam jakoś zareagować.

– Ożeż! – mówię. – To sssupeer! – I obejmuję oboje naraz.

Stoimy wokół nich, dusimy ich w uściskach, miażdżymy, chcąc uczestniczyć w ich radości. I właśnie wtedy do mnie dociera, że to się dzieje naprawdę. Nasze życie się zmienia. Jedno z nas dorasta. Wszyscy myśleli, że to będę ja. Ale nie. To Charlie.

Prawdę mówiąc, w jakimś niewielkim stopniu czuję się tak, jakbym poniosła porażkę. Czuję się tak, jakbym zboczyła z kursu, jakbym pluskała się leniwie na płytcźnie, gdy Charlie popłynął kraulem do mety. A reszta mnie wciąż nie może uwierzyć, że mój mały braciszek wyrasta na silnego, solidnego faceta. Reszta mnie nie może uwierzyć, że będę miała dzidziusia do obsypywania prezentami. Reszta mnie nie może uwierzyć, że babcia w końcu dostanie prawnuka albo prawnuczkę, o których prosi, że wiadomości są tak wstrząsające, że kazała zamilknąć swoim normalnym sądom.

To dobry dzień. I wspaniałe święta. Chciałabym, żeby był tu i Ryan, tak żeby mógł to zobaczyć. Chciałabym, żebyśmy wrócili razem do tego samego domu. Chciałabym, żebyśmy położyli się wieczorem do łóżka i plotkowali, tak jak zwykle, o pozostałych. Właśnie w takich chwilach jak ta przypomina mi się, jak dalece stanowił on część tej całości.

Otaczamy Charliego całą piątką, Rachel, mama, babcia, Natalie i ja, i chłopak pewnie się zastanawia, jakby tu się wydostać. Pewnie brakuje mu powietrza. Patrzy na Billa, ten wstaje i wyciąga do niego rękę.

Charlie przedziera się przez oblegający go krąg , żeby ją uścisnąć.

– Gratulacje, młody człowieku – mówi Bill. – Doskonała decyzja.

Charlie na moment spuszcza wzrok, po czym patrzy Billowi w oczy i mówi:

– Dzięki.

Być może każdy mężczyzna potrzebuje poklepania po ramieniu, kiedy obwieszcza nowinę, że zostanie ojcem. Cieszę się, że jest tu Bill, od którego może to uzyskać.

– To kiedy się pobieracie? – pyta babcia, gdy z mamą i Natalie zbieramy ze stołu naczynia. Rachel, Charlie i Bill nadal siedzą.

Stawiamy z Natalie stosy talerzy na kuchennym stole. Babcia i mama ładują je do zmywarki.

– Daj jej spokój, mamó – mityguje babcie mama. – Nie muszą się pobierać tylko dlatego, że będą mieli dziecko.

– Chyba w lipcu – odpowiada Natalie.

– W lipcu? Zdawało mi się, że mówiłaś, że poród w czerwcu? – zauważa mama.

– Wesele w lipcu – mówi Natalie. – Dziecko się już do tego czasu urodzi. Tak będzie łatwiej, niż usiłować się wbić w ślubną suknię.

– Jak już dziecko będzie na świecie? – pyta babcia. I w tejże chwili mama, tym samym tonem i z tą samą intonacją:

– Pobieracie się?

– Tak – Natalie zdaje sobie sprawę, co powiedziała.

– Chwileczkę, to nie mówiliśmy?

– O ślubie nie – wtrącam, a równocześnie wchodzi Rachel z paroma pustymi salaterkami.

– O czym ślubie? – pyta.

– Powiedzieliście, że zamieszkacie razem – mówi mama. Powoli, z rezerwą, jakby to zdanie to była bomba, która w każdej chwili może wybuchnąć.

– Pobieramy się – powtarza Natalie. – Przepraszam, że o tym nie wspomnieliśmy! Charlie! – woła. Słusznie wzywa posiłki.

Charlie zagląda do kuchni i wszystkie wlepiamy w niego oczy. Wszystkie pięć. Jego siostry. Jego matka. Jego babcia. Jego... narzeczona?

– Pobieracie się? – pytam.

– Tak – odpowiada Charlie, tak jakbym go zapytała, czy lubi kurczaki. – Oczywiście. Przecież mamy dziecko.

– W końcu ktoś w tej rodzinie mówi do rzeczy! – wykrzykuje babcia.

– Mamo, mogłabyś pójść do jadalni i dotrzymać towarzystwa Billowi? – proponuje mama.

Babcia musi mieć dzień dobroci dla bliźnich, bo odstawia talerz, który trzymała, i wychodzi.

– To, że ma się dziecko, nie oznacza, że koniecznie trzeba się pobrać – mówi mama.

Natalie przysuwa się o włos do Charliego. Tak miło

przyjęliśmy ją w rodzinie, myślę, ale chyba właśnie przestało nam to wychodzić. Mama dostrzega tę jej mowę ciała.

– To znaczy, to wspinała wiadomość. Po prostu jesteśmy zaskoczeni, to wszystko.

– Jak ślub z matką mojego dziecka może być czymś zaskakującym? – pyta Charlie. Naprawdę, powinien się nauczyć, żeby nie drążyć sprawy, kiedy wynik jest dostatecznie dobry, bo może ją tylko pogorszyć.

– No oczywiście, masz rację – wycofuje się mama. Wycofuje się ze względu na Natalie. Jak tylko Natalie przestanie być w zasięgu słuchu, powie, co naprawdę o tym myśli. I stąd wiadomo, że Natalie tak naprawdę nie należy jeszcze do rodziny. – To nie powinno być niespodzianką. Bezwzględnie masz rację.

– To będzie zarąbiste wesele – dodaje Rachel. Kulawo to wypada, ale też się stara.

– Gratulacje, nowa siostró! – włączam się i ja. Brzmi to tak nienaturalnie i na siłę, że decyduję się na tym poprzestać.

– Dziękuję – mówi Natalie, wyraźnie czując się bardzo niezręcznie. – To może pójde sprawdzic, czy nie zostało coś jeszcze do przyniesienia.

Wszyscy wiemy, że nie zostało już nic, co trzeba by przynieść do kuchni. Ale nikt nic nie mówi. Kiedy Natalie znika, matka zaczyna zniżonym głosem:

– Nie musicie tego robić. To nie są lata pięćdziesiąte.

– Ale ja chcę to zrobić – mówi z naciskiem Charlie.

– Dobrze, ale czy nie lepiej trochę poczekać i się zastanowić? – sugeruje Rachel.

– Dlaczego zakładasz, że się nie zastanowiłem?

– Jak długo się w ogóle znacie? – pyta mama.

– Trzy miesiące.

– A ona jest trzy miesiące w ciąży?

– Tak.

– Rozumiem – mówi mama i bierze się do zmywania. Jest zła i wyładowuje frustrację na garnkach i patelniach.

– Nie krytykuj mnie, mamo.

– Kto cię krytykuje? – Mama wstawia talerze do zlewu i puszcza na nie wodę. – Mówię tylko, żebyś się zastanowił. Masz całe życie na podjęcie decyzji, z kim chcesz się ożenić.

– O czym ty mówisz? Natalie jest w ciąży. Zamieszkamy razem. Zostanie moją żoną.

– Ale to, że zamieszkacie razem, nie znaczy, że musi być twoją żoną. Możecie wspólnie wychowywać dziecko i przekonać się, jak się wam układa – zauważam.

– Lauren, miałaś być po mojej stronie – przypomina Charlie, i to sprawia, że czuję się jakoś... włączona. Tak jakbym była w posiadaniu czegoś ekstra, co powoduje, że tworzymy z Charliem drużynę. Charlie nigdy nie był z nikim w drużynie. Dlatego to, że sądzi, że jestem po jego stronie, sprawia, że chcę być po jego stronie.

– Jestem po twojej stronie, Charlie. Mówię tylko, że nigdy nie byłeś żonaty. Nie wiesz, co to tak naprawdę

znaczy.

– Ty też! – woła Charlie obronnym, niekontrolowanym tonem, tak jakbyśmy byli osaczeni. – Chodzi mi po prostu o to, że każdy uczy się tego na bieżąco, nie? Mamo, ty spróbowałaś po swojemu i ci nie wyszło. Ty, Lauren, wciąż nie bardzo wiesz, jak postępować, żeby wyszło. Która z was mi powie, że mnie się nie uda, bo u mnie to wygląda inaczej niż u was?

– Chyba nie jestem potrzebna w tej rozmowie – wtrąca Rachel.

– Oczywiście że jesteś potrzebna. Chcę, żebyś była na bieżąco. Naprawdę mi się podoba ta kobieta. I myślę, że potrafię sprawić, że nam wyjdzie.

– Samo to, że chcesz, żeby ci wyszło, nie wystarczy, żeby wyszło – mówi mama, ale równie dobrze mogłabym to powiedzieć ja.

– Ale jak powiedziałem, że będziemy razem wychowywać dziecko, to nie miałyście z tym problemu? – zauważa Charlie.

– To są kompletnie różne rzeczy. Nawet jeśli nie będziecie potrafili żyć we dwoje, możecie nadal być rodzicami dla dziecka.

– Ja nie chcę być tylko rodzicem! – mówi Charlie z naciskiem. – Chcę mieć rodzinę.

– Bycie rodzicami to bycie rodziną. Rodzina niepełna to też rodzina. – Mama zaczyna to odbierać jako oskarżenie pod swoim adresem i mogę zrozumieć

dlaczego. Tylko patrzeć, jak zrobi się z tego akt oskarżenia.

– Nie, mamó. Nie taką rodzinę chcę mieć. Nie chcę, żeby moje dziecko mieszkało na jednym końcu miasta, a ja na drugim. Nie chcę spotykać się z Natalie w niedzielę wieczorem na parkingu, żeby je podrzucić matce, jasne?

Coś takiego Charlie mógł zobaczyć tylko w telewizji. Nasz tato nigdy nie zabierał nas na weekendy. Nie mieszkał na drugim końcu miasta. Po prostu zniknął.

– Jasne – mówi mama, starając się zachować spokój.

– Rób to, co uważasz za właściwe dla swoich dzieci.

– Dziękuję – mówi Charlie.

– Ale ja muszę robić to, co uważam za właściwe dla moich dzieci – ciągnie mama. – I dlatego chcę ci powiedzieć, że małżeństwo to ciężka praca. Nawet jeśli się bardzo starasz, może ci się nie udać. W moim przypadku okazało się to niemożliwe. Czy możesz mi podać oprócz tej sytuacji choć jedną, kiedy bym wam powiedziała, że coś jest niemożliwe?

Charlie słucha, po czym kręci głową.

– Nie – przyznaje.

– A twoja siostra – mama robi gest w moją stronę – to mądra, kochająca kobieta, która zawsze chce dobrze i prawie zawsze postępuje jak należy. – Kiedy miałam jedenaście lat, ukradłam w sklepie kartonik soku Capri Sun ze słomką. Głowę dam, że dotąd mi tego nie wybaczyła.

– Wiem – mówi Charlie.

– I nawet ona za bardzo nie wie, co robić, żeby się udało.

– Wiem – powtarza Charlie.

– Więc nas słuchaj, kiedy mówimy, że małżeństwa nie można traktować lekko.

– Znowu nikt nie dba o moją opinię! – mówi gorzko Rachel.

– Och, na litość boską, Rachel – mama traci cierpliwość. – No więc nie masz chłopaka. Wielkie rzeczy. Nikt cię nie traktuje jak trędowatej!

– Skoro wszystkie rozmowy są o chłopakach czy mężach, to nic dziwnego, że mi się wydaje... – Rachel urywa. – Nieważne. Nie chodzi o mnie. Sorry.

Mama obejmuje ją ramieniem i przygarnia. Rachel nie protestuje. Mama, patrząc na Charliego, ciągnie:

– Nie musisz się żenić z Natalie, żeby udowodnić, że nie jesteś taki jak twój ojciec. Rozumiesz to? Nie będziesz taki jak ojciec, choćby nie wiem co.

Charlie nie mówi nic. Wpatruje się w podłogę. To musi być coś całkiem innego, być chłopcem bez ojca niż dziewczynką bez ojca. Powinam przestać zakładać, że to jest tak samo.

– Masz różne możliwości – mówi mama. – I jedyne, czego od ciebie chcemy, to żebyś o nich pomyślał.

– Jasne – odpowiada Charlie.

– Znaczy pomyślisz? – dociska mama.

– Już pomyślałem. I podjąłem decyzję. Chcę się

ożenić z Natalie.

– Kochasz ją? – pyta Rachel.

– Wiem, że pokocham – mówi Charlie. – Wiem, że chcę pokochać.

Jego ton wyraźnie świadczy, że dotarliśmy do końca rozmowy. Jakaś częśćka mnie ma ochotę powiedzieć: „Można doprowadzić konia do strumienia, ale nie można go zmusić, żeby pił”, ale inna częśćka myśli, że jeśli komukolwiek ma się udać małżeństwo z uporu, to Charliemu. Jeśli ktokolwiek może się potknąć i padając, wpaść w szczęśliwy związek, to mój mały braciszek. A oprócz tego, gdzieś w najdalszym zakątku serca, czuję, że on ma rację. Może i jestem zamężna, ale i tak nie wiem o małżeństwie choćby tyle, co za paznokciem. Więc kto ma prawo twierdzić, że sposób Charliego jest gorszy niż jakikolwiek inny?

– A więc w lipcu – mówi mama z uśmiechem. Robi gest w stronę Charliego i mnie, żebyśmy podeszli do niej i Rachel. Charlie spogląda na mnie.

– No chodź, od jednego uścisku się nie umiera – zachęcam go. Wszyscy obejmujemy się niedźwiedzim uściskiem.

– Wszyscy inni, tam, są w porządku i w ogóle. Ale to tutaj – mama przytula mocniej całą naszą trójkę, choć raczej w sensie metaforycznym, bo za duzi jesteśmy, żeby się to udało – to jest moja rodzina. To wy nadajecie sens mojemu życiu.

Jesteśmy tak ściśnięci, że teraz już ledwo oddycham.

Spodziewam się, że Charlie pierwszy wyrwie się z tego chwytu, ale nie.

– Kocham was – mówi.

Gdzieś z głębi kłębowiska ciał dochodzi stłumiony głos Rachel.

– My też cię kochamy, Charlie.

Robi się późno i babcia zaczyna się skarżyć, że jest zmęczona. Wszyscy szykujemy się do wyjścia. Zbieram mój stosik nowych sweterków i skarpetek. Rachel bierze swój nowy wolnowar. Wyrzucamy wszystkie opakowania. Charlie i Natalie zaczynają się ze wszystkimi żegnać.

– Witamy w rodzinie – mówi mama do Natalie, odprowadzając ją do wyjścia. Obejmuje ją i ściska. – Bardzo się cieszymy, że z nami jesteś.

Długo i mocno przytula Charliego.

– Czyli że jutro lecisz, tak? – pyta. – A później? Kiedy będziemy cię mieć z powrotem na dobre?

– Przez najbliższe dwa tygodnie pakuję rzeczy i w połowie stycznia powinienem już być u Natalie.

Mama się śmieje.

– Och, Natalie, chyba będziesz moim ulubionym dzieckiem. Dzięki tobie będę miała wnuka i dzięki tobie mój syn wraca do domu! – Kładzie rękę na sercu, a brwi zbiegają jej się w grymasie, który pojawia się na twarzach ludzi naprawdę, naprawdę szczęśliwych.

Idą do swojego auta. Wiem, że będą o nas rozmawiać. Wiem, że Natalie zapyta, jak poszły sprawy.

Wiem, że Charlie jej powie, że wszystkim się bardzo spodobała. Nie powie jej wszystkiego, co mówiliśmy, ale tego, co najważniejsze, się dowie. Wiem, że w jakiejś chwili Natalie spyta Charliego, czy babcia naprawdę ma raka. A Charlie jej wytłumaczy, na czym to wszystko polega.

Kiedy zbieramy się z Rachel do wyjścia, proponuję, że będę prowadzić. Rachel podaje mi kluczyki, a równocześnie babcia prosi, żeby ją podwieźć.

– Och, a ja myślałam, że zatrzymałaś się tutaj! – mówię zdziwiona.

– Nie, złotko. Zatrzymałam się w Standardzie.

Rachel zaczyna się śmiać.

– Znowu? – pytam.

– Tam za recepcją mają taką szklaną gablotę, a w środku siedzi jakaś dama. Czysta komedia! – mówi babcia.

Żegnamy mamę całusem pośród radosnego pokrzykiwania: „Wesołych świąt!” i „Dziękuję za skarpetki!” Zostawiamy ją w domu tylko z Billem. Mam mocne podejrzenia, że ma dla niej w zanadrzu jakiś dziwny mikołajowy pornokostium czy coś. Ohyda.

Wsiadamy do auta i zanim jeszcze przekręcę kluczyk w stacyjce, babcia zaczyna:

– I jak się nam podoba ten Bill?

Rachel zwraca się ku babci, siedzącej na tylnym siedzeniu, najpierw głową, a potem i ramionami.

– Mnie się podoba. A tobie?

– Ja tylko pytam, co wy o nim myślicie – wyjaśnia babcia dyplomatycznie.

Wzrok mam utkwiony w jezdni, ale włączam się do rozmowy i ja.

– Wydaje mi się, że jest naprawdę zabujany w mamie. Uważam, że to miłe.

– Aleście się obie zmieniły od czasów, kiedy byłyście małe. Wtedy nienawidziłyście każdego mężczyzny, z którym się spotykała.

– A skąd! – zaprzecza Rachel.

– Nawet mało którego żeśmy znały – dodaję.

– Bo przestała was z nimi poznawać. Takie byłyście na nich złe.

– Jesteś pewna, babciu? Nie masz na myśli na przykład Charliego? – pyta Rachel.

– Złotko, pamiętam, jakby to było wczoraj. Nienawidziłyście każdego jej znajomego, który przekroczył próg domu. Obie. Pamiętam, jak do mnie dzwoniła: „Mamo, co ja mam zrobić? One nie mogą ścierpieć widoku żadnego mężczyzny”.

– A ty co na to mówiłaś? – pytam.

– Mówiłam: „No to przestań ich im pokazywać”.

– Ha – podsumowuje Rachel, odwracając się do przodu.

Ha.

– Złotko, tylko nie jedź Sunset – przestrzega babcia, kiedy zjeżdżamy ze wzgórza w stronę miasta.

– Babciu, przecież ty nawet tu nie mieszkasz! –

śmieje się Rachel.

– Nie, ale zwracam uwagę, kiedy prowadzi mama. Jedź Fountain, a potem skręć w Sweetzer. Tak będzie lepiej.

Bożonarodzeniowy wieczór spędzam w łóżku z Thumperem i książką. Jest to kryminał, którego akcja dzieje się w małym irlandzkim miasteczku. Zamordowano rodzinę, a detektyw ma złe notowania w wydziale i naprawdę musi rozwiązać tę zagadkę, żeby udowodnić, że jest coś wart. Z Thumperem przy boku, a jego łbem na brzuchu, jest to, przyznaję, wspaniały sposób na zakończenie świątecznego dnia.

Koło jedenastej dzwoni telefon. David.

– Cześć – mówi. Głos ma miękki i nieśmiały.

– Cześć – odpowiadam. Czuję, że się uśmiecham. – Jak tam święta?

– Całkiem miło. Spędziłem cały dzień z moim bratem, jego żoną i dziećmi.

– Brzmi fajnie.

– I było fajnie. Dzieci mają cztery i dwa lata, więc fajnie było patrzeć, jak rozpakowują domek dla lalek i są całe podekscytowane.

– A przez resztę dnia usiłowałeś go im złożyć do kupy – poddaję.

David się śmieje.

– Te instrukcje to istna tortura. Ale miło jest, jak się w końcu uda.

– A ja zostanę za jakiś czas ciotką – mówię. – Więc wszystko to czeka i mnie.

– O, coś takiego, gratulacje!

Mówię „dziękuję”, po czym następuje długa pauza.

– Taak... – zaczyna David. – Wiesz, właściwie to nie wiem, dlaczego zadzwoniłem. Po prostu chciałem zapytać, jak ci minęły święta. Myślałem o tobie. I... no wiesz... w święta człowiek może się czuć samotnie, więc po prostu... No wiesz, chciałem zapytać... jak sobie radziłaś.

Czasem człowiek chce zapomnieć o tym, że jest sam, i delektować się uczuciem, że ktoś go rozumie, ktoś zмага się z takim samym losem jak on. I, no wiecie, czasem człowiek chce po prostu poczuć, że ktoś go pragnie i pożąda. Czasem chce poczuć, jak to jest z kimś nowym. Czasem zapomina, czy jest na coś gotów, czy nie, i po prostu sobie na to pozwala.

– David – mówię ciepło – masz ochotę wpaść?

Króciutka pauza.

– Tak, mam.

– O Boże! – krzyczę. A może i nie krzyczę. Nie wiem. – O Boże! Och, Boże! Och, Boże!

Boże, tak!

Och, Boże...

Och, Boże...

Och, Boże...

Och... Boże... Och, Boże... Och, Boże... Tak... Tak... Tak! Tak! Tak.

TAK!

A potem padam na niego.

On po chwili łapie dech i mi dziękuje.

– Och, jak ja tego potrzebowałem – mówi.

– Ja też – odpowiadam.

Nazajutrz rano budzi mnie drapanie w drzwi. Thumper. Normalnie nie wyrzuca się go z sypialni.

Otwieram drzwi i go wpuszczam. Wskakuje na Davida, wacha go, bada. Jest nieufny. Gdy wtyka mu mordę pod pachę, David się budzi.

– Przepraszam, Thumper – mówi sennie. Po czym odwraca się i patrzy na mnie. – Dzień dobry – mówi z uśmiechem.

– Dzień dobry. – Też się uśmiecham.

Przeciera oczy. Bez okularów wygląda bezbronne, tak jakbym widziała go prawdziwego, takiego, którego nie każdemu dane jest zobaczyć. Patrzy na mnie, mrużąc oczy.

– Dać okulary? – śmieję się.

– Byłoby super. Po prostu... po prostu nigdzie ich nie widzę. Bo bez nich nic nie widzę – mruczy, macając wokół siebie.

Biorę okulary z nocnego stolika po jego stronie. Przechylając się, ocieram się o niego przelotnie. Czuję, jaki jest ciepły w dotyku.

– Przepraszam – mówię. – Masz.

Zanim weźmie je z mojej ręki, całuje mnie. Pocałunek jest głęboki i namiętny. Na chwilę

zapominam, kim jestem, kim jest on.

Bierze ode mnie okulary, ale nie wkłada. Odkłada je z powrotem na nocny stolik. I znowu mnie całuje, pociągając na siebie. Chyba najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że w ogóle nie wydaje mi się to dziwne.

– Mmm – mruczy. – Przyjemnie cię dotykać.

Przywieram biodrami do jego bioder. Nogi opadają mi na boki. On unosi miednicę, przywierając do mnie jeszcze ciaśniej.

– Thumper – mówi, patrząc mi w oczy. – Zabieraj się stąd, co?

Thumper go ignoruje. Śmieję się.

– Thumper – rzucam – idź stąd!

I Thumper idzie.

Roztapiam się w nim.

Z początku robię to, co wiem, że powinnam. Wyginam plecy, poruszam biodrami, ale jakoś tak po drodze zapominam o tym, co powinnam.

Po prostu się poruszam.

Leżę pod nim naga, jęczę, bo robi wszystko, co należy, a on dyszy mi do ucha:

– Powiedz mi, czego chcesz.

– Hm? – udaje mi się wykrztusić.

Nie wiem, o co mu chodzi, co chce, żebym powiedziała.

– Powiedz mi, co mam robić. Co lubisz?

Nawet nie wiem, co odpowiedzieć.

– Nie wiem dobrze. Daj mi jakieś opcje.

Śmieje się i unosi moje biodra, przesuając zarazem dłońmi wzdłuż ciała.

– Tak – mówię. – To.

Kiedy David wychodzi, siadam do komputera i otwieram pocztę. Po raz pierwszy od dawna mam coś do powiedzenia.

26 grudnia

Drogi Rynanie!

Jak to możliwe, że nigdy mnie nie spytałeś, czego chcę? Jak to możliwe, że nigdy nie troszczyłeś się o to, czego potrzebuję w łóżku? Kiedyś zwracałeś na to uwagę, pamiętasz? Kiedyś mogłeś dotykać mnie całymi godzinami, wynajdując różne rzeczy, które wywoływały u mnie łaskotki. Kiedy przestałeś to robić?

Dlaczego w jakiejś chwili stało się tak, że łatwiej mi było po prostu cię zaspokoić i zająć się czymś innym? Dlaczego mnie nie powstrzymałeś i nie powiedziałeś, że teraz moja kolej? Dlaczego nie dałeś mi z siebie więcej? Nigdy mnie nie spytałeś, co lubię. Nigdy mnie nie spytałeś o moje najśmielsze fantazje.

Wczoraj w nocy David mnie spytał, czego chcę, a ja nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nawet nie wiem, czego chcę. Nie wiem, co lubię.

Ale chcę ci powiedzieć, że zamierzam do tego dojść. I zamierzam nauczyć się o to prosić.

Jeśli wrócisz do domu, jeśli nam wyjdzie, to seks będzie także moją sprawą. Musi. Bo przypominałam

sobie, jak to jest, kiedy ktoś dotyka cię tak, jakby poza twoją przyjemnością nie liczyło się nic na świecie. I nie zamierzam pozwolić, by ktokolwiek sprawił, że o tym zapomnę.

Pozdrawiam

Lauren

Trochę później dzwoni do mnie ze swojego hotelu babcia. Odbieram.

– Cześć, babciu. Co tam?

– Coś mi przyszło do głowy.

– Tak?

– W związku z wami. Tobą i Ryanem.

– Aha...

– Czytałaś może kiedyś „Zapytaj Allie”?

– A co to jest? – Boże święty, czy ona mi poleca jakąś rubrykę poradniczą?

– Taka rubryka poradnicza. – A więc tak.

– Aha, rozumiem – mówię. – Jakoś sobie nie przypominam.

– To naprawdę dobra rubryka! Ta kobieta udziela doskonałych rad. W zeszłym tygodniu jakaś kobieta napisała, że nie wie, jak zareagować na to, że jej syn chce zostać mormonem.

– Aha.

– A Allie jej odpowiedziała, że bez względu na to, jaką religię syn wybierze, powinna być dumna, że syn myśli, poszukuje i chce aktywnie kierować swoim

duchowym rozwojem. Jak ona to ładnie powiedziała! Och, to było piękne.

– Fakt, pięknie brzmi – mówię. Bo ja wiem. Chyba pięknie.

– No więc myślę, że powinnaś do niej napisać!

– O, nie, nie, nie, babciu. Nie sądzę, żeby to było dla mnie.

– Żartujesz sobie? Jestem pewna, że Allie miałyby coś do powiedzenia na ten temat.

– No tak, ale...

– Nie musisz decydować w tej chwili. Wyślę ci parę wycinków. Sama zobaczysz.

– Znajdę w sieci.

– Nie, wyślę ci.

– W porządku, niech będzie.

– Zobaczysz, że będziesz pod wrażeniem. I może naprawdę mogłaby rzucić jakieś światło na to, co przeżywacie. Mogłabyś nawet potem pomóc innym ludziom, którzy mieliby podobny problem. Jestem pewna, że mnóstwo ludzi w waszym wieku przeżywa coś takiego. – Przerywa na chwilę. – Chyba chcę przez to powiedzieć, że może umiałyby zaproponować jakieś nowe spojrzenie na sprawę.

Chyba powinnyśmy zorganizować bociankowe dla Natalie – mówi Rachel, kiedy w kolejną sobotę wspinamy się kanionem Runyon. Wyprawę jak zwykle prowadzi Thumper.

– To prawda, byłoby miło – mówię. – Musimy zrobić wszystko, żeby czuła się wśród nas mile widziana. Wtedy trochę to spaprałyśmy.

– Racja, wtedy spieprzyłyśmy sprawę. Ale ona naprawdę mi się podoba. Super wygląda.

– Mam nadzieję, że dziecko odziedziczy po niej cerę. Wyobrażasz sobie, co to będzie za wspaniała dzidziusz?

Thumper zatrzymał się, żeby coś obwąchać, i my z Rachel też przystajemy. Stoimy na skraju ścieżki i czekając na niego, rozmawiamy.

– Wiedziałaś, prawda? – pyta Rachel. – Powiedział ci wcześniej?

Nie mogę na nią spojrzeć, dopóki nie zdecyduję, co odpowiedzieć. Udaję, że przyglądam się, co tam Thumper próbuje wywęszyć, i przy okazji zauważam, że za chwilę wejdzie w błoto. Ciągnę go za obrozę, ale i tak włazi. Obie przednie łapy ma teraz umazane. Muszę mu je oczyścić.

– Tak – mówię. – Wiedziałaś. Powiedział mi troszkę wcześniej. – Czuję się podle. W naszej rodzinie każdy sekret zawsze był wypaplany przed czasem, a teraz zatrzymałam go dla siebie.

Patrzę, jak z twarzy Rachel ustępuje determinacja. Przez parę minut nie patrzy mi w oczy. Wpatruje się w żwir pod nogami.

– Co z tobą? – pytam.

– Nic – mówi łamiącym się głosem, z utkwionymi w dal oczami. Rusza przed siebie, więc idę i ja, ciągnąc

Thumpera.

– Nie wygląda, żeby to było nic – zauważam.

– Dlaczego on mi nie powiedział? – pyta Rachel. – Mówił, dlaczego nie chce, żebym wiedziała wcześniej?

Co robić? Czy mam jej powiedzieć prawdę i być może zranić jej uczucia? Czy może zataić przed nią kolejną rzecz? Wybieram wyjście kompromisowe.

– Chyba się bał, że nie przyjmiesz dobrze tej wiadomości.

– Ale dlaczego? Przecież kocham Charliego! I zawsze się cieszę z jego szczęścia! Zawsze się cieszę z cudzego szczęścia...

– Myślę, że czasem się martwimy, że rozmowy o miłości mogą być dla ciebie trudne. Wszyscy mamy jakieś życie uczuciowe, nie zawsze bezproblemowe, jak chociażby ja ostatnio – wzruszam ramionami. – Ale ty... no wiesz... nie udało ci się dotąd nawiązać żadnego związku i myślę, że... być może... trudno ci...

– Myślicie, że jestem rozgoryczona – mówi Rachel.

– No, troszkę.

– Wiesz co, to śmieszne. Nawet nie myślę tak znów często o tym, że jestem sama, słowo daję.

Patrzę zdziwiona na Rachel, jakby próbowała mi sprzedać Brookliński Most.

– Nie, mówię serio! – ciągnie. – Naprawdę lubię moje życie, takie jakie jest. Mam fajną pracę. Mogę się sama utrzymać. Mam najlepszą siostrę na świecie. – Robi słaby gest w moją stronę, ale jest oczywiste, że nie

mówi tego, żeby mi pochlebić. Mówi, bo tak myśli i dlatego że jest to jedna z rzeczy w jej życiu, które ją cieszą. Jak na ironię, pochlebia mi to jeszcze bardziej. – Mama dobrze się ma. Wieczory i weekendy spędzam z ludźmi, których lubię. Mam mnóstwo przyjaciół. A najlepszy moment mojego tygodnia to sobota rano, kiedy wstaję około wpół do ósmej, idę do kuchni i słuchając przez radio *This American Life*, piekę coś zupełnie nowego, od zera.

– Nie wiedziałam – mówię.

Znowu się zatrzymałyśmy. Po prostu nasze stopy jakoś przestały poruszać się do przodu i twardo stanęły w miejscu.

– Tak. I jeśli mam być szczerą, to naprawdę nie mam poczucia, żeby mi czegoś w życiu brakowało.

– No dobrze, a czy nie jest tak... – zaczynam, ale Rachel jeszcze nie skończyła.

– Ale wy wszyscy żyjecie inaczej – mówi.

– Co masz na myśli?

– Mama zawsze kogoś miała. Nawet jeśli nie znałyśmy tych facetów i nie było to tak poważne jak z Billem, zawsze mówiła, że się z kimś spotyka.

– To prawda.

– Charlie też zawsze się spotykał z jakimiś dziewczynami. Albo je zapładniał, zależnie od okoliczności.

– To prawda – przyznaję ze śmiechem.

– I ty – ciągnie. Nie potrzebuje rozwijać zdania.

Wiem, co ma na myśli.

– To prawda.

– Po części dlatego tak się ucieszyłam, że będziesz jakiś czas bez Ryana, wiesz?

– Jasne.

– Po prostu wyglądało to tak, jakbyś i ty mogła przez jakiś czas żyć tak jak ja.

– W pojedynkę?

– W pojedynkę i radzić sobie ze wszystkim sama, i znaleźć swoje sobotnie hobby. Podniecała mnie myśl, że będę miała kogoś do pogadania i że nie będzie to gadka wyłącznie o chłopakach czy dziewczynach.

– Jasne.

Nawet teraz, gdy jestem w separacji z mężem, wciąż mam w głowie płęć przeciwną. Być może nie przez cały czas. A jednak. W pewnym sensie miłość to podstawowy czynnik, który określa moje życie. Nigdy nie należałam do osób, którym szczególnie zależy na karierze zawodowej. Lubię moją pracę w Occidental także dlatego, że umożliwia mi takie życie poza pracą, które naprawdę sprawia mi radość. Zarabiam dość pieniędzy, żeby pozwolić sobie na rzeczy, których potrzebuję i które chcę mieć. Mam czas dla rodziny i – wcześniej – Ryana. Miłość to istotna część mojej tożsamości. Czy to w porządku? Czy tak właśnie ma być?

Rachel milczy przez chwilę.

– Po prostu... nie mam poczucia, że miłość mnie omija, naprawdę.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Szczerze, problem polega raczej na tym, że wydaje mi się, że to nie dla mnie.

Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. Zawsze mi się wydawało, że Rachel jest zazdrosna czy nieszczęśliwa przez to, że jest sama. Nie przychodziło mi do głowy, że być może wyglądało to tak tylko w naszych oczach, bo uważaliśmy, że tak musi być.

– Ja chcę kogoś mieć. Nie zrozum mnie źle.

– Aha.

– Ale jeśli nie poznam nikogo odpowiedniego do czterdziestki czy pięćdziesiątki, to chyba nie będzie to dla mnie problem. Mam inne sprawy, które mnie interesują.

– A jak nie będziesz miała dzieci?

– Ja nie chcę mieć dzieci – odpowiada Rachel. – To kolejna sprawa. – Nigdy dotąd o tym nie mówiła. Chyba nie rozmawiałyśmy na ten temat zbyt często... I chyba nigdy jej o to nie zapytałam. Po prostu zakładałam, że chce. Jakież to heteronormatywne z mojej strony. – Bardzo lubię dzieci. Cieszę się, że Charlie będzie miał dziecko. I będę się cieszyła, kiedy ty będziesz miała. Ale wiesz? Sama jakoś nigdy nie tęskniłam za dziećmi. Patrząc czasem na młode matki i momentalnie się stresuję w ich imieniu. Parę dni temu widziałam w galerii jakąś rodzinę: rodzice z dwojgiem dzieci, chłopak nastolatek, dziewczynka może z dziesięć. I po prostu... Poczułam wyraźnie: ja tego nie chcę.

– No cóż, wolno ci – mówię. Po cichu myślę, że jej się zmieni, kiedy pozna kogoś odpowiedniego... i nagle do mnie dociera, Jezu Chryste, to jest tak we mnie zakorzenione, że nie potrafię usunąć tego z głowy, nawet jeśli świadomie się staram usunąć to z głowy. Małżeństwo i dzieci. Małżeństwo i dzieci. Małżeństwo i dzieci.

– Jasne – mówi. – Wolno mi. Ale popatrz, ty i Charlie... tak strasznie wam zależy, żeby mieć normalną rodzinę. Tak strasznie ci na tym zależało, że związałaś się z chłopakiem, mając dziewiętnaście lat, i nigdy się za siebie nie obejrzałaś. Charliemu tak strasznie na tym zależy, że ożeni się z kobietą, której prawie nie zna. A ja... – Wzrusza ramionami. – Po prostu nie jest mi to potrzebne.

W bardzo wielu sprawach jesteśmy z siostrą podobne, i to podobieństwo zawsze było dla mnie źródłem pociechy. Niemniej prawda jest taka, że jesteśmy dwiema różnymi kobietami, z dwoma różnymi zestawami potrzeb i pragnień. I zawsze istniała między nami ta zasadnicza różnica. To tylko ja jej nie widziałam. Nie widziałam – bo jej nie szukałam.

– Cieszę się, że to wyszło, naprawdę – mówię. – Fajnie, że to wszystko powiedziałaś.

– Dzięki. Chodzi mi to po głowie od jakiegoś czasu.

– Czasem zapominam, że nie jesteś mną. Wydajesz mi się taka do mnie podobna, że po prostu automatycznie zakładam, że we wszystkich sprawach

myślimy tak samo.

– Bo jesteśmy podobne – odpowiada Rachel. – Czasem znasz mnie lepiej, niż ja samą siebie.

– Naprawdę?

– No – Rachel kiwa głową. – Na wtorek jestem umówiona w banku.

– Tak?

– Chciałabym wziąć kredyt na rozpoczęcie małego biznesu.

– Na ciastkarnię?

Uśmiecha się zakłopotana.

– Tak.

Przybijam jej piątkę.

– O Jezu! Ale superwiadomość!

– Nie sądzisz, że to będzie porażka?

– Nie. Słowo daję. Naprawdę uważam, że będziesz w tym świetna.

– Myślałam o tym, żeby wprowadzić też linię słodczy bezcukrowych. Tamte ciasteczka z cukrem tak się spodobały...

Wybucham śmiechem.

– No to w końcu babciny rak wyświadczył nam przysługę.

Rachel kiwa głową i też się śmieje.

– Wiedziałam, że na coś się przyda!

Przechodzimy do innych tematów, ale w drodze do domu wciąż mam w głowie tylko jedną rzecz: „Tak strasznie ci zależy, żeby mieć normalną rodzinę. Tak

strasznie ci na tym zależało, że poznałaś kogoś, mając dziewiętnaście lat, i nigdy się za siebie nie obejrzałaś”.

Nie dostrzegałam tego, dopóki mi nie powiedziała, a przecież teraz wydaje się tak oślepiająco oczywiste, że wprost wali po oczach. Zdumiewające... Bywa, że mamy coś wypisane na czole od tak dawna, że nawet gdy patrzymy w lustro, to tego nie widzimy.

Kiedy docieram do domu, w skrzynce czeka na mnie list od pani Lois Spencer z San Jose w Kalifornii.

„Kochanie, przesyłam ci parę artykułów z rubryki »Zapytaj Allie«. Pomyśl o tym, co tam napisane. Całuję cię – babcia”.

Wydrukowała je z Internetu i wysłała pocztą. Zerkam na nie pobieżnie, śmiejąc się sama do siebie, i odkładam do pudełka z różnościami. Mówię sobie, że niedługo siądę i je przeczytam. A potem dzwoni David i pyta, czy może przyjść. Mówię „tak” i wskakuję pod prysznic.

Sucha i ubrana, nie pamiętam już nawet, gdzie je położyłam. Co innego mam w głowie. Nie myślę o tym, jaka rada pomogłaby mi skleić moje małżeństwo. Nie zastanawiam się nad tym, co myśli babcia o tym, co robię.

W ogóle się nad niczym nie zastanawiam.

Zaczynam po prostu żyć.

W styczniu pomagam Charliemu przeprowadzić się do Los Angeles, do Natalie. Cała rodzina idzie na

megakolację do włoskiej knajpy Buca di Beppo, gdzie plastikowe obrusy w kratkę i stare fotografie na ścianach przypominają nam czasy, kiedy bywaliśmy tu z mamą jako dzieci, a ona zamawiała dwie dodatkowe salaterki pasty na wynos i mówiła, że to nasz lunch na tydzień.

W lutym pomagam Rachel ułożyć biznesplan. Wspólnie poszukujemy możliwej lokalizacji dla jej ciastkarni. Pomagam jej zgłębić tajniki wniosku o kredyt na założenie małej firmy. Pyta mnie, czy mogłabym być poręczycielką, a ja odpowiadam, że nie znam nikogo innego, dla kogo zrobiłabym to chętniej.

W marcu Charlie i Natalie postanawiają, że urządzą wesele u jednej z przyjaciółek Natalie w Malibu. Podobno tył domu wychodzi na plażę. Stwierdzam, że Natalie musi mieć nieprzyzwoicie bogatych znajomych. Zostają wysłane zawiadomienia o dacie ślubu. Zostaje wybrana firma cateringowa. Do Charliego będzie należał jedynie wybór DJ-a.

W kwietniu Natalie kończy drugi trymestr ciąży. A mama zмага się z zagadnieniem, jak ułożyć relację z Billem. On uważa, że powinni zamieszkać razem. Ona nie.

A ja w tym czasie dostaję SMS-y od Davida. Późnymi wieczorami otwieram mu drzwi. Dzwonimy do siebie, ilekroć potrzebujemy życzliwego ucha czy rozumiejącego dotyku. Bardzo Davida lubię i wiem, że on lubi mnie. Ale wciąż jest zakochany w kobiecie, która

go zdradziła. A ja... nie czuję się na siłach, by kochać kogokolwiek. Jesteśmy więc dla siebie odpowiedni, a nasz układ to w zasadzie to, o czym słyszałam od nastolatków: Przyjaźń z Nadwyżką. I jest coś wyzwalającego w seksie z mężczyzną, obok którego nie widzisz siebie w przyszłości. Chodzi wyłącznie o motylki i orgazm. Nie ma dyplomacji ani niewypowiedzianych słów. A jeśli on jest za szybki, to mówię po prostu: wolniej.

Z początkiem maja Mila pyta mnie, czy Ryan do mnie pisze. Odpowiadam zgodnie z prawdą:

– Nie mam pojęcia. Nie sprawdzałam już od miesiący.

IV. Przeważnie sobie radzę

Planujemy z Rachel i mamą bociankowe Natalie. Kiedy ją spytałyśmy, czy mogłybyśmy zorganizować dla niej to przyjęcie na cześć przyszłego dziecka, wyglądało, że strasznie się cieszy i że jej to pochlebia. Spytałyśmy, jaki chciałaby motyw przewodni, ale powiedziała po prostu, że cokolwiek wymyślimy, wszystko na pewno jej się szalenie spodoba. Strasznie się stara być miła i niekłopotliwa i jest to w pewnym sensie słodkie, ale czasem mam chęć złapać ją za ramię, potrząsnąć i krzyknąć: „Powiedz prawdę! Lubisz kolor żółty?” Tak żebyśmy w końcu coś wiedziały!

Siedzimy z mamą i Rachel w tej pizzerii i próbujemy wymyślić jakiś motyw, ale rozmowa wciąż jakoś wybiega – lub wraca, zależy jak na to patrzeć – ku kwestii, czy mama powinna zamieszkać z Billem, czy nie.

– Po prostu nie sądzę, żebym była gotowa na coś takiego – mówi mama, kiedy kelner stawia przed nami nasze pizze. Obie z Rachel natychmiast osuszają swoje serwetką z nadmiaru tłuszczu. Ja od razu wgryzam się w moją.

– Już się jakiś czas spotykacie – zauważa Rachel.

– Tak, ale kiedy się teraz zdarza, że u mnie nie nocuje, to mi go brak.

– No więc właśnie – mówię. – Właśnie dlatego być może mógłby się do ciebie wprowadzić. – Mówię z

pełnymi ustami, czego mama normalnie nienawidzi, ale teraz zanadto jest skupiona na własnym problemie, żeby zwracać uwagę na mnie.

– Nie! – zaprzecza. – Lubię za kimś tęsknić. Wiecie, jak to jest, kiedy dzwonicz do kogoś, żeby po prostu usłyszeć jego głos? Albo jak czekasz cały dzień, żeby zobaczyć się z nim wieczorem? A jak Bill się wprowadzi, to przestanie być kimś, kogo nie mogę się doczekać, a stanie się facetem, który zostawia brudne talerze w zlewie.

– Ale nie da się utrzymywać w nieskończoność tego stadium – zauważam. – To naturalne, że z czasem relacja staje się poważniejsza. – Oczywiście są wyjątki od tej zasady.

– Tak, albo się wypala. Ja nie potrzebuję życiowego partnera. Nie interesuje mnie partnerstwo. Ktoś, z kim do spółki będę płacić rachunki. Z kim będę wychowywać dzieci. Zawsze robiłam to i robię sama. Sama zarabiam pieniądze. Sama płacę rachunki. To, czego chcę, to miłość i romans. To wszystko.

– Ale z upływem czasu w relacji zaczyna bardziej chodzić o partnerstwo, a mniej o romans. Tak to działa. Taka jest natura miłości. Jeśli zechcesz zamieszkać z Billem, to z biegiem czasu przestanie ci przynosić kwiaty – mówię.

Mama kręci głową.

– I właśnie dlatego nie chcę trwałego układu z Billem.

– Chwileczkę – włącza się Rachel. – Jesteś w nim zakochana, tak?

– Tak. W tej chwili. Ale w końcu się sobą zmęczymy.

– A jak do tego dojdzie? – pytam.

– To zerwiemy – wzrusza ramionami. – Potrzebuję romansu. To wszystko. Niczego więcej nie chcę od mężczyzny. Przez całe życie, czy raczej odkąd mieliście po kilka lat, spotykałam się z mężczyznami dla przyjemności. Chcę, żebym mogła bez problemu odejść, kiedy romans się skończy. O to mi chodzi. Żebym mogła zaznać tego uczucia z kimś innym. Tak żyję od dawna. I to działa.

– Czyli nie wyszłabyś jeszcze raz za mąż? – pytam.

– Tak po prostu przeżuwasz ich i wypluwasz? – dodaje Rachel.

– Śmieszne jesteście. Jedyne, co mówię, to że nie jest mi potrzebne to wszystko, co przynosi trwałe związki. W relacji najlepszy jest początek, kiedy jesteśmy zakochani. Nie ma nic złego w tym, że mówię o tym wprost.

– Nie sądzisz, że z Billem to coś innego? Nie sądzisz, że jest możliwy taki związek, o który warto powalczyć, żeby trwał? – nalega Rachel.

Mama otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale uprzedzam ją.

– Jeśli twoim głównym celem jest romans, w takim razie niech się nie wprowadza. Rozumiem to. Romans się wypala. Po prostu tak to jest. Jeśli nic poza tym nie

jest ci potrzebne, w takim razie to jasne, że potrzebujesz mieć strategię wyjścia.

– A ja nadal uważam, że romans i zobowiązanie nie muszą się wykluczać – mówi Rachel, ale mówi to tęsknym tonem, tak jakby rozprawiała o teorii miłości, a nie o jej praktyce.

Wracam myślą do czasów, kiedy samo spojrzenie Ryana wystarczało, żeby poczuć motylki w brzuchu. Kiedy świadomość jego uwagi wystarczała, żebym unosiła się nad ziemią na różowej chmurce. Kiedy miałam uczucie, że nic złego nie może mi się przydarzyć.

A jeśli już nigdy więcej tego nie pocuję? Tego uczucia, że masz obnażone wszystkie końcówki nerwów, tak że wręcz fizycznie odczuwasz wszystko, co on mówi? Tego uczucia, że głowę masz w chmurach, a nogi w ogniu?

Za trzy miesiące ma wrócić Ryan i mamy zdecydować, czy chcemy zostać razem na resztę życia. To znaczy, taki jest nasz cel: zostać razem na resztę życia. Jeśli naprawdę jestem przekonana, że romans nie może trwać, jeśli naprawdę uważam, że to prawda, to czy jestem gotowa na to, że nigdy już nie pocuję tych łaskotek? Czy kiedykolwiek byłam gotowa?

– Porozmawiajmy o czymś innym – mówi mama. – Lauren wygląda, jakby za chwilę miała się rozpłakać.

– Przepraszam... Po prostu na chwilę odpłynęłam. Ale faktycznie, wróćmy do bociankowego Natalie. Co

jeszcze mamy do załatwienia?

– Ale, ale, zanim do tego przejdziemy... Przypomniało mi się, że potrzebne mi jest ksero twojej karty ubezpieczeniowej jako żyrantki. Muszę je dołączyć do mojego wniosku o pożyczkę – mówi Rachel.

– No jasne. Na kiedy?

– Czwartek?

– W porządku. Poszukam. Mam gdzieś w domu.

– Bardzo jestem z ciebie dumna – mówi mama do Rachel. – To wspaniałe, że masz w sobie tyle odwagi.

– To głupie, no nie? – Rachel wciąż nie do końca w siebie wierzy. Wiem jednak, że trochę musi wierzyć, kiedy sama to wszystko analizuje. Nie pójdziesz do banku, żeby rozmawiać o pożyczce biznesowej, jeśli nie traktujesz tego serio. Nie szukasz lokalizacji dla ciastkarni, jeśli nie wierzysz w powodzenie choć odrobinę.

– Gdyby nikt nigdy nie zrobił nic głupiego, to nie miałabym was, dziewczyny, ani Charliego – mówi mama.

Ma to brzmieć zachęcająco, ale Rachel reaguje inaczej.

– Czyli uważasz, że to głupie.

I zanim mama zdąży zaprotestować, obie wybuchamy śmiechem.

– Och, słowo daję, tylko z wami utrapienie – zrzędzi mama.

B biurko mam zawałone różnościami. W przeszłości, owszem, zdarzało mi się siadać przy nim i pracować. Pamiętam, że jak wprowadziliśmy się tu z Ryanem, to robiłam wielkie halo z zasiadaniem przy biurku i robieniem różnych rzeczy, bo wydawało się to takie niezwykle – mieć miejsce na rzeczy typu biurko. A potem powoli mi przeszło i zaczęłam traktować biurko jako składowisko rzeczy, które nie znalazły sobie lepszego miejsca.

Zaczynam grzebać w szufladach w poszukiwaniu karty ubezpieczeniowej. Może być dosłownie wszędzie. Nie należę do osób, które opatrują teczki etykietami. Kiedyś na jednej napisałam: „Ważne dokumenty”. Takim jestem leniem, jeśli chodzi o organizację. Przekopuję najpierw górną szufladę... O, jest! Są moje „Ważne dokumenty”. Otwieram. Powinna chyba tu być, bo skoro ma się teczkę z napisem „Ważne dokumenty”, to czy nie jest to właściwe miejsce dla karty ubezpieczeniowej?

Jest metryka urodzenia. Jest dyplom. Są moje dawne studenckie umowy o pożyczkę. Jest tytuł własności samochodu. Jest nawet decyzja o zmianie nazwiska, z czasów gdy mama po odejściu ojca wystąpiła o to do sądu. Zmieniła nam wszystkim nazwiska na Spencer, jej panięńskie nazwisko. Do tego czasu przez jakieś sześć lat nazywaliśmy się Lauren, Rachel i Charles Prewett. Patrząc na ten dokument dłużej, niż zdaję sobie z tego sprawę. Oczy mam weń utkwione, ale myśli błędzą

gdzie indziej. Czy sprawy ułożyłyby się inaczej, gdybym zachowała nazwisko ojca? Czy poznałabym jakiegoś miłego chłopca nazwiskiem Proctor czy Phillips, z którym na zajęciach, dzięki porządkowi alfabetycznemu, siedzielibyśmy obok siebie? Czy gdybym zachowała nazwisko ojca, dłużej bym za nim tęskniła? Nie wiem... Nie ma tu nic do wiedzenia, bo nic z tego się nie wydarzyło. Ale wdzięczna jestem matce za tę zmianę, za to, że znalazła czas, żeby pójść do sądu i zmienić nasze losy, że prawnie uznała nas za własne i tylko własne.

Przejrzałam już całą teczkę, ale karty ubezpieczeniowej nie ma. Wkładam teczkę z powrotem do szuflady. Grzebię w rzeczach na wierzchu biurka i właśnie wtedy natykam się na babciną przesyłkę. „Zapytaj Allie”... Rzucam okiem na teksty i przykuwają moją uwagę jakieś pojedyncze słowa. Po chwili siedzę już na kanapie z podciągniętymi kolanami i czytam.

Żonę pewnego mężczyzny zdiagnozowano jako chorą na parkinsona i teraz on się martwi, że ich życie ulegnie zmianie. Podpisał się: „Zmartwiony z Oklahomy”.

Jakaś matka pisze, że oboje z mężem wiedzą, że ich syn jest gejem, bo powiedział o tym dwojgu swojego rodzeństwa. Im jednak tego nie wyjawiał. Pyta, jak dać synowi poznać, że może być z nimi szczerzy. Podpisała się: „Gotowa do wsparcia”.

Inna kobieta jest przekonana, że matka nie powinna

już prowadzić auta, i prosi o radę, jak podnieść w rozmowie z nią ten delikatny temat. Podpisała się: „Uważna”.

„Zmartwionemu z Oklahomy” Allie mówi, że to zrozumiało, że się boi, i żeby poszukał innych niż żona osób, z którymi mógłby porozmawiać o swoich lękach. „Rozmawiaj o nich z innymi dużo i często – pisze – tak byś do czasu, gdy żona będzie gotowa rozmawiać z tobą o tym, czego się boi, miał już odpowiedzi. A przede wszystkim znajdź kogoś, kto będzie mógł ci powiedzieć: »Ja też«.”

„Gotowej do wsparcia” Allie mówi, że brzmi to tak, jakby martwiła się o to, że syn nie wie, że kocha go bezwarunkowo. „Nie martw się. Przeżyliście razem dwadzieścia trzy lata, podczas których mówiłaś mu to bezwiednie każdym włóknom swojej istoty. Ta miłość była wyczuwalna we wszystkim, co mówiłaś czy robiłaś. Bezwarunkowa miłość oznacza, że można podążać za głosem własnego serca i nadal mieć dom. Dałaś ją już synowi, a teraz jedyne, co ci pozostaje, to usiąść, uzbroić się w cierpliwość i czekać, aż z niej skorzysta”.

„Uważnej” Allie odpowiada, że choćby starała się być nie wiem jak delikatna, i tak wiadomość, którą ma do przekazania, matkę zrani. Ale to zranienie jest niezbędne w miłości, bo „jeśli rodzina nie powie ci prawdy, to kto ci ją powie? Bądź córką, jakiej matka potrzebuje. Bądź córką, która robi przykre rzeczy ze słusznych motywów. Tak właśnie przejawia się głęboka,

piękna, zadziwiająca rodzinna miłość”.

Nie mówi do mnie ani o mnie, ani ze mną, ani dla mnie, a jednak wszystko, co mówi, znajduje we mnie oddźwięk. Allie jest niezła. Jest naprawdę niezła.

Rano Mila przychodzi do pracy z kubkiem latte dla mnie.

– Czemu zawdzięczam ten dar? – pytam uradowana. Nie spałam zbyt wiele ostatniej nocy.

– Przez pomyłkę dali mi nie taką jak trzeba. Upiłam łyk, zdałam sobie sprawę, że dostałam niewłaściwą, i powiedzieli, że mogę zatrzymać obie.

– Fajnie, dzięki – mówię. – Przyda mi się.

Kawa w kubku jest wciąż gorąca, tak gorąca, że parzy mnie w język. Teraz przez cały ranek będę czuła to irytujące zdrętwienie.

– Nie spałaś do późna? – Ton Mili sugeruje jakieś sprośności.

– Pytasz, czy nie spałam do późna, bo bzykałam się z Davidem?

Mila wybucha śmiechem.

– Ojejku, nie znasz się na subtelnościach.

– Będę się upierać, że i ty nie znasz się na nich tak dobrze, jak ci się wydaje – odcinam się. Mila daje mi klapsa wierzchem dłoni.

– Czyli bzykałaś się?

– Prawdę mówiąc, nie. Nie spałam, bo czytałam zaległe teksty tej pani od porad.

Mila zwiesza ramiona.

– Nudy. Ciekawe było, dopóki myślałam, żeście się pieprzyli.

Śmieję się.

– Wiesz, jak byłam z Ryanem, to jakoś nigdy cię nie interesowało moje życie seksualne. Teraz, z Davidem, nagle jesteś nim zafascynowana.

– Nie jestem zafascynowana – zaprzecza. – Nie chcę wiedzieć, co dokładnie robiliście ani nic z tych rzeczy. Po prostu żyję za twoim pośrednictwem. Nowa miłość. Przyjemność sypiania z kimś, kogo dopiero zaczynasz poznawać. Bo to przyjemne, nie?

– No – mówię, kiwając głową. – Tak, to przyjemne.

– A ja już tego nie mam – mówi ze smutkiem. – I dobrze. Nie skarżę się. Kocham Christinę jeszcze bardziej niż dawniej. Czuję się najszczęśliwszą kobietą na świecie, że ją mam.

– Ale po jakimś czasie wszystko powzednie – uzupełniam. – Wiem, o co chodzi.

– To znaczy, my nawet nie jesteśmy ze sobą tak długo. Pięć lat to może długo. Ale nie aż tak. Chodzi o dzieci. Sprawy powzednieją z pojawieniem się dzieci. To tak jakby... Już nie jest dla mnie tą piękną kobietą, którą mogę poznawać i odkrywać. Jest matką moich dzieci. Jest moją partnerką, z którą je wychowuję. To takie...

– Nudne?

– No. Ale nuda jest super. Uwielbiam nudę. Tylko że

to jest...

– Nudne.

Mila się uśmiecha.

– Właśnie. – Pociąga łyk kawy. – I dlatego potrzebuję zaczerpnąć trochę podniety z twojego życia seksualnego... nawet jeśli jest z mężczyzną. Mogę przymknąć na to oko.

– Wiesz co – w mojej głowie rodzi się szalony pomysł – możesz napisać do Allie!

– Do kogo?

– Do tej dziennikarki z kolumny poradniczej, którą wczoraj czytałam. Jest fantastyczna! Mówię ci, czytałam o takiej kobiecie, którą przed laty napadnięto z bronią w rękę i dotąd nie może wyjść z traumy, i Allie jej powiedziała coś pięknego...

Mila podnosi rękę.

– W tym momencie zamierzam powiedzieć ci „stop”.

Patrzę na nią.

– Gadasz jak jakiś świr!

Śmieję się. Chyba chodzi o to słowo – „świr”.

– Wcale nie gadam jak świr!

– Ależ tak, kochana. Gadasz dokładnie jak świr. – Teraz i ona się śmieje.

– Może to ty jesteś świr – mówię.

Mila kręci głową.

– To właśnie powiedziała by świr.

– Skończ wreszcie z tym słowem „świr”!

Mila uśmiecha się i rusza do swojego biurka.

– Pij kawę, smacznego. – I na odchodnym rzuca: – Ty świrze.

Być może podsunęłam Mili ten pomysł trochę dlatego, że sama się zastanawiam, czyby tego nie zrobić. Nie marzę o tym, żeby uchodzić za świra, ale w sumie może mi i wszystko jedno, czy zostanę uznana za świra, czy nie. Może.

18 kwietnia

Drogi Ryaniu!

Zastanawiam się, czy nie napisać o nas do jednej z rubryk poradniczych. Taka jestem skołowana.

Kiedy zaczynaliśmy ten rok, myślałam, że potrzebuję po prostu trochę czasu z dala od ciebie. Trochę czasu, żeby odetchnąć. Szansy, żeby pożyć w pojedynkę i dzięki tęsknocie docenić cię na nowo.

Pierwszych parę miesięcy było torturą. Czułam się taka samotna. Czułam dokładnie to, co chciałam czuć: że nie mogę bez ciebie żyć. Czułam to przez cały dzień. Czułam to w nocy w pustym łóżku. Czułam to, kiedy wracałam do pustego domu. Ale pewnego dnia tak jakby poczułam się dobrze. Nie wiem, kiedy to nastąpiło.

Najpierw myślałam, że jeśli się dowiem, jaki jesteś naprawdę, to może potrafię pokochać cię na nowo. Potem myślałam, że jeśli się dowiem, jaka naprawdę jestem ja, czego tak naprawdę chcę, to może potrafię pokochać cię na nowo. Przez całe miesiące chwytalam się różnych rzeczy, szukając lekcji dostatecznie ważnej, dostatecznie

wielkiej, dostatecznie wszechogarniającej, która połączyłaby nas na nowo. Ale przeważnie uczę się po prostu, jak żyć własnym życiem. Uczę się, jak być lepszą siostrą, uczę się, jak silna była zawsze moja matka. Uczę się, że powinnam częściej korzystać z rad babci. Że seks może być uzdrawiający. Że Charlie nie jest już dzieckiem.

Chyba chcę przez to powiedzieć, że zaczęłam się skupiać na innych sprawach. Nie dążę już tak desperacko do tego, żeby nas rozgryźć i naprawić nasz związek. W pewnym sensie jest dla mnie okej, że nie jest naprawiony.

Nie jest to kierunek, w którym miałam zmierzać, prawda?

Pozdrawiam cię

Lauren

Czytam ten list wielokrotnie. Zmieniam tu i ówdzie jakieś słowo. Dodaję przecinki i spacje. Gdzieś tam myślę, że może opóźniam moment, kiedy kliknę „zachowaj”, próbuję zyskać pewność, że chcę, by moje słowa zajęły miejsce gdzieś tam w przestrzeni Internetu. Ale nie mam ochoty ich skasować. Więc w końcu przerywam to haftowanie i klikam. „Zachowaj”.

Wstaję i postanawiam się przebiec. Wkładam szorty. Sportowy stanik. T-shirt. Buty do biegania. Mówię „cześć” Thumperowi. Chowam klucze pod wycieraczkę. Biegnę.

Gdy pięty rytmicznie uderzają w płyty chodnika, gdy serce zaczyna bić coraz szybciej, gdy ciało chce zwolnić tempo, a ja je zmuszam do dalszego wysiłku, jedyne, o

czym potrafię myśleć, to to, co napisałam. Czy to prawda? Naprawdę nie jestem ani trochę bliższa wiedzy, jak naprawić moje małżeństwo? Naprawdę nie jestem pewna, czy tego chcę?

Wracam do domu i biorę prysznic. I myślę o moim liście. Robię sobie kolację i myślę o moim liście.

Jeśli to prawda, co napisałam, czy nie znaczy to, że muszę stanąć twarzą w twarz z możliwością, że to koniec? Czy może to być początek końca nas?

Co ja mam zrobić ze swoim życiem?

Nie wiem, co mną włada. To raczej instynkt niż świadome działanie. Chwytam komputer i loguję się do poczty Ryana. Nie wiem, co spodziewam się w niej zastać. Chyba to, że o mnie zapomniał. Że poszedł naprzód. Że o mnie nie myśli. Ale patrzę na liczbę nowych kopii roboczych... Są trzy następne.

Otwieram folder. Wszystkie są do mnie. Wszystkie napisane w ciągu ostatnich trzech tygodni. Ryan znowu zaczął do mnie pisać.

31 marca

Droga Lauren!

Musiałem się od ciebie odsunąć. Musiałem przestać do ciebie pisać. Musiałem przestać ci opowiadać o wszystkim, co się dzieje. Zauważyłem, że przez cały dzień rozmawiam z tobą w wyobraźni, nawet jeśli jestem na ciebie wściekły, nawet jeśli nic od ciebie nie chcę. Musiałem przestać to robić. Musiałem przestać cię postrzegać jako kogoś, z kim rozmawiam.

Więc przestałem pisać.

A niepisanie do nikogo, nierozmawianie z nikim sprawia, że człowiek czuje się samotny. Musiałem przestać być samotny.

Najpierw była Noelle. Noelle to szalenie miła kobieta, była też bardzo miła dla mnie i bardzo wyrozumiała wobec moich oporów co do różnych rzeczy, ale po prostu to nie było to.

Potem była Brianna i z nią było okej.

A potem poznałem Emily. Emily jest na tyle inna niż ty, żeby mi o tobie nie przypominać, ale nie na tyle, żebym miał poczucie, że celowo spotykam się z kimś, kto jest przeciwieństwem ciebie. I chyba dlatego potrafiłem przestać ciągle myśleć o tobie. Po prostu zacząłem myśleć o Emily. Mówiąc to, nie zamierzam cię ranić, ale czekałem na spotkania z Emily i zapomniałem o tobie. Na tyle, jak sądzę, na ile można w ogóle zapomnieć o żonie. Naprawdę miałem wrażenie, że potrafię być obecny tu i teraz, zaangażowany w związek z nią. Parę razy wyszliśmy nawet na miasto i za każdym razem czułem się jak chłopak Emily, a nie twój mąż.

Naprawdę było mi to potrzebne.

A potem, przedwczoraj, Emily miała urodziny. I wiesz, pomyślałem, że może powinienem coś dla niej zrobić. Więc zrobiłem dla niej Magiczny Makaron z Krewetkami à la Ryan. I nawet nie było to dla mnie dziwne. Wiem, że to było nasze, ale... nie wiem. Wydawało się to w pełni naturalne.

No i zrobiłem dla niej makaron, ona zjadła i podziękowała, a potem poszliśmy do baru i spotkaliśmy się z jej znajomymi. I to powinno wystarczyć. Wszystko powinno być w porządku.

Ale wciąż miałem w głowie ten pierwszy raz, kiedy zrobiłem makaron dla ciebie, i to, jak się nim zachwycałaś. Jak zjadłaś go o wiele za dużo i o mało się nie pochorowałaś. Wciąż myślałem o błysku w twoich oczach, ilekroć powiedziałem, że go zrobię. Zdałem sobie sprawę, że w Magicznym Makaronie z Krewetkami à la Ryan prawdopodobnie nie chodzi o ciebie. Raczej o mnie. Chyba chodzi o to, że rozkwitałem w blasku twojej aprobaty. To było jak bateria, na której funkcjonowałem. Czekałem na twoje urodziny tak samo jak ty. Bo wiedziałem, że to ja będę tym, który sprawi, że ten dzień będzie miał dla ciebie wartość. Dzięki temu czułem się ważny. Dzięki temu czułem, że robię coś słusznego.

A Emily po prostu zjadła Magiczny Makaron z Krewetkami à la Ryan, powiedziała „dziękuję”, otarła usta i spytała, czy jestem gotowy do wyjścia. Nie ogarnęła tego. I choć to głupio brzmi, ale naprawdę odebrałem to tak, że skoro nie ogarnęła Magicznego Makaronu Ryana, to nie ogarnęła też mnie.

I dlatego zatęskniłem za tobą. Nie tobą, moją żoną. Albo tobą, kobietą, która była ze mną, odkąd skończyłem dziewiętnaście lat. Tobą. Lauren Maureen Spencer-Cooper. Poczułem, że brak mi ciebie.

I nie było to uczucie przelotne. Było realne.

Naprawdę poczułem, że w moim życiu jest pustka i nie może jej wypełnić nic i nikt poza tobą.

Myślę, że to działa, Lauren. Myślę, że będzie z nami okej.

Pozdrawiam cię

Ryan

3 kwietnia

Droga Lauren!

Dziś wieczorem przejeżdżałem koło domu. Nie miałem takiego zamiaru. Byłem w centrum na kolacji, na którą musiałem pójść, i w drodze powrotnej pojechałem Olympic. Słuchałem radia. Mówili o tym seryjnym mordercy w Kolumbii i tak mnie to wciągnęło, że przestałem zwracać uwagę na trasę. Na rogu Olympic i Rimpau powinienem był pojechać prosto, ale machinalnie dałem sygnał skrętu i skręciłem w prawo. I dojechałem nie do tego domu co trzeba. To chyba była pamięć mięśniowa. Dzień po dniu, dzień po dniu skręcasz w prawo i... wiesz, jak to jest.

Zdałem sobie sprawę z pomyłki dopiero na światłach na rogu Rimpau i Dziewiątej, ale było za późno. Musiałem przejechać koło domu, choćby po to, żeby zawrócić.

Kiedy dotarłem do podjazdu, muszę przyznać, zwolniłem. Zauważyłem, że w domu jest włączone światło. A potem zobaczyłem na podjeździe drugi samochód. Usłyszałem szczekanie Thumpera. Słowo daję, że go słyszałem. Wstyd mi to mówić, ale zatrzymałem się

całkiem i przez chwilę patrzyłem w okno. Nie wiem, na co liczyłem, że zobaczę. Pewnie ciebie i Thumpera. Ale zobaczyłem ciebie i innego mężczyznę. Mężczyznę, z którym, jak sądzę, się spotykasz.

Zgasilem silnik. Przekręciłem kluczyk i wyjąłem go ze stacyjki. Odpiąłem pas i położyłem rękę na klamce. Oto jak bliski byłem tego, żeby wejść do własnego domu i dać, kurwa, temu facetowi w mordę.

Ale powstrzymały mnie dwie rzeczy. Po pierwsze wiedziałem, że nie należy tego robić. Wiedziałem, siedząc tam z ręką na klamce, że to złe i nie powinienem tego robić. Że mogłoby to wszystko popsuć. Że mogłabyś się poczuć szpiegowana. Nie chciałem, żebyś się tak poczuła.

A druga rzecz to to, że za dwadzieścia minut miałem być u Emily. Jak bym jej wytłumaczył, dlaczego się spóźniłem? Jak wytłumaczyłbym tobie, dlaczego muszę iść?

Z powrotem zapiąłem pas. Z powrotem włożyłem kluczyk do stacyjki i dałem stamtąd nogę. Przejechałem znak stopu. Na czerwonym świetle na Wilshire o mało w kogoś nie walnąłem. Do Emily spóźniłem się dziesięć minut, a kiedy spytała, powiedziałem, że trafiłem na korek.

Chyba chcę przez to powiedzieć, że jestem hipokrytą. A jak wrócę do domu, musimy w oknie od frontu zawiesić zasłony.

Pozdrawiam cię

Ryan

17 kwietnia

Droga Lauren!

Właśnie zadzwonił do mnie Charlie i powiedział, że będzie miał dziecko. Z jakąś kobietą imieniem Natalie. I że teraz mieszka w Los Angeles. I że się pobierają.

Mam zostać wujem i nawet o tym nie wiedziałem! Rozumiem, dlaczego mi nie powiedziałaś. Rozumiem, dlaczego nie zadzwoniłaś. Powiedziałem, żebyś tego nie robiła. Sam poruszyłem tę kwestię.

Ale chciałbym, żebyśmy mogli o tym porozmawiać. Chciałbym, żebyśmy mogli byli o tym porozmawiać. Jest mnóstwo do pogadania na ten temat, a ty jesteś jedyną osobą, z którą mogę o tym pogadać. Jakaś częśćka mnie myśli, że gdybym cię dziś zobaczył, znowu bym się w tobie zakochał. A inna częśćka mnie myśli, że poczułbym coś całkiem innego. Jeszcze lepszego. Ponieważ nie jesteś po prostu dziewczyną, w której byłem zakochany. Jesteś sobą. Jesteś mną.

Jeśli o mnie chodzi, ten rok był sukcesem. Wiem, że się jeszcze nie skończył. Wiem, że to, co najtrudniejsze – odnalezienie się na nowo we właściwym miejscu, znalezienie sposobów, żeby to znowu funkcjonowało, wszystko to jest jeszcze przed nami. Ale mam mnóstwo energii, żeby zrobić wszystko, co będzie w tym celu potrzebne. Czy to ma sens?

Jestem gotów walczyć o to małżeństwo. Wcześniej brakowało mi energii. Teraz ją mam.

Pozdrawiam cię

Ryan

Osuwam się na podłogę.

Choć możliwe były różne scenariusze, ja... po prostu zawsze byłam przekonana, że pytanie brzmi: skończę ze złamanym sercem czy nie.

Nigdy nie przemknęło mi nawet przez myśl, że to ja mogę okazać się tą, która je łamie.

Ty chyba jaja sobie ze mnie robisz.

Stoję na progu Charliego piętnaście po ósmej i tak właśnie zaczynam rozmowę. Listy Ryana pogrzyżyły mnie we łzach, ale zarazem wściekłam się na Charliego, że dzwoni do niego za moimi plecami.

Miałam to w głowie całą noc. A tak naprawdę to gotowało się to we mnie całą noc. A kiedy się rano zbudziłam, mój gniew był jeszcze większy, jeszcze silniejsze było moje poczucie, że padłam ofiarą ohydnej zdrady. Dlatego pojechałam do Charliego i zadzwoniłam do drzwi. Otworzył, a ja powiedziałam właśnie to: „Ty chyba jaja sobie ze mnie robisz”.

Teraz Charlie po prostu wpatruje się we mnie, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Rozmawiałaś z Ryanem, jak się domyślam. – I pozostawiając drzwi otwarte, prowadzi mnie do salonu.

Jego ton jest obronny, pobrzmiwa w nim też osobiste rozczarowanie. Ma na sobie płócienne spodnie i białe podkoszulek. Przerwałam mu rutynowe poranne czynności przed wyjściem do pracy.

– Świetna robota, detektywie – mówię. Nie pora, żeby wyjaśniać mój napastliwy ton.

– Miałem bardzo istotny powód.

– Nie jesteś od tego, żeby majstrować przy moim małżeństwie! Zostaw Ryana w spokoju!

– Jezu, Lauren... Tu nie chodzi o twoje małżeństwo!

Natalie siedzi na kanapie z rękami splecionymi na okrągłym brzuchu. Ma na sobie spodnie od dresu i bluzę.

– Pójdę do sypialni – mówi.

– Strasznie cię przepraszam, naprawdę. – Jakoś mi się udaje usunąć gniew z głosu na chwilę dostatecznie długą, by mówić do niej uprzejmym tonem. – Nie chciałam popsuć wam ranka.

Natalie macha ręką.

– Nie ma sprawy. Tak myślałam, że kiedyś nadejdzie ta chwila. Będę w sypialni.

Charlie rzuca jej spojrzenie, które mówi zarazem „dziękuję” i „przepraszam”. Kiedy Natalie znika, znowu się na niego rzucam.

– Czy ty nie masz choć krzty lojalności?

Charlie kręci głową i stara się zachować spokój, nawet jeśli ja się na niego drę.

– Lauren, zechciej mnie wysłuchać.

Zakładam ręce na piersi i patrzę na niego spod zmarszczonych brwi. To mój sposób, by za jednym zamachem wysłuchać go i osądzić.

– Ryan będzie wujem dziecka.

– Dzięki mnie! – wołam. – Będzie wujem, bo ja będę ciotką. Rodzoną!

– Wiem. A jednak. To ważne rozróżnienie, nie sądzisz? Ryan to nie tylko twój mąż, ale także wuj mojego dziecka.

– No to co?

– No to... rozejrzyj się, Lauren. Czy widzisz oprócz niego jakichś mężczyzn w moim otoczeniu?

Nie odpowiadam. Po prostu na niego patrzę.

– Nie mamy braci – mówi Charlie. – Poza mną oczywiście.

– Jasne. – Zgadzam się z nim, żeby popchnąć rozmowę naprzód.

– I ewidentnie nie mamy ojca.

– Jasne – powtarzam.

– A dziadek nie żyje.

– Jasne.

– Wszyscy moi bliscy koledzy zostali w Chicago. Mieszkam z narzeczoną. Niemal cały czas spędzam jak nie z nią albo w pracy, to z mamą i dwiema siostrami.

Wciąż zła, jestem jednak w stanie rozpoznać, że nie jest to linia myślenia, z którą bym się tak do końca nie zgadzała.

– Jasne – mówię, tym razem łagodniej niż poprzednio. Zmieniam język ciała na nieco mniej konfrontacyjny.

Charlie patrzy na mnie przez chwilę i nad czymś się zastanawia. Dostrzegam przyływ emocji. Zniża głos.

– To chłopak, Lauren. Będę miał syna.

Myśli przelatują mi przez głowę tak szybko, że nie potrafię wybrać ani jednej, by się jej uchwycić. Jaka superwiadomość! Wszyscy w rodzinie będą tacy szczęśliwi! Nawet nie wiedziałam, że zamierzają sprawdzić płeć dziecka! Będę miała bratanka! Jejku, to fantastycznie!

– Będę miała bratanka? – ni to mówię, ni to pytam.

Gniew już nie buzuje na powierzchni, cofa się w głąb. Po części z zaskoczenia, że dowiedziałam się czegoś, o czym nie spodziewałam się dowiedzieć wcześniej niż za kilka miesięcy. Po części dlatego, że mój mały braciszek, który najwyraźniej sądzi, że ma tak wiele do udowodnienia, dostaje szansę, żeby to udowodnić.

– Tak – odpowiada i oczy mu rozbłyskują. – Co ja wiem o wychowywaniu syna? O byciu ojcem? Nie mam o tym pojęcia. Nie mam o tym bladego pojęcia. To znaczy wiem, że do tego dojdę, ale, kurczę... wiesz, co to znaczy dochodzić do tego w trakcie? Mój syn potrzebuje mieć wujka! Wiem, że się między wami pokomplikowało, rozumiem to, ale Ryan był dla mnie oparciem od czternastego roku życia! Pierwszy facet, który był dla mnie wzorcem. I... chcę, żeby mój syn go znał. Chcę, żeby był obecny w życiu mojego syna. A tak szczerze, to potrzebuję kogoś, do kogo będę mógł zadzwonić i przyznać się, że nie mam pojęcia, co robić.

– Masz mnie – mówię. – I Rachel.

– Wy obie też nie miałyście ojca. Żadne z nas nic nie wie o byciu ojcem. I, wybacz, ale po prostu... to nie jest coś, w czym może mi pomóc kobieta. Po prostu nie.

– Rozumiem – odpowiadam. Bo co innego mogę powiedzieć? Nie sądzę, żeby mój gniew był nieuzasadniony, ale w świetle tego wszystkiego nadal się złościć byłoby dziecinadą i egoizmem. – Rozumiem. Wolałabym, żebyś ze mną wcześniej pogadał, ale... okej, rozumiem.

– Wiesz... czekałem, żeby móc z tobą pogadać, naprawdę. Bo jest coś jeszcze, co chciałbym zrobić, ale muszę mieć twoje błogosławieństwo.

– Ojejku – wzdycham. – No to mów...

– Chciałbym zaprosić Ryana na wesele.

– W żadnym wypadku – wylatuje z moich ust niczym kula z lufy karabinu.

– Proszę, zastanów się.

– Nie, Charlie. Przykro mi. Ustaliliśmy z Ryanem w sposób jednoznaczny, że przez rok rozłąki nie będziemy się widywać ani rozmawiać. Ten rok upływa z końcem sierpnia. Nie lipca. Przez całe ubiegłe osiem miesięcy walczyłam z pragnieniem, żeby do niego zadzwonić i zakończyć to wcześniej. I on też nie będzie chciał zerwać umowy, zobaczysz.

Wygląda, że Charliego to zraniło, i nie wiem, co najbardziej. Czy to, że własna siostra nie chce zrobić wyjątku z okazji jego wesela? Czy to, że moim zdaniem jedyny mężczyzna, który jest dla niego wzorcem,

prawdopodobnie nie zechce przyjść? Szlag by to. Kiedy wychodzisz za faceta, wychodzisz za jego rodzinę... Owszem, tak się mówi. Ale nie mówi się, że kiedy rozstajesz się z facetem, rozstajesz się z jego rodziną. Jeśli twój mąż mieszka na drugim końcu miasta i spotyka się z jakąś Emily, to zadaje cios w serce również twojemu bratu.

– Pozwól tylko, żebym go spytał – nie ustępuje Charlie. – To jedyne, o co proszę.

– Ja... Charlie, ja naprawdę nie chcę, żeby on był na weselu.

– Nie chodzi o ciebie.

– Charlie...

– Lauren, czy przyszło ci kiedyś do głowy, że na weselu będą robione zdjęcia? Że porozstawiamy je po domu? Że mama będzie trzymała któreś na kominku? I że po latach spojrzysz na nie i zobaczysz wyrwę, jaką pozostawił w rodzinie ten rok? Przez te swoje bzdury, przez to, że nie potrafisz o nich w tej chwili zapomnieć, popsujesz mi wesele!

– To nie jest wyrwa w rodzinie.

– Owszem, jest. Ryan to nie jest wyłącznie ktoś, kogo kochasz. Jest częścią składową tej rodziny.

– Nikt nie ma z tym problemu, tylko ty!

– Znowu błąd. Mama za nim tęskni. Parę miesięcy temu mi powiedziała, że będzie musiała wykasować jego numer w telefonie, bo to dla niej za trudne, nie zadzwonić do niego i nie spytać, co u niego słychać.

– Dobra, ale Rachel to nie przeszkadza.

– Bo Rachel myśli tylko o tobie. Ale założę się, że gdybyś ją otwarcie spytała, toby powiedziała, że owszem, chciałaby się dowiedzieć, co u niego.

Czuję, że puls mi przyspiesza i krew zabarwia policzki na czerwono. Narasta we mnie furia.

– To ja go wprowadziłam do rodziny! I należy do niej na moich warunkach.

– Wiem, że chcesz, żeby to była prawda. Ale nie jest. Ryan nie jest twoją własnością. Wprowadziłaś go do rodziny i powiedziałaś, żebyśmy go pokochali. No i kochamy. I nie możesz mieć na to wpływu.

Próbuję postawić się w podobnym położeniu, ale mi, prawdę mówiąc, nie wychodzi. Nie znam Natalie na tyle dobrze. Kiedyś będzie moją siostrą, ale to wymaga czasu. Wspólnej historii, wspólnych doświadczeń. Jeszcze ich nie mamy. A z rodziną Ryana nie byłam tak blisko, więc mi ich nie brakuje. Nie wiem, jak bym się czuła w tej sytuacji na miejscu Charliego. Nigdy nie byłam w tej sytuacji na miejscu Charliego... I może w tym cały problem. Może tak bardzo jestem w tej sytuacji sobą, że nie jestem w stanie dostrzec nikogo ani nic innego. I może powinnam uznać to za sygnał, że mogę nie mieć racji. To przecież najczęstsza przyczyna tego, że ludzie nie mają racji, kiedy jej nie mają, prawda? Że nie są w stanie zrozumieć nic poza własnym punktem widzenia?

Otwieram usta, żeby powiedzieć coś w stylu: „Masz

rację. Powinnam się nad tym zastanowić”. Ale Charlie mnie uprzedza:

– Jakie to głupie... Kiedy macie się z powrotem zejść, w sierpniu? To co za różnica, parę tygodni wcześniej czy później?

– Ale ja nie wiem, czy w ogóle się z powrotem zejdziemy! Nie wiem „czy”, więc co tu mówić o „kiedy”!

– O czym ty mówisz? Powiedziałaś z początku, że taki jest plan. Spędzacie ten rok osobno, po czym wracacie do siebie.

– Tak, a ty mi odpowiedziałeś, że w takim wypadku ludzie rzadko do siebie wracają. Przeważnie separacja to przystanek na drodze do rozwodu.

Charlie kręci głową.

– Przestań. Dramatyzujesz. Żałuję, że to powiedziałem. Byłem dupkiem. Słuchaj, chcę, żeby Ryan był na weselu. To moje wesele, i naprawdę myślę o nim jako o wuju dziecka, bo jest moim bratem. Czy to nie dosyć? Czy nie jest to wystarczająco ważne?

Patrzę na niego i myślę o tym, co powiedział. Skurczybyk. W życiu nie chodzi wyłącznie o mnie. Nawet w moim małżeństwie, w moim małżeństwie, chodzi nie tylko o mnie.

– Dobra – mówię. – Zaproś go.

– Dziękuję.

– Bez osoby towarzyszącej.

– Bez osoby towarzyszącej. – Charlie podnosi ręce

gestem kapitulacji.

– A słuchaj... Jeśli Ryan jest ci z mężczyzn najbliższy, to kto będzie twoim drużbą? – pytam, nagle zaniepokojona, że mój mały braciszek może nie mieć drużby.

– Ach, zamierzam poprosić Wally’ego, kumpla z Chicago. Ale nie jestem pewien, czy będzie mógł przyjechać. Rozmawialiśmy już z Natalie, żeby może w ogóle nie urządzać weselnego przyjęcia. Kto wie, może i tak zrobimy.

– A nie Ryana? – pytam. Jestem już tak spóźniona do pracy, że głupotą byłoby teraz się śpieszyć.

– Wiem, o co cię proszę, zapraszając Ryana – mówi Charlie. – Nie w porządku by było prosić cię o więcej.

Tak często uważam, że mój brat jest bezmyślnym pajacem, i tak często udowadnia, że bezmyślnym pajacem jestem ja.

– Nie ma sprawy – mówię. – Poproś go.

Charlie powstrzymuje uśmiech. Udaje mu się zachować powagę.

– Nie chcę cię stawiać w jeszcze dziwniejszej sytuacji, niż cię już postawiłem.

– Nie ma sprawy – powtarzam. – Poproś go. Na pewno się zgodzi. Wiem, że się zgodzi.

– Myślisz? – Charlie pozwala sobie ujawnić odrobinę entuzjazmu.

– Tak – mówię. – Zgodzi się.

Obejmujemy się i Charlie patrzy na zegarek.

– Szlag by to, jestem spóźniony. Albo wiesz co? Ołać to. Natalie! – woła. – Możesz sobie wziąć wolne?

– Co? – dobiega z drugiego pokoju.

– Możesz sobie wziąć dzień wolnego?

– Hm... chyba tak? I tak miałam wyjść wcześniej do lekarza, mam umówioną wizytę... – Głos Natalie, w miarę jak się zbliża, jest coraz wyraźniejszy.

– A ty? – zwraca się Charlie do mnie. – Możesz sobie wziąć dzień wolnego? Poszlibyśmy do kina albo coś...

Natalie stoi teraz obok niego i obejmuje go w pasie, a głowę położyła na jego ramieniu. Spójrzcie tylko. Spójrzcie na mojego brata. Z ciężarną kobietą u boku.

– Och... – zaczynam formułować odpowiedź.

– Moment – przerywa mi Charlie. – Skoro umówiliście się z Ryanem, że nie będziecie ze sobą rozmawiać przez cały rok, to skąd wiesz, że powiedziałem mu o dziecku? – W jego głosie nie ma śladu podejrzliwości. Jest zaciekawiony i ożywiony.

Ale ja czuję się jak przyłapana na gorącym uczynku. Jakbym była przestępczynią w krzyżowym ogniu pytań, z bijącym po oczach światłem.

– Muszę iść do pracy, naprawdę. Jestem już godzinę spóźniona, a na trasie będzie morderczy tłok. Miłego, romantycznego dnia! – wołam, zmierzając już do drzwi.

20 kwietnia

Droga Lauren!

Charlie zadzwonił dziś do mnie i powiedział, że

rozmawiał z tobą i że nie masz nic przeciw temu, żebym był jego drużbą.

Co to się dzieje na tym świecie? Pamiętam, jak w czasie studiów przyjeżdżaliśmy na weekendy do domu, a on mnie błagał, żebym z nim zagrał w Grand Theft Auto. Nawet nie lubiłem tej gry, ale przeważnie się godziłem, żeby po prostu się zamknął i żebym miał święty spokój. I przez cały czas chciał rozmawiać o dziewczynach. Całutki czas, bez przerwy. A był taki głupi, jeśli chodzi o dziewczyny! Byłem zdumiony. Chłopak mieszkający pod jednym dachem z trzema kobietami... Można by się spodziewać, że będzie wiedział, jak rozmawiać z dziewczynami, ale on nie miał pojęcia. Więc mu opowiedziałem, jak się z tobą umówiłem. Całą tę historię z udawaniem, że to ty się ze mną umówiłaś. I że to normalne, że człowiek się denerwuje, ale trudno, po prostu trzeba to zrobić, bo dziewczyny też się denerwują i nie wiedzą, że ty się denerwujesz i że jesteś całkiem głupi w tych sprawach.

A teraz się żeni i będzie miał dziecko. Z kobietą, którą, zdaje się, bardzo lubi.

A my ze sobą nie rozmawiamy.

Dziękuję, że się zgodziłaś. Bardzo mi brak twojej rodziny. Ten telefon od Charliego poprawił mi humor na cały dzień. Ech, do diabła, poprawił mi humor za cały ten miniony rok! To był trudny rok i kiedy usłyszałem w telefonie głos Charliego, przypomniałem sobie, czego mi brak.

Nie mogę się doczekać tego wesela. Choćby dlatego, że wiem, że zobaczę ciebie.

Pozdrawiam cię

Ryan

Natalie ma na sobie suknię-gigant. Należy do tych ciężarnych, którym natychmiast chcesz ustąpić miejsca w autobusie. Ma rodzić za sześć tygodni i cała jaśnieje, wprost błyszczący, ale jak jej to powiedzieć, mówi: „To od potu. Uwierz mi. Pocę się jak mysz”.

Nikomiu nie powtórzyłam, że to będzie chłopiec, więc pozostałyśmy przy żółtym jako kolorze wiodącym. Mama uparła się, że będzie gospodynią, i troszkę przesadziła. Są żółte balony i żółte serpentyny. Są opakowane na żółto prezenty. I żółty tort, dzięki uprzejmości Rachel. Wydaje mi się też, że jest jakiś milcząco przyjęty motyw kaczuszek, o którym nie zostałam powiadomiona. Bufet i stolik do kawy pokryte są gumowymi kaczuszkami. Rachel zrobiła nawet gumową kaczuszkę z masy cukrowej i umieściła ją na szczycie tortu.

– To raczej wygląda na kaczuszkę z masy cukrowej – oceniam, kiedy nam ją pokazuje. Mama się śmieje.

– To samo powiedziałam i ja, ale chyba nie wydało się jej to śmieszne.

– Tort jest przepiękny – zachwyca się Natalie. – Strasznie ci dziękuję, Rachel. Wygląda, jakby wyszedł spod ręki profesjonalisty.

Wiem, że Rachel piekła ten sam tort pięć razy i tyleż razy go dekorowała, żeby mieć pewność, że jej wyjdzie. Wiem, że od wczesnego ranka była na nogach, żeby dopieścić kaczuszkę. Ale zachowuje się tak, jakby to była bułka z masłem.

– Och, daj spokój – mówi. – Cała przyjemność po mojej stronie. – Ma na sobie śliczną, krótką czerwoną sukienkę z dekoltem w karo. Z okazji przyjęcia włożyła wysokie obcasy, ale już z dziesięć minut, jak je zrzuciła, zanim jeszcze wszyscy dotarli na miejsce. – Ale swoją drogą, sfotografuję go na użytek mojego portfolio – dodaje. Lada dzień spodziewa się wiadomości na temat pożyczki.

Mama wychodzi z kuchni z półmiskiem w ręce.

– Jakby coś było nie tak, dziewczyny, to mi powiedzcie – zwraca się do nas trzech. – Ale śliczne, co? Tylko spójrzcie! – I z dumą pokazuje nam półmisek kanapek z ogórkiem.

– Mamo, to nie podwieczorek, tylko bociankowe – mówi Rachel.

Mama marszczy brwi, ale Natalie już śpieszy z interwencją.

– Są wspaniałe, Leslie! Strasznie ci dziękuję. A moja przyjaciółka Marie jest wegetarianką i zawsze się matrwi, że nie będzie nic dla niej do jedzenia. Tak że kanapki będą w sam raz.

– Dziękuję ci, Natalie. Co za ulga, że nie czujesz się tu jeszcze tak swobodnie jak moje córki. Dlatego mogę

jeszcze liczyć na komplementy, a nie na teksty w stylu: „Mamo, to nie podwieczorek”. – Rachel w interpretacji matki wypada bynajmniej nie jak Rachel, tylko jak Myszka Minnie.

Natalie się śmieje.

– Ale i tak je lubię, naprawdę!

– Okej, Natalie – mówię. – Dopięłaś swego: najbardziej z nas wszystkich lubi ciebie.

Mama ze śmiechem stawia półmisek na stole i wraca do kuchni po więcej.

– Może pomóc? – pyta Natalie.

– Wyluzuj – Rachel wyciąga rękę, żeby ją przystopować. – To ty tu jesteś w ciąży. I to my powinniśmy zaproponować mamie pomoc, a nie ty. A nie zaproponowałyśmy.

– Właśnie – dodaję. – Więc już nas tak nie zohydziej w jej oczach.

Natalie siada ze śmiechem na kanapie. Krzyżuje nogi i wygładza sukienkę.

– No dobrze, skoro mam was dwie, to faktycznie chciałam was poprosić o przysługę. Wiecie, że Charlie poprosił Ryana, żeby był jego drużbą.

Rachel opada szczęka. Gwałtownie zwraca ku mnie głowę.

– Co?

Wzruszam ramionami.

– Charliemu zależało. To co miałam powiedzieć?

– I jak się z tym czujesz? – pyta Rachel. – Jak to

możliwe, żeśmy o tym nie rozmawiały?

– Wszystko okej – mówię. Nie chcę wchodzić w szczegóły w obecności Natalie.

Natalie patrzy na mnie.

– Chcę ci po prostu podziękować, Lauren. Charlie strasznie się ucieszył i oczywiście nie znam szczegółów twojej sytuacji z Ryanem, ale myślę, że trzeba być nie byle kim, żeby... Po prostu... Dziękuję.

Kiwam głową. To tak złożony temat, tyle uczuć z nim się wiąże, że obawiam się, że jak otworzę usta, nawet aby powiedzieć tylko: „Nie ma sprawy”, wybuchnę płaczem i nawet nie będę wiedziała, dlaczego właściwie.

– Ale tak czy inaczej, Ryan będzie drużbą Charliego, a okazało się, że jego kumpel Wally też będzie mógł przyjechać na ślub, więc Charlie chce, żeby Wally też był – ciągnie Natalie. – Co oznacza, że i ja będę miała miejsce nie dla jednej drużny, ale dla dwóch... i strasznie bym chciała, żebyście to wy były drużnymi.

– Ojejku! – wykrzykujemy obie z Rachel równocześnie, a Rachel kontynuuje: – No jasne! Fajnie, że o tym pomyślałaś.

– Wiem, że termin jest krótki... Nie byłam pewna, jak to wyjdzie u Charliego, ale teraz, kiedy wszystko ustalone, wydaje mi się, że wyszło bardzo fajnie. I strasznie bym chciała mieć przy sobie was obie.

– Jesteś pewna? – pytam. – Bo wiesz, wcale nie będziemy się czuły urażone, jeśli masz jakieś

przyjaciółki, które chciałabyś o to poprosić.

– Nie – mówi Natalie. – To znaczy... oczywiście mam znajome dziewczyny, którym mogłabym to zaproponować. Mam przyjaciółki, które bardzo lubię. Ale... wy to rodzina. Fajnie jest być częścią dużej rodziny. Moja to raptem rodzice i ja. Strasznie się jaram tym, że mam teraz dwie siostry.

Natalie wymawia to słowo „siostry” ostrożnie, jakby na paluszkach, tak jakby nie była pewna, czy nie za wiele sobie pozwala, i dlatego czuję potrzebę, żeby ją zapewnić aż do przesady gorąco, że ja też, absolutnie, chcę ją traktować jak siostrę. Że chcę, żeby należała do rodziny, była jej częścią.

– My też się tym strasznie cieszymy! – wykrzykuję, po czym próbuję troszkę złagodzić mój entuzjazm, żeby nie wypadło tak przesadnie. – Serio, czuję się szczęściarą, że Charlie trafił na taką fajną dziewczynę.

– Naprawdę? W takim razie będziecie chyba moimi honorowymi współdruhnami. No bo nie ma oficjalnej.

– Pasuje nam – mówi Rachel.

Mama wraca z tacą zapiekanych w cieście parówek, które nazywają się „świnki w kocyku”.

– Spróbujcie tych dzidziusiów! – woła ze śmiechem. Patrzymy na tacę i widzimy, że „kocyki” zostały zabarwione barwnikiem spożywczym: jedne są różowe, drugie niebieskie. – Bo nie znamy jeszcze płci dziecka – wyjaśnia.

– Czyli że będziemy jedli dzidziusie w charakterze

zakąski? – zauważa Rachel.

Wybucham śmiechem, nie mogę się powstrzymać. Natalie usiłuje stłumić chichot. Mama spogląda na tacę i marszczy brwi.

– O nie. Myślicie, że ludzie będą mieli wrażenie, że jedzą dzidziusie?

– Ale wy jesteście okropne! – woła Natalie. – Leslie, są wspaniałe. Idealna przekąska na bociankowe!

– Mamo, żartowałam – Rachel próbuje cofnąć, co powiedziała. Mama normalnie nie ma nic przeciw temu, żeby bawić się jej kosztem, dziś jednak traktuje to odrobinę zbyt serio i jest mi przykro. Nie stawia tacy, poważnie się zastanawia, czyby nie zrezygnować z podawania tej przekąski.

– Nie – mówi. – To faktycznie jakieś dziwne. Kurczę... Lepiej było je zostawić niepokolorowane.

– Nie, mamo – włączam się. – Są w sam raz.

– Jesteście pewne? – pyta mama nas wszystkie.

– Jasne – mówi Rachel.

Natalie kiwa głową. Ja podchodzę do mamy i obejmuję ją ramieniem.

– Absolutnie. Zrobiłaś fantastyczną robotę. Wyglądają rewelacyjnie!

Ruszamy do kuchni, pozostawiając Natalie i Rachel same. Kiedy jesteśmy poza ich zasięgiem, pytam:

– Wszystko dobrze?

– Tak – odpowiada. – Tylko... trochę to stresujące.

– Może ci w czymś pomóc? – proponuję, stając przy

kuchennym blacie, ale wygląda, że wszystko jest pod kontrolą.

– Nie, nie trzeba – mówi mama. – Po prostu to mój pierwszy wnuk.

– Wiem.

– Od dawna sobie wyobrażałam, jak urządzam bociankowe dla pierwszego wnuka.

– Jasne – mówię. – Zrozumiałe.

– Tylko że myślałam...

Czekam, żeby dokończyła zdanie, ale nie kończy.

– Myślałaś, że to będzie dla mnie – dopowiadam za nią.

Przez moment zwleka z odpowiedzią.

– Tak – przyznaje. – Ale wszystko jest w porządku. To twoje życie. Jestem dumna z tego, jak sobie radzisz.

– Wiem, mamó. Ale to nie znaczy, że życie nas nie zaskakuje. Czy że sprawy nie układają się tak, że człowiek jest zestresowany czy pogubiony.

– Bardzo się cieszę z tego wszystkiego – mówi mama. – Naprawdę.

– Ale?... – pytam.

– Ale – mama połyka przynętę – ja jej nie znam. Jak robiłam zakupy i układałam menu, wciąż się wahałam: czy Natalie lubi oliwki? Czy Natalie lubi kolendrę? Bo wiesz, są ludzie, którzy nie lubią kolendry.

– To prawda.

– Po prostu jeszcze jej nie znam zbyt dobrze. Nie jest łatwo zorganizować bociankowe dla dziewczyny,

której na razie nie znasz zbyt dobrze.

– Jedyne, co się liczy, to że masz serce gdzie należy – mówię. – Natalie łatwo zadowolić.

– Tak, być może. – Mama wpatruje się w półmisek krabowych ciasteczek. – A może pójdziesz do niej i niby od niechcienia spytasz, czy lubi kolendrę? Dodałam trochę do tych krabowych ciasteczek, a niektórzy ludzie do ust nie biorą kolendry.

– Jasne, mamó – mówię i w tej chwili rozlega się dzwonek. Słysząc, że Rachel idzie otworzyć, po czym rozlega się szczebiot kobiecych głosów. Impreza się zaczęła. Nadchodzą kolejne przyjaciółki i koleżanki z pracy Natalie. Na stole rośnie stos prezentów. Jeszcze moment, a będziemy się bawić w trafianie plemnikiem w jajeczko i zachowywać się tak, jakby kosz na pieluchy Genie był najbardziej fascynującym obiektem na kuli ziemskiej. – Wiesz, któregoś dnia to będę ja – mówię, wychodząc z kuchni. – A wtedy będziesz mogła dodawać tyle kolendry, ile zechcesz.

David leży w poprzek łóżka. Bez koszuli, tylko w spodenkach. Pijemy.

Zaczęło się to wszystko, bo David powiedział, że chce mi zrobić kolację, więc przyniósł torbę wiktuałów i zajął kuchnię. A skoro on się zajął kolacją, pomyślałam, że powinnam otworzyć jedną z tych butelek wina, które zajmują miejsce w kredensie. Wypiliśmy po lampce czerwonego, potem przyszła

kolejna. I kolejna. Po czym, jakoś nie wiadomo kiedy, otworzyliśmy następną butelkę. Wszystkie te smakowitości, wszystkie te śmiechy... więcej wina wydawało się dobrym pomysłem.

I oto leżymy, najedzeni, a mimo to wciąż pijani. Zaczęliśmy się całować, ale David zaczepił zegarkiem o moje włosy i zaczęliśmy się śmiać. I dotąd nie wróciliśmy do formy. Leżymy obok siebie, oboje na wznak, trzymamy się za ręce i patrzymy w sufit.

– Ryan chyba będzie chciał, żebyśmy się zeszli – mówię w powietrze.

David nie porusza się ani na mnie nie patrzy. Nadal patrzy w sufit.

– Tak? – pyta. – Czemu tak myślisz?

– No wiesz, sam powiedział.

Teraz, owszem, zwraca się ku mnie.

– Myślałem, że ze sobą nie rozmawiacie.

David wie, co jest grane. Wie o naszej umowie. Wie o kłótniach i resentymentach. Wie o braku seksu, o złym seksie.

– Czasem do mnie pisze – mówię. Na tym poprzestaję. Nie mam ochoty wyjaśniać szczegółów.

– Aha. – Wciąż trzymamy się za ręce. Zaczyna głaskać moją dłoń. – No, a jak się z tym czujesz?

Śmieję się. Oto jest pytanie! Jak ja się z tym czuję? Hm.

– Nie wiem – wzdygam. – Myślę, że nie jestem

pewna, czy czuję się tak samo jak on. O właśnie! O to dokładnie chodzi. Nie jestem pewna, czy czuję się tak samo jak on. Przeraza mnie, że nie jestem już tego pewna.

– Człowieku – David znowu patrzy w sufit. – Prawie że ci zazdroszczę. Jak ja bym chciał... Boże, jak ja bym chciał przestać myśleć o Ashley. Jak ja bym chciał nie być pewien, czy ją kocham albo czy jej pragnę.

– Nadal boli? – pytam, ale znam odpowiedź. Po prostu próbuję stworzyć przestrzeń, żeby mógł się wygadać.

– Bez przerwy, każdego dnia. Wykańcza mnie, że nie mogę jej powiedzieć, jak mi się układa. A czasem mam ochotę po prostu zadzwonić do niej i powiedzieć: „Chodźmy na kolację. Spróbujmy się z tym uporać”.

– To czemu nie zadzwonisz? – pytam. Przewracam się na brzuch, wspierając się na łokciach. Pozycja słuchacza.

– Czemu? – powtarza. I ciągnie z rosnącym ożywieniem i pasją: – Bo mnie zdradziła! Nie możesz... Jeśli ktoś cię zdradzi... to znaczy... szacunek do siebie samego wymaga, żeby kogoś takiego zostawić. Nie możesz być z kimś, kto cię zdradza.

Normalnie bym się z nim zgodziła. Ale brzmi to tak, jakby to mówił nie dlatego, że tak czuje, tylko dlatego, że mu powiedziano, że tak powinien myśleć.

– Bo ja wiem – mówię. – To się zdarzyło raz, prawda?

– Tak ona mówi, że raz. Ale przecież każdy, kto zdradza, tak mówi, nie? A zresztą... nie wiem, czy to ma znaczenie, czy to było raz, czy milion razy. – Teraz i on przewraca się na brzuch. Ocieramy się o siebie ramionami.

– Ludzie popełniają błędy – mówię. Jeśli wyniosłam z tego wszystkiego jakąś naukę, to taką, że stać nas na więcej, niż myślimy, zarówno w dobrym, jak w złym. Każdy jest w stanie dużo spieprzyć, jeśli stawka jest wysoka. – Ja cisnęłam w męża wazonem.

David odwraca się do mnie.

– Ty?

Kiwam głową. Tak, to byłam ja. Tak, wstydzę się, że to zrobiłam. Ale zarazem to nie byłam ja. Tylko ktoś, kto był wściekły na maksa. Ja byłam wściekła na maksa. I... już nie jestem wściekła.

– Każdy popełnia błędy. A z tego co widzę, z tego jak mówisz o Ashley, z tego że ewidentnie wciąż ci nie przeszło... nie wiem, czy to taka sobie zwyczajna miłość. Może to taka miłość, która potrafi sobie poradzić z czymś takim.

Faktem jest, że kiedy patrzę na Davida, kiedy widzę, jak on tęskni za byłą żoną, jak ewidentnie nie potrafi jej za sobą zostawić i ruszyć naprzód w jakikolwiek istotny sposób... to jestem zazdrosna. Nie zazdroszczę jej. Zazdroszczę jemu. Chciałabym tak kochać jak on. Chciałabym mieć uczucie, że bez kogoś, bez Ryana, jest mi źle. Ale nie mam takiego uczucia. Jest mi całkiem

dobrze.

Sprawy nie układają się w tej chwili idealnie. Ale ja mam się całkiem dobrze.

To nie może być dobre.

Rozmowa toczy się dalej. Zbacza to tu, to tam, ale wciąż wraca do Ashley. Jestem uważna. Słucham. Ale mój umysł jest gdzie indziej.

Coś trzeba zrobić.

30 kwietnia

Droga Allie!

Jestem mężatką od sześciu lat. Poznaliśmy się z mężem jedenaście lat temu. Niemal przez całe dorosłe życie byłam przekonana, że jest moją połówką jabłka. Niemal przez cały czas trwania naszego związku naprawdę go kochałam i czułam, że i on mnie naprawdę kocha. Ale jakiś czas temu, z przyczyn, które zaczynam rozpoznawać dopiero od niedawna, przestało nam się układać.

Mówiąc, że zaczynam rozpoznawać przyczyny tego stanu, mam na myśli to, że zdałam sobie sprawę, że nasze małżeństwo zaczęło szwankować z powodu rozmaitych uraz. Dotyczyły różnych rzeczy. Tego, jak często się kochamy. Jakości współżycia, jeśli do niego doszło. Tego, dokąd idziemy na kolację. Jak okazujemy sobie uczucie. I tak dalej, aż do najdrobniejszych spraw typu kto ma wezwać hydraulika.

Powoli do mnie dotarło, że uraza jest jak złośliwy wrzód. Z początku niewielka, z czasem zaczyna

nabrzmiwać i ropieć. Sama z siebie, nieodżywiana z zewnątrz, rozrasta się w tobie i w końcu staje się tak ekspansywna, że dociera do najdalszych i najgłębszych zakątków twojego „ja” i nie popuszcza, choćby nie wiem co.

Teraz potrafię to dostrzec.

Potrafię to dostrzec dlatego, że około dziewięciu miesięcy temu zdaliśmy sobie z mężem sprawę, że mamy problem, i postanowiliśmy dać sobie nawzajem trochę przestrzeni. Podjęliśmy decyzję, że na rok się rozstaniemy.

Ten rok jeszcze nie upłynął, a już mam poczucie, że zyskałam perspektywę, jakiej nie miałam rok temu o tej porze. Lepiej rozumiem siebie samą. Zdaję sobie sprawę, na czym polegał mój wkład w małżeńską porażkę. I zdaję sobie sprawę, do czego mogłam w moim małżeństwie nie dopuścić, a dopuściłam. Kiedy upłynie czas próby, będę inną kobietą.

Problem polega na tym, że podczas tej rozłąki przekonałam się, że pomimo braku męża jestem w stanie żyć pełnią życia i czuć się spełniona. Potrafię być bez niego szczęśliwa. I to mnie przeraża. Bo może nie należy spędzać życia z kimś, kto nie jest ci niezbędny? Czy nie jest tak, że małżeństwo to ma być połączenie dwóch połówek w jedną całość? Czy nie jest tak, że żadna z połówek nie może być całością sama w sobie? Że kiedy są rozdzielone, to każda musi czuć, że czegoś jej brakuje, że jest niepełna?

Kiedy godziłam się na tę rozłąkę, to gdzieś tam się spodziewałam, że okaże się, że jest niemożliwa. Myślałam, że się przekonam, że życie bez mojego męża jest nie do zniesienia, do tego stopnia nie do zniesienia, że będę go błagać, aby wrócił, a jak wróci, to będę wiedziała, że już nigdy nie wolno mi zapomnieć, ile dla mnie znaczy. Myślałam, że to będzie szok, który pozwoli mi zdać sobie sprawę, jak bardzo go potrzebuję.

Kiedy jednak zdarzyło się to najgorsze, kiedy go straciłam i zaczął się spotykać z innymi kobietami, okazało się, że nazajutrz słońce wzeszło i tak. Życie trwało nadal. Czy byłoby to możliwe, gdyby to była prawdziwa miłość?

Podczas tej rozłąki rozmawiałam o moim małżeństwie z każdym, kto tylko chciał. Rozmawiałam z siostrą, z bratem, z matką, z babcią, z przyjaciółką, z mężczyzną, z którym się niezobowiązująco spotykam. I każde z nich miało inne wyobrażenie o tym, na czym polega małżeństwo. Każde z nich miało dla mnie inne rady na temat tego, co robić.

Mimo to wciąż nie wiem, co robić.

Co o tym myślisz, Allie?

Czy wrócić do mężczyzny, którego kiedyś kochałam?

Czy zacząć od nowa – skoro już wiem, że potrafię?

Z szacunkiem

Zagubiona z Los Angeles

Nie czytam tekstu ponownie, nie sprawdzam. Wiem, że stracę odwagę. Po prostu klikam „wyślij”. I odpływa

– w nicość Internetu.

Po przyjsciu do pracy ruszam prosto do biurka Mili.

– Napisałam do niej. Do tej dziennikarki od porad.

Mila z uśmiechem podnosi na mnie wzrok.

– Wiesz, chyba muszę cofnąć wszystko, co wtedy powiedziałam. Że jak to zrobisz, to jesteś świrem.

– Nie uważasz, że to znaczy, że oszalałam?

Mila się śmieje.

– Chyba łatwiej mi zdefiniować „szaleństwo” na bazie tego, co robią ludzie racjonalni, niż własnych tendencyjnych wyobrażeń. Zrobiłaś to. Jesteś osobą racjonalną. No więc to nie jest szaleństwo.

Przechylam głowę na bok.

– Dziękuję – mówię. Naprawdę myślałam, że powie, że to szaleństwo. Cieszę się, że się pomyliłam.

– No to pokaż mi tę kobietę, tę Allie – proponuje Mila. – Chcę ją poczytać. Zobaczyć, w co wdepnęłaś.

Przejmuję jej komputer i wpisuję adres. Pojawia się strona „Zapytaj Allie”. Na samej górze widać list, który czytałam wczoraj wieczorem. Mężczyzny, który zdradza żonę od lat, ale w końcu zapragnął jej to wyznać. Allie nie była dla niego zbyt miła.

– Nie czytaj tego – mówię. – To znaczy, możesz przeczytać, ale najpierw o, tę.

Przewijam stronę i przechodzę do listu kobiety, która przed laty oddała córkę do adopcji, a teraz chciałyby ją odszukać, ale nie wie, czy powinna. Podoba

mi się fragment, w którym Allie mówi: „Bądź dostępna, łatwa do odnalezienia, gdyby próbowano cię odnaleźć. Bądź otwarta, bądź wspaniałomyślna, bądź pokorna. Jesteś w tej wyjątkowej sytuacji, w której nie możesz wymagać miłości i akceptacji, musisz ją za to dać, o ile twoja córka będzie jej od ciebie oczekiwała. Może się to wydawać trudne, nawet niemożliwe – kochać, nie oczekując w zamian miłości, ale kiedy poczujesz, że potrafisz to zrobić, wówczas odkryjesz, że naprawdę jesteś matką”.

– Daj mi znać, co o tym myślisz – mówię i wracam do swojego pokoju.

Po dwudziestu minutach przy moim biurku staje Mila.

– Nie do wiary, że przez całe dotychczasowe życie nie natrafiłam na te listy. Czytałaś ten o synu, który jest gejem? No po prostu wyszłam z siebie! – Przysiada i podejmuje innym głosem: – No a jeśli przeczyta twój list? Jeśli ci odpowie?

– Nie odpowie – mówię. – Pewnie nawet nie przeczyta.

– No, nie wiadomo. Może się zdarzyć, że przeczyta.

– Bardzo wątpię.

– Napisałaś jej o Ryanie?

– No.

– A wspomniałaś o tym roku rozłąki? To może być dobry haczyk.

– Mówisz jak moja babcia! – śmieję się. – Spytałam,

czy jej zdaniem ma to sens, żeby wznowić małżeństwo, czy...

– Czy co?

– Czy może raczej powinnam zacząć od nowa, w pojedynkę.

– No, no – mówi Mila. – Znaczy w ogóle jest taki wariant? Myślisz o tym?

– Nie wiem, co myślę! Właśnie dlatego do niej napisałam.

– A jak się podpisałaś?

– Ojej, daj spokój, to najbardziej żenujące ze wszystkiego.

– No dawaj, dawaj, Cooper. Jak się podpisałaś?

Wzdycham. Co robić.

– Zagubiona z Los Angeles.

– Nieźle! – Mila z aprobatą kiwa głową. – Naprawdę nieźle.

– To teraz spadaj – mówię z uśmiechem. – Pójdziemy jutro na lunch? Potrzebny mi jest ktoś, żeby rzucił okiem na suknię.

– Jaką suknię? – pyta Mila, już z ręką na framudze drzwi.

– Druhny.

Mila unosi brwi.

– A jaki będzie motyw kolorystyczny ślubu?

– Yyy... – Próbuję sobie przypomnieć, co mi mówiła Natalie. – Chyba koral i bładożółty.

– Coś jak śliwodaktyl i mak?

– Nawet nie rozumiem, co mówisz.

– Jak grejpfrut i cytryna?

– No, mniej więcej – mówię. Co się w ogóle stało z kolorami podstawowymi?

Mila kiwa aprobująco głową.

– Twoja bratowa ma gust.

Nie wiem dlaczego, ale komplement sprawia przyjemność mnie osobiście. Tak, Natalie rzeczywiście ma gust. I zostanie moją bratową. Będę miała drugą siostrę. Może któregoś dnia staniemy się sobie tak bliskie, że zapomnę, że kiedyś była nowa i mało znana. Może któregoś dnia pokocham ją tak, że zapomnę, że jest żoną Charliego i matką mojego bratanka. Będzie po prostu moją siostrą.

Mieliśmy dziś rano iść z Rachel i Thumperem na wycieczkę, ale po raz pierwszy nie udaje nam się znaleźć miejsca do parkowania. Krążymy chyba z pół godziny, w końcu tracimy cierpliwość.

– Jakieś jedzonko zamiast? – pyta Rachel.

– Spoko – mówię. Jedzonko jest wprawdzie dokładną odwrotnością pieszej wycieczki, mimo to ten ruch wydaje się w pełni naturalny. – Gdzie?

Rachel otwiera jakąś listę w telefonie.

– Chciałabyś przetestować jakąś cukiernię?

W wolnym czasie Rachel odwiedza każdą cukiernię w Los Angeles i ocenia, co jej się podoba, a co nie. Powoli, ale konsekwentnie pomysł z cukiernią staje się

w jej umyśle coraz bardziej realny. Prędzej czy później stanie się ciałem. Prędzej czy później – zależnie od tego, kiedy dostanie pożyczkę.

– No pewnie – mówię. – Mam jechać w prawo czy w lewo?

– W lewo. Chcę sprawdzić jedno miejsce w Hollywood, o którym słyszałam. Jakoś tak mniej więcej rok temu czytałam o nim na jednym blogu, ale dotąd się nie wybrałam. Podobno dają tam gofry z górnej półki.

– Z górnej półki? Znaczy luksusowe?

Rachel się śmieje i pokazuje, żebym teraz skręciła w prawo.

– Znaczy gofry z serem, z masłem orzechowym i bananami, z bekonem. No wiesz... trendowe.

– To chyba kiepski pomysł na knajpę. A jak zamarzą mi się jajka do moich gofrów?

– Słuchaj, po prostu słyszałam, że to fajne miejsce, i chciałabym je zobaczyć. Wcale nie musimy tam jeść. Możemy zjeść potem gdzieś w okolicy. Teraz jedziesz prosto aż do Melrose, potem w lewo, a potem znowu w prawo.

– Aye, aye, kapitanie.

– Nie mów tak – obrusza się Rachel. Odwraca się do Thumpera, który czeka cierpliwie na tylnym siedzeniu. – Dlaczego ona tak mówi, Thumper? – Nie dostaje odpowiedzi.

Kiedy docieramy do bulwaru Larchmont, parkuję auto wzdłuż chodnika i ruszamy całą trójką, wypatrując

stosownej witryny. Jakoś nie ma.

– Jaki to miał być numer? – pytam.

– Nie pamiętam – mówi Rachel i próbuje go znaleźć w telefonie. Wpatruje się w ekranik, marszczy brwi, po czym patrzy przed siebie. Stoimy przed szklaną witryną, w poprzek której biegnie wielki czerwony napis: „Do wynajęcia”.

– To tutaj – mówi rozczarowana.

– Zamknięte?

– Wygląda na to, że tak. – Rachel wpatruje się przez chwilę w szklaną szybę. – Skoro Czas na Gofry nie utrzymał się na rynku, to jak ja się utrzymam?

– No wiesz, ty nie nazwiesz swojej knajpki „Czas na Gofry”. To po pierwsze.

Rachel opadają ramiona. Podnosi na mnie wzrok.

– Poważnie, Lauren. Spójrz tylko, jakie to sprzyjające miejsce. Spójrz, ile tu pieszych. Każdy się zatrzymuje i idzie pieszo Larchmont. Łatwo zaparkować. Parking kosztuje tu siedemdziesiąt pięć centów! Gdzie poza tym masz parking za siedemdziesiąt pięć centów?

– Siedemdziesiąt pięć centów za pół godziny – zaznaczam. – Ale rozumiem, co chcesz powiedzieć.

Rachel opiera czoło o szybę i zagląda do środka. Osłania oczy rękami, żeby lepiej widzieć. Wzdycha.

– Tylko spójrz!

Robię to co ona. Z jednej strony widać odsłonięty ceglany mur. Długi kontuar ma kształt litery L: na końcu

krótszego odcinka znajduje się stanowisko kasowe, wzdłuż tego dłuższego wbudowano rząd stołków. Przy tylnej ścianie, za kontuarem, stoi biała oszklona witryna. Pięknie to wygląda. Jeszcze tylko parę stolików i krzeseł i faktycznie, łatwo sobie wyobrazić, że było to świetne miejsce, żeby wpaść na wykwintnego gofra.

– Przecież i ja mogę tutaj – mówi Rachel. – Prawda? Mogę spróbować wynająć ten lokal.

– Absolutnie – mówię. – Wygląda na twój przedział cen?

– Myślisz, że ja wiem, jaki jest mój przedział cen? Ale nie, właściwie to nie.

Dawno nie widziałam, żeby tak ją coś zaabsorbowało. Wyjmuję telefon i wybieram widniejący na szybie numer.

– Możesz zadzwonić – mówię z nadzieją w głosie. – To nie boli.

– Masz rację. Zadzwonić nie zaszkodzi.

Są na tym świecie dwa typy ludzi. Są tacy, którzy w obliczu podobnego ryzyka biorą numer, ale nie dzwonią, z góry zakładając, że odpowiedź będzie odmowna. I jest inny typ: tacy, którzy biorą numer i dzwonią, licząc na cud. Czasem kończą jak ci pierwsi. A czasem im się udaje.

Rachel zadzwoni. Bo takim typem jest Rachel. I dlatego wiem, że jej cukiernia wystartuje. Jeszcze trochę, a Rachel zaleje rynek cukrowymi kaczuszkami, które staną się hitem wszystkich przyjęć z okazji

spodziewanych narodzin dziecka.

W piątek po południu dzwoni do mnie Dawid i pyta, czy mam wieczorem czas.

– Mam niespodziankę. Dopiero co się dowiedziałem i chciałbym, żebyśmy poszli razem.

– O! – mówię, zaintrygowana.

– Lakersi grają z Clippersami. W półfinałach.

– O, to ciekawe. – Jasny gwint. On chce iść na mecz?

– Nie wiedziałam, że interesujesz się koszykówką.

– Właściwie to nie. Ale Lakersi z Clippersami? Dwa zespoły z Los Angeles w drodze do finału? Absolutnie epokowe wydarzenie. A do tego jakie miejsca!

– Dobra – mówię. – Super. Lakersi, *go, go, go!*

– Albo Clippersi – podsuwa David. – Będziemy musieli zdecydować.

Śmieję się.

– Mam nadzieję, że będziemy kibicować tej samej drużynie.

– No, tak byłoby łatwiej. To co, podjadę po ciebie koło szóstej, okej?

– W porządku.

Kiedy pojawia się w moich drzwiach za dziesięć szósta, słońce dopiero zaczyna się zastanawiać nad pomysłem zajścia. Gorąco, które za miesiąc czy dwa zacznie być opresyjne niczym kaftan bezpieczeństwa, teraz jest łagodne i kojące jak polarowa bluza.

Wsiadamy do auta i David rusza z kopyta. Prowadzi

pewnie i umiejętnie. Kiedy skręca w Pico, kusi mnie, żeby zasugerować Olympic. Ale gryzę się w język. To by było nieuprzejme.

Niemniej bulwarem Pico jedziemy znacznie dłużej, niż jechalibyśmy Olympic. Ruch jest agresywny, auta niemal stykają się zderzakami. Ludzie zajeżdżają sobie nawzajem drogę, wślizgują się na niewłaściwe pasy i ogólnie zachowują się jak sukinsyny. Kiedy docieramy do centrum i zaczynamy krążyć wokół hali Staples Center, przypominam sobie, dlaczego tu nie bywam. Nienawidzę tłumów. Nienawidzę zapchanych parkingów. I tak naprawdę nie obchodzi mnie sport.

David wjeżdża na prywatny parking, gdzie biorą za parkowanie dwadzieścia pięć dolarów.

– Mówisz serio? – pytam. – Dwadzieścia pięć dolarów?

– No wiesz, nie mam zamiaru próbować się dostać na któryś z tych. To idiotyzm. – Wskazuje w dół ulicy, gdzie paru mężczyzn z jaskrawymi, błyskającymi pałkami sygnalizacyjnymi i chorągiewkami oferuje miejsca parkingowe po piętnaście. Kolejka samochodów, czekających na wjazd, jest długa na parę przecznic.

Kiwam głową.

Wysiadamy. Samo przejście przez ulicę i dotarcie do hali zajmuje nam dziesięć minut. Wokół nas mrowi się morze ludzi, jedni w koszulkach żółto-fioletowych, inni w czerwono-niebieskich.

David bierze mnie za rękę, i dobrze, bo nie mam pojęcia, gdzie jestem. Przeciskamy się w stronę stadionu i wchodzimy jakimś wejściem, które wygląda na główne. Podajemy bilety.

Bileter, smętny facet po czterdziestce, marszczy brwi i mówi, że to niewłaściwe wejście. Musimy iść w lewo, mówi, dookoła gmachu.

Teraz i David traci cierpliwość.

– Nie możemy wejść tędy?

– W lewo i naokoło.

No więc idziemy.

W końcu odnajdujemy to właściwe.

Wchodzimy. Dostajemy informację, że mamy miejsca w sektorze 119, co, jak się okazuje, jest dość daleko od wejścia, którym weszliśmy. Kiedy je wreszcie odnajdujemy, są zajęte przez dwóch młodych chłopaków w koszulkach Clippersów. Musimy ich poprosić o opuszczenie miejsc, co sprawia, że czuję się jak najgorszy człowiek na tym stadionie, bo tym chłopcom naprawdę zależy na meczu, a mnie ani trochę.

No, ale siadamy.

Patrzemy, jak piłka wędruje to tu, to tam.

David zwraca się w moją stronę, nareszcie odprężony.

– Okej. To co, kibicujemy Clippersom?

– Czemu nie. A dlaczego Clippersom?

Wzrusza ramionami.

– Wyglądają na słabszych.

Jest to równie dobry powód jak każdy. Kiedy wbijają kosza, zrywamy się z Davidem z miejsc. Kiedy zostaje ogłoszony faul na ich niekorzyść, gwizdźmy i bucymy. Dopingujemy gościa, który pod koniec pierwszej połowy meczu usiłuje wbić kosza. Udajemy, że robią na nas wrażenie dziewczyny Lakersów. Tupiemy gwałtownie, gdy każe nam się robić hałas. Ale mojego serca w tym nie ma. Nie zależy mi.

Clippersi przegrywają 107 do 102.

Wraz z falą innych opuszczamy trybuny. Z tyłu pchają nas na tych przed nami. Potykam się na schodach. Wyrrywamy się z tłumu. Opuszczamy stadion.

Słońce zaszło już jakiś czas temu. Powinnam była wziąć sweter.

– Pamiętasz, z której strony przyszliśmy? – pyta David. – Z tej, prawda? Po tym, jak obeszliliśmy halę?

– Ojej, myślałam, że uważasz.

– Nie – mówi napiętym głosem. – Myślałem, że ty.

Uświadamiam sobie, że w rezultacie całego tego parkowania w przypadkowym sektorze i obchodzenia hali, żeby móc wejść na stadion, żadne z nas nie ma pojęcia, gdzie zaparkowaliśmy.

I wtedy właśnie pojawia się myśl: „Jezu Chryste. A więc cały ten stracony czas, cała ta praca, którą wykonałam, wszystko to było tylko po to, żeby znowu tu wrócić?”

Bo nawet jeśli nie wygląda to dokładnie tak, jak poszukiwanie samochodu zaparkowanego w sektorze C

na Stadionie Dodgersów, odczuwa się to identycznie.

Patrzę na Davida i myślę, że jeśli wszystkie drogi i tak koniec końców prowadzą w to miejsce, to wolę, żeby to było z Ryanem.

14 maja

Droga Lauren!

Zerwałem z Emily. Tak naprawdę nie było to nic poważnego, ale pomyślałem, że lepiej być uczciwym. Tak dużo myślałem o tobie i o mnie, że wydawało się niewłaściwe mieć w łóżku inną kobietę. I wydawało się niewłaściwe robić to jej. No więc zerwałem.

Myślałem o naszej przyszłości. Myślałem o tym, co ma dla nas w zanadrzu życie. Myślałem o tym, w jaki sposób mogę być lepszym mężem. Zrobiłem całą listę! Porządną, jak myślę. Złożoną z rzeczy wykonalnych i konkretnych. Nie sprawy typu: „bądź miłszy”, ale konkrety.

Myślałem, że jedna z tych rzeczy to mogłoby na przykład być to, że raz na tydzień chodzilibyśmy na kolację do którejś z tych dziwnych egzotycznych knajp, które tak lubisz. Wietnamskiej, greckiej, perskiej, etiopskiej i co tam zechcesz. Na przykład w każdą środę. A ja nie będę narzekał. Bo w pozostałe dni tygodnia poszlibyśmy na kompromis. Ale raz na tydzień jadalibyśmy jakieś dziwne żarcie, które uwielbiasz. Bo chcę, żebyś była szczęśliwa, i zasługujesz na to, żebyś mogła zjeść od czasu do czasu tahdig, zupę pho, kanapkę bahn mi czy inne dziwactwo. Poza tym tylko raz na

miesiąc pójdziemy do tej chińskiej knajpki w Beverly. Wiem, że jej nie cierpisz. Nie ma sensu, żebyśmy chodzili tam non stop tylko dlatego, że lubię kurczaka w pomarańczach.

Widzisz, kochanie? Kompromis!!! Damy radę!

Pozdrawiam cię

Ryan

Rachel dzwoni, kiedy jestem w pracy, zawalona robotą. Mimo to odbieram.

– To wykracza poza mój przedział cenowy – mówi.
– Poszłam popatrzeć jeszcze raz i miejsce jest idealne. Absolutnie idealne! Ale za drogie. To znaczy, że cena jest nierealistyczna jak dla mnie, ale nie aż tak, żeby była absurdałna. Po prostu dostatecznie wysoka, żebym cierpiała męki.

– Oj, to współczuję.

– Dzięki. Właściwie to nie wiem, dlaczego do ciebie dzwonię... podekscytowałam się tym pomysłem? I przyszło mi do głowy, że cała ta sprawa zaczyna się stawać realna? – Mówi tak, jakby to była garść pytań, ale jasne jest, że wie, że to fakty. – Tak – dodaje. – Myślę, że kiedy zobaczyłam ten lokal, po prostu zobaczyłam go we własnej głowie, wiesz? Napis „Ciacho” nad wejściem. Siebie w fartuchu.

– Chcesz nazwać knajpkę „Ciacho”?

– Może – mówi obronnym tonem. – A co?

– Nic, podoba mi się.

– Ach tak. No to dobrze. Tak czy siak, mam uczucie, że sprawa zaczyna być realna.

– Coś ci znajdziemy – mówię. – W ten weekend możemy znowu się wybrać na miasto i rzucić okiem na lokale.

– Fajnie. A jakby tak w piątek wieczorem? Bo wiesz, w pewnym sensie wolałabym pójść, kiedy już pozamykane i zajrzeć do środka przez szybę. Bo tak w żywe oczy czuję się trochę jak szpieg.

Śmieję się.

– Nie mogę w piątek. Mam już plany.

– Z tym facetem, Davidem? Właściwie prawie go nie znam. Nigdy o nim nie mówisz.

– Taak... No nie wiem, chyba po prostu nie ma za wiele o czym mówić.

Prawda jest taka, że zaprosiłam go na kolację, bo chciałam mu powiedzieć, że chyba powinniśmy przestać ze sobą sypiać. Nie żeby mnie w ogóle nie obchodził czy żebym go nie lubiła. A tamten wieczór w Staples Center był, owszem, irytujący, ale również nie o to chodzi.

Chodzi o to, że potrzebuję ustalić, co właściwie czuję wobec Ryana. Muszę zdecydować, czego chcę. A nie mogę tego zrobić, dopóki moją uwagę odciąga David. Z Davidem zmierzamy donikąd. A choć nigdy mi to nie przeszkadzało w naszej relacji, pora zacząć podejmować jakieś życiowe decyzje. Pora skończyć z zabawą.

– Ale mogę być wolna w sobotę wieczorem – proponuję. – W sobotę nie ma sprawy.

– A właściwie to dajmy temu spokój – zmienia decyzję Rachel. – Zapomnij o tym. Dzwonię do banku. Moja cukiernia powinna być tam. Zobaczę, czy mogę dostać większą pożyczkę. Chcę wynająć lokal po Czasie na Gofry.

– Jesteś pewna? – pytam.

– Nie.

– A mimo to zadzwonisz?

– Tak – mówi z zaskakującą pewnością. I kończy rozmowę.

Zaproponowałam Davidowi, żebyśmy się spotkali w którymś barze w Hollywood. Siedzimy i miło nam się gada, ale chyba pora wyłożyć kawę na ławę.

– Myślę, że powinniśmy przestać się spotykać – mówię.

Sprawia wrażenie zaskoczonego, choć wygląda, że przyjmuje to ze spokojem.

– To dlatego, że zachowywałem się jak dureń wtedy w Staples Center? Wiesz, po prostu się denerwowałem, że nie możemy znaleźć samochodu – mówi z uśmiechem.

Śmieję się.

– Po prostu... niedługo mamy z Ryanem „wrócić do siebie”. – Robię palcami w powietrzu znak cudzysłowu.

– Rozumiem. – Unosi ręce w geście poddania się. –

Nigdy więcej nie spojrzę na ciebie uwodzicielsko.

Śmieję się.

– Ale z ciebie dżentelmen.

Podchodzi barman i pyta, co będziemy pić. Pamiętam go sprzed lat. Byliśmy tu z Ryanem na urodzinach jakiegoś znajomego. Tłoczyliśmy się całą grupą wokół baru, a Ryan wypił o parę kieliszków za dużo. Około północy złapałam za kluczyki i powiedziałam, że pora wracać do domu. Pożegnaliśmy się i już szliśmy do wyjścia, gdy wtem przy końcu baru Ryan gwałtownie się zatrzymał. Zdecydowanie, wręcz wojowniczo przywołał barmana i wskazując na mnie, spytał: „Przepraszam, przepraszam... czy widział pan kiedyś taką piękną kobietę?” Pamiętam, jak mi się wydawało, że jestem najszczęśliwszą kobietą na całym świecie. Pamiętam, że pomyślałam: po tylu latach razem on wciąż uważa mnie za najpiękniejszą kobietę na świecie. A teraz ten sam barman serwuje tu nadal drinki, a ja zrywam z innym mężczyzną.

– No... a co z tobą? – zwracam się do Davida, gdy złożyliśmy zamówienie. – Co zamierzasz zrobić?

– Ja? – Wzrusza ramionami. Barman stawia przed nim piwo, przede mną – lampkę wina. – Jestem równie daleko od jakichś wniosków, jak byłem.

– Nie wiem, czy to coś da, czy nie – mówię – ale myślę, że powinieneś do niej zadzwonić.

– Tak myślisz?

– Tak myślę. Z tego, co mówiłeś, wynika, że też była

załamana. Mówiłeś, że błagała cię na kolanach, żebyś jej przebaczył, tak?

– Tak – przyznaje David. – To prawda.

– A ty wciąż cierpisz. Choć minęło tyle czasu. Myślę, że to coś znaczy.

David się śmieje.

– Nie sądzisz, że znaczy to po prostu, że jestem nieprzystosowany?

Ja też się śmieję.

– Może. Ale nawet jeśli jesteś nieprzystosowany, to możesz być szczęśliwy.

Zastanawia się nad tym.

– Pamiętasz, że przyprawiła mi rogi, prawda? To znaczy, jestem rogaczem.

Śmieję się, po czym wzruszam ramionami.

– No to jesteś. To znaczy, taka jest rzeczywistość. To, że ją zostawisz, tego nie zmieni. Może to nie jest to, czego pragnąłeś. Ale to jest to, co masz. I możesz być rogaczem w pojedynkę albo z kobietą, którą kochasz. – Uśmiecham się do niego. – Sam mi powiedziałaś, że fajnie jest, kiedy człowiek potrafi odpuścić sobie wyobrażenie o tym, jakie powinno być życie, i cieszyć się takim, jakie jest.

David patrzy na mnie. Naprawdę na mnie patrzy. Milczy.

I wreszcie słyszę:

– Okej. Może zadzwonię.

Barman, przechodząc, kładzie na stoliku rachunek.

– Kiedy państwo będą gotowi – mówi.

Nasze szklanki są jeszcze w połowie pełne, ale chyba jesteśmy gotowi.

– To co, czy z całej tej świeżo nabytej mądrości powinienem wyciągnąć wniosek, że wiesz, co zamierzasz w związku z Ryanem?

Z uśmiechem pociągam ostatni łyk wina.

– Nie – mówię. – Wciąż nie mam najmniejszego pojęcia.

Kiedy wracam do domu, czekam, aż podejdzie do mnie Thumper, i siadam z nim na podłodze. Nie wiem, jak długo siedzę. W jakiejś chwili wstaję i otwieram pocztę. Próbuję pisać do Ryana. Ale nic mi z tego nie wychodzi. Nie wiem, co czuję. Nie wiem, czy mam coś do powiedzenia. Siedzę, wpatrując się w pusty ekran, dopóki z katatonicznego otępienia nie wyrывa mnie sygnał telefonu. Rachel. Biorę telefon i przełączam na pocztę głosową. Nie jestem w nastroju do rozmowy w tej chwili.

Po paru sekundach dzwoni ponownie. To do niej niepodobne. Odbieram.

– Cześć – mówię.

– Rozmawiałaś z mamą? – Jej ton jest zasadniczy i jakby zaaferowany.

– Nie, a co? – Momentalnie się prostuję, a puls mi przyspiesza.

– Babcia jest w szpitalu. Mama właśnie dostała

telefon od wujka Fletchera.

– Coś nie tak?

– Obawiam się, że tak. – Głos Rachel lekko się załamuje.

– A co się stało?

Rachel milczy. Kiedy w końcu się odzywa, głos ma cichy i jakby zażenowany.

– Komplikacje z powodu ostrej białaczki limfoblastycznej.

– Białaczki?

Rachel milczy, jakby nie miała ochoty przyznać, że usłyszałam prawidłowo.

– Tak.

– Czyli rak? Babcia ma raka?

– No.

– Nie żartuj – mówię. Energicznie, niemal ze złością.

Nie jestem zła na Rachel. Nie jestem zła na babcię, mamę czy wujka Fletchera. Nie jestem nawet zła na tę całą ostrą białaczkę, cokolwiek się pod tym kryje. Jestem zła na siebie samą. Jestem zła na to, że tyle razy się z niej śmiałam. Że tyle razy przewracałam oczami.

– Nie żartuję – odpowiada Rachel. – Mama zarezerwowała dla nas lot na jutro rano. Możesz?

– Jasne. Zrobię tak, żebym mogła. A Charlie?

– Nie wiemy na pewno. Natalie nie może lecieć. Więc może pojedą autem.

– Okej – mówię. Nie wiem, co by jeszcze dodać. Jest tyle pytań, że nie mam pojęcia, które zadać najpierw.

Więc zadaję to, które mnie najbardziej przeraża. – Ile czasu jej zostało?

– Wujek Fletcher powiedział, że tylko parę dni.

– Parę dni? – Myślałam, że to kwestia miesięcy. Miałam nadzieję, że lat...

– Tak – mówi Rachel. – Nie wiem, co robić.

– O której mamy samolot? – pytam.

– O siódmej rano.

– Czy mama się z nami spotka na lotnisku?

– Mama już tam jest. Próbuje załatwić sobie jakiś lot jeszcze dziś.

– Okej – mówię. – Muszę znaleźć kogoś do opieki nad Thumperem. Pozwól, że załatwię parę telefonów. Jak tylko wszystko będzie zorganizowane, przychodzę do ciebie.

– Okej. To teraz sprawdzę, jak z Charliem. Niedługo zadzwonię.

– Okej. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Przemyka mi myśl, żeby zadzwonić do Ryana. To on powinien się zająć Thumperem. Ale mam w tej chwili tyle na głowie, że dokładanie do tego jeszcze i tej komplikacji wydaje się niecelowe. Nie zdołałabym poświęcić Ryanowi tyle uwagi, ile mu się należy. Nie przyniosłoby to nikomu nic dobrego. Dzwonię więc do Mili.

– Wybacz, że tak późno – mówię, kiedy odbiera.

– Coś się stało? – pyta stłumionym, zmęczonym

głosem.

Mówię jej o babci. Mówię jej o Thumperze.

– Jasne, nie ma sprawy. Zajmiemy się nim. Chcesz go teraz przywieźć?

– Tak – mówię. – To do zobaczenia niedługo.

Pakuję do torby karmę i smycz Thumpera. Wkładam pantofle do spodni od piżamy. Wsiadamy do samochodu. Zanim zdążę się zorientować, jesteśmy pod domem Mili. Nawet nie pamiętam, jak dojechaliśmy.

Mila zaprasza nas do środka. Obie z Christiną są w dresach. Mówimy szeptem, bo dzieci śpią. Rzadko widuję Christinę, ale po raz kolejny odnotowuję, że ma w sobie mnóstwo życzliwości i ciepła. Promienne oczy, pyzate policzki. Obejmuje mnie.

– Co by się nie działo, jesteśmy z tobą. Nie tylko Mila, ja też.

Mila patrzy na nią z uśmiechem.

– Będę z powrotem za parę dni – mówię. – Pies jest dobrze wychowany. Jakby były jakieś problemy, dzwońcie.

– Nie martw się o nas – odpowiada Mila. – Martw się o siebie. W pracy wszystkim się zajmę. Powiem, że potrzebujesz parę dni wolnego.

Kiwam głową i nachylam się, żeby potrzeć nosem o nos Thumpera.

– Niedługo wracam, malutki.

Kiedy wychodzę, świadomość, że zostawiłam mojego psa, boli jak uszczypnięcie. Wsiadam do auta i

zaczynam płakać. Łzy płyną mi po twarzy, przesłaniają wzrok. Prawie nic nie widzę. Zjeżdżam na pobocze i pozwalam sobie się wypłakać.

Płacę z powodu babci. Płacę z powodu mamy. Płacę z powodu Thumpera. Z powodu Rachel, Charliego i siebie samej. A poprzez to wszystko, gdzieś w tle, płacę z powodu Ryana.

Wiem, że to przetrwam, nawet jeśli będzie ciężko. Będę miała uczucie, że to niemożliwe, a mimo to przetrwam. Wiem o tym. Ale głos rozbrzmiewający w uszach i ucisk w sercu mówią mi, że byłoby to łatwiejsze, gdyby był tu Ryan. Po prostu byłoby mi odrobinę lżej, gdybym go miała przy sobie. Może to nieważne, czy potrzebujesz kogoś na co dzień. Może najistotniejsze jest to, że jeśli jest nam ktoś potrzebny, to jest to właśnie ta osoba. Może to, że kogoś potrzebujemy, nie musi oznaczać, że nie potrafimy sobie bez niego poradzić. Może wystarczy, że jest nam lżej, kiedy mamy tego kogoś przy sobie.

Wyjmuję telefon i otwieram pocztę, a następnie folder „Kopie robocze”.

30 maja

Drogi Ryane!

Babcia jest w szpitalu z diagnozą białaczki. Nie zostało jej wiele czasu. Wciąż myślę o tych wszystkich sytuacjach, kiedy nabijaliśmy się z niej za plecami, bo mówiła, że ma raka. Traktowaliśmy to jak rodzinny

megadowcip.

I wciąż myślę o tym, jak dobrze by było, gdybyś był przy mnie. Jak miło by było słyszeć twój głos. Powiedziałbyś mi, że wszystko będzie dobrze. Objąłbyś mnie. Otarłbyś mi łzy. Powiedziałbyś, że mnie rozumiesz. Jak wtedy, kiedy straciliśmy dziadka.

Za parę godzin lecę do San Jose. Spędzimy tam razem z nią jej ostatnie dni. Tego typu rzeczy to powód, dla którego za ciebie wyszłam. Wyszłam za ciebie, bo się o mnie troszczysz. Bo dzięki tobie sprawy zaczynają wyglądać w porządku, choć nie są w porządku. Bo we mnie wierzysz. Wiesz, że dam sobie radę, nawet jeśli mnie się wydaje, że sobie nie poradzę.

Wiem, że potrafię sobie z tym poradzić bez ciebie. Nauczyłam się tego przez ostatni rok. Ale po prostu brakuje mi ciebie w tej chwili. Chciałabym mieć cię przy sobie. Wydobyłeś ze mnie to, co najlepsze. I to, co we mnie najlepsze, mogę teraz wykorzystać.

Kocham cię.

Pozdrawiam cię

Lauren

O mało nie klikam „wyślij”. Wydaje się to dostatecznie ważne, żeby wysłać naprawdę. Ale nie wysłałam. Decyduję się kliknąć „zachowaj”. Włączam silnik auta i ruszam.

V. Nikt inny, tylko Ty

Lot był udany. W tym sensie, że nie było turbulencji czy opóźnień. Trwał czterdzieści pięć minut, więc nie był taki znów męczący. Był jednak okropny w tym sensie, że przez cały czas nie robiłyśmy z Rachel nic poza powtarzaniem w kółko: „Naprawdę nie myślałam, że ona ma raka”.

Kiedy docieramy do szpitala, mama siedzi przy łóżku babci. Wujek Fletcher rozmawia z lekarzem. Mama widzi nas i wychodzi na korytarz, żeby nas przygotować.

– Kiepsko z nią, kompletnie brak jej energii – mówi. I twarz, i głos ma po stoicku spokojne. – Ale jeśli chodzi o fizyczny ból, to lekarze twierdzą, że nie cierpi za bardzo.

– To dobrze – mówię. – A jak ty?

– Strasznie. Ale nie mam zamiaru się tym przejmować. Myślę, że wszyscy powinniśmy się teraz zmobilizować. Trzymać twarz. Wykorzystać ten czas, żeby jej powiedzieć, jak wiele dla nas znaczy.

Bo nie zostało nam tego czasu zbyt wiele.

– Możemy z nią porozmawiać? – pyta Rachel.

– Jasne. – Mama zagarnia nas ramieniem i kieruje do środka.

Siadamy z Rachel po przeciwnych stronach łóżka. Babcia wygląda na zmęczoną. Nie tak, jak po starcie w wyścigach, ani tak, jak po niewyspaniu. Tak, jak bywa

się zmęczonym po długim życiu na tej ziemi.

– Jak się czujesz, babciu? – pyta Rachel.

Babcia uśmiecha się do niej i poklepuje ją po ręce. Nie ma odpowiedzi na to pytanie.

– Kochamy cię, babciu – mówię. – Bardzo cię kochamy.

Tym razem poklepuje po ręce mnie i zamyka oczy.

Stoimy wokół niej godzinami, czekając, aż się ocknie, wypatrując chwil, kiedy jest przytomna i się uśmiecha. Nikt nie płacze. Nie wiem, jak my to wszyscy robimy.

Koło trzeciej przyjeżdżają Charlie i Natalie. Natalie wygląda, jakby lada moment miała urodzić. Charlie jest mizerny i wyraźnie przybity. Patrzy na śpiącą babcie.

– Źle z nią? – pyta.

Mama kiwa głową.

– Źle.

Zabiera Charliego i Natalie do holu, żeby z nimi porozmawiać. Rachel idzie z nimi. Zostają tylko ja, śpiąca babcia i wuj Fletcher. Nigdy nie miałam za wiele do gadania z wujkiem Fletcherem i teraz, kiedy się wydaje, że tyle jest do powiedzenia, nadal jestem jak oniemiała. On też. Po chwili i on przeprosza i wychodzi, mówiąc, że poszuka pielęgniarki. Choć nie mam mu nic do powiedzenia, nie chcę też, żeby wychodził. Nie chcę być sama w tym pokoju. Nie chcę stać z tym twarzą w twarz sama.

Podchodzę do opuszczonego przez wujka krzesła i

siadam. Biorę babcię za rękę. Wiem, że śpi, mimo to zaczynam do niej mówić. Jeszcze nie jestem sama w tym pokoju. Ona wciąż tu jest.

– Wiesz, napisałam do rubryki „Zapytaj Allie” – mówię. – Napisałam o nas z Ryanem. W wielu sprawach, o których mówiłaś, miałaś rację. Na przykład, że mogłabym uniknąć tego roku rozłąki, gdybym inaczej oceniała pewne rzeczy. A jednak myślę, że ten rok był potrzebny. Myślę, że było to we mnie i musiało wyjść na zewnątrz, jeśli ma to jakiś sens. Myślę, że potrzebowałam mieć więcej czasu dla Rachel. Potrzebowałam móc się skupić na Charliem. Potrzebowałam zgłębić inne rzeczy. Albo wiesz co? Może i tego wszystkiego nie potrzebowałam. Może jest mnóstwo innych sposobów, żeby wyprostować swoje małżeństwo, a ja po prostu... po prostu użyłam tego sposobu, a nie innego. Tak czy owak, napisałam o tym do Allie. Spytałam, co jej zdaniem powinnam zrobić. Miałaś rację co do niej – mówię, śmiejąc się do siebie samej. – Ona jest dobra. – Cisza w pokoju jest trochę niesamowita, więc podejmuję: – Kiedy umierał dziadek, był z nami Ryan. Pamiętam, że jak mnie obejmował, to było jakoś łatwiej. Czy ktoś to może zrobić dla ciebie? Czy może to być po prostu ktokolwiek? Czy powinna to być właśnie ta, a nie inna osoba?

– Właśnie ta, a nie inna – odpowiada babcia. Głos ma szorstki, schrypnięty. Oczy pozostają zamknięte. Twarz prawie się nie porusza, gdy mówi.

– Babciu? Jak się czujesz? Może czegoś ci trzeba?
Zawołać mamę?

Ignoruje mnie.

– Masz tego kogoś. Tylko tyle próbuję ci powiedzieć. Nie rezygnuj z niego tylko dlatego, że cię nudzi. Albo rozrzuca skarpetki.

– Aha – mówię.

Wydaje się zbyt słaba, żeby mówić, więc nie chcę jej o nic pytać. A przecież jest tyle chciałabym się od niej nauczyć. Jej ekscentryczność, różne rzeczy, które dotąd wydawały się głupie i śmiechu warte, teraz wydają się znaczące i głębokie. Dlaczego jesteśmy tacy? Dlaczego nie cenimy tego, co mamy? Dlaczego dopiero w obliczu utraty czegoś dostrzegamy, jak bardzo jest to nam potrzebne?

– Tak naprawdę to nie byłam pewna, czy mam raka – mówi. – Nie chodziłam do lekarza od lat. Mówiłam twojej matce i wujkowi, że chodzę – śmieje się. – Ale nigdy nie poszłam. Uważałam, że jeśli naprawdę mam raka, to nie chcę, żeby próbowali go leczyć. Parę razy wyszłam z domu, a wujkowi powiedziałam, że idę do mojego onkologa. A ja nawet nie miałam onkologa... Chodziłam na brydża do Betty Lewis i Friedmanów. – Śmieje się, po czym odpływa na minutę. Znowu powraca. – Lekarze mówią, że ta odmiana szybko się rozwija. Możliwe, że dopiero teraz go dostałam. Mieliście rację, śmiejąc się ze mnie przez cały ten czas – mówi z uśmiechem, dając mi poznać, że wie, o czym

przez cały czas mówimy. – Po prostu... byłam gotowa na śmierć i myślę, że to był jedyny sposób, żeby o tym powiedzieć.

– Jak możesz być gotowa na śmierć?

– Bo mój mąż nie żyje, Lauren – odpowiada. – Bardzo was wszystkich kocham. Ale nie jestem już wam potrzebna. Spójrz na was wszystkich. Twoja mama świetnie sobie radzi. Fletcher ma się dobrze. Wasza trójka radzi sobie wspaniale.

– Ale...

– Nie, nie, radzisz sobie doskonale – mówi i poklepuje moją dłoń. – A ja tęsknię za moją mamą. Tęsknię za moim ojcem. Tęsknię za starszą siostrą. Tęsknię za przyjaciółką. I tęsknię za moim mężem. Za długo już żyję bez niego.

– Ale przecież żyło ci się całkiem nieźle – mówię. – Codziennie wstawiałaś z łóżka. Potrafiłaś żyć bez niego.

Babcia leciutko kręci głową.

– To, że potrafisz bez kogoś żyć, nie znaczy, że chcesz.

Te słowa krążą mi w głowie, objają się o krawędzie umysłu i o siebie nawzajem, wciąż jednak układają się na powrót w tym samym porządku.

Nie odpowiadam. Patrzę na nią i ściskam ją za rękę. Często myślałam o mojej babci jako o staruszce przy rodzinnym stole. Ale nie zawsze nią była. Była kiedyś dzieckiem. Była nastolatką. Świeżo poślubioną żoną. Matką. Wdową.

– Na pewno było ci trudno bez dziadka – mówię. – Nigdy o tym nie myślałam... przepraszam. Ciężko tak żyć.

– Nie, kochanie. Po prostu jestem zmęczona życiem. Jest także zmęczona mówieniem. Nie puszczając mojej ręki, znowu zapada w sen. Wspieram podbródek na jej ramieniu i patrzę na nią. W końcu wraca Natalie, bo potrzebuje usiąść.

– Ciężko stać tak długo – mówi. – Ale i siedzieć długo ciężko. Czy długo leżeć. Czy jeść. Czy nie jeść. Czy odдыchać.

Śmieję się.

– Czy to naprawdę był dobry pomysł? Rodzisz za... ile, parę dni, zdaje się?

– Termin mam w czwartek – mówi. Za pięć dni. – Ale to w ogóle nie podlegało kwestii. Musieliśmy przyjechać. Powinniśmy tu być i już. Niezręcznie bym się czuła, siedząc w domu. A tak... Tak jest lepiej.

– Może ci coś przynieść? Lodowe chipsy na przykład?

– Ale wiesz, że ja jeszcze nie rodzę, prawda? – śmieje się Natalie. Ja też wybucham śmiechem.

– Racja!

Stała się dla mnie siostrą nie wtedy, kiedy powiedziała, że chce tu być ze względu na babcię. Stała się siostrą, kiedy zadrwiła ze mnie, gdy zaproponowałam jej lodowe chipsy. Wielkie gesty są łatwe. Żartować z kogoś, kto próbuje ci pomóc – to

właśnie jest rodzina.

Przyłącza się do nas Charlie. Wraca wuj Fletcher z torbą chipsów Doritos. Nawet nie wiem, czy w ogóle szukał pielęgniarki. Wchodzi mama z Rachel. Rachel wyraźnie płakała. Patrzę na nią i widzę, że ma czerwone oczy. Obejmuję ją.

Stoimy wokół łóżka. Siedzimy. Czekamy. Nie wiem, co właściwie moglibyśmy zrobić, żeby było choć trochę lepiej. Czasem rozmawiamy. Czasem milczymy. Za dużo nas jest w tym niewielkim pokoju, więc po kolei wychodzimy przejść się po korytarzu, schodzimy do automatów ze słodyczami, idziemy napić się wody. Pielęgniarki wchodzi i wychodzi. Zmieniają kroplówki. Przychodzi lekarz i odpowiada na nasze pytania. Ale tak naprawdę nie mamy zbyt wielu pytań. O co tu pytać? Pytania są dobre wtedy, kiedy się wierzy, że można kogoś uratować.

Czuję, że w gardle zaczyna mi narastać gęstwa. Coraz większa, coraz twardsza. Przepraszam i wychodzę na korytarz.

Opieram się plecami o ścianę. Osuwam się na podłogę. Wyobrażam sobie, że obok siedzi Ryan. Wyobrażam sobie, że gładzi mnie po plecach, tak jak to było, kiedy umarł dziadek. Wyobrażam sobie, że mówi: „Idzie tam, gdzie będzie jej lepiej. Wszystko będzie dobrze”. Wyobrażam sobie, że dziadek mógł tak samo pocieszać babcię, kiedy straciła własną matkę czy babcię. Wyobrażam sobie, że na moim miejscu siedzi

babcia, a dziadek, na klęczkach obok niej, mówi jej to wszystko, co chciałabym usłyszeć ja. Obejmuje ją tak, jak może cię obejmować tylko ta, a nie inna osoba. Kiedy będę w jej wieku, kiedy będę leżeć na szpitalnym łóżku, gotowa, by umrzeć, o kim będę myślała?

O Ryanie. Niezmiennie o Ryanie. To, że potrafię bez niego żyć, nie oznacza, że tego chcę.

Nie chcę. Nie chcę żyć bez niego.

Chcę słyszeć jego głos. Czasem szorstki, czasem łagodny, niemal melancholijny. Chcę widzieć jego twarz z resztkami zarostu, bo nigdy nie potrafi się ogolić na gładko. Chcę znowu poczuć jego zapach. Chcę trzymać w dłoniach jego szorstkie ręce. Chcę poczuć, jak moje dłonie nikną w jego dużych, drobniej, jak robię się przy nim maleńka.

Potrzebuję mojego męża.

Zadzwonię do niego. Mniejsza o pakt, któryśmy zawarli. Mniejsza o niesprzyjającą sytuację. Chcę po prostu usłyszeć jego głos. Upewnić się, że wszystko z nim dobrze. Wstaję i wyjmuję z kieszeni telefon. Nie mam zasięgu. Obchodzę piętro, w nadziei że złapię choć kreseczkę. Nic z tego.

– Przepraszam, siostró – pytam przechodzącą pielęgniarkę – gdzie tu mogę złapać zasięg?

– Musi pani wyjść na zewnątrz. Przed wejściem wszystko powinno być w porządku.

– Dziękuję – mówię i ruszam do wind.

Wciskam guzik. Zapala się, ale winda nie nadjeżdża.

Tak długo jestem bez kontaktu z Ryanem, a teraz nagle muszę z nim porozmawiać już, teraz, w tej chwili. Nie potrafię zapanować nad tym pragnieniem. Muszę go spytać, kiedy wraca. Muszę mu powiedzieć, że go kocham. Musi o tym wiedzieć już, teraz, w tej chwili.

W końcu słychać „dzyń!” windy. Wchodzę. Wciskam parter. Winda szybko zjeżdża w dół. Tak szybko, że żołądek nie nadąza za stopami. Czuję ulgę, kiedy stajemy. Drzwi się rozsuwają. Wychodzę do holu i przez szklane drzwi na zewnątrz. Jest gorący letni dzień. W szpitalu wydaje się tak mroczno, że zapomniałam, że na zewnątrz świeci jasne słońce. Patrzę na telefon. Pełny zasięg.

Przed szpitalem jest głośno. Z szumem podjeżdżają i wyjeżdżają karetki. Uświadamiam sobie, że nie jestem jedyną osobą, która w tej chwili kogoś traci. Natalie też nie jest jedyną kobietą, która lada moment spodziewa się dziecka. Charlie nie jest jedynym mężczyzną, który wkrótce zostanie ojcem. Moja matka nie jest jedynym człowiekiem, który traci ostatniego z rodziców. Jesteśmy rodziną, której przytrafia się wszystko to, co przytrafia się innym ludziom. Ten szpital nie istnieje dla nas. Nie jestem jedyną kobietą, która zamierza zadzwonić do męża i poprosić, żeby wracał do domu. Nie wiem dlaczego, ale dobrze jest zdać sobie z tego sprawę. Nie jestem sama. Są nas miliony.

Do krawężnika podjeżdża taksówka. Wysiada z niej jakiś mężczyzna z plecakiem. Zatrząskuje drzwiczki i

zwraca się twarzą do mnie.

To Ryan.

Ryan.

Mój Ryan.

Wygląda dokładnie tak, jak dziesięć miesięcy temu, kiedyśmy się rozstali. Tej samej długości włosy. Ta sama sylwetka. Jakie to znajome. Wszystko w nim jest znajome. Chód. Sposób, w jaki zarzuca plecak na ramię.

Stoję bez ruchu i gapię się na niego. Jestem jak skamieniała. Nie wiem, kiedy się to stało, ale telefon wypadł mi z ręki.

Rusza w stronę rozsuwanych drzwi i nagle staje jak wryty, a oczy robią mu się okrągłe. Dostrzega mnie. Znam go tak dobrze, że wiem, co myśli. Wiem, co za chwilę zrobi.

Rzuca się ku mnie, chwyta i unosi w górę.

– Kocham cię – mówi i zaczyna płakać. – Kocham cię, Lauren. Tak strasznie cię kocham. Tęskniłem za tobą. Boże, jak ja za tobą tęskniłem.

Moja twarz się nie zmienia. Nadal jestem zdumiona. Moje ramiona go obejmują. Moje nogi go obejmują. Stawia mnie na ziemi i całuje. Kiedy jego usta dotykają moich, moje serce rozbłyskuje płomieniem. Całkiem jakby ktoś przystawił do niego płonąca zapałkę.

Skąd wiedział, że go potrzebuję? Jak mnie znalazł?

Ociera mi łzy. Łzy, o których nawet nie wiedziałam, że mam je na twarzy. Jest w tym tak delikatny, tak kochający, że nie wiem, jak potrafiłam przez te

wszystkie miesiące sama ocierać łzy. Teraz, kiedy tu jest, w jednej chwili zapominam, jak żyć bez niego.

– Skąd wiedziałeś? – pytam. – Skąd wiedziałeś?

Patrzy mi w oczy, przygotowując mnie.

– Tylko się nie wściekaj. – Ton jest żartobliwy, ale wiadomość, którą niesie, jest poważna.

– Dobrze – mówię. – Nie będę. – Mówię serio. Cokolwiek sprawiło, że tu jest, jest błogosławieństwem. Cokolwiek sprawiło, że tu jest, było właściwe.

– Czytałem robocze wersje twoich mejli.

Padam na ziemię.

Wybucham takim śmiechem, że tracę nad sobą kontrolę. Śmieję się tak długo, że boli mnie brzuch i plecy. A ponieważ się śmieję, zaczyna się śmiać i Ryan. Siedzimy na chodniku i pękamy ze śmiechu. Jego śmiech sprawia, że mój wydaje się śmieszniejszy. I teraz śmieję się po prostu dlatego, że się śmieję. Nie mogę przestać. I nie chcę przestać. I wtedy spostrzegam mój telefon, rozwalony, tam gdzie go upuściłam. I to wydaje się strasznie komiczne. To tak cudownie, fantastycznie, niesamowicie komiczne! Kiedy to życie stało się takie, kurczę, zabawne?

– Dlaczego my się śmiejemy? – pyta Ryan, z trudem łapiąc dech.

A więc w taki sposób to wyznam. W taki sposób mu powiem, co zrobiłam.

– Bo ja też czytałam twoje.

Porywa go kolejny szaleńczy atak śmiechu. Śmieje

się do mnie i ze mną, i dla mnie. Obok przechodzą ludzie i na nas patrzą, a mnie pierwszy raz w życiu naprawdę nie obchodzi, co sobie pomyślą. Zbyt odurzająca jest to chwila. Jestem tak bez reszty w jej mocy, że nic nie jest w stanie sprowadzić mnie na ziemię, dopóki nie będę gotowa.

Kiedy w końcu przychodzimy do siebie, mamy mokre oczy i kręci nam się w głowach. Zaczynam głęboko oddychać, tak jak to zawsze robimy po ataku śmiechu. Oddycham powoli i miarowo, starając się odzyskać nad sobą kontrolę, podobnie jak pilot przed lądowaniem, szykujący się do spotkania ze stałym lądem. Tyle że zamiast poczuć grunt pod nogami, w ostatniej chwili znowu odlatuję. Głębokie oddechy zmieniają się w falę łez. Śmiech i płacz są z natury tak ze sobą powiązane, utkane z tego samego materiału, że czasem trudno odróżnić jedno od drugiego. Płacz ze szczęścia, śmiech z rozpacz – przejście od jednego do drugiego jest prostsze, niż myślimy.

Płacz zamienia się w ciężki szloch. Ryan obejmuje mnie ramieniem. Trzyma mnie mocno, tu, na chodniku i gładzi po plecach.

– Już dobrze. Już dobrze – uspokaja mnie, kiedy zaczynam zawodzić.

Bierze mnie za rękę. Mój wzrok pada na jego dłoń. Na palcu ma obrączkę.

Powoli wstajemy z chodnika. Ryan bierze plecak.

Podnosi części mojego telefonu i składa w całość.

– Możliwe, że będziemy musieli kupić ci nowy telefon – mówi. – Ten chyba nieźle oberwał.

Bierze mnie za rękę i wchodzimy do szpitala. Dołączamy do grupy ludzi czekających przy windach. Kiedy winda w końcu nadjeżdża, wpychamy się wszyscy do środka, ściśnięci jak sardynki w puszcze. Ryan nie wypuszcza mojej ręki. Ścisza ją mocno, trzyma z całej siły. Obojgu nam pocą się dłonie. Mimo to nie puszcza.

Kiedy docieramy na ósme piętro i wychodzimy, przed windą, najwyraźniej czekając na zjazd, stoi Rachel.

– Gdzieś ty była? – pyta. – Szukam cię wszędzie. Dzwoniłam do ciebie cztery razy.

Już mam odpowiedzieć, ale wyręcza mnie Ryan.

– Telefon jej się rozleciał – tłumaczy i pokazuje Rachel części.

Rachel wpatruje się w niego jak zahipnotyzowana. Próbuje poskładać wszystko do kupy i zorientować się, dlaczego to, że go przed sobą widzi, wydaje się w pełni sensowne, a zarazem kompletnie bez sensu.

– Yyy... – mówi. – Cześć, Ryan.

Podchodzi i ją obejmuje.

– Cześć, Rach. Tęskniłem za tobą. Przyjechałem, jak tylko się dowiedziałem.

Jest do mnie odwrócony plecami, a twarz Rachel mam na linii wzroku.

– Czy to jest okej? – wymawia samymi tylko ustami,

wskazując na plecy Ryana.

Unoszę kciuk. I tylko tyle jej potrzeba. Potrzeba jej po prostu uniesionego kciuka. Jeśli ja jestem w nastroju „kciuk w górę”, to ona też.

– Cieszę się, że cię widzę! – mówi. Przełącza się na radość jak za przesunięciem dźwigni, ale jest to autentyczne. Jest od początku do końca autentyczna.

– Ja też – odpowiada Ryan. – Ja też.

– Wszystkim nam cię tu brakowało – Rachel po siostrzanemu trąca go pięścią w ramię.

– Nie znasz nawet połowy tego wszystkiego. Co mogę zrobić, teraz, kiedy już tu jestem? W czym mogę pomóc?

– No więc – zaczyna Rachel, patrząc teraz na mnie – mieliśmy tu lekką czkawkę.

– Czkawkę? – pytam.

– Natalie zjechała z Charliem na dół, na prenatalny.

– Ożeż.

– Kiedy ma termin? – pyta Ryan. – To za wcześnie, prawda?

– W czwartek – mówię.

– Właśnie. No więc Natalie się wydaje, że ma coś, co się nazywa skurcze Braxtona Hicksa.

– A co to są skurcze Braxtona Hicksa? – dziwimy się jednogłośnie ja i Ryan. To pamięć mięśniowa, funkcjonowanie jako jedna całość, które przychodziło nam z taką łatwością. Bycie dwiema połówkami jednej całości do tego stopnia stało się naszą drugą naturą, że

po tylu miesiącach nierozmawiania ze sobą teraz mówimy jak jedno.

– Nie wiem. Mama mówi, że to coś, co wygląda, jakby zaczynał się poród, chociaż prawdopodobnie nie jest to poród.

– Prawdopodobnie nie jest? – pytam.

– Nie. To znaczy tak, prawdopodobnie jeszcze nie rodzi. Ale lepiej się tym zająć. Podobno te skurcze odczuwa się jak prawdziwe.

– Czyli to boli? – pyta Ryan.

Rachel kiwa głową, usiłując powstrzymać śmiech.

– Co jest? – pytam.

– To w ogóle nie jest śmieszne – mówi Rachel. – W ogóle.

– Ale?

– Ale jak ten skurcz pojawił się po raz pierwszy, Natalie złapała się za brzuch i powiedziała: „Ja pierdolę, o Jezu”. Nawet mama się śmiała.

Obie z Rachel wybuchamy śmiechem. Windy wielokrotnie podjeżdżają i zjeżdżają, a my stoimy.

– Ale wy jesteście okropne – mówi Ryan.

Otwieram usta, żeby powiedzieć coś na swoją obronę, ale Rachel mnie uprzedza.

– Nie, to jest śmieszne, bo Natalie to najlepiej wychowana osoba, jaką kiedykolwiek poznałam. Jak to powiedziała, to mama tak się śmiała, że jej bańki poszły nosem.

Znowu wybucham śmiechem i Ryan też. Za plecami

Rachel pojawia się matka.

– Rachel! – napomina srogo.

Rachel patrzy na mnie i przewraca oczami.

– Mama mnie słyszała, tak?

Kiwam głową.

– Przepraszam, mamó – mówi, odwracając się ku niej.

– Mniejsza o to. – Twarz mamy poważnieje. – Tylko mamy tu lekką czkawkę.

– Tak, Rachel nam powiedziała – mówię. Wzrok mamy zatrzymuje się na Ryanie, a potem na naszych rękach, wciąż połączonych przez cały ten czas.

– Boże święty, to po prostu za wiele. – Mama siada na jednym z krzeseł, ustawionych wzdłuż korytarza, i bierze głowę w dłonie. – To nie jest Braxton Hicks – mówi. – Natalie rodzi.

– Mamó, żartujesz – nie dowierza Rachel.

– Nie, Rachel, wcale nie żartuję. I nie zapominaj, że to jest akurat dobra rzecz. Chcemy, żeby to dziecko się urodziło.

– Jasne, wiem. Chodzi mi o to, że to wszystko dzieje się na raz.

– Mogę w czymś pomóc? – pyta Ryan.

Mama patrzy na niego i wstaje. Obejmuje go mocno i ściska tak, jak uściskać może tylko matka. To nie jest uścisk wzajemny, jak w przypadku Rachel i Ryana. Mama obejmuje, Ryan jest obejmowany.

– Strasznie się cieszę, że cię widzę, kochany – mówi.

– Strasznie się cieszę.

Ryan patrzy na nią i mam wrażenie, że za moment pęknie. Może nawet się rozpłacze. Ale zmienia kurs.

– Tęskniłem za tobą, Leslie.

– Och, kochany, wszyscyśmy tu za tobą tęsknili.

– Jak babcia Lois? – pyta Ryan. – Mogę się z nią zobaczyć?

– W tej chwili śpi – mówi mama. – Wygląda na to, że powinniśmy się podzielić. Część z nas powinna być przy Natalie i Charliem, a pozostali – przy babci.

Niemożliwy wybór, no nie? Chcesz towarzyszyć ostatnim chwilom jakiegoś życia? Czy pierwszym chwilom innego? Chcesz uhonorować przeszłość czy powitać przyszłość?

– Nie potrafię tego zrobić – ciągnie mama. – Nie wiem wybrać. Wnuk czy matka?

– Nie musisz wybierać – mówię. – Jest nas tu oprócz ciebie czwórka, ja, Ryan, Rachel i Fletcher. Wszystko ogarniemy, a ty możesz być raz tu, raz tam.

– Rozumiem, że ja mam utknąć z wujem Fletcherem, tak? – pyta Rachel.

Patrzę na nią. Przepraszająco i błagalnie.

– Okej. Każdy przeżywa tu jakieś przełomowe wydarzenie, tylko ja nie. No więc dobrze, zostanę razem z wujkiem przy babci.

– Dzięki – mówię.

– Jak dziecko się urodzi, dajcie mi znać, dobrze? Ryan... przyjdiesz mnie zmienić albo coś?

– Absolutnie – obiecuję.

– Pójdę z tobą – mówi mama do Rachel. – Informujcie nas na bieżąco – zwraca się do mnie i Ryana.

– Jasne – odpowiadam. – Masz jak w banku.

– Jak się obudzi – dorzuca Ryan – powiedz jej, że tu jestem, dobrze?

– Żartujesz sobie? – zżyma się mama. – Wątpię, czybyśmy potrafili utrzymać to w tajemnicy, nawet gdybyśmy się starali!

Ryan się uśmiecha. Wciskam guzik windy, najpierw ten w dół, potem ten w górę. Nie wiem, w jakim kierunku jedziemy.

– Mamo? – wołam.

Odwraca się.

– Które piętro? – pytam.

– Piąte.

Dzyń! – odzywa się winda jadąca w dół. To nasza. Wsiadamy. Zostaliśmy wybrani, żeby powitać przyszłość.

Okazuje się, że powitanie przyszłości to nie to samo, co powitanie Nowego Roku, kiedy odliczasz od dziesięciu do zera, do chwili gdy opadnie kula na Times Square. Powitanie przyszłości to głównie czekanie. Siedzenie na niewygodnych krzesłach, chodzenie do automatu z napojami i z powrotem. Regularne kontaktowanie się z Charliem, żeby sprawdzić, co i jak,

ale bez pozostawiania w sali.

– Ma rozwarcie na trzy centymetry – mówi Charlie, kiedy znajdujemy ich pokój. Zwraca się do nas, ale patrzy na Natalie, i ewidentnie myśli, że to nie my, tylko mama.

– Wszystko dobrze, Natalie? – pytam.

Wygląda okropnie. To znaczy, wygląda ładnie, bo ładna osoba jest ładna nawet wtedy, kiedy wygląda okropnie, ale wszelkie oznaki okropnego wyglądu są obecne. Rozczochrane włosy, czerwona i spocona twarz. Najwyraźniej płakała. A mimo to widać, że jest szczęśliwa.

– Tak... Wszystko dobrze, tylko po prostu nie pytaj mnie w czasie skurczu.

Podnosi wzrok i widzi obok mnie obcego mężczyznę. Chyba powinnam była pomyśleć, że Natalie nie zna Ryana i że leży na łóżku ze strzemionami, ubrana w szpitalną koszulę.

– Yyy... – mówi, patrząc na niego. Charlie idzie za jej wzrokiem i się odwraca. Twarz mu się rozjaśnia, jakby mu ktoś w środku zapalił żarówkę.

– Ryan!

Puszcza rękę Natalie i zgniata Ryana w braterskim uścisku. Poklepują się gęsto po plecach.

– Cześć, Charlie!

Kiedy przestają się obejmować, Charlie staje obok Ryana, a ten pozostawia rękę na jego ramieniu o sekundę dłużej, niż zrobiłby to przyjaciel. Są sobie

bliżsi niż przyjaciele. Charlie otwiera usta, żeby przedstawić Ryana Natalie, gdy wtem Natalie się zwija i zaczyna spazmatycznie chwytać powietrze. Charlie przypada do niej. Reaguje natychmiast, najwyraźniej instynktownie. To ten sam chłopak, którego mama musiała błagać, żeby jej pomógł w zmywaniu... A zaledwie Natalie czuje ból, momentalnie rzuca się ku niej. Wspiera ją. Pomaga. Jest przy niej.

– Mogę jakoś pomóc? – pytam. Waham się, czy proponować jeszcze raz lodowe chipsy, ale przecież powiedziała, że są odpowiednie w czasie porodu. – Lodowe chipsy?

Natalie mimo bólu śmieje się dłuższą chwilę. To chyba najlepszy śmiech, jaki w życiu wywołałam.

– Aha – mówi Charlie, któremu ścisnęła potakująco rękę. – Lodowe chipsy.

Wychodzimy z Ryanem, żeby ich poszukać. Pielęgniarka mówi nam, że na końcu długiego korytarza jest automat z lodami. Idziemy.

– No więc przeczytałem o tym facecie, Davidzie – mówi Ryan. – Czy on... czy on jeszcze dla ciebie coś znaczy?

– Nie – kręcę głową. – Nic a nic.

– Mam ochotę go zabić – mówi Ryan z uśmiechem. Uśmiech jest niebezpieczny. – Wiesz o tym, prawda? Już dawno chciałem go zabić. Czasem nawet mi się to śni. Zauważ, że nie nazywam tych snów koszmarowymi.

Nasze podeszwy skrzypią na szpitalnej posadzce.

– Ja też nie mam za wiele sympatii do Emily – mówię.

Po raz pierwszy od miesiący pozwalam sobie, by poczuć gniew, który mnie ogarnął, kiedy się dowiedziałam, że spotyka się z innymi kobietami. Mogę poczuć go znowu, to, jak wypływa na powierzchnię niczym boja. Jak powraca, choćbym z całej siły spychała go w głąb.

– Emily nie jest warta, żeby ci wiązać sznurowadła – mówi Ryan, gdy w końcu docieramy do automatu.

Podstawiam kubek pod otwór w maszynie. Mogłabym powiedzieć więcej. Mogłabym pytać o więcej. Ale decyduję się na tym poprzestać. Maszyna warczy, ale nic nie wypływa. Ryan wali ją w bok. Do kubka sypią się chipsy.

Wracamy do Charliego i Natalie. Podaję Charliemu kubek z chipsami. Dziękuje nam, a choć Natalie sprawia wrażenie, jakby ją w tej chwili nie bolało, wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli wyjdziemy z Ryanem do poczekalni.

– Powiesz, jak będziecie czegoś potrzebować, prawda? – mówię.

Charlie kiwa głową. Ryan wymierza Charliemu kułaka w bok.

– Powodzenia.

Poczekalnia jest niemal pusta, nie licząc jednego czy dwojga przyszłych dziadków. Siadamy pod ścianą. Czasem rozmawiamy o różnych rzeczach. Czasem nic

nie mówimy. Czasem milczymy przez dłuższy czas, po czym rozmowa ożywa na nowo, gdy na przykład jedno z nas mówi:

– Nie mogę uwierzyć, że nie lubisz perskiej kuchni.

Albo:

– Nie mogę uwierzyć, że kupiłaś mi tę maszynkę, żebym sobie przycinał włosy łonowe. Najbardziej zawstydzająca rzecz, jaką zdarzyło mi się kiedykolwiek czytać. Przeczytałem i dosłownie natychmiast poszedłem do łazienki i je przyciąłem. – Ryan się uśmiecha i udaje, że wstrząsa nim dreszcz. – Upokarzające.

– Przepraszam – mówię. – Naprawdę nie myślałam, że ktokolwiek będzie to czytał.

– Nie, to przecież dobrze, prawda? Lekkie ukąszenie wstydu, ale teraz przynajmniej wiem. I odtąd moje dolne rejony będą jak łąza.

Patrzę na podłogę. Szpitalna wykładzina ma wzór w diamenty. Diament za diamentem, diament za diamentem. Przymrużam lekko oczy i uświadamiam sobie, że kiedy wzrok traci ostrość, można w tym widzieć także serię X. Albo W.

– Chyba się czegoś nauczyłam – podejmuję. – Jeśli chodzi o to, jak to wszystko naprawić. Teraz wiem, że powinnam pracować nad tym, żeby ci mówić, czego chcę.

– Taak – odpowiada. – To też i mój wielki problem. Po prostu przez cały czas usiłowałem się dostosować do

moich wyobrażeń o tym, czego chcesz, i po jakimś czasie zaczęło mnie to cholernie wkurzać.

– Aha – kiwam głową. – A ja po prostu uznałam, że bycie dobrą partnerką dla ciebie oznacza uległość.

– Tak! – potwierdza gorliwie.

– I dlatego nigdy nie prosiłam o to, co było dla mnie ważne.

– Uważałaś, że sam powinienem o tym wiedzieć.

– No. A jak nie wiedziałaś albo się nie domyśliłaś, to myślałam, że ci nie zależy. Że nie jestem dla ciebie ważna. Że dbasz o siebie, a nie o mnie.

– Wiem, o czym mówisz! Wyobraź sobie tylko, że po prostu bym ci powiedział, że nie cierpię egzotycznego żarcia...

– Właśnie! A mnie nawet tak znów strasznie nie zależy na tej chińszczyźnie czy kuchni greckiej, czy wietnamskiej. Naprawdę. Jedyne, na czym mi zawsze zależało, to żeby zjeść obiad z tobą.

– Czyli to jedna z rzeczy, które musimy odtąd robić lepiej, Lauren. Musimy. Musimy być wobec siebie szczerzy.

– Tak – mówię.

– Nie. – Ryan zwraca się ku mnie, chwyta mnie za rękę i patrzy prosto w oczy. – Brutalnie szczerzy. Możesz mnie ranić. Możesz ranić moje uczucia. Możesz mnie wprawiać w zażenowanie. Wszystko jest okej, dopóki robisz to z miłości. Choćbyś nie wiem co powiedziała czy zrobiła z miłości, nie zrani mnie to tak,

jak kiedy widzę w twoich oczach, że nie możesz mnie znieść. Wolę, żebyś mi tysiąc razy powiedziała, że bym sobie przyciął włosy łonowe, niż żebyś patrzyła na mnie tak jak kiedyś.

Chcę tarzać się z nim po podłodze. Chcę wąchać jego włosy. Chcę całować go w kark. Chcę wymknąć się z nim do dyżurki lekarza, tak jak to pokazują w operach mydlanych, i kochać się z nim na piętrowym łóżku. Chcę mu pokazać, jak za nim tęskniłam. Pokazać, czego się nauczyłam. Chcę przestać dostrzegać, gdzie kończę się ja, a zaczyna on.

I tak będzie. Wiem o tym. Ale muszę też pamiętać, że to dopiero początek. To czas, w którym pracujemy nad naprawą tego, co popsuliśmy.

– Kocham cię – mówię drżącym głosem. Mięśnie mi się rozluźniają. Oczy wypełniają się łzami.

– Ja też cię kocham – mówi i głos więźnie mu w gardle. To płacz kontrolowany. Oczy ma pełne łez, ale zaledwie jedna czy dwie spływają na policzki.

Całuje mnie.

I w tejże chwili dociera do mnie prawdziwa wartość tych minionych dziesięciu miesięcy.

Jasne, nauczyłam się różnych rzeczy o sobie. Nauczyłam się, czego potrzebuję w łóżku. Nauczyłam się prosić o to, czego potrzebuję. Nauczyłam się, że miłość i romans to niekoniecznie to samo. Nauczyłam się, że nie każdy chce tego samego. Nauczyłam się, że to, czego potrzebujesz, i to, czego pragniesz, są w

miłości tak samo ważne. Wiele się nauczyłam. Ale mogłam się nauczyć tego wszystkiego z Ryanem przy boku. Mogłam poszukiwać tej wiedzy wraz z nim, a nie z dala od niego. Nie, prawdziwa wartość tego roku nie polega na tym, że nauczyłam się, w jaki sposób można naprawić moje małżeństwo. Wartością tego roku jest to, że w końcu zapragnęłam naprawić moje małżeństwo.

Mam energię, by to zrobić. Mam pasję, by to zrobić. Mam napęd. I mam wiarę.

Chcę, żeby moje małżeństwo trwało. Chcę tego tak strasznie, że czuję to w kościach. Wiem, że jeśli poniosę porażkę, słońce wzejdzie nazajutrz i tak. Wiem, że jeśli się nam nie uda, potrafię żyć w pojedynkę. Ale chcę tego. Tak strasznie tego chcę.

– Czyli nadal jesteśmy małżeństwem? – pyta Ryan. Pytanie ma w sobie tę samą wagę i bezbronność, jak wtedy, przed laty, gdy prosił mnie, żebym została jego żoną.

Uśmiecham się.

– Tak – mówię. – Tak!

Chwyta mnie w objęcia i całuje. Nie wypuszcza z uścisku.

– Powiedziała: tak! – woła na całą poczekalnię.

Nieliczni obecni patrzą na nas i uśmiechają się uprzejmie.

– Tak mi teraz dobrze. Po raz pierwszy od lat wiem, że żyję. Czuję się tak, jakbym był w stanie podbić cały świat.

Całuję go. I jeszcze raz. Jest taki miły. I taki przystojny. I taki mądry. Zabawny. Uroczy. Nie wiem, jak to możliwe, że przestałam to wszystko widzieć.

– Nigdy nie przestałem w nas wierzyć – mówi. – To znaczy, gdzieś z tyłu głowy zawsze miałem nadzieję. Znasz tę grę, kiedy jesteś w samochodzie i na widok auta z jednym światłem wypowiedasz życzenie...

– ...i dotykasz dachu, i mówisz „piddidle” – kończę. Kiwa głową.

– Zawsze miałem tylko jedno życzenie. Za każdym razem.

– Ja?

– My.

– Przez cały ten rok?

– Za każdym razem.

Potrzebujemy się nawzajem. Cokolwiek to znaczy. Uzupełniamy się nawzajem. Mamy wielki potencjał wzajemnego wspomagania. To ja byłam tą, która zdobyła się na uczciwość w sprawie tego, jacy dla siebie nawzajem jesteśmy. To ja byłam tą, która miała dość odwagi, żeby przełamać to wszystko na pół, w nadziei że uda się złożyć na powrót w całość. Ale kiedy straciłam wiarę, to on był tym, który miał jej dość dla nas obojga.

Po raz pierwszy od paru godzin Ryan wysuwa dłoń z mojej. Odchyła się na oparcie krzesła i otacza ramieniem moje plecy. Przyciąga do siebie. Podłokietniki sprawiają, że pozycja jest troszkę

niewygodna, a mimo to jakże kojąca. Składam głowę w zagłębieniu jego pachy. Wzdycham. Pachnie. Pachnie Ryanem. Woń jest przyjemna, bo znajoma, a zarazem przykra, bo odstręczająca.

– Uch – stękam, nie zmieniając pozycji. – Powinieneś używać dezodorantu. Zapomniałeś, że trzeba to robić na bieżąco?

– Wąchaj, wąchaj, malutka – mruczy głosem macho. – Tak pachnie prawdziwy mężczyzna.

– Prawdziwy mężczyzna pachnie Old Spice'em – replikuję. – Zainwestujmy w to.

I właśnie wtedy babcia umiera. To znaczy, nie mogę być tego pewna. Przez kolejne dziesięć minut nic o tym nie wiem. Ale kiedy wiadomość dociera, mówią, że umarła dziesięć minut temu. Więc jestem niemal pewna, że zdarzyło się to w chwili, gdy siedziałam, wąchając pachę Ryana, i mówiłam mu, że powinien używać dezodorantu.

To się powinno było wydarzyć po przyjściu dziecka na świat. Albo kiedy byłabym przy niej. Albo kiedy trzymałaby mnie za rękę i mówiła mi, o co w życiu chodzi. Nie powinno się było wydarzyć, kiedy dowcipkowałam sobie z Ryanem na temat Old Spice'a.

Niektórzy lubią to, że życie jest takie nieprzewidywalne i popieprzone. Ja tego nienawidzę. Nienawidzę, że nie ma elementarnej przyzwoitości, żeby się troszkę wstrzymać z nadejściem ważnego, pełnego głębi momentu, kiedy coś ważnego ci zabiera. Nie

obchodzi go, że człowiek chciałby mieć choć jedno jedyne zdjęcie babci z prawnikiem w ramionach. Po prostu nic go nie obchodzi.

Kiedy wchodzę do pokoju, w którym leżała babcia, mama płacze. Fletcher ją przytula. Rachel siedzi sama na krześle, z głową w ramionach. Mama poprosiła pielęgniarki, żeby zabrano ciało babci, i kiedy docieram, już go nie ma. Maleńkie szczęście w nieszczęściu. Nie zniósłabym tego widoku. A tak po prostu nie mam go w sobie.

Ale puste łóżko jest i tak wystarczająco trudne. Jak to możliwe, że z miejsca tak ci kogoś brakuje? Głowę mam pełną rzeczy, których jej nie powiedziałam. Nieważne, ile zdążyłam. I tak zostało mnóstwo do powiedzenia. Chciałabym jej powiedzieć, że ją kocham. Że zawsze będę ją pamiętać. Że cieszę się, że idzie tam, dokąd chce. Że wierzę, że odnajdzie dziadka.

Mama mówi mi, że powiedziała babci o Ryanie.

– Mówiłam jej, że przyjechał, że jest z tobą i że się o ciebie troszczy. Jeśli mam być szczerą, to nie wiem, czy mnie słyszała. Ale myślę, że tak.

Rozmawiamy o planach i wypłakujemy się sobie nawzajem w ramionach. W jakiejś chwili, gdy wylaliśmy już wiele łez, mama mówi, żebyśmy się wzięli w garść.

– Głowy do góry, moi drodzy! Czuj duch! To wielki dzień dla Charliego, jasne? I wielki dzień dla nas wszystkich. Babcia nie chciałaby, żeby to był dzień

smutku. Dziecko się rodzi!

Kiwamy z Rachel głowami, osuszając łzy chusteczką. Ryan trzyma rękę na ramieniu każdej z nas.

– Fletcher, zostaniesz tu, żeby dopilnować szczegółów, dobrze?

Fletcher kiwa głową. Nie płakał przy nas i mam wyraźne wrażenie, że czeka, aż zostanie sam, żeby mógł zapłakać.

– A jak będziesz gotów, zjedź na piąte piętro i nas poszukaj.

Mama klaszcze w dłonie niczym trener piłkarski, tak jakby to były mistrzostwa stanu i groziłby nam kolejny gol.

– Damy radę! Będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby myśleć o babci, ale w tej chwili powinniśmy być przy Charliem. Powinniśmy wyprzeć to z głowy i pomyśleć o ślicznym maleństwie, które niedługo powitamy.

Rachel i ja znowu kiwamy głowami.

– Tak jest, trenerze! – Ryan przybija mamie piątkę.

Przez chwilę patrzy na niego zdumiona, wreszcie wybucha śmiechem.

– Hurrra dla Charliego! – woła.

– Hurrra! – odpowiada cała nasza trójka, a w ostatniej chwili dołącza do nas Fletcher.

– Niedługo zajrzę do ciebie – mówi mama do Fletchera, po czym zostawiamy go i idziemy do windy. Winda nadjeżdża, wchodzimy, Rachel wciska guzik piątego piętra, zaczynamy szybko spadać, a ja przez cały

ten czas nie potrafię myśleć o niczym innym, tylko że mama straciła dziś matkę, a mimo to nie płacze. Walczy, żeby był to dla jej syna dzień radości, a nie żałoby. Oto do czego jesteśmy zdolni w imię miłości.

Jonathan Louis Spencer przychodzi na świat drugiego czerwca cztery minuty po pierwszej. Waży trzy kilogramy osiemset gramów. Ma bujną ciemną czuprynę i lekko zmiętą twarzyczkę. W pewnym sensie jest podobny do Natalie. Gdyby ktoś jej zmiął twarz.

Około dziewiątej rano wszyscy już mieliśmy go na rękach. Pielęgniarka zabrała go i przyniosła z powrotem, a teraz Jonathan spoczywa w ramionach mojej matki. Natalie drzemie w szpitalnym łóżku.

Charlie patrzy na mnie, dumny ojciec w każdym calu.

– Znam go dopiero od ośmiu godzin – mówi. Siada na krześle i wpatruje się w swojego maleńkiego synka. – Znam go dopiero od ośmiu godzin, a nigdy w życiu bym go nie zostawił.

Chwytam go za rękę.

– To w ogóle nie ma sensu – ciągnie, kręcąc głową.
– Że nasz tato mógł odejść. To w ogóle nie ma sensu, Lauren.

– Wiem.

Charlie patrzy na mnie.

– Nie, nie wiesz.

Jego ton nie jest oskarżycielski. Ani uszczypliwy. Po

prostu mi mówi, że jest na tym świecie doświadczenie, które on rozumie w sposób bardziej intymny niż ja. Daje mi do zrozumienia, że choć wydaje mi się, że to rozumiem, to jest świat miłości, świat głębokiego, bezwarunkowego oddania, o którym nie wiem nic.

– Masz rację – zgadzam się. – Jeszcze nie.

– Nigdy nikogo tak nie kochałem – mówi, znowu kręcąc głową. Patrzy na Natalie i zaczyna płakać. – I Natalie – dodaje. – To ona mi go dała.

Może i mój brat nie kochał Natalie, kiedy się jej oświadczał czy kiedy decydował się z nią zamieszkać. Może i nie był w niej zakochany, kiedy wprowadził się do niej z rzeczami i zaczął urządzać sobie z nią życie. Ale gdzieś po drodze nauczył się ją kochać. Może to się zdarzyło dziś o pierwszej trzy czy pierwszej cztery, czy pierwszej pięć. Ale bez wątplenia się zdarzyło. Widać to w jego oczach. Kocha tę kobietę.

– Dumny jestem z ciebie, Charlie – mówi Ryan, poklepując go po plecach. – I cieszę się twoim szczęściem.

Charlie zamyka oczy, by powstrzymać łzy, gotowe spłynąć na policzki.

– Będę dobrym ojcem – mówi. Otwiera oczy. Nie mówi tego do mnie. Nie mówi do Ryana. Nie mówi do Rachel, Natalie czy mamy. Mówi do Jonathana.

– Wiemy, że będziesz – odpowiada mama. Nie odpowiada za siebie. Odpowiada za nas wszystkich. Odpowiada za Jonathana.

Patrzę na twarzączkę dziecka. Jak to możliwe, że coś, co jest zmięte, może być takie piękne?

Patrzę na Ryana. Wiem, o czym myśli. My też możemy zostać kiedyś rodzicami. Nie dziś. I raczej nie w przyszłym roku. Ale kiedyś możemy. Ryan ściska mnie za rękę. Rachel to widzi i uśmiecha się do mnie.

To jest dobry dzień. Mama, Charlie, Natalie, Johathan, Rachel, Ryan, nawet ja, wszyscy przyczyniliśmy się do tego, że ten dzień jest dobry.

– Chwileczkę – mówię. – Czy Louis to ze względu na Lois?

Natalie się śmieje.

– Z początku nie. Ale teraz tak!

Charlie wybucha śmiechem, a za nim mama. Skoro Charlie i mama się śmieją, to znaczy, że mam rację. To jest dobry dzień.

Pogrzeb. Wesele. A przy okazji – rodzinny zjazd.

Na pogrzebie Ryan trzyma mnie za rękę. Bill trzyma za rękę matkę. Charlie trzyma za rękę Natalie. Rachel trzyma w ramionach Johathana. Fletcher odczytuje mowę pogrzebową.

Nie będę kłamać: jego mowa jest troszkę dziwna. Ale owszem, udaje mu się w niej uchwycić babcine serce. Mówi o tym, jak kochała dziadka. O tym, jaki się czuł szczęśliwy w rodzinie, w której rodzice kochali się nawzajem. O tym, że teraz znowu są razem i że to dla niego wielka pociecha. Mówi o tym, że w trudnych

chwilach babcia zawsze umiała powiedzieć coś właściwego. Mówi o tym, jak wszyscy się śmialiśmy, kiedy powiedziała, że ma raka, i mówi o tym jak należy. W jego przekazie wypada to jako coś charakterystycznego i zabawnego, a nie żałobnego i pełnego smutku.

Mama jest opanowana. Stara się powstrzymać łzy i na ogół się jej udaje. Zaskakuje mnie, że niespecjalnie szuka wsparcia u Rachel, Charliego czy mnie. Kiedy płacze, zwraca się ku Billowi.

Kiedy pogrzeb się kończy, idziemy do Fletchera na posiłek. Rozmawiamy o babci. Rozpływamy się nad Jonathanem. Chodzimy krok w krok za Natalie, pytając, czy czegoś nie potrzebuje. Jest teraz rodzinną gwiazdą. Dała nam klejnot w koronie.

Kiedy czuję zmęczenie i chcę iść, kiedy dość mam rozmowy, płaczu, wspominek, rozglądam się za Ryanem i Charliem. Stoją w kącie pogrążeni w rozmowie, każdy z butelką piwa w ręce.

Jak mogłam kiedykolwiek zapomnieć, że to bracia? Tak dobrze im to wychodzi.

Kiedy w końcu wracamy z Ryanem do Los Angeles, nie idziemy do domu ani do jego mieszkania. Idziemy do Mili.

Czeka tam na nas Thumper Cooper.

Ryan milczy, kiedy Thumper rzuca się ku niemu. Nie mówi „Leżeć, pies” ani „Cześć, stary”, ani nic, co

zwykle mówi się podnieconemu psu. Po prostu go przytula. A Thumper, normalnie żywy i pełen energii, tym razem nie wyrywa się i nie szarpie. Tkwi bez ruchu w jego ramionach.

Mila też ściska Ryana.

– To wróciłeś, tak? – pyta. Wie, że niedługo dowie się szczegółów. W tej chwili po prostu się cieszy. – Miło cię widzieć – mówi, uśmiechając się do mnie.

Ryan się śmieje.

– Miło, że jestem mile widziany.

Dziękujemy Mili i Christinie i wsiadamy całą trójką do auta. Przyjeżdżamy do domu. Wsiadamy. Otwieram drzwi. Wchodzimy.

Jesteśmy. Nasza maciupcia rodzina. Nikogo już nie brakuje.

Jesteśmy domem.

Wieczorem Ryan kładzie się w łóżku obok mnie. Obejmuje mnie. Całuje. Przesuwa ręką po moim ciele i mówi:

– Pokaż mi. Pokaż mi, czego chcesz.

I pokazuję. I smakuje to lepiej niż z Davidem. Bo znowu jestem z mężczyzną, którego kocham.

Na chwilę zapomnieliśmy, jak się nawzajem słuchać, jak się nawzajem dotykać. Ale teraz sobie przypomniaлиśmy.

Rano po przebudzeniu wydaję z szafy pudełko. Otwieram. Wydaję moją obrączkę. I wkładam ją z powrotem na palec.

W miesiąc później jest wesele. Gorący lipcowy dzień. Jesteśmy w domu przyjaciółki Natalie w Malibu. Jak ta przyjaciółka zarabia na życie, nie mam pojęcia. Sądząc z tego, że dom stoi dosłownie na plaży i ma panoramiczne okno z widokiem na ocean na każdym piętrze, przypuszczam, że to coś z branży rozrywkowej. Późnym wieczorem przewidziane jest ognisko, a po ceremonii – piknik z pieczeniem homarów. Drinki podaje się na tarasie dachu i tam się też tańczy. Można się zakolegować z hollywoodzkimi producentami. Nie miałabym nic przeciw temu, żeby takie imprezy zdarzały się regularnie.

Za parę minut zacznie się ślubna ceremonia. Rachel, Natalie i ja kończymy ostatnie przygotowania. Natalie ma suknię w greckim stylu, zarumienioną twarz i okazałe piersi. W uszach ma długie kolczyki, błyskające wśród gęstwiny długich, ciemnych loków. Oczy lśnią życiem.

– Wygląda okej? – pyta Rachel, wiążąc na karku wiązadło sukni w kolorze śliwodaktylowym. Zapewniam ją, że tak. Wiem, bo mam dokładnie taką samą.

Mama Natalie pomaga jej włożyć pantofle. Myślałam, że rodzice Natalie okażą się smukli i efektowni jak ona, ale sprawiają wrażenie w pełni przeciętnych. Mama jest pulchna w talii. Tato niski i krępy. Nie wiem, co takiego w sobie mają, że od razu widać, że są z Idaho, ale z pewnością nie wyglądają na

tutejszych. Może chodzi o to, że to najmiłsi i najbardziej otwarci ludzie, z jakimi miałam kiedykolwiek do czynienia.

Tato Natalie puka do drzwi.

– Sekundę, Harry! – woła mama Natalie. – Za chwilę będzie gotowa!

– Chciałem tylko zrobić zdjęcie, Eileen!

– Sekundę, powiedziałam!

Natalie patrzy ze śmiechem na mnie i Rachel i coś się jej przypomina.

– Ojej! – woła. – Bukiety! Zostawiłam je w lodówce.

– No i dobrze – mówię. – Zaraz przyniosę.

Wychodzę z pokoju przez przyległą łazienkę i kieruję się na dół, do kuchni. Tuż za rozsuwanymi szklanymi drzwiami natykam się na brata. Stoi z Ryanem i swoim przyjacielem Wallym.

Charlie wystrojony jest w dopasowany kremowy garnitur, w którym wygląda na smuklejszego i przystojniejszego, niż jest. Nie wygląda na zdenerwowanego. Nie wygląda na zażenowanego. Wygląda na gotowego. Ryan i Wally mają czarne garnitury i czarne krawaty. Za oknem, na plaży, widać rzędy krzeseł, zwróconych frontem ku błękitowi morza. Powoli napływają ludzie. Biorą program i zajmują miejsca. Pastor już jest i czeka. W pierwszym rzędzie po prawej siedzi mama, ubrana w granatową suknię. Trzyma na rękach Jonathana. Obok niej siedzi Bill w grafitowym garniturze. Parę rzędów dalej widzę Milę z

Christiną. To dla nich jedna z rzadkich chwil, kiedy są bez dzieci. Christina patrzy na Milę i całuje ją w skroń. Uśmiecha się do niej.

Wyjmuję z lodówki trzy bukiety i otrząsam nad zlewem.

– Może jakieś ostatnie sugestie? – dobiega mnie głos Charliego. – Jakaś rada?

Powinnam wracać na górę, ale chcę usłyszeć odpowiedź Ryana.

– Nigdy się nie poddawaj. To wszystko.

– Dosyć to proste – zauważa Charlie.

Ryan się śmieje.

– Bo to jest proste. Naprawdę.

Słyszę klepnięcie po plecach. Nie jestem pewna, kto kogo poklepuje. I wtedy włącza się trzeci głos, Wally’ego, jak mi się zdaje:

– Stary, ja mam dla ciebie zero rad. Bo nigdy nie byłem żonaty. Ale jeśli to, co powiem, ma jakieś znaczenie, to uważam, że ona jest świetna.

– Dzięki – mówi Charlie.

– Gotowi? – pyta Ryan.

Słyszę kroki i się wychylam. Widzę plecy wszystkich trzech. Wychodzą, żeby zająć swoje miejsca.

Pędzę na górę, do sypialni. Cała czwórka, Natalie, jej rodzice i Rachel, jest gotowa do wyjścia. Wręczam bukiet Natalie, a jeden z dwu mniejszych podaję Rachel. Trzeci zostawiam sobie.

– W porządku – mówi Rachel. – No to idziemy.

Natalie bierze głęboki oddech. Spogląda na ojca.

– Gotów?

Skłania głowę.

– Jeśli ty jesteś gotowa.

Jej mama pstryka zdjęcie.

– Dobrze, to ja schodzę pierwsza – decyduje. – Za chwilę się widzimy. – Całuje ją w policzek i zanim się rozpłaczę, wychodzi.

– Hu. No dobra. Idziemy – mówi Natalie. – Może jakieś ostatnie rady? – dodaje ze śmiechem. Wydaje mi się, że zwraca się do ojca, ale okazuje się, że to do mnie. Ja tu jestem od udzielania małżeńskich porad.

Mówię jedyną rzecz, która jest do powiedzenia:

– Nigdy się nie poddawaj. To wszystko.

Tato Natalie się śmieje.

– Słuchaj się jej. Ma absolutną rację.

Jest dziesiąta wieczorem. Wesele trwa. Kiedy Natalie tańczyła ze swoim ojcem, zamgliły mi się oczy. Kiedy Charlie tańczył z mamą, nie wytrzymałam i się rozpłakałam. Słońce zaszło koło ósmej, ale wieczór nadal jest ciepły. Od plaży wieje wiatr, który przyjemnie nas chłodzi. Charlie z Natalie położyli dziecko spać już parę godzin temu.

Rachel upiekła tort i jest on hitem przyjęcia. Ludzie wciąż o niego pytają. Wszyscy myślą, że to z jakiejś wypasionej cukierni w Beverly Hills. Kiedy kolejna osoba pyta o to Rachel, wtrącam się:

– To z tej nowej cukierenki, dopiero co ją otworzyli. Nazywa się Ciacho. Koło TBD.

– Na bulwarze Larchmont – precyzuje Rachel.

Kiedy zatapiając w niej badawcze spojrzenie, mówi, że bank rozpatrzył pozytywnie podanie o pożyczkę.

– To kiedy zamierzałaś mi powiedzieć?

– No wiesz, dopiero co się dowiedziałam i nie chciałam mówić na weselu Charliego, żeby nie odbierać mu blasku.

– Gratulacje – szepczę.

– Dzięki – odpowiada również szeptem. – Możesz udawać, że słyszysz o tym po raz pierwszy, jak powiem wszystkim za tydzień. Jesteś w tym dobra. – Uśmiecha się, żeby dać mi poznać, że się ze mną droczy.

Mama i Bill tańczą cały wieczór. Później, kiedy sączymy z nią na dachu po drinku, wskazuję na Billa, który po przeciwnej stronie baru je koktajl z krewetek.

– To co, romans kwitnie, tak?

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem... Może i dobrze jest być razem trochę dłużej, niż trwa miesiąc miodowy.

– Ożeż – mówię. – Jestem pod wrażeniem. Czyli myślisz o tym, żeby się wprowadził?

Śmieje się.

– Myślę. I to wszystko. Ale, ale, widziałaś to?

– Co? – Zwracam głowę w stronę, gdzie wskazuje. W odległym kącie parkietu Rachel tańczy teraz z Wallym.

– Ciekawe, nie?

Zastanawiam się, co chciałaby ode mnie usłyszeć Rachel.

– No – mówię i wzruszam ramionami. – Zobaczymy, co dalej.

– Zobaczymy.

Muzyka się zmienia. Kiedy DJ puszcza *Shout*, jasne jest, że impreza osiąga punkt kulminacyjny.

Podbiega Ryan.

– Tańczymy, malutka!

Odstawiam drinka.

– Jeśli pozwolisz – mówię do matki.

– Oczywiście – odpowiada.

Wbiegamy w tłum tańczących. Otaczamy Charliego i Natalie. Dołączamy do Rachel i Wally'ego. Śpiewamy na cały głos. A że *Shout* to taka piosenka, która ściąga wszystkich na parkiet, mama z Billem też włączają się w taneczny krąg, a moment później rodzice Natalie. Po chwili dobiega Mila z Christiną i nawet wuj Fletcher nie potrafi się oprzeć. Tańczymy razem, twistujemy, przykucamy i wyskakujemy w górę w rytm piosenki, nie przejmując się tym, że może wyglądamy głupio, nie przejmując się w ogóle niczym.

Patrzę na tańczących wraz ze mną ludzi, krewnych, przyjaciół, męża, i czuję potężny przypływ nadziei. Nadziei na przyszłość.

Nie wiem, czy wszyscy są równie wdzięczni za tę chwilę jak ja. Nie wiem, czy wszyscy zdają sobie

sprawę, jak kruche bywa życie, jak krucha bywa miłość. Nie wiem, czy wszyscy myślą o tym w tej chwili.

Wiem tylko, że ja się o tym dowiedziałam. Dla siebie. I nigdy tej wiedzy nie zapomnę.

Parę miesięcy później, w środę, przypada wieczór, kiedy mogę wybrać, gdzie mamy pójść na kolację. Decyduję się na wietnamską knajpkę w okolicy, po czym zmieniam zdanie. Ryan miał dziś ciężki dzień w pracy. Zamówię dla nas pizzę.

Zanim jednak zdążę to zrobić, Ryan przywołuje mnie gestem do komputera.

– Ej, Lauren!

– Tak? – pytam, podchodząc.

– Pamiętasz, mówiłaś kiedyś, że napisałaś do tej kobiety?

– Jakiej kobiety?

– Allie. Tej od „Zapytaj Allie”.

Siadam obok niego. Thumper leży u jego stóp.

– Tak – mówię.

– No to wygląda, że dostałaś odpowiedź. Czy to ty jesteś „Zagubiona z Los Angeles”?

Droga Zagubiona z Los Angeles!

Chciałabym ci zdradzić pewien mały sekret. Znają go ci, którzy przeżyli największe tragedie, a podejrzewam, że znasz go już także i ty: słońce zawsze wschodzi. Zawsze.

Słońce wschodzi, gdy matki tracą dzieci, gdy

mężczyźni tracą żony, gdy kraje pustoszy wojna. Słońce wschodzi, choćbyśmy przeżywali nie wiem jaki ból i cierpienie. Nawet jeśli jesteśmy absolutnie przekonani, że to koniec świata, nazajutrz słońce wszędzie i tak. Nie należy więc oceniać miłości po tym, czy słońce wschodzi, czy nie. Dla słońca nie liczy się miłość. Dla słońca liczy się tylko wschodzenie.

I druga rzecz, którą, jak sądzę, powinnaś wiedzieć: nie ma żadnych zasad, które obowiązywałyby w małżeństwie. Wiem, że byłoby łatwiej, gdyby takie zasady istniały. Wiem, że wszyscy od czasu do czasu za nimi tęsknimy; gdyby istniały jednoznaczne odpowiedzi na pytania, łatwiej byłoby podejmować decyzje. Gdyby sprawy były wyłącznie czarne lub białe, łatwiej byłoby rozwiązywać problemy. Ale po prostu nie na takiej zasadzie, która sprawdzałaby się w każdym małżeństwie, w każdej miłości, w każdej rodzinie, w każdej relacji.

Jedni ludzie bardziej potrzebują granic, inni – mniej. Jedne pary potrzebują więcej przestrzeni, inne – więcej intymności. Jedne rodziny potrzebują więcej szczerości, inne – więcej uprzejmości. Nie ma takiego rozwiązania, które byłoby odpowiednie dla wszystkich.

Nie mogę ci więc powiedzieć, co robić. Nie mogę ci powiedzieć, czy masz pozostać z mężem, czy nie. Nie mogę ci powiedzieć, czy go potrzebujesz lub czy go pragniesz. Potrzeba i pragnienie to pojęcia, które każdy i każda z nas definiuje samodzielnie na własny użytek.

Mogę ci powiedzieć tylko tyle: w życiu liczy się

wyłącznie to, że próbujesz. Liczy się wyłącznie to, że otwierasz serce, dajesz wszystko, co masz do zaoferowania, i próbujesz, próbujesz, próbujesz.

Doszliście z mężem do punktu, w którym większość małżeństw się poddaje. A wy się nie poddaliście. Pozwól, by to do ciebie przemówiło. Pozwól, by cię to prowadziło.

Czy możesz swojemu związkowi dać z siebie jeszcze więcej? Jeśli tak, daj wszystko, co tylko możesz.

Pozdrawiam cię serdecznie

Allie

Drukuję list i chowam go w pudełku po butach. Teraz jest to pierwsza rzecz, którą widzi się po otwarciu. Leży na stosie bibelotów i pamiątek. Traktuję go jako ostatnią radę, jaką dała mi babcia.

Przyszłość może nam przynieść wszystko.

Zamierzam trzymać się tej zasady.

Nie wiem, czy cukiernia Rachel okaże się sukcesem.

Nie wiem, czy Charlie i Natalie będą razem.

Nie wiem, czy mama zamieszka z Billem.

Nie wiem, czy będziemy z Ryanem obchodzić pięćdziesiątą rocznicę ślubu.

Ale wiem, że wszyscy będziemy się starać.

Wszyscy damy z siebie wszystko, co tylko możemy.

Podziękowania

Książkę tę dedykuję mojej matce Mindy i mojemu bratu Jake'owi, bo bez nich nie potrafiłabym pisać o rodzinie. Bardzo dziękuję wam obojemu za wsparcie i zachętę, jakie od was stale otrzymuję. Te same słowa kieruję w stronę Lindy Morris, mojej absolutnie nadzwyczajnej babci. I bardzo dziękuję również pozostałym członkom rodzin Jenkinsów i Morrisów.

Dziękuję rodzinom Reidów i Hanesów, w tym – choć z pewnością nie wyłącznie – klanowi Rose, Warrena, Sally, Berniego, Niko i Zacha z dzielnicy Encino. Żadne słowa nie są w stanie wyrazić mojej wdzięczności za wasze niezmordowane, serdeczne wsparcie. Nie wyobrażam sobie, by rodzina ze strony męża mogła być bardziej oddana.

Mam to szczęście, że zbyt wielu mam pomocnych i wspierających przyjaciół, bym zdołała wymienić tu wszystkich, i już choćby dlatego jestem głęboko wdzięczna losowi za każdy dzień mojego życia. Oprócz tych, którym dziękowałam w mojej poprzedniej książce, w sposób szczególny odnotować należy pierwszych czytelników tej książki: Erina Frickera, Colina Rodgera, Andy'ego Baucha, Julię Furlan i Tamarę Hunter. Jestem też ogromnie wdzięczna Zachowi Frickerowi, który z zapałem, choć zrzędząc, wyjaśniał mi wszelkie kwestie medyczne, o jakie pytałam.

Bez Carly Watters, mojej cheerleaderki i pierwszej

linii obrony, jako artystka przymierałabym głodem. Jest ona także nieustającym dowodem, że Kanadyjczycy to najmiłsi ludzie na świecie.

Greer Hendricks, dzięki tobie każda książka staje się o niebo lepsza zarówno w sprawach dużej, jak i małej wagi. Twoja fachowość i intuicja są nie do przecenienia. Sarah Cantin, dzięki tobie łatwo jest być profesjonalną pisarką. Dziękuję też korektorom, projektantom okładki i zespołowi promocyjnemu wydawnictwa Atria. Jesteście dla mnie wszyscy jak rodzina, z którą spotykam się wyłącznie w Internecie.

Błogosławieństwem były dla mnie koleżanki pisarki, które dzieliły ze mną swój czas i uwagę: Sarah Pekkanen, Amy Hatvany, Sarah Jio, Emma McLaughlin, Nicola Kraus i wiele innych. Bardzo wam wszystkim dziękuję. Czuję się szczęściarą, mogąc cieszyć się waszą życzliwością i wsparciem.

Nigdy dość podziękowań dla kobiety, która otworzyła przede mną serce i podzieliła się ze mną historią własnego pięknego i kruchego małżeństwa. Dziękuję za okazane mi zaufanie i poświęcony czas!

Specjalne podziękowania kieruję w stronę mojego pitbulla, Rabbita Reida, za to, że jest moim oczkiem w głowie. Rabbit, nie umiesz czytać ani mówić po angielsku, ale chyba wiesz, jak ważny jesteś dla mnie każdego dnia. Ogromne podziękowania winna jestem także Owl Reid, suce tak szlachetnej i czulej, że naprawdę jestem przekonana, iż dzięki temu, że ją

znałam, stałam się lepszym człowiekiem. Jeśli ktokolwiek myśli o wzięciu pod opiekę psa, warto dać szansę pitbullovi. Potrafią kochać jak nikt.

I wreszcie – mój mąż, Alex Reid. Ta książka jest nie tylko moja, ale w równym stopniu twoja. Każde zdanie jest nie tylko moje, ale w równym stopniu twoje.

Przypisy

[1] Tytuły poszczególnych części książki nawiązują do tytułów piosenek wykorzystanych przez autorkę w oryginale: *Where Does The Good Go?* – Tegan&Sara, *November Rain* – Guns ‘n’ Roses, *That’s the Way Love Goes* – Janet Jackson, *Johnny Rodriguez*, *Most of the Time* – Bob Dylan, *Nothing Compares 2 U* – Prince, Sinéad O’Connor (przyp. tłum.).

[2] Region na wybrzeżu stanu Kalifornia, w miejscu gdzie góry Santa Lucia gwałtownie wyrastają z Oceanu Spokojnego (przyp. tłum.).

[3] American Automobile Association, organizacja zajmująca się m.in. pomocą drogową dla swoich członków (przyp. tłum.).

[4] *corn* (ang.) – kukurydza, *carne* (hiszp.) – mięso (przyp. tłum.).

[5] bardzo mocna wódka, o zawartości do 95 proc. czystego alkoholu (przyp. tłum.).

[6] muzeum sztuk pięknych w Los Angeles (przyp. tłum.).

[7] Niegdyś amulet niektórych plemion Indian z Ameryki Płn., obecnie także popularna ozdoba o charakterze etnicznym (przyp. tłum.).